

KRZYSZTOF BORUŃ
ZANIM UMRE



Krzysztof Boruń

Zanim umrę

Zanim umrę

Copyright © by Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Redakcja: Paweł Dembowski

Skład i korekta: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda

Ilustracja na okładce: NASA

Projekt graficzny okładki: Mariusz Cieśla

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-64416-50-7

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Człowiek z mgły

Norbert skręcił gwałtownie w lewo — było już jednak za późno. Idący drogą człowiek wprawdzie próbował uskoczyć na pobocze, lecz potknął się i, zanim odzyskał równowagę, uderzenie błotnika odrzuciło go w ciemność.

Samochód sunął jeszcze chwilę z zablokowanymi kołami i stanął. Norbert zjechał ostrożnie na skraj drogi, wziął latarkę i wyskoczył z wozu.

Mgła była gęsta i snopy światła grzęzły w niej jak w mleku. Norbert widział przed sobą tylko mokry asfalt i niewyraźne zarysy rowu.

Począł iść wolno poboczem, świecąc po ziemi. Nie dalej jak trzydzieści metrów za samochodem dostrzegł w rowie ciemny kształt ciała ludzkiego. W kręgu światła ujrzał chude, starcze nogi w czarnych, obcisłych spodniach, rozdarty na plecach prochowiec i łysą czaszkę, okoloną siwiejącymi włosami. Mężczyzna leżał nieruchomo, zwrócony twarzą ku ziemi, tylko jego ramiona drgały chwilami nerwowo.

Norbert pochylił się nad leżącym. Czuł, jak wzrasta w nim niepokój. A jeśli człowiek ten właśnie w tej chwili umiera?

Położył latarkę na trawie i odwrócił bezwładne ciało na wznak. Rozpiął płaszcz i marynarkę nieznajomego, przyłożył ucho do jego piersi. Serce biło trochę przyspieszonym, lecz wyraźnym rytmem. Norbert sięgnął po latarkę i oświetlił twarz leżącego. Wydała mu się znajoma, choć nie był w stanie przypomnieć sobie, gdzie ją widział.

Nieznajomy poruszył powiekami.

— Czego mi pan świeci w oczy? — odezwał się niespodziewanie.

Na pewno nie był to głos umierającego.

— Czy nic się panu nie stało?

— Chyba nie... — nieznajomy obrócił się na bok, próbując usiąść. — Trochę mnie krzyż boli, ale po takim karambolu to zrozumiałe... No, co pan tak stoi? Niech mi pan pomoże wstać! Norbert ujął starca pod ramiona i pomógł mu podnieść się z ziemi. Nieznajomy postąpił kilka kroków o własnych siłach.

— Wszystko w porządku — stwierdził z zadowoleniem. — Trochę kolano... Zdaje się obtarłem. Ale to głupstwo. Niech pan poszuka czapki, okularów i RT. Tu gdzieś powinny leżeć — wskazał gestem na pobocze. — Miejmy nadzieję, że całe...

Norbert przeszedł wzdłuż rowu świecąc latarką, lecz staremu wyraźnie zebrało się na dogadywanie:

— Nie spiesz się pan tak. To trzeba systematycznie, metr po metrze... Okulary w ciemnej oprawie. Niech pan uważa, aby szkieł nie podeptać. Czapka czarna. RT standardowy, żółty. A swoją drogą, jeśli ktoś nie umie we mgle jeździć, powinien stanąć!

— Jechałem najwyżej trzydziestką...

— I to za szybko! Jak widać z rezultatu. Gdybym nie uskoczył...

— To raczej ja skręciłem w ostatniej chwili.
— Nie chwal się pan, bo nie ma czym...
— To przecież pan wyszedł na drogę! We mgle?! Co za nieostrożność! Przecież widział pan światła. A w ogóle skąd pan tu?...

— Czekałem na pana.

— Na mnie?!

— Powiedzmy... — zaśmiał się sztucznie. — Chciałem pana zatrzymać. Gdyby jechał pan wolniej, wszystko byłoby jak trzeba.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, chciał pan, abym pana gdzieś podwiózł?

— Jesteś domyślny, młody człowieku. Dostawi mnie pan do najbliższej pomocy drogowej.

— Ma pan tu wóz? A co się stało?

— Wpakowałem się fatalnie do rowu...

— Jak się nie umie jeździć we mgle, trzeba stanąć!

Starzec znów zaśmiał się, tym razem szczerze:

— Jesteśmy więc kwita. Ale to niezupełnie moja wina. Oślepiło mnie...

— Rozumiem. Jakiś pirat drogowy...

— Niezupełnie... Raczej niebieski.

Norbert dostrzegł w tej chwili w rowie czarny owal czapki, a kilka metrów dalej, na samym skraju drogi, żółtą, spłaszczoną kostkę wielkości pudełka zapalek, przypominającą elektroniczne liczydło.

— Czapkę już mam. I chyba jeszcze coś... — podniósł przedmioty i podszedł do nieznanego. — To? — zapytał podając mu znaleziony przyrząd.

— Jasne — potwierdził nieznanomy z pewnym zdziwieniem. — Nie wie pan jak wygląda RT?

Norbert spojrział niepewnie na starca:

— RT?

— No, radiotelefon — nieznanomy przyłożył aparat do ucha i począł manipulować palcami.

— Rozumiem. Działa?

Nieznanomy pokręcił przecząco głową.

— Brak sygnału centrali.

— Musiał pan uderzyć...

— Możliwe. Ale niech się pan nie denerwuje, nie będzie pan płacił. Gdy czekałem na drodze, także nie było sygnału. Widać aparat uległ uszkodzeniu już wówczas, gdy się wpakowałem do rowu. A według prospektu sigma bis miał być odporny na wszelkie wstrząsy...

— To jakaś nowość?

— Przed pięciu laty. Widzę, że pan z techniką na bakier. Chociaż to ja powinienem... — urwał i podjął poprzedni temat. — Może zresztą uszkodzenie nie jest mechaniczne? Może ta cholerna burza... Wyładowanie było nie z tej ziemi. Jeszcze takiego nie widziałem.

— Burza? W tej mgle? — zdziwił się Norbert.

— Mgła pojawiła się niemal jednocześnie. Może przed, a może po wyładowaniu...

— Kiedy to było?

— Pół godziny temu. Był pan pewno jeszcze stąd daleko, a burza mogła przechodzić bokiem... Diabli wiedzą zresztą, czy to w ogóle była burza... Może po prostu pojedyncze wyładowanie. Tak mnie oślepiło, że wjechałem w rów. A potem, gdy przejrzałem na oczy, nic, tylko mgła... Silnik zupełnie wysiadł. Chyba baterie rozładowane... Może ta sama przyczyna co z RT?

Norbert nachylił się nad rowem.

— Mam okulary. Całe!

— Opatrzność czuwa... No, to chodźmy, bo mgła staje się coraz gęstsza. Chyba, że chce pan poczekać do rana. Mnie się nie śpieszy. Mam czas...

— Nie wiem. O tym, czy rzeczywiście nie potrzeba się spieszyć, mógłby powiedzieć tylko lekarz.

— Lekarz? — zdziwił się nieznajomy.

— Musi pana zbadać. Pojedziemy do szpitala lub pogotowia.

— Pan zwariował?! Nic mi nie jest.

— Nie wiem. To się dopiero okaże.

— Co pan tak kracze? — zdenerwował się nieznajomy. — Jestem zdrowy jak koń! Do żadnego szpitala nie pojadę!

— Nic nie wiadomo... Nie chcę mieć pana na sumieniu. Bywa, że wewnętrzny krwotok jest zupełnie bezbolesny i człowiek nie zdaje sobie sprawy...

— I co z tego? — staruszek stał się opryskliwy. — Nie strasz mnie pan, bo się nie boję! Co ma być, to będzie...

Widać było już przez mgłę czerwone światła pozycyjne samochodu. Norbert pomyślał, iż może rzeczywiście przeholował.

— Wierzy pan w przeznaczenie? — spróbował skierować rozmowę na boczny tor.

— A pan? — nieznajomy odbił zaczepnie pytanie.

— Nie wierzę.

— Ja też nie — powiedział starzec już spokojniej, a potem dodał podejmując temat: — Zdarzają się, co prawda, zadziwiające sytuacje... Człowiek ma wrażenie, jakby oglądał po raz drugi znany mu już film. Ale to chyba tylko złudzenie.

— *Déjà vu*.

— Nie tylko. *Déjà vu* to iluzja, że przeżywa się to samo po raz wtóry. Takie paramnezje pojawiają się w momencie, gdy zachodzi jakieś zdarzenie. Ale bywają bardziej złożone zjawiska... Wręcz sprawiające wrażenie prekognicji czy może czegoś w rodzaju „pętli czasu”...

— Wiem — Norbert otworzył drzwi wozu. — Proszę, niech pan wsiada. Ja jeszcze sprawdzę światła.

Staruszek nie kwapił się jednak do wsiadania, może zresztą nie uświadamiał sobie, co do niego mówi Norbert, bo kontynuował nie dokończoną myśl, drepcząc za nim krok w krok.

— Bo widzi pan, bywa i tak, że człowiek przypomina sobie nagle coś, czego nie potrafi umiejscowić w czasie i przestrzeni... Jakieś strzępy wspomnień... I nawet mówi o tym najbliższym: żonie, dzieciom, przyjacielom. A potem przychodzi moment, że się to jakby powtarza. To samo zdarzenie, sytuacja, wypowiedziane słowa... Właściwie niezupełnie tak samo. Jakby podobnie, a inaczej. To samo, a jakby z innej strony widziane... Człowiek zastanawia się, czy to rzeczywiście może być przypadek i złudzenie wywołane jakimś zaburzeniem pamięci...

Światła działały bez zarzutu, lecz na prawym błotniku Norbert dostrzegł świeże wkleśnięcie. Spojrzał ukradkiem na gadatliwego staruszka, ale ten, choć stał tuż przy nim, zupełnie nie zwracał uwagi na to, co Norbert robi.

— Mnie też się zdarzają takie figle pamięci — ciągnął nieznajomy. — Nawet przed chwilą... Gdy leżałem w rowie i pan świecił latarką. Powie pan: *déjà vu*. Może zresztą rzeczywiście to tylko złudzenie... Chociaż... Kiedyś, bardzo dawno temu, zdarzyło się coś, co od biedy można by uznać za dowód. I to materialny, na piśmie. Do dziś nie wiem, co o tym sądzić. Widzi pan, wiele lat temu interesował mnie bardzo problem tak zwanej „pętli czasu”. Znałem nawet człowieka, który twierdził, że istnieją podstawy, nie tylko matematyczne, iż w pewnych warunkach może wystąpić zjawisko nagłej zmiany zakrzywienia czasoprzestrzeni czy też coś w tym rodzaju... Słowem, że może dojść do połączenia zdarzeń toczących się w różnym czasie. Ten człowiek twierdził nawet, że to mogą być skutki jakiegoś eksperymentu naszych potomków. Pan rozumie? Ludzi z przyszłości... Mówiąc szczerze wtedy, przed laty, gotów byłem uwierzyć w tę pętlę. Pytałem nawet o to kilku znajomych fizyków. Tylko jeden nie wykluczał teoretycznie takiej możliwości. Inni twierdzili, że to bzdura. I chyba mieli rację. Po prostu pamięć płata figle.

— No, możemy jechać — Norbert był w tej chwili daleko myślami od tego, o czym mówił nieznajomy. Coraz bardziej wzrastał w nim niepokój, że gęstniejąca mgła utrudni jazdę, a po chwilowej euforii mogą wystąpić u staruszka objawy jakichś poważniejszych obrażeń.

Tymczasem nieznajomy jakby dopiero teraz dostrzegł samochód.

— Skądżeś pan takiego grata wytrzasnął? — zapytał przyglądając się maszynie.

— Rocznik osiemdziesiąty czwarty — wyjaśnił Norbert nieco zdziwiony epitetem.

— Zgadza się. Miałem takiego samego. Ten sam rocznik. Ile to lat... — powiedział z westchnieniem.

— Kupiłem go dwa lata temu.

— To miał pan szczęście.

— No, wsiadamy.

Norbert otworzył drzwi i wyciągnął do nieznajomego rękę, chcąc dopomóc mu przy wsiadaniu, lecz ten go ofuknął:

— Coś pan... nie jestem kaleką!

Okazało się jednak, iż potłuczenie dawało już znać o sobie, gdyż w momencie wsiadania aż syknął z bólu.

— Chyba jednak pojedziemy do szpitala. Mam tam znajomą lekarkę. Powinna

mieć dziś dyżur — Norbert uruchomił silnik.

— Zobaczmy... — staruszek spuścił nieco z tonu. — Niech pan nie myśli, że gram bohatera. Jak się będę źle czuł, to sam zażadam, żeby mnie pan zawiózł. A jeśli pan będzie nudził, to pana urządzę tak, jak mnie kiedyś pewien facet urządził... A wie pan, nawet okoliczności były chyba podobne... Przynajmniej tak mi się dziś wydaje. Ale to było tak dawno, że może i nieprawda.

Nieznajomy zamyślił się.

Norbert jechał wolno. Reflektory rozpraszały mgłę na odległość zaledwie kilkunastu metrów. Jeśli warunki się nie poprawią, nie dojedzie wcześniej niż o północy. Wizyta w szpitalu, nawet jeśli Magda przyspieszy badania, zajmie co najmniej godzinę. Z pomocą drogową o tej porze mogą być kłopoty. Niewykluczone też, że trzeba będzie odwieźć staruszkę do jego mieszkania. Nie uda się więc wrócić do domu przed czwartą i o przespaniu się nie ma co marzyć. Jeśli napije się kawy i zabierze zaraz do roboty, może zdąży jakoś oddać reportaż w terminie. Ale jeśli się jeszcze coś skomplikuje...

Nieznajomy myślał widocznie o tym samym, gdyż przerywając milczenie zapytał:

— Pewno się panu spieszy, a teraz ma pan ze mną zawracanie głowy. Jutro musi pan wstać wcześniej?

Norbert odczuł złośliwą satysfakcję, iż może dać do zrozumienia, jak mu nie na rękę strata czasu.

— Jeśli pan chce wiedzieć, prawdopodobnie w ogóle nie będę dziś spał. Jutro muszę oddać reportaż do druku.

— Jest pan dziennikarzem? — ożywił się nieznajomy. — Ja też kiedyś byłem dziennikarzem i zajmowałem się reporterką. Od dziennikarstwa zaczynałem. Nawet lubiłem ten zawód. Dopiero w czasach sławetnego „kryzysu uczuć” inaczej potoczyły się moje sprawy...

Norbert nie miał ochoty do rozmowy, a nawet najbardziej by mu odpowiadało, gdyby nieznajomy się zdrzemnął. Musi przecież przemyśleć w drodze treść reportażu, wymyślić początek, znaleźć jakiś chwyt dramatyzujący fabułę, tak aby zaraz po powrocie przystąpić do pracy.

A więc przede wszystkim, jak zacząć? Zacznie chyba od telefonu... Stefan Thall dzwoni do redakcji... Może lepiej nawet inżynier Thall... Tak się przedstawia przez telefon, który odbiera Norbert. Inżynier prosi o pomoc...

Staruszek nie dawał jednak za wygraną:

— Po tym co powiedziałem, gotów pan pomyśleć, że byłem jakimś tam marnym dziennikarzyną i siedzenie w tym zawodzie było nieporozumieniem. Jeśli pan tak myśli, to się pan myli! Wcale nie należałem do najgorszych, a wręcz przeciwnie... Pomyśli pan, że się chwalebę, ale musi pan wiedzieć, że swego czasu moje nazwisko liczyło się w prasie... A odszedłem z dziennikarstwa nie dlatego, żeby mnie nie chciano albo żeby sam miał dosyć tej roboty. Po prostu zmieniły się warunki... — urwał i zamyślił się. Gdy po chwili podjął monolog, pojawiła się w nim nuta refleksji. — Ale to już przeszłość, i to dość odległa. Prawdę mówiąc nie żałuję, że wtedy

odszedłem z dziennikarstwa. Chyba, mimo wszystko, niewiele bym tam zdziałał. I może dziś zastanawiałbym się, czy nie zmarnowałem życia... Ale czasem żałuję... Pan pewno myśli: starcze urojenia i kompleksy... Widzi pan, byłem nie tylko jednym z pierwszych, którzy wysunęli przypuszczenie, że *pseudomeningitis* wywołane zostało mutacją wirusa wytworzoną laboratoryjnie, ale jedynym, któremu udało się dotrzeć do samego źródła i udowodnić, że tak było rzeczywiście. A wie pan, co to wtedy znaczyło...

Norbert nie wiedział, lecz skinął potakująco głową. Starał się „wyłączyć” i zająć reportażem, a więc nie należało zachęcać gadatliwego staruszka do wynurzeń. Zresztą opowieść o jakiejś tam chorobie wirusowej, która rzekomo przybrała postać epidemii, wydała mu się nudna i banalna. Jeśli byłoby to coś poważniejszego, z pewnością by o tym słyszał. Staruszek po prostu chce mu zaimponować i pochwalić się swymi dawnymi sukcesami na polu dziennikarskim. Gdybyż można było go „wyciszyć”. Zresztą, niech sobie gada — wyłączenie się dla Norberta nie przedstawiało większych trudności. Przyzwyczyił się do tego mając w pokoju za sąsiada kolegę gadułę. A więc... reportaż powinien przypominać nowelę kryminalną. Zacząć trzeba od telefonu. Inżynier dzwoni... Norbert odbiera telefon... Inżynier mówi o anonimach... Zaraz, zaraz... Pytanie: czy od razu wyłożyć karty? Może lepiej trochę pokłuczyć? A jakby tak...

— ...Pan sobie wyobraża? — ciągnął nieznajomy. — Ulice puste, jakby wymiótł... W najbardziej ruchliwych punktach, w godzinach rannych czy wieczornych, gdzie zwykle były tłumy na chodnikach i tłok na jezdniach — ludzi prawie nie widać. Miasto wyglądało jak o drugiej, trzeciej nad ranem. Tyle, że w biały dzień. I cisza. Niemal całkowita cisza! Tylko syreny karetok pogotowia... A w nocy — w tysiącach okien pałą się światła. Przez całą noc! Prawie we wszystkich mieszkaniach! Całe rodziny... To szerzyło się w zawrotnym tempie. Rzecz w tym, że już w okresie inkubacji każdy chory stawał się nosicielem. Od zainfekowania do pierwszych objawów upływały mniej więcej dwóch–trzech dni. A nosicielstwo wygasało dopiero po czterech–pięciu tygodniach od wyzdrowienia. Rozumie pan? Kiedy pomyślano o kwarantannie — było już właściwie po wszystkim. Za późno się zorientowano. Trudno się zresztą dziwić. Objawy były bardzo podobne do zapalenia opon mózgowych i to myliło! Stąd też nazwa: *pseudomeningitis*. Przebieg epidemii całkowicie zaskoczył wszystkich, nie wyłączając lekarzy. I to najwybitniejszych specjalistów epidemiologów. Może zresztą niepotrzebnie panu to opowiadam — zreflektował się, nie dostrzegając żywszej reakcji Norberta. — Pewno słyszał pan od swych rodziców albo gdzieś czytał... Jest przecież cała literatura na ten temat, tyle że fachowa, medyczna... W naszej prasie z tego okresu znajdzie pan niewiele. Dziennikarze i drukarze też chorowali, a potem, po ogłoszeniu u nas stanu wyjątkowego, ograniczono się tylko do oficjalnych enuncjacji uspokajających opinię. Trudno się zresztą dziwić. Na niektórych terenach epidemia przybrała monstrualne rozmiary. Przez parę dni komunikacja, handel, administracja, policja — nie mówiąc już o przemyśle i szkolnictwie — były całkowicie sparaliżowane. W tych warunkach łatwo wywołać panikę. Co prawda, gdy się okazało, że przebieg choroby jest łagodny

i nie ma wypadków śmiertelnych, zakaz pisania na ten temat cofnięto, ale i zainteresowanie szybko wygasło. Dopiero w pół roku później, gdy wyszło na jaw, kto spowodował epidemię, znów stała się ona tematem numer jeden. Zresztą nie wszędzie i na krótko. Najbardziej zainteresowani próbowali wyciszyć sprawę. Jakoby w obawie przed paniką.

Ale na pewno nie chodziło już o epidemię. Po tym jak w parę miesięcy przeszła przez cały świat — wygasła całkowicie. Oczywiście najbardziej zainteresowane w wyciszeniu były pewne kręgi wojskowe. Ale nie tylko... W każdym razie wszyscy oni obawiali się, że pod naciskiem opinii publicznej dojdzie do całkowitego zakazu eksperymentowania. Może by zresztą i doszło, bo mimo wszystko prawda zaczęła wypływać na wierzch. Przypomniano sobie nawet apel, chyba z siedemdziesiątego trzeciego, o przerwaniu badań w dziedzinie inżynierii genetycznej. Ale właśnie pojawiły się pierwsze konkretniejsze doniesienia medyczne dotyczące objawów *cephalgia telepatica* i sprawa doświadczeń genetycznych zeszała na dalszy plan.

Mimo iż Norbert próbował skupić uwagę na reportażu o inżynierze Thallu, strzępy monologu staruszka docierały raz po raz do jego świadomości. Przede wszystkim zainteresowała go wzmianka o eksperymentach militarnych z zakresu inżynierii genetycznej, a także dziwny łaciński termin — ni to medyczny, ni to parapsychologiczny. Wbrew więc zamiarowi niepobudzania staruszka do rozmowy, zapytał:

— O czym pan mówi? Nie dosłyszałem. Tele?...

Nieznajomy był wyraźnie zaskoczony.

— *Cephalgia telepatica* — powtórzył termin. — Przecież o tym mówimy...

— To znaczy?

— Pan robi ze mnie balona... — staruszek spojrzał na Norberta podejrzliwie.

— Ależ nie! Po prostu pytam, bo nie znam tego terminu.

Wyraz podejrzliwości na twarzy nieznajomego ustąpił miejsca ogromnemu zdziwieniu.

— Pan nie kpi? — zapytał jeszcze z niedowierzaniem.

— Ależ... Dlaczego to pana aż tak zaskoczyło?

Staruszek przyglądał się Norbertowi jakoś dziwnie.

— Więc pan zupełnie nie zna sprawy *cephalgia telepatica*? — odezwał się po chwili, jakby z wahaniem podejmując temat. — Nigdy się pan tym nie interesował?

— Nie.

— Dziwne... chociaż, może... Jeśli pan jako dziennikarz nic o tym nie słyszał, to znaczy, że osiągnięto perfekcję w blokowaniu informacji... Trudno uwierzyć, aby to było możliwe — zdawał się dyskutować sam z sobą. — Chyba raczej się nie rozumiemy. Chociaż... musiał pan coś słyszeć! Chociażby w domu, od rodziców... Nic pan nie słyszał w ogóle?!

Norbert wzruszył ramionami.

— Szczerze mówiąc, nie słyszałem.

— Od biedy można zrozumieć, że istotę zjawiska trzyma się w ścisłej tajemnicy... To jasne. Ale przecież objawy jeszcze nadal występują...

— Jakie objawy?

— Bóle głowy. Czy pana nigdy nie boli głowa?

— Boli. Czasami.

— I nie wie pan dlaczego?

— No... Mniej więcej się orientuję. Gdy jestem przepracowany albo gdy się zbyt wiele wypilo... Ostatnio także przy zmianie pogody.

— Jest pan naiwny! I nawet pan nie podejrzewa, kto pana tak urządza?

— Nie rozumiem... Co? Czy kto?

Nieznajomy mruknął coś do siebie. Potem dłuższą chwilę patrzył w milczeniu na Norberta.

— Niech pan stanie! — powiedział nagle. — Tylko na parę minut.

Norbert spełnił polecenie, zjeżdżając na pobocze.

— Chce pan wyjść? Pomóc panu?

— Nie. Niech pan zapali światło w wozie!

— Co się stało? — zaniepokoił się Norbert. Spojrzał na starca i uczuł nieprzyjemny dreszcz. Nieznajomy patrzył na niego z nienawiścią i obrzydzeniem. Potem oczy jego rozszerzyły się, wyrażając rosnący z sekundy na sekundę lęk, który w końcu przybrał postać wręcz obłądnego strachu.

— Co się stało? — powtórzył Norbert, czując się coraz bardziej nieswojo. — O co panu chodzi?

Nie było odpowiedzi. Oczy starca poczęły się teraz zwięzać, a usta wykrzywił iście szatański grymas.

Norbert cofnął się odruchowo, obserwując z napięciem nie tylko wyraz twarzy, ale i ruchy rąk nieznajomego. Starcze, chude palce prawej jego dłoni zaciskały się nerwowo, jakby na rękojeści pistoletu.

— Nie rozumiem, o co panu chodzi? — podjął Norbert, siląc się na spokojny ton. Sięgnął wolno do półeczki pod deską rozdzielczą i wziął papierosy. Zanim jednak zdążył zapalić, twarz nieznajomego raptownie się wypogodziła i przybrała niemal serdeczny, przyjacielski wyraz.

— W porządku, młody człowieku — powiedział starzec swobodnie. — Niech się pan nie przejmuję moim zachowaniem. To po prostu test... Możemy jechać dalej. — Chyba, że czuje się pan niedobrze?

— Ja?

— Nie odczuwa pan bólu?

— Jakiego bólu? — zdziwił się Norbert.

— Bólu głowy. Więc nic pan nie odczuł?

— Dlaczego miałbym odczuwać jakiś ból?

— Nie jakiś ból, lecz ból głowy! — sprostował staruszek.

— Z jakiego powodu?

— Mojego! A więc pan nie reaguje... Dobrze... — powiedział na wpół do siebie. — Ile pan ma lat? — zapytał nagle.

— Trzydzieści.

— No tak... Urodził się pan dziesięć lat po epidemii. A dwanaście lat temu, co z

panem się działo?

— Studiowałem prawo.

— Nie o to mi chodzi. Czy chorował pan wówczas?

— Na co?

— Prawda... Wtedy nazywało się to oficjalnie grypą północnoamerykańską. W rzeczywistości był to pierwszy nawrót *pseudomeningitis*. Tyle, że miało to przebieg bardzo łagodny i nie wywołało większych kłopotów niż zwykła epidemia grypy. No, więc jak? Chorował pan na tę pseudogrypę?

— Nie pamiętam... Chyba nie.

— Niech pan sobie przypomni. To bardzo ważne!

— No, powiedzmy, chorowałem. Co to ma za znaczenie?

— Minotaur...

— Ależ ja naprawdę nie rozumiem!

— Niech pan już wreszcie jedzie! — zdenerwował się starzec nie wiadomo dlaczego.

Norbert zgasił oświetlenie wewnętrzne i nie spiesząc się włączył starter.

Ruszyli. Nieznajomy milczał, zapatrzony w mgłę, przez którą z trudem w świetle reflektorów można było dostrzec zarysy drogi. Dopiero po kilku minutach odezwał się, ale były to już tylko osobiste refleksje, bez prób indagowania Norberta.

— Nie przypuszczałem, że aż do tego stopnia udało się zataić takty... Prawdę mówiąc już dawno powinienem przestać się dziwić — dodał z sarkazmem. — Widać jestem oderwany od rzeczywistości... Zbyt długo żyłem w izolacji. Dwanaście lat... Czasami wydaje mi się, że żyję w obcym świecie. Jeśli ma się do tego kłopoty z pamięcią... Ale nie myśl pan, że to skleroza. To się ciągnie od czterdziestu lat. Wtedy właśnie pojawiły się pierwsze objawy. Mam na to dowody. Myślę o zaniku pamięci w czasie wielkiej epidemii. Istnieje zresztą teoria, że tego rodzaju zaniki to odmienna od *cephalgia* reakcja na *pseudomeningitis*. Z tym się zgadzam, ale nie jestem naiwny. Co prawda lekarze, nawet rzekomo najlepsi przyjaciele, nawet własna żona, bo miałem żonę lekarzkę, próbowali mi wmawiać, że są to chorobowe urojenia. Ale ja wiem, ja czuję, że moje zaniki pamięci to rezultat celowego, zamierzonego działania. Rozumie pan?

— Niech się pan uspokoi — powiedział Norbert łagodnie.

— Myśli pan, że jestem wariatem... Ja panu udowodnię, że tak nie jest, choć może dla kogoś, kto nie bardzo się orientuje w czym rzecz, to, o czym mówię, może wydawać się majaczeniem psychopaty. Musi pan wiedzieć, że nigdy w istocie nie zgadzałem się z poglądem, iż prawdę należy ukrywać. Ale to nie znaczy, że nie zdaję sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Gdy zbyt otwarcie zacznie pan mówić o tym, co wie, prędko wyląduje pan w zakładzie psychiatrycznym...

Norbert patrzył z niepokojem na kłębiącą się przed samochodem mgłę. O zwiększeniu szybkości nie mogło być mowy, a perspektywa parogodzinnej jazdy w towarzystwie psychopaty nie była miła. Potwierdzały się najgorsze obawy — szok spowodowany wypadkiem wyzwolił jakieś paranoiczne obsesje. Należało wpływać na staruszkę uspokajająco, a przynajmniej nie drażnić chorego.

— Jak się pan czuje? — zapytał, aby odwrócić choćby na chwilę uwagę starca od jego urojeń. Okazał się on jednak nadspodziewanie przytomny i domyślny.

— Na razie w porządku — odrzekł lakonicznie i dorzucił: — Wariaci mają szczęście! Może pan być spokojny.

— Nie o to mi chodziło — zmieszał się Norbert, lecz zanim zdążył powiedzieć coś więcej, staruszek znów zmienił temat.

— Wie pan, kto to był Toni Samara?

— Mówi pan o aktorze występującym w serialach telewizyjnych?

— Właśnie. Samara grywał tylko czarne charaktery.

— Grywał? — zdziwił się Norbert.

— Pan tego nie może pamiętać, ale właśnie w takich rolach był najlepszy. Brutale, sadyści, bandyci mordujący z zimną krwią, obleśni zboczeńcy... Był tak przekonujący, iż nikt nie chciał wierzyć, iż w życiu prywatnym to człowiek gołębiego serca, kochający ojciec, domator, skromny, uczciwy facet niemal o nieskazitelnym charakterze. A gdy szedł serial z Tonim, wszystkich aż skręcało, tak się go bali i nienawidzili. Od tego właśnie się zaczęło. To był pierwszy sygnał! Doprowadzono go do tego, że popełnił samobójstwo...

— Nie wiem, o kim pan mówi? Przecież Toni Samara żyje!

— Co pan za bzdury opowiada?! Samara zabił się trzydzieści dziewięć lat temu! Wyskoczył z dziewiątego piętra. Występuje jego syn, Jimmy Samara, i to nie w kryminałach, tylko melodramatach!

— Jimmy Samara?... — Norbert już nie oponował. Uświadomił sobie, że wdając się w spór z mitomanem, zaostrzy tylko kryzys. Niedawno prasa donosiła, że Toniemu urodził się syn. Chyba właśnie dał mu na imię Jimmy. Widocznie staruszek czytał o tym i nie tylko pokręcił imiona, ale i uśmiercił znanego gwiazdora.

Nieznajomy widać myślał to samo o Norbercie.

— Coś się panu pomieszało — stwierdził z wyrzutem. — Cały czas mówię o Tonim Samarze. Był ofiarą własnego talentu. Każdego wieczoru, gdy szedł jego serial, Samara dostawał niemal obłądu...

— Obłądu? Dlaczego? — znów, wbrew pierwotnemu postanowieniu, Norbert musiał zadać pytanie.

— Z bólu. Przecież to jest ból głowy! Czyżby istotnie pan nic nie zrozumiał? Na to uczulenie żadne środki farmakologiczne nie pomagają. Jedyne sposoby to narkoza. Ale początkowo o tym nie wiedziano. W ogóle nie wiedziano, skąd to się bierze.

— Co?

— No przecież mówię! Jakież pan niedomyślny! *Cephalgia telepatica*. Telepatyczny ból głowy!

— Telepatyczny?

— Tak to ktoś nazwał i przyjęło się w literaturze medycznej. Etymologicznie — termin prawidłowy. Chodzi przecież o czucie na odległość. Choć w istocie ma pan chyba rację: z telepatią, w dawnym znaczeniu, niewiele to ma wspólnego. Termin budził zresztą kontrowersje. Próbowano wprowadzić inny: „alergia bioradiacyjna” czy coś w tym rodzaju. Ale też budził zastrzeżenia. Utrzymała się pierwsza

propozycja: *cephalgia telepatica*. Nie rozumiem, jak pan może nie znać tego terminu?

Urojenie było dziwaczne, lecz niewątpliwie interesujące. A co ciekawsze, dość logicznie skonstruowane. Być może zawierało jakieś echa rzeczywistych wydarzeń, wyolbrzymionych w chorej wyobraźni, albo po prostu zapożyczone zostało z treści jakiegoś czytanego w młodości opowiadania science fiction. Próby hamowania mitotwórczych zapędów staruszka napotykały na gwałtowny sprzeciw i na niewiele się dotąd zdały. Niech więc sobie gada, jeśli mu to sprawia zadowolenie. Norbert czuł zresztą, iż poczyna go stopniowo wciągać i intrygować opowieść, chociaż jeszcze nie chwycił w pełni związku między epidemią, bólem głowy i rzekomym samobójstwem Toniego Samary.

Tymczasem nieznajomy zaczął wyraźnie przejawiać zniecierpliwienie.

— Nie wiem, po co to wszystko panu mówię — podjął agresywnym tonem. — Zdaje się, że pana nudzę... Myślę zresztą, że pan mnie okłamał — zawiesił głos, czekając na reakcję.

— Okłamał!? Nie rozumiem...

— Pan tylko udaje, że nie wie, o co chodzi. Skończmy z tym udawaniem. Nie wyobrażam sobie, aby można było nie wiedzieć nic, zupełnie nic o sprawie *cephalgia telepatica* i wielkiej epidemii... Zwłaszcza, jeśli się jest dziennikarzem.

Norbert czuł, iż uparte bronienie prawdy potęguje tylko rozdrażnienie starca.

— Może i słyszałem — skłamał niezbyt zręcznie. — Ale jakoś uszło mojej uwadze.

Nieznajomy aż podskoczył na siedzeniu.

— Niech się pan nie wygłupia! Uszło uwadze... Też mi... Bzdura! Chyba, że... — zreflektował się po chwili — coś z pamięcią nie w porządku. Może zdarzają się panu chwilowe zaniki?

— Nie, nie. To wykluczone. Jestem zdrowy.

— Na pana miejscu nie byłbym tak bardzo pewny... I mnie się kiedyś zdawało, że jestem zupełnie zdrowy. Zwłaszcza, gdy byłem jeszcze młody. Ale o Samarze pan słyszał?

Norbert skinął głową.

— Samobójstwo Samary to było głośnie wydarzenie... Pamięta się do dziś... Właśnie dlatego, że Samara był taki znany, że tak wielkie zainteresowanie wzbudziła jego tragiczna śmierć, traktuje się ją jako pierwszy sygnał. Na pewno było więcej wcześniejszych wypadków, ale nie zwracano na nie uwagi. Po prostu wszyscy interesowali się przyczynami samobójstwa Toniego i to, co w toku dochodzenia wyszło, przeniknęło do prasy. To znaczy to, że Toni cierpiał na bóle głowy i że właśnie one były powodem... Ale wówczas jeszcze nie zwrócono uwagi na częstotliwość ataków... Że nie była przypadkowa. Prawdę mówiąc, nie jest to zupełnie ściśle. Gdy badano później przebieg choroby Toniego, okazało się, że jeden z lekarzy psychoanalityków zwrócił uwagę, że bóle głowy pojawiają się w czasie wyświetlania kolejnych odcinków serialu z Samarą. Sądził jednak, że ból jest reakcją obronną, związaną z jakimś kompleksem. Że jest to przejaw czegoś w rodzaju podświadomego lęku, wyzwalanego przez obraz na ekranie, czy nawet samą

świadomość, że w tej chwili idzie serial. Ale do testów kontrolnych nie doszło, bo Toni się zabił.

— Mówi pan, że było więcej wypadków?

Nieznajomy znów spojrzał na Norberta podejrzliwie.

— Co znaczy „więcej wypadków?” Widzę, że pan jeszcze nie rozumie w czym rzecz. Prawda, że samobójstwa zdarzały się rzadko. Niewielu było tak narażonych jak Samara. Ale wykonywanie niektórych profesji czy funkcji stało się problemem... Na przykład nauczyciele zaczęli mieć kłopoty. Oczywiście, z reguły ci, którzy hołdowali zasadom raczej kija niż marchewki, a więc budzili uczucia strachu i wrogości. Nie byli w stanie prowadzić lekcji, zwłaszcza klasówek, egzaminów... Ciągłe ostre, uporczywe bóle głowy... I bardzo długo nie orientowano się w czym rzecz. Początkowo podejrzewano, że to jakiś złośliwy kawał uczniów. Ale podobne bóle pojawiały się nagminnie, nic tylko w szkołach, także w innych instytucjach, więc poczęto je traktować po prostu jako następstwo jakiejś infekcji czy zatrucia. Wersja taka była w tym czasie wręcz lansowana przez czynniki oficjalne i mówiąc szczerze niewielu ludzi próbowało ją kwestionować. Zresztą na pierwszy rzut oka przemawiały za nią fakty. Niech pan weźmie pod uwagę, że dokonywała się jednocześnie naturalna selekcja. Znienawidzeni nauczyciele, zwierzchnicy, prezesi chorowali, a więc nie mogli wykonywać swych funkcji i musieli ich zastąpić inni... A nowi ludzie rzadko od samego początku budzą wrogość.

Nieznajomy coraz wyraźniej plótł od rzeczy i Norbert nie mógł sobie odmówić przyjemności sprowadzenia jego wywodów do absurdu, zwłaszcza że mogło to jednocześnie służyć jako sprawdzian, w jakim stopniu mitoman utracił poczucie rzeczywistości.

— Teraz rozumiem, dlaczego spotykam wszędzie: w urzędach, instytucjach, zakładach pracy tylko ludzi sympatycznych, życzliwych i tolerancyjnych. Dlaczego zniknęli gdzieś wyzyskiwacze i spekulanci, despotyczni zwierzchnicy, bezduszni formalisci, karierowicze...

Staruszek słuchał chwilę, wyraźnie zaskoczony, potem zjeżył się i Norbert był już pewny, że za chwilę dojdzie do awantury. Stało się jednak inaczej — nieznajomego chwycił nagle atak nerwowego kaszlu, który przeszedł niespodziewanie w naturalny, szczerzy śmiech.

— Złośliwiec z pana, młody człowieku — powiedział raczej z satysfakcją niż wyrzutem. — Ale nie masz racji. Wcale nie twierdzę, że *cephalgia telepatica* zmieni ludzi w anioły. Fizjologia i genetyka nie zbawią świata! Nie trzeba mieć złudzeń. Może być i odwrotnie... Weźmy choćby tylko skłóconą rodzinę: zadawnione urazy, nienawiść, piekło wzajemnych oskarżeń i skrytych „złych myśli”... Zdarzały się w tym czasie tragedie domowe, spotęgowane *cephalgia*, można rzec, wręcz na miarę antyczną. Znacznie mniej o nich wiemy, bo rzadziej wychodziły na zewnątrz. Rzecz jasna, były i pozytywne skutki. Choćby na tej zasadzie, że nikt długo nie mógł żyć w atmosferze nienawiści i szybko następował rozpad takich rodzin. Bywały też przypadki, że *cephalgia* zmieniła bieg wydarzeń w sposób wręcz piorunujący. Choćby sprawa Karata. Opowiem panu tę historię, z pewnością jej pan nie zna, bo

jeszcze pana na świecie nie było, kiedy ich sądzono... „Karat” to był pseudonim. Młody, dwudziestoparoletni bandyta. Nazwiska nie pamiętam. Byłem na procesie, a także rozmawiałem z nim w więzieniu, już po wyroku. Ale może pan gdzieś o tym czytał?

— Nie...

— Karata i dwoje innych członków jego bandy schwytano podczas napadu rabunkowego, w mieszkaniu pewnej wdowy, staruszki. Robotę nadała dziewczyna Karata, która przyjaźniła się z wnuczką owej wdowy i dowiedziała się od niej, że staruszka przechowuje w domu pieniądze i cenną biżuterię. Karat i jego kumpel dostali się do mieszkania, udając ekipę techniczną, sprawdzającą kaloryfery. Początkowo czuli się znakomicie, dopiero gdy Karat wyjął brzytwę, aby sterroryzować babkę i wnuczkę, wystąpiły pierwsze objawy...

— To znaczy: ból głowy?

— Jasne. Ale kiedy zaczął starej grozić, dostał na dodatek mroczków przed oczami i był właściwie do niczego. Tyle, że zdążył powiedzieć swemu kumpłowi, aby związał ofiary. Ten czuł się wówczas jeszcze zupełnie znośnie, gdyż uwaga obu kobiet skupiała się na Karacie i jego brzytwie. Kumpel Karata przywiązał babkę do krzesła, a wnuczce spętał ręce i kazał położyć się na podłodze. Chyba w tym właśnie czasie wpadł na pomysł, aby zagrozić staruszce, że jeśli nie powie, gdzie ukryła pieniądze i kosztowności, to zgwałci dziewczynę. Kiedy jednak zaczął dość jednoznacznie demonstrować swoją gotowość spełnienia groźby, dostał tak ostrego ataku bólu, że go dosłownie ścięło z nóg, a nawet stracił przytomność.

— I taki był finał napadu?

— Ależ gdzie tam! To był dopiero początek. Karatowi w tym czasie zrobiło się trochę lepiej. To zrozumiałe, gdyż uwaga ofiar skupiona była teraz na jego kamracie. Próbował go ocucić, ale nie bardzo to mu wychodziło. Każda oznaka powrotu bandyty do przytomności wzmagała przecież napięcie emocjonalne obu kobiet, a więc i reakcję bólową u napastnika.

— Chce pan powiedzieć, że to strach tych kobiet tak na nich działał?

— Nie tyle strach, co uczucie nienawiści. Strach działa tu tylko jako wzmacniacz. Dlatego właśnie, kiedy bandzior zaczął zabierać się do dziewczyny, wzmocnienie osiągnęło taki poziom, że zwaliło go z nóg.

— Z tego, co pan mówi, wynika, że efekty oddziaływania zależą od nasilenia emocji, a jednocześnie koncentracji uwagi na konkretnej, pojedynczej osobie. To znaczy, że wartość obronna takiego oddziaływania jest bardzo ograniczona.

— Bardzo słusznie! Widzę, redaktorze, że zaczynasz myśleć — zakpił starzec, ale przytyk skrywał w istocie coraz bardziej przyjazny stosunek do Norberta. — Obezwładnić jednego osobnika łatwo, ale trzech czy czterech naraz można tylko wówczas, gdy się wytworzy swoista „karuzela”. Wtedy tak właśnie było! Musi pan wiedzieć, że Karał ściągnął telefonicznie swoją dziewczynę, aby zajęła się współprzytomnym kumpel, a sam znów próbował „przycisnąć” wdowę. I, oczywiście, ponownie dostał za swoje. Tym razem ból był jeszcze silniejszy i potęgował się przy najmniejszym ruchu głowy czy wypowiedzeniu słowa. Pan sobie

wyobraża? Bandzior siedział na podłodze z zamkniętymi oczami i bał się wstać, a nawet wzywać pomocy. Dziewczyna Karata miała nie ujawniać swej obecności; współprytomnego kumpla Karat przeciągnął do przedpokoju, jeszcze przed jej przybyciem. Ale zaniepokojona ciszą panującą w mieszkaniu, zajrzała przez uchylone drzwi. Była tak przerażona wyglądem Karata, że zapominając, iż może być rozpoznana, odezwała się do niego. Oczywiście, babka i wnuczka poznały ją po głosie i od razu zrozumiały, że bierze udział w napadzie. To wystarczyło. Z miejsca wystąpiły u niej pierwsze objawy. Z kolei Karatowi zrobiło się trochę lepiej, gdyż babka i wnuczka myślały teraz o tej dziewczynie. Próbował wstać, a więc znów na nim skupiła się uwaga ofiar, co spowodowało nowy atak bólu. Co prawda, przyniosło to pewną ulgę dziewczynie Karata, ale na krótko, bo gdy chciała go ratować, jej pełne ujawnienie się wywołało ponowną, jeszcze ostrzejszą reakcję. Na dokładkę staruszka, widząc, co się dzieje, pofolgowała sobie i poczęła grozić dziewczynie „karą boską”, a także wzywać pomocy. Karat próbował babcię uciszyć, być może nawet „na amen”, ale nic z tego nie wychodziło, gdyż każdy objaw agresji powodował nowe obezwładniające bóle, zaś babcia, a później wnuczka poczęły tym głośniejszym alarmować dom. A trzeba panu wiedzieć, że mieszkały w dużym bloku o niezbyt dobrej izolacji akustycznej... Tymczasem koleżka Karata stanął już na nogi, przyszedł więc zobaczyć, co się dzieje. I on z kolei chciał uciszyć kobiety. Rezultatu nietrudno się domyślić... Taka właśnie „karuzela” trwała aż do przybycia policji, wezwanej przez sąsiadów.

Norberta zastanawiało, co w rzeczywistości kryje się za opowieścią starca. Wątpliwe wydawało się, aby był to od początku do końca wytwór wyobraźni dziwnego towarzysza podróży. Może uda się odnaleźć w archiwach sądowych lub w starych gazetach rzeczywiste fakty, przeinaczone i ufantastycznione później w chorym umyśle. Już zresztą pewnego rodzaju sprawdzianem może być reakcja nieznanego na pytanie, gdzie szukać informacji.

— W sprawie owego Karata musi istnieć jakaś dokumentacja, stenogramy zeznań, sprawozdania z procesu... Chętnie się z nimi zapoznam — podjął Norbert ostrożnie.

Nieznamy zareagował natychmiast:

— Nie wierzy mi pan! Oczywiście, że istnieją akta sądowe, zeznania oskarżonych i świadków. Dziwi pana pewno, że tak dobrze znam szczegóły, cały przebieg napadu, niemal minuta po minucie, że tak dobrze wszystko pamiętam, chociaż od procesu minęło blisko czterdzieści lat... Widzi pan, siedziałem nad tym wiele miesięcy... A zajmowałem się tą sprawą nie tylko jako dziennikarz. To był pierwszy, realny trop, rozumie pan? Ale nie myśl pan, że w tych aktach jest mowa o telepatii. Jeszcze nikt wtedy nie zdawał sobie z tego sprawy. Dopiero później w takich przypadkach, a było ich wiele, przeprowadzano bardzo rzetelne badania, z udziałem najwybitniejszych psychofizjologów, neurologów, psychiatrów...

— Czy może pamięta pan datę, choćby tylko miesiąc i rok, w którym zapadł wyrok w tym procesie? I przed jakim sądem?

— Zaraz panu powiem... Muszę się zastanowić... Rozprawa odbywała się w

starym Pałacu Sprawiedliwości. W piwnicach jest archiwum, niezła komputerowa informacja. Łatwo pan znajdzie akta.

— Mam do pana prośbę: niech mi pan zapisze datę — Norbert włączył wewnętrzne oświetlenie. — Również łacińską nazwę tej alergii. I tamtej choroby epidemicznej. Notes powinien leżeć na tylnym siedzeniu za panem.

— *Cephalgia telepatica* i *pseudomeningitis*... Łatwo zapamiętać! — starzec próbował obrócić się i sięgnąć za siebie, ale zaraz wrócił do poprzedniej pozycji. — Taka gimnastyka nic dla mnie. Jednak z krzyżem nie najlepiej...

Norbert wyjął z kieszeni długopis i podał nieznajomemu.

— Proszę zapisać na pudełku od papierosów. Leży przed panem.

Starzec sięgnął do wnęki pod tablicą rozdzielczą i wziął papierosy. Chwilę oglądał pudełko jakby ze zdziwieniem czy może wahaniem, potem szybko napisał na nim kilka słów.

— Niech pan schowa — podał Norbertowi pudełko i długopis. — *Cephalgię* zapisałem w skrócie. Tak będzie lepiej... Prawdę mówiąc nie wiem, na co to panu. Termin łatwo ustalić, wiedząc o co chodzi. A jeśli chce pan szukać w indeksach, to nic z tego. O telepatycznym bólu głowy w oficjalnych materiałach nie znajdzie pan wzmianki. A jeśli chodzi o ten proces, to dokładnej daty panu nie podam. Ale powiem panu coś, co pana bez trudu naprowadzi... Schwytano ich parę dni po śmierci Toniego Samary!

Krąg się zamknął i Norbert począł podejrzewać, że było to zamierzone posunięcie starszka. Być może należy on do gatunku kpiarzy i teraz bawi się jego kosztem opowiadając mu bajki. Dlaczego jednak „uśmiercił” Samarę i to przed czterdziestu laty, jeśli wie, że takie oczywiste kłamstwo podważa od razu całą wiarygodność opowieści? Coś się tu nie zgadzało i Norbert postanowił dokonać jeszcze jednej próby.

— A czy po tej epidemii owe bóle dokuczały również samotnym żeglarzom, lotnikom i kosmonautom? — zapytał i zerknął ukradkiem na starca. Spojrzenia ich spotkały się na chwilę i Norbert był już pewny, że nieznajomy sprostuje błąd, stwierdzając, iż przed czterdziestu laty nie było nie tylko kosmonautów, ale nawet raket kosmicznych. Reakcja starca była jednak zupełnie inna. Po prostu, nie zauważył błędu i podjął z ochotą temat zawarty w pytaniu:

— To bardzo istotna kwestia! Widzę, że zaczyna pan myśleć, kolego. Chodzi panu o to, na jaką odległość ludzie reagują na negatywne uczucia innych ludzi? Otóż samotni żeglarze i kosmonauci nie mają tych dolegliwości. Również u lotników reakcja jest bardzo słaba. Ale to nie tylko kwestia odległości. I nie myśl pan, że chodzi tylko o to, iż samotni żeglarze i kosmonauci cieszą się na ogół sympatią... Początkowo w ogóle nie wiedziano w czym rzecz... Dopiero parę lat po epidemii rozpoczęły się systematyczne, gruntowne badania. Jeśli nie liczyć świata przestępczego... Bo musi pan wiedzieć, że pierwsi zorientowali się o co chodzi bynajmniej nie naukowcy czy lekarze, lecz szefowie organizacji przestępczych. Ściślej: amerykańskie syndykaty mafijne! Nie jest to zresztą wcale dziwne. Doszli do tego, można rzec, czysto empirycznie — przekonali się na własnej skórze! Nie trzeba

chyba tłumaczyć, dlaczego?... A przecież w tego typu organizacjach przepływ informacji jest szybki i niezawodny. Inaczej nie mogłyby istnieć... Rzecz w tym, że jeśli dziesięciu chuliganów, rabusiów czy szantażystów pracujących na własny rachunek rozłoży się z powodu jakiegoś tam niespodziewanego bólu głowy, a wzajemnie o sobie nie będą nic wiedzieli, to żaden z nich nie wpadnie na to, że to nie przypadek, nie kac po wczorajszym przepiciu, lecz „złe myśli” obrabianych frajerów... Inaczej jednak ma się sprawa z organizacją przestępczą. Gdy pewnego dnia boss dowiaduje się, że wszyscy jego „inkasenci”, ściągający haracz od drobnych kupców, mieli takie same paskudne przypadłości, i to za każdym razem, gdy odwiedzali powierzone ich „opiece” sklepy, nasunie się zaraz podejrzenie, że jest to jakaś zorganizowana akcja podtruwania „inkasentów”. Bierze się więc pierwszego z brzegu sklepikarza i „przyciska”, aby wyśpiewał, kto organizuje i jak... I wtedy okazuje się, że owo „przyciskanie” kończy się smutno dla każdego z przyciskających. A jeśli w takie przesłuchanie zaangażuje się osobiście któryś z szefów, to i on poczuje... Co gorsza, okazuje się po pewnym czasie, że ze wszystkimi nie jest najlepiej. Nawet z tymi u samej góry... Rzecz w tym, iż żaden z nich nie może działać całkowicie anonimowo, a tym samym, każdy z nich ma wrogów i zawistników, i to nierzadko w najbliższym otoczeniu. Więc zaczynają się zastanawiać: co to właściwie się dzieje? W ingerencję sił nadprzyrodzonych trudno uwierzyć... Już raczej jakaś tajemnicza broń... Może hipnoza?... I muszę panu powiedzieć, że nie wiem, jak ci z wielkich gangów sami doszli do tego, że chodzi tu o rodzaj oddziaływań telepatycznych, ale faktem jest, że w środowiskach przestępczych bardzo szybko wyciągnięto odpowiednie wnioski. Zmieniono strukturę organizacji i metody działania. Nie myśl pan, że doszli do tego naukowymi metodami. Po prostu sprawdzono w praktyce, w jakich warunkach zjawisko występuje i jak można mu zapobiec lub choćby tylko ograniczyć jego działanie paraliżujące. Z tych doświadczeń później dopiero korzystali naukowcy, rozpracowujący teoretycznie mechanizm zjawiska. Tak na przykład w gangach zorientowano się już stosunkowo wcześnie, że jeśli napastnik jest zupełnie nieznanym ofierze, ból głowy pojawia się u niego dopiero po kilku minutach. Okazało się przy tym, że długość tego „czasu rozruchu” zależy od warunków, w jakich nastąpiła napaść. Czy napastnik był dobrze widoczny, czy mówił do ofiary... Zaobserwowano również, że ból głowy może w pewnych warunkach wystąpić także w czasie rozmowy telefonicznej. Na przykład, jeśli ofiara szantażu zna szantażystę, lub choćby tylko kilkakrotnie z nim rozmawiała telefonicznie i rozpoznaje go po głosie... Nigdy zaś ból nie pojawia się przy pierwszej krótkiej rozmowie telefonicznej z nieznanym osobnikiem. Wynikało stąd, że reakcja uczuleniowa możliwa jest tylko wówczas, jeśli w mózgu nadawcy zapisany został jakiś niewielki, ale konkretny zbiór cech osobowości odbiorcy. Można powiedzieć: musi być zapisany adres, aby przekaz doszedł i wywołał określony skutek. Jeśli więc napastnik jest znanym ofierze, musi się dobrze zamaskować, aby opóźnić reakcję uczuleniową. Łatwo też było stwierdzić, że zabicie czy ogłuszenie ofiary przerywa natychmiast reakcję bólową u napastnika. I odwrotnie — przez pewien czas po napadzie, nawet czasem przez wiele dni, mogą występować nawroty bólu, tym

silniejsze im mniejsza odległość dzieli w tym czasie ofiarę od napastnika. Na przykład, gdy napastnik i ofiara przebywali w różnych rejonach kraju — oddziaływanie było bardzo słabe. Silniejsze — gdy oboje znajdowali się w odległości, powiedzmy, kilku kilometrów. Bardzo silne — gdy byli w tym samym domu. Te spostrzeżenia umożliwiły stworzenie odpowiedniej taktyki zabezpieczającej przed reakcją uczuleniową. Akcje terrorystyczne przeprowadzali ludzie zamaskowani bądź działający przez zaskoczenie i błyskawicznie znikający. Było to szczególnie łatwe, gdy celem akcji było zabójstwo, podpalenie czy podłożenie bomby... Szantażując przez telefon zmieniano głosy i stosowano zasadę, iż za każdym razem rozmawiał inny członek gangu. Tylko naiwni mogli wierzyć, iż *cephalgia telepatica* uniemożliwi działalność przestępczą! Próbowano też skorzystać z okazji...

— Wykorzystać zjawisko?...

— Dziwi to pana? Z wyobraźnią kiepsko, młody człowieku... — w głosie starca pojawiły się znów, nie wiadomo dlaczego, nieprzyjemne tony. — Takie uczulenie to błogosławieństwo i przekleństwo. Tarcza i miecz! Jak mówi przysłowie: „każdy kij ma dwa końce!”. *Cephalgię* też można wykorzystać jako broń! Pojawiły się gangi wyspecjalizowane w terrorze psychicznym, szantażujące określonych ludzi groźbą wywołania u nich bólu. Nie wiem, czy pan zauważył, ale metoda ta przypomina średniowieczną „czarną magię”. W tym świetle inaczej trzeba spojrzeć na tego rodzaju praktyki jak nakłuwanie kukiełek z wosku. Wie pan, co mam na myśli? Czarownica lepiła woskową laleczkę wyobrażającą określonego człowieka... Potem kłuto tę laleczkę szpilkami, palono... A ten człowiek ponoć chorował, odczuwał bóle... Otóż można sądzić, że te laleczki to nic innego tylko środek potęgujący autosugestię, stymulator wyobrażeń, stanowiących źródło oddziaływań telepatycznych. Być może *cephalgia telepatica* nie była całkowicie nieznaną przed wiekami... Może była to w zaraniu ludzkości cecha powszechna, tyle że jako szkodliwa dla rozwoju gatunku została wyeliminowana drogą doboru naturalnego.

— Myśli pan, że tępiąc czarownice, paląc je czy topiąc, likwidowano nosicieli tego rodzaju cechy dziedzicznej?

— Bzdura! — zachnął się starzec. — Widzę, że pan jeszcze nie rozumie mechanizmu. To nie nadawcy, lecz odbiorcy są mutantami. Zjawisko nie polega na jakimś nadnaturalnym wzmocnieniu siły oddziaływania tego człowieka, który o kimś źle myśli, lecz na hyperwrażliwości mózgu odbiorcy.

— Rozumiem. Bardzo ciekawa koncepcja. Więc zakłada pan, że kiedyś, powiedzmy w średniowieczu czy w starożytności, zdarzały się takie epidemie?

— Niekoniecznie. Mówiłem przecież o możliwości atawizmu. To nie tak jak w naszych czasach... Rzekome zapalenie opon mózgowych, wywołane tym nieszczęsnym zmutowanym wirusem, tylko umożliwiło inkubację, stworzyło warunki dla ujawnienia się tego uczulenia, które przez wieki już u wszystkich prawie zanikło.

— Więc te gangi uprawiające terror psychiczny to, pana zdaniem, odrodzenie się „czarnej magii” niejako na naukowych podstawach?

— Niezupełnie. I nie myśl pan, że chodzi mi o to, iż nie lepiono kukiełek z wosku.

Znacznie lepiej do tego celu nadawały się fotografie. Otóż rzecz w tym, że szybko zrezygnowano z tych prób, gdyż faceci stojący na czele syndykatów rychło zorientowali się, iż najlepiej będzie utrzymywać sprawę w ścisłej tajemnicy... I to nie tylko przed szerokimi kręgami zwykłych ludzi, ale również przed szeregowymi członkami gangów...

— Czy to w ogóle było możliwe?

— Okazało się, że tak. Sytuację ułatwiła struktura tajnej organizacji, bo poszczególne grupy wykonawcze nie kontaktowały się przecież ze sobą bezpośrednio, lecz tylko przez bossów wyższych szczebli. Puszczano też w obieg fałszywe wersje wydarzeń. Tłumaczono przekonująco różnego rodzaju przypadki... Uważaj pan!

Norbert gwałtownie zahamował. Z mgły wyłonił się tył wielkiego ciężarowego samochodu stojącego na skraju drogi. Wóz był nieoświetlony, a lusterka odbłaskowe dawały refleks dopiero z niewielkiej odległości. Gdyby nie to, że Norbert jechał bardzo wolno, na pewno doszłoby do zderzenia.

— Cóż za łobuz! — oburzył się staruszek. — Nie włączył świateł! Ani żadnego znaku nie raczył postawić!

Norbert zatrzymał wóz za ciężarówką, wziął latarkę i poszedł sprawdzić, co się dzieje na szosie.

— Hej! Jest tam kto?! — zawołał podchodząc do ciężarówki.

Nikt mu nie odpowiedział.

Norbert wspiął się na stopień i trzymając się klamki poświecił do wnętrza kabiny.

Z głową opartą na kierownicy spał tęgi, barczysty mężczyzna ubrany w niebieski kombinezon roboczy. Norbert otworzył drzwiczki i potrząsnął ramieniem kierowcy. — Obudź się, pan! Światła trzeba włączyć!

Mężczyzna nie podnosząc głowy, zabełkotał coś niezrozumiale.

Norbert wszedł do szoferki, ujął kierowcę za ramiona i przewrócił na wznak na oparcie fotela. Spocona, czerwona twarz, rozchylone usta i błędny wyraz na wpół przymkniętych oczu zdawały się świadczyć, iż człowiek ten jest pijany. Norbert nie wyczuwał jednak w kabinie charakterystycznego zapachu alkoholu.

— Co panu jest? — dotknął czoła kierowcy. Było ono rozpalone. — Czy mnie pan słyszy? Trzeba włączyć światła. Gdzie jest przełącznik?

Mężczyzna znów coś zabełkotał. Potem na moment otworzył oczy, spojrzął na Norberta nieco przytomniej i wyciągnął rękę w kierunku tablicy rozdzielczej. Zanim jednak dotknął przełącznika, ręka mu opadła. Potem znów uniósł dłoń, ale zamiast na deskę rozdzielczą wskazał jakby za siebie.

— Tam... — wyszeptał z wysiłkiem.

Norbert skierował snop światła we wskazanym kierunku. W tylnej części kabiny, za rozsuniętym przepierzeniem leżał na materacu młody mężczyzna okryty kocem. Już pierwszy rzut oka pozwalał stwierdzić, iż znajduje się w podobnym stanie, jak jego towarzysz. Gdy światło padło mu na twarz, zacisnął powieki, a usta jego poruszyły się, jakby z trudem połykał ślinę.

— Pić... — wyrzęził.

Za fotelem na podłodze stała torba podróżna, z której wystawał otwarty termos. Obok niej leżał przewrócony kubek. Termos był, niestety, pusty.

Norbert rozglądał się przez chwilę po wnętrzu kabiny, potem podszedł do deski rozdzielczej i odnalazł we wskazanym przez kierowcę miejscu przełącznik świateł.

Gdy wrócił do swego wozu, czekający na niego staruszek nie ukrywał zniecierpliwienia.

— Coś pan tak długo tam robił? Już podejrzewałem, że ktoś pana napadł albo co innego...

— Próbowałem im pomóc... Z kierowcą i jego pomocnikiem kiepska sprawa... Zastanawiam się, co z nimi zrobić. Są nieprzytomni.

— Wypadek?

— Nie, nie. Prawdopodobnie jakieś zatrucie.

— A może po prostu pijani?

— Chyba nie... — Norbert zawahał się. — Być może metanol. To znaczy... mogli pić przed wielu godzinami. Nie wyczułem jednak zapachu alkoholu. Nie wie pan, czy przy zatruciu metanolem występuje silna gorączka?

— Nie wiem. A zresztą, niekoniecznie musi to być alkohol metylowy. I czy to w ogóle zatrucie? Pójdę zobaczyć.

Staruszek otworzył drzwi i próbował wysiąść, ale w momencie gdy pochylił się, aby stanąć na nogi — aż jęknął z bólu.

— Coś nie bardzo mogę się ruszać — ostrożnie na powrót usadowił się w samochodzie. — Obawiam się, że miałeś rację, młody człowieku. Teraz dopiero mnie wzięło! Krzyż i noga. Chyba jednak zawiezie mnie pan do tej swojej lekarki.

— Oczywiście. Co jednak zrobić z tamtymi? Jeśli to metanol, to każda chwila jest droga. Można by ich zabrać, są miejsca, ale sam ich nie przeniosę, zwłaszcza kierowcę, bo to chłop wielki i ciężki.

— Ja, niestety, panu nie pomogę — zmartwił się nieznajomy. — Nie ma rady, trzeba jechać i jak najszybciej zawiadomić pogotowie.

— Ten młody chce pić... Mam w bagażniku butelkę wody mineralnej. Chyba im nie zaszkodzi?

— Nie powinna. Niech pan jednak szybko wraca, bo im szybciej zajmie się nimi lekarz, tym większa szansa przeżycia.

Norbert sam zresztą zdawał sobie sprawę z sytuacji i po paru minutach był już z powrotem w wozie.

— Są jakby trochę przytomniejsi... Tyle, że wystąpiły dreszcze — zakomunikował, uruchamiając silnik.

— Czy to rzeczywiście zatrucie? — zasepił się nieznajomy.

Norbert ruszył, omijając stojącą ciężarówkę.

— A wie pan... — odezwał się nieznajomy — mam takie wrażenie, jakbym kiedyś dawno temu widział na własne oczy podobny wypadek... Gdzie pan znalazł tych kierowców?

— Jeden przy kierownicy. Drugi...

— Czekaj pan! Ja spróbuję powiedzieć... Jeden z głową opartą na kierownicy. To ten tęgi... Drugi obok... Nie... Chyba nie! Chyba gdzieś na zapleczu...

— Zgadza się! Tak właśnie było! — zdziwił się Norbert. — To zastanawiające... Wychodził pan z wozu?

— Co pan plecie? Przecież nie mogę się ruszyć... No, jedźmy szybciej, bo szkoda czasu. Mgła trochę zrzędła. A do miasta jeszcze co najmniej dwadzieścia kilometrów. Widziałem niedawno znak.

Mgła rzeczywiście była już nie tak gęsta i Norbert mógł przyspieszyć.

— Zastanawiam się, skąd pan wiedział, gdzie znalazłem tych ludzi? — odezwał się po chwili.

— Chce pan powiedzieć, że to wygląda na typowy przejaw jasnowidztwa — zaśmiał się starzec. — Ja bym to raczej zaliczył do telepatii... Oczywiście, wrażenie, że kiedyś to przeżywałem, jest po prostu złudzeniem. Nie potrafię określić, gdzie i kiedy, bo to tylko figle pamięci. U mnie tym łatwiej, bo — jak już mówiłem — zdarzają mi się zaniki... A obraz tego, co działo się w szoferce, pan mi przekazał. Telepatycznie!

— Nie wierzę w telepatię. Istnieje chyba prostsze wytłumaczenie. Przecież pan wiedział ode mnie, że znalazłem dwóch mężczyzn nieprzytomnych i że kierowca jest za ciężki, abym mógł go udźwignąć... Mówiłem panu także, iż znalazłem go przy kierownicy. A typowa pozycja człowieka zemdlonego, w takiej sytuacji, to oparcie głowy o kierownicę. Odgadnięcie miejsca, w którym znalazłem pomocnika, polegało właściwie na sondażu metodą prób i błędów. Najpierw podał pan błędne miejsce i, nie słysząc mojej aprobaty, zlokalizował chorego na zapleczu.

— Mogę panu podać jeszcze inny szczegół: pusty termos...

— Zgadza się. Ale to również łatwo wyjaśnić. Mówiłem przecież, że chory chce pić, a kierowcy zwykle jeżdżą z termosami.

— Widzę, że z pana niewierny Tomasz. Może i racja. Ja też taki byłem. I to mnie często ratowało z kłopotów. Ale trochę wyobraźni też nie zaszkodzi... Czasem lubię pofantazjować. Ale w sprawie *cephalgia telepatica* niczego nie zmyśliłem. Może pan sprawdzić. Niech się pan spyta jakichś starszych znajomych. Niech panu powiedzą, co było z nagminnymi bólami głowy przed trzydziestu paru laty... Nawet jeśli nie będą wiedzieli, co się za tym kryło, na pewno pamiętają, bo niemal każdy to odczuwał. Niemal każdy — powtórzył. — I epidemię rzekomego zapalenia opon mózgowych też będą pamiętać. A jak pan poszpera w starych gazetach, gdzieś w archiwach, to znajdzie ciekawe rzeczy. Oczywiście, niech pan nie liczy, że wszystko będzie wyłożone kawa na ławę... Ale wystarczy się wczytać w niektóre doniesienia. O epidemii rzekomego zapalenia opon mózgowych w niektórych krajach pisano zresztą sporo i na ogół dość rzetelnie. O *cephalgia telepatica* nie znajdziesz pan, co prawda, ani słowa, ale można czytać między wierszami. Na przykład przewrót w Tamandzie. To taki nieduży kraik afrykański. Chyba pan słyszał? Swego czasu zrobił on karierę dzięki odkryciu złóż manganu...

— Mówi pan: Tamanda, mangan... Chyba sobie przypominam...

— Wątpię jednak, aby pan znał dobrze historię tego państewka. Otóż pierwszy

prezydent Tamandy — Aba Akim — ogłosił się, wkrótce po wyborze, królem, zlikwidował opozycję i to dosłownie... Metody, jakimi sobie poczynił, były tak brutalne i okrutne, że rozważano nawet w ONZ możliwość ogłoszenia bojkotu ekonomicznego. I z pewnością by do tego doszło, gdyby nie apetyty pewnych krajów uprzemysłowionych na mangan... Gdy epidemia *pseudomeningitis* dotarła do Afryki, Akim przebywał w Addis Abebie na konferencji OJA. Był tam w niemałych opałach, gdyż większość krajów afrykańskich uznała, że Akim kompromituje czarną Afrykę. Mówiono nawet, że obraził się za krytykę i miał zamiar opuścić konferencję, jako protest przeciw mieszaniu się w wewnętrzne sprawy swojego kraju. Ale właśnie epidemia dotarła na salę obrad i niemal wszyscy uczestnicy wylądowali w szpitalu. Oczywiście przebieg choroby był niegroźny, tak jak wszędzie, lecz konferencji już nie wznowiono. Wiadomo — każdy miał u siebie kłopoty z epidemią... Z Akimem już zaczęło się w samolocie, przed samym lądowaniem, choć to jeszcze nie było groźne, bo przecież kabina ma metalową powłokę... Ale jak tylko wyszedł z samolotu, tak go wzięło, że do pałacu wniesiono go na noszach... Tymczasem przyboczny lekarz leżał w szpitalu — epidemia w tym czasie właśnie przechodziła przez Tamandę. Jego królewska mość nie dowierzał innym lekarzom, więc w końcu załadowano go znów do samolotu i przewieziono do Kinszasy. Po drodze, rzecz jasna, ból zmalał do łagodnej migreny i lekarze w Kinszasie orzekli, że Akim jest zdrow jak ryba. Wrócił do Tamandy i, oczywiście, wszystko zaczęło się od nowa... Wożono go tak ze trzy — cztery razy, aż wreszcie się zorientował, że mu klimat własnego kraju nie służy...

— Klimat?

— Oczywiście żartuję... W rzeczywistości Akim uznał, że to sprawka jego rodzimych czarowników, że to oni tak go urządzili. I, niewiele myśląc, kazał ich wystrzelać co do jednego. Lecz i to nie pomogło! Jego zausznicy nieustannie przeszukiwali pałac, aby sprawdzić, czy mu gdzieś nie podrzucono jakiejś „makumby” lub czegoś w tym rodzaju... Ale nic nie znaleziono. Sytuacja stawała się coraz bardziej krytyczna. Król jako tako czuł się już tylko w samolocie na dużej wysokości lub w szczelnie zamkniętym czołgu, a próby wykrycia i zlikwidowania wrogów dręczących Akima rzekomymi czarami nie przyniosły rezultatu. Akcje represyjne przeciw podejrzanym wsiom udawały się tylko wówczas, gdy żołnierze i policjanci strzelali z czołgów i transporterów opancerzonych. Oddziały pacyfikacyjne wkraczające do wsi, obserwowane z ukrycia przez mieszkańców, były często dziesiątkowane przez *cephalgie* zanim zdołały otworzyć ogień. Mnożyły się donosy, obejmujące coraz bliższy Akimowi krąg ludzi. Krwawe czystki nie oszczędzały już otoczenia króla. W tej sytuacji zausznicy poczuli się zagrożeni. I tak oto, w pół roku po wielkiej epidemii, doszło do przewrotu pałacowego. Akima wraz z całą rodziną rozstrzelano, przywrócono republikę, a parę miesięcy później doszło do drugiej rewolucji i w Tamandzie proklamowano socjalizm...

Nie ulegało wątpliwości, że staruszkowi znów się coś pomyliło. Norbert był niemal pewny, że przed kilku miesiącami czytał o jakichś krwawych wydarzeniach w Tamandzie i proklamacji królestwa, a nic odwrotnie... Zresztą czterdzieści lat temu kraj ten był jeszcze kolonią brytyjską.

Okrucichów prawdy, jakie mogła zawierać opowieść nieznanego, należało jednak chyba szukać przede wszystkim w prawidłowościach biomedycznych, nie zaś w sprzecznych rzeczywistością wersjach wydarzeń. W przeciwieństwie bowiem do rażących przeinaczeń oczywistych faktów, same właściwości niezwyklej alergii zdawały się tworzyć zwarty i logicznie skonstruowany obraz.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, przed bólem głowy chronią metalowe powłoki? — Norbert kierował rozmowę na pewniejszy teren, a jednocześnie próbował wysondować, czy koncepcja telepatycznej alergii nie jest po prostu odpryskiem jakiejś mesmerycznej teorii. — Nie sądzi pan, że potwierdzałoby to dobroczynny wpływ miedzianych opasek na głowę zalecanych przez niektórych znachorów i magnetyzerów?

— Nie sądzę — zaprzeczył starzec z nagłym zniecierpliwieniem. — Nie sądzę, aby wszystko należało wrzucać do jednego worka. A jeśli chodzi o metalowe powłoki czołgów czy samolotów, to nie chronią one całkowicie, lecz tylko zmniejszają to, co można by nazwać „skutecznością oddziaływania”. Przemawia to za hipotezą elektromagnetyczną. Ekranowanie i odległość okazały się tu najskuteczniejszym środkiem. Co prawda, dokładniejszych pomiarów nie udało się nigdy przeprowadzić, bo przecież wpływ zależy nie tylko od odległości i liczby nadawców, ale i od natężenia uczuć negatywnych. Ale zależność jest wyraźna!

— Można się więc jakoś przed tym bronić?

— Oczywiście. Stosuje się całe systemy zabezpieczające. Przecież to nie tylko utrudnia działalność różnego rodzaju niepopularnych instytucji, ale godzi również w te formy życia społecznego czy politycznego, w których dochodzi do ścierania się poglądów. Przykładem może tu być choćby walka wyborcza. W niektórych przypadkach niepopularni kandydaci nie mogli w ogóle występować publicznie, a nawet odtwarzanie ich wystąpień z taśmy magnetowidu narażało tych polityków na nieznośne dolegliwości. A wyobraża pan sobie sytuację różnych znieawidzonych reżimów? Sprawowanie władzy w tych warunkach stawało się dla nich orzechem bardzo trudnym do zgryzienia. Na przykład Martino — znany faszystyczny dyktator jednego z krajów południowoamerykańskich musiał stale przebywać w pancernym schronie i na spacerach wychodził tylko późną nocą, gdy obywatele spali... Kiedy trzeba było występować publicznie, choćby dla zadokumentowania rzekomej popularności, zastępował go aktor, odpowiednio ucharakteryzowany. W położeniu nie lepszym byli też inni dygnitarze tego reżimu.

— No, dobrze. Ale przecież ktoś musiał wykonywać brudną robotę, choćby na niższych szczeblach. Przecież istnieją granice maskowania. Zwłaszcza, że jak pan wspomniał, nawet głos mógł być czynnikiem naprowadzającym. A jeśli przyzwyczajono się do głosu sobowtóra? To chyba i on był narażony?

— Otóż to! — podchwycił starzec. — Sobowtór cierpiący byłby bezwartościowy... Podobnie jak urzędnik, którego łatwo można porazić... Nie chodzi tu tylko o wszelkiego rodzaju, jak pan się wyraził, brudną robotę. Przecież w każdym najbardziej praworządnym, demokratycznym państwie nie brak funkcji niepopularnych, budzących niechęć określonych kręgów społecznych. I tak oto

dochodzimy do sedna sprawy... A więc... — rozpoczął i urwał. — Minotaur... — powiedział po chwili, zawieszając znacząco głos.

— Przepraszam... Jak pan powiedział?... — Norbert sądził, że się przesłyszał.

— Minotaur... — powtórzył starzec. — I co pan na to, młody człowieku?

— Ja? Nie rozumiem, o czym pan mówi.

— To dobrze, to bardzo dobrze! — ucieszył się starzec, nie wiadomo dlaczego. — Otóż, wracając do tego, o czym mówiliśmy, musi pan wiedzieć, że niektórzy ludzie wykazują wrodzoną odporność na *pseudomeningitis*. Nie jest ich wielu. Może jeden na tysiąc... albo nawet na milion... Jaki procent, tego panu nie powiem, bo jeśli przeprowadzono badania statystyczne, wyniki trzymane są pod kluczem. To zrozumiałe. W pewnych sytuacjach ci ludzie są wręcz niezastąpieni.

— Chce pan powiedzieć, że jeśli nie chorowali na to rzekome zapalenie opon mózgowych, to nie wystąpiło u nich później uczulenie?

— Oczywiście! To chyba jasne?

— Dlatego pytał mnie pan, czy przechodziłem gripę przed dwunastu laty? Bo test wypadł negatywnie?

— Właśnie! I podejrzewam, że pan nie chorował... Jak już panu mówiłem, w rzeczywistości to nie była gripa, lecz *pseudomeningitis*.

— Czy to jest wrodzona, dziedziczna odporność?

— Nie wiem. Przez dwanaście lat byłem odcięty zupełnie od źródeł rzetelnej informacji. To było, niestety, bardzo specjalne sanatorium. Widzi pan... po prostu wiedziałem za wiele. Między innymi, że wtedy przed dwunastu laty to nie był przypadkowy nawrót... — urwał i zamyślił się. — Pytał pan, czy to wrodzona, czy nabyta odporność — podjął po chwili. — Ów nawrót wiązał się właśnie z próbami empirycznego sprawdzenia, jak to jest w istocie. Był taki eksperyment... Jakoby w pełni kontrolowany. Może rzeczywiście niektórzy byli przekonani, że system jest niezawodny, że zrobiono wszystko, aby zapobiec nowej pandemii. Zamknięty teren, warunki obozowe, kwarantanna miała trwać pół roku... Śmieszne! Przecież efekt badawczy takiego eksperymentu zależał właśnie od powszechności. A zresztą... czy tylko o to chodziło? Ja nigdy nie wierzyłem, że to było przypadkowe niedopatrzenie... Jakie były ostateczne wyniki, nie wiem. Ale jeśli pana interesuje sprawa dziedziczności, to mogę panu coś niecoś powiedzieć na podstawie własnych obserwacji. Moja córka na tę pseudogrypę chorowała. Przebieg był łagodny, zresztą nie różnił się niczym szczególnym od innych przypadków. Reakcja bólowa w normie. I jeszcze jedno: musi pan wiedzieć, że moja żona przed czterdziestu laty przechodziła *pseudomeningitis* i należała, można rzec, do normalnie uczulonych. Żona i córka nigdy też nic miały żadnych zaburzeń pamięci. Córka nie odziedziczyła więc po mnie odporności. Czy chorowały również dzieci, których oboje rodziców miewało amnezje i nie przechodziło *pseudomeningitis* — tego nie wiem. Myślę jednak, że jeśli nawet takich małżeństw nie znaleziono podczas polowania na apatów, odpowiednie eksperymenty były przeprowadzone...

— Dziwne rzeczy pan mówi...

— Chce pan, abym opowiedział, jak to było ze mną? Chyba panu opowiem. Nie

wiem, ile mi jeszcze zostało miesięcy, a może tylko dni... Mogę panu powiedzieć... A może nawet chcę...

Starzec umilkł i przymknął powieki. Może ogarnęło go znużenie? Norbert uświadomił sobie, że w ciągu tych paru godzin, mimo uzasadnionego sceptycyzmu i początkowo bardzo krytycznego stosunku do wszystkiego, co usłyszał od nieznanego, w istocie już niemal uwierzył w dziwną opowieść. Po powrocie, może już od jutra, będzie pytał starych ludzi o epidemię, jaka rzekomo przeszła przez świat przed czterdziestu laty. Będzie wertował starą prasę, doszukując się wzmianek o wydarzeniach, będących jakoby następstwem przedziwnej alergii, będzie próbował prostować omyłki pamięci chorego człowieka, przenoszącego współczesne nazwiska i zdarzenia w odległą przeszłość. Oczywiście, gdyby kierować się tylko sceptycyzmem, trzeba byłoby uznać całą historię za wymysł mitomana, który zresztą sam przyznaje, że przez wiele lat był leczony w jakimś zakładzie psychiatrycznym. A przecież Norbert — zafascynowany wizją — szukał z uporem jakiegoś realnego źródła relacji, z nieuzasadnioną rozumowo pewnością, że nie może być ona tylko wytworem chorej wyobraźni.

— Widzi pan... — podjął nieznanomy równie raptownie, jak urwał. — Widzi pan, ja stosunkowo wcześniej zorientowałem się, co takim jak ja grozi. I jaką to jednocześnie daje szansę. Pierwszy, wyraźny zanik pamięci zbiegł się u mnie z wybuchem epidemii. To nie było nic ważnego. Kilka godzin i to spędzonych w podróży. Pamiętam wyjazd i przyjazd, a w środku luka. Biała plama. Wiem tyle, że po powrocie zgłosiłem jakiś wypadek na szosie, ale o co chodziło, już później nie doszedłem, bo były ważniejsze sprawy. Widzi pan — coraz bardziej się podniecał — właśnie to, że nie chorowałem, a miałem informacje z pierwszej ręki, stwarzało szansę zajęcia się epidemią od początku. Rzecz, w tym, iż miałem żonę lekarzkę. Ściślej, była wówczas moją narzeczoną. Dawało mi to duże możliwości dostępu do fachowych wiadomości. A wie pan, jak doszedłem, gdzie się to wylęgło?... Przez kolegów z agencji prasowych otrzymałem dane dotyczące pierwszych zachorowań w różnych krajach. Oczywiście, nie było pewności, że najwcześniejsza data wskaże źródło. Pierwszy nosiciel mógł przecież wyjechać do innego kraju, a czas inkubacji, chociaż bardzo krótki, wystarczał do przelotu choćby na drugą półkulę. Nie można było też wykluczyć, iż jest to jakaś celowa, zbrodnicza akcja, wymierzona przeciw określonemu państwu czy grupie etnicznej. Tym zajmowały się kontrwywiady i Interpol... I stąd właśnie moje późniejsze kontakty... Moja żona zdobyła przez Międzynarodową Organizację Zdrowia dane dotyczące zachorowań lekarzy. Nie było sprzeczności. Udało się w ten sposób zlokalizować źródło. Po prostu ci, którzy nabroili, za późno się zorientowali. Nie udało się zniekształcić obrazu epidemii. Potem, gdy już było wiadomo, że szukać trzeba w Szkocji, zajęliśmy się analizą pewnych konkretnych przypadków...

— Prowadził pan badania tylko z żoną?

— To by niewiele dało. Najpierw było nas czworo, ale po paru miesiącach działaliśmy całą dwudziestosześciosobową grupą. Byli w niej nie tylko dziennikarze. Przed wszystkim lekarze, bakteriologowie, demografowie. Wszystko

ludzie młodzi. I zaczęło wychodzić, że to coś związane z instytutem Pattona. A stamtąd trop wiódł dalej, do jakiegoś tajnego laboratorium, działającego kiedyś w ramach Ośrodka Studiów nad Wojną Bakteriologiczną. Tam już nie sposób było dotrzeć. Wtedy zaryzykowałem i strzeliłem: inżynieria genetyczna i to na usługach armii! Widać trafiłem, bo zaroilo się jak w mrowisku. Wtedy właśnie...

Starzec zająknął się i zamilkł. Czy, podobnie jak Norbert, dostrzegł w rzędziejącej mgłę pierwsze światła miasta?

— Gdzie i kiedy opublikował pan tę wiadomość? — zapytał Norbert, próbując wydobyć od starca jakąś konkretniejszą informację. Lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Spojrzał na nieznanego i ogarnął go niepokój. Starzec leżał bezwładnie w fotelu.

— Niedobrze panu?

Starzec skinął nieznacznie głową. Nie był w stanie wymówić słowa.

Norbert wrzucił trzeci bieg.

— Za piętnaście minut będziemy w mieście!

Nieznamy przełknął z wysiłkiem ślinę.

— Już mi lepiej — wyszeptał. — Diabelnie mnie boli w krzyżu...

Parę minut jechali w milczeniu, ale widać bóle rzeczywiście ustępowały, bo stary począł wiercić się na siedzeniu i coś szeptał do siebie. Wyraźnie zależało mu na kontynuowaniu opowieści, jednak nie bardzo mógł sobie na to pozwolić.

— Przyszli do mnie... Na trzeci dzień... — rozpoczął nagle bez wstępu, nerwowo, pospiesznie, głosem rwącym się co chwilę. — Zaraz po artykule... Pierwszym i ostatnim... Więcej już nie przeszło... Próbowali mnie zastraszyć... Potem wszystko potoczyło się inaczej... Poznałem doktora McGregory... Wtedy właśnie zaczęły się te bóle głowy... Wróciłem do kraju jeszcze o niczym nie wiedząc... Ale wkrótce wszystko stało się jasne, to znaczy dla mnie... dla naszej grupy badawczej. Fred, to znaczy McGregory, był z Interpolu... To mi też ułatwiło... A zarazem zwróciło uwagę pewnych facetów... że się zajmuję sprawami, którymi zajmować się nie powinienem... Zaczęły się inwigilacje, nachodzenie... Było to w dwa lata po epidemii... Myślałem, że chodzi po prostu o moją działalność... Ale chodziło o coś więcej... Ja jeden z naszej grupy nie przechodziłem *pseudomeningitis*... O tym wiedziały tylko cztery osoby. W tym moja żona i Fred... Kto mnie zrobił, nie wiem do dziś. Na pewno to nie była moja żona, tego jestem pewien! Być może zresztą wyłowiono mnie poprzez testowanie... Wiem, że sporządzane były listy wszystkich, którzy nie byli zarejestrowani w czasie epidemii jako chorzy — w szpitalach, ambulatoriach czy choćby u lekarzy prywatnych... Byliśmy testowani, lecz nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Wie pan, o czym mówię? Jeśli chce się stwierdzić, czy ktoś jest uczulony, niekoniecznie trzeba szukać jakichś rzeczywistych jego wrogów... Można wykorzystać zawodowców. Takie ekipy bardzo wcześnie zaczęto organizować... Faceci wyspecjalizowani w grze wyobraźni, w wytwarzaniu u siebie wyobrażeń negatywnych na zadany temat... To znaczy na temat określonych ludzi... Wystarczy takiemu facetowi dać fotografię... Po prostu tacy ludzie wyobrażają sobie danego człowieka w sytuacjach fikcyjnych, budzących niesmak, grozę, nienawiść, niechęć... Mówiłem panu... Potrafili to

wykorzystać szantażyści z gangów, ale metoda ta może również służyć do wykrywania apatów...

— Kogo?

— Apatów. Apatą to człowiek nieuczulony. Tak nas nazywano w kręgach „wtajemniczonych”. Stwierdzić, czy ktoś jest apatą, sprawa prosta: wystarczy wyszkolony nadawca i ukryta kamera telewizyjna. Nadawca widzi na ekranie monitora testowanego człowieka i wyobraża go sobie na przemian w sytuacjach negatywnych bądź pozytywnych i obserwuje reakcje... Czy ze mną tak było, czy inaczej... to nieważne. Krótko mówiąc; pewnego dnia poproszono mnie na rozmowę. Otrzymałem propozycję... — znów urwał i aż jęknął. — Niech pan jedzie prędzej! — wykrztusił.

Ulice przedmieścia były opustoszałe, jak zwykle w późnych godzinach nocnych, lecz w wielu oknach paliły się jeszcze światła. Szpital, w którym pracowała Magda, znajdował się w przeciwległym krańcu miasta i najkrótsza droga wiodła przez centrum. Mgła już ustąpiła i Norbert starał się jechać możliwie szybko.

Stan nieznanego budził coraz większy niepokój. Nie ulegało wątpliwości, że pogarsza się z minuty na minutę i nie jest to tylko zwykłe potłuczenie. Jednak każda, choćby najkrótsza przerwa w bólach i poprawa samopoczucia wyzwalały u starca jakieś ukryte zasoby energii, co sprawiało, iż wracał z uporem do tematu, który zda się bez reszty zawładnął jego umysłem.

— Początkowo nie chciałem... Próbowałem godzić jedno z drugim... Ale potem okazało się to niemożliwe. Musiałem wybierać... — mówił urywanie, oddychając z wysiłkiem. — Tak skończyło się moje dziennikarstwo... Po prostu kupiono mnie. Miraż wielkiej kariery... Pan rozumie... Potrzebowano na gwałt prawników... zwłaszcza prokuratorów i sędziów... A ja... mówiłem panu... studiowałem prawo... Cywilistyka i karne... Potrzeby były ogromne... Nikt z uczuleniem długo nie wytrzymał... Podobnie jak w policji... Rozumie pan? Na to, aby się wszystko nie rozprężyło potrzeba było apatów. Już w drugim roku rozpoczęły się łowy... A że apatów było mało, więc rośliśmy w cenę... Na ludzi też jest cena... Prawo podaży i popytu... Moje premie i dodatki w pierwszych siedmiu latach przekraczały dwudziestokrotnie pensje prokuratora sprzed epidemii... Potem poszedłem wyżej. Departament Spraw Specjalnych... To następne osiem lat... Ale i pułap dla apatów. Tylko nieliczni poszli jeszcze wyżej... i to na krótko. Bano się nas... I na samej górze... i na średnich szczeblach... A przede wszystkim wielkie międzynarodowe korporacje... Nafta... uran... elektronika... Obawiano się, że apaci sięgną pewnego dnia po bogactwo i władzę... I chyba te obawy nie były pozbawione podstaw.

Upłynęło kilka minut, zanim starzec ponownie się odezwał. Widać było, jak walczy z bólem i wzrastającą dusznością, lecz chce za wszelką cenę kontynuować swe zwierzenia, jakby od tego zależało coś więcej niż jego własne życie.

— Muszę panu powiedzieć... Wszystko po kolei... Inaczej pan nie zrozumie... i nie uwierzy... — zdawał się czytać myśli Norberta. — *Cephalgia telepatica* wygasa... Uczulenie nie jest trwałe... Po osiemnastu latach to już przeważnie łagodne migreny... Po dwudziestu pięciu mało kto cokolwiek odczuwał... Zaczęto więc

rugować apatów... likwidować przywileje... I wtedy... — zawahał się. — Musisz uwierzyć... na słowo. Dowód mogę dać tylko jeden... To później... Powstało tajne stowarzyszenie... Byłem jednym z nich... Początkowo wierzyłem... że trzeba się bronić... Potem zrozumiałem, czym to grozi... Nie mogłem... nie chciałem się z tym pogodzić... Niestety... zbyt wcześnie ujawniłem, co chcę zrobić... A potem było już za późno... Stało się... Dwanaście lat temu... Pierwszy nawrót... A teraz znowu... Ale pan tych błędów już nie popełni... Pan nic nie wie... Pan nie jest z nich... Pan jest... z mgły... Po kraksie pomyślałem: zatrzymam drugi lub trzeci samochód... Metodą losową. Zminimalizować prawdopodobieństwo... że podstawiony człowiek... Ale był moment... myślałem, że wpadłem... Jesteś chyba apatą... Sprawdziłem... Ale ty nic nie wiesz... To nie może być gra... Ciebie nikt nie zna... Ty masz szansę... Ty musisz...

W świetle latarni ulicznych twarz starca wydawała się ziemistoszara.

— Niech pan odpocznie. Powie mi pan później. — Norbert próbował skłonić go do oszczędzania sił.

— Nie! Nie! — nieznajomy dźwignął z wysiłkiem głowę z oparcia. — Pan jest dziennikarzem... Los tak chciał... że pana właśnie... spotkałem... Jeśli starczy panu odwagi... Musi panu starczyć! Pan to opublikuje... Już nie będą mogli... Na cały świat się rozniesie... Niech pan słucha... W tych dniach... drugi nawrót... *pseudomeningitis*... To spisek... Wiem na pewno... Nie ulega wątpliwości... Nawiązałem kontakt... Nie wszyscy zapomnieli... Wiem, że wyprodukowano szczepionkę... Tylko dla wybranych... Powstrzymać ich może tylko ujawnienie... przed czasem...

— O czym pan mówi? Jaki spisek?

— Apaci dogadali się z korporacjami... To już dno...

— Ale skąd pan wie?

— Słuchaj... Wypuszczono mnie miesiąc temu... Chyba niedopatrzenie. A może celowo... Może wśród nich... są jeszcze tacy... którzy inaczej... myślą... A może uwierzyli... że zapomniałem... To było bardzo trudne... Ale udało się... Uwierzyli... i wypuścili... Ale musiałem być czujny... Dlatego przed tobą... trochę udawałem... wariata... Jechałem, aby przekazać... Potem ten błysk... i kraksa... To już nieważne... Najważniejsze, że ciebie spotkałem... Że to zrobisz...

— Mówił pan o dowodzie...

Starzec opadł na oparcie. Oczy miał zamknięte.

— Dowód?... — wyszeptał z trudem. — Tak... Hasło kontaktowe... Nie po to, abyś nawiązywał... Broń cię Boże... Po to, abyś mógł rozpoznać apatę... stowarzyszonego... Hasło: „Minotaur”... odzew: „znalazł wyjście”... kontrodzew: „z labiryntu CT”... Powtórz!

— Minotaur... znalazł wyjście... z labiryntu CT.

— Dobrze... Odzewów nigdy nie używaj... To kontakt... Strzeż się ich... Ja wiem! Byłem jednym z nich... To już inny gatunek ludzi... obcy... niebezpieczny... Bariera nie do przebycia... A oni wiedzą... — nie dokończył zdania. Twarz jego wykrzywił ból. — Znów zaczyna... Niech pan... Mam plan... Nie teraz... Później przyjdiesz... do mnie... Nie mogę teraz rozmawiać... Nie mogę... Muszą mi coś dać... Zapisz adres... telefon... zadzwonisz! Na pewno?... Nie mogę... Niech pan... szybciej!

W śródmieściu ulice były również opustoszałe. Z rzadka tylko mijały ich pojedyncze samochody — w tym wóz policyjny i aż trzy karetki pogotowia, jadące na sygnale. Widocznie doszło gdzieś do jakiegoś większego wypadku. Tu również w wielu oknach paliły się światła.

Starzec już nie odzywał się zupełnie. Leżał bezwładnie na oparciu fotela. Z twarzy znikł mu wyraz bólu, ale rysy nabrały nieprzyjemnej ostrości, charakterystycznej dla ciężko chorych lub zmarłych.

Norbert pędził teraz osiemdziesiątką, tak iż w ciągu paru minut znaleźli się przed szpitalem. Wzdłuż gmachu parkował długi szereg samochodów; Norbert zjechał przed główne wejście, lecz stojący na podjeździe policjant, gdy się dowiedział, że wiezie człowieka potrąconego na szosie — kazał mu jechać dalej.

— Z wypadku drogowego? Boczna brama, wprost, na chirurgię! Tam za rogiem! — wskazał w głąb ulicy.

Brama była zamknięta, a na sygnały klaksonu nikt nie reagował.

Czasu było mało. Starzec zdawał się nie oddychać. Dłonie jego były zimne, a tętno niewyczuwalne.

Norbert zostawił wóz przed bramą i nacisnął kilkakrotnie przycisk dzwonka. I to również nie wywołało żadnej reakcji, chociaż gdzieś za murem słyhać było odległy dźwięk sygnału. Zrezygnowany, już miał zamiar wrócić do głównego wejścia, jednak przechodząc obok bramy szarpnął jeszcze klamkę bocznych, niedużych drzwi. Nie były zamknięte. Za nimi biegł korytarz prowadzący do portierni.

W niewielkim pokoiku nikogo nie było. Norbert zastanawiał się, co ma robić: mógł przejść przez portiernię na dziedziniec i spróbować samemu otworzyć bramę wjazdową, ale to niczego nie rozwiązywało. Przede wszystkim musi odnaleźć Magdę: powinna mieć dziś dyżur.

Usiadł przy stoliku, na którym stał duży aparat podcentrali telefonicznej, i wykręcił wewnętrzny numer Magdy. Nikt nie podnosił słuchawki. Norbert odnalazł w notesie numer pokoju siostry dyżurnej i tu dopiero po dłuższym oczekiwaniu, odezwał się w słuchawce kobiecy głos:

— Neurologia!

— Chciałbym rozmawiać z doktor Willer.

— Niech pan czeka. Spróbuję ją znaleźć...

Norbert położył słuchawkę na stole i sięgnął do kieszeni po papierosy. Był coraz bardziej zdenerwowany. Stan nieznanego wymagał chyba natychmiastowej interwencji lekarza, a tymczasem co krok napotykał na jakieś przeszkody. Co się właściwie działo w tym szpitalu...

Upłynęło chyba z dziesięć minut, zanim usłyszał w słuchawce głos Magdy:

— Halo, tu Willer.

— Już myślałem, że cię nie znajdę. Dodzwonić się do ciebie nie można. Od frontu nie wpuszczają. Brama od strony chirurgii zamknięta. Portier gdzieś się zapodział... Co się tam u was dzieje?

— Sądny dzień... Połowa personelu lekarskiego już wysiadła... Słuchaj, Bert, mam bardzo mało czasu. Jeśli nic ważnego, to zadzwoń jutro. A jak ty się czujesz? —

w głosie Magdy pojawił się niepokój.

— Ja? Dobrze, ale przywiozłem człowieka potrąconego we mgle... Czy mogłabyś kogoś przysłać? A może sama zejdiesz? Poza tym chciałem zgłosić, że około trzydziestu kilometrów od miasta na drodze „24” stoi ciężarówka z dwoma nieprzytomnymi ludźmi. Chyba jakieś zatrucie czy coś w tym rodzaju... Nie mam komu przekazać tej wiadomości, a stan ich może być niebezpieczny.

— Jakie objawy? Gorączka? Dreszcze? Majaczenie?...

— Tak. Skąd wiesz?

— Typowe objawy. Przekażę informację, może zgarnie ich jakaś karetka po drodze. A ten twój pasażer w jakim stanie?

— Skarżył się na bóle w krzyżu. A teraz chyba stracił przytomność.

— Skąd dzwonisz?

— Z portierni przy bocznej bramie.

— Zaraz zejdę...

Norbert położył słuchawkę na widełki i podniósł się z krzesła. W tej samej niemal chwili uczył jakiś zimny powiew, a stojący przed nim telefon zapadł się gdzieś w głąb stolika. Jak gdyby obłok gęstniejącej szybko mgły wypełnił portiernię. Podłoga zaczęła się kołysać i rozstępować pod jego stopami.

Otoczyła go ciemność. Czuł, że ciało jego pogrąża się w jakiejś lepkiej, nieprzyjemnej, lodowatej cieczy.

Ogarnął go niepokój, potem lęk, przeradzając się za sekundę w paniczny, paraliżujący wolę strach. Nie był już w stanie skupić uwagi ani na tym, co się wokół niego dzieje, ani nawet uświadomić sobie, co właściwie odczuwa. Rwące się strzępy myśli, splątane wątki jakichś wspomnień, fragmenty pojedynczych scen, twarzy, przedmiotów, zamazywały się i ginęły... Odczuwał coraz większą pustkę w głowie, jak w momencie zasypiania czy narkozy... Pozostał tylko lęk, instynktowny, pierwotny, wszechpotężny, przenikający wszystko...

Nagle ocknął się. Był przekonany, że zasnął na moment przy kierownicy i ogarnął go strach, iż za chwilę może wpaść na inny wóz lub przydrożne drzewo. Podniósł pospiesznie głowę i wtedy ze zdziwieniem stwierdził, że siedzi przy stole w jakimś pomieszczeniu, a tuż przed nim mruga czerwonym okiem aparat telefoniczny podcentrali.

— Zasnąłeś? — usłyszał nad sobą głos Magdy. A więc zdążył już dojechać i był u niej w szpitalu. Ale dlaczego nie pojechał do domu, lecz właśnie tu?...

— Czujesz się niedobrze? — zaniepokoiła się Magda.

— Chyba nie... Raczej... jakoś dziwnie...

— To mogą być pierwsze objawy. Gdzie pozostawiłeś wóz?

— Nie wiem... — uświadomił sobie w tej chwili, że pamięta tylko, jak żegna się z inżynierem Thallem, jak go pociesza i obiecuje, że zajmie się tymi przekłętymi anonimami, że zaraz po powrocie siądzie do reportażu... A potem droga, noc i gęstniejąca mgła...

Norbert widzi, jak Magda idzie do drzwi, wychodzi na korytarz, słyszy, jak otwiera jakieś inne drzwi... Chyba wyszła na ulicę i szuka samochodu... Gdzie może

być ten wóz?

Znów skrzypnęły drzwi i słyhać kroki. Magda wraca...

— Zostawiłeś przed bramą — słyszy głos Magdy. — Ale wóz jest pusty. Tego człowieka tam nie ma. Widocznie poczuł się lepiej i poszedł. Nie mógł się na ciebie doczekać. Daj papierosa!

Norbert widzi, jak Magda bierze leżącą na stole napoczętą paczkę, ale zamiast otworzyć i wziąć papierosa, przygląda się pudełku.

— Coś ty tu napisał? — pyta Magda z wyraźnym zdumieniem.

— Ja?

— To przecież twoje pismo. Skąd wiesz, że to pseudo?

— Co pseudo? — Norbert bierze podaną mu paczkę papierosów. Na krawędzi widzi wyraźne, skreślone długopisem słowa:

— *Pseudomeningitis Cephalgia t.* — odczytuje i stwierdza, że mógłby przysiąc, że to jego własne pismo. Nie pamięta jednak zupełnie, kiedy, w jakich okolicznościach napisał te słowa. — Rzeczywiście, szereg objawów wskazuje, że to zapalenie opon... — mówi Magda. — Ale skąd masz informacje, że to rzekome zapalenie? A co ma znaczyć to „t” przy *cephalgii*? — Nie wiem... Nic nie pamiętam...

— A może ten człowiek był lekarzem? — pyta Magda. — Może on ci coś o tym mówił?

— Jaki człowiek?

— No, ten, o którym mówiłeś przez telefon. Potrącony we mgle.

Norbert stwierdza, że Magda patrzy na niego z coraz większym niepokojem. Przymyka oczy i nadaremnie próbuje zrozumieć, o czym ona mówi.

— Co ci jest?! — czuje dotyk dłoni Magdy na czole. Dłoń jest gorąca...

— Nie wiem... Nic nie pamiętam... Człowiek... We mgle?...

1978

List

I

Ogłuszający huk wstrząsnął ścianami kabiny. Coś targnęło gwałtownie statkiem raz i drugi. Irena usiadła na posłaniu. Wyrwana nagle z głębokiego snu, rozglądała się półprzytomnie dokoła.

Otrzeźwiło ją silne szarpnięcie za ramię. Ujrzała przed sobą wykrzywioną przerażeniem twarz Gerdy — współtowarzyszki podróży. Potem już tylko jej kolorowy szlafrok mignął w rozsuniętych drzwiach.

— Toniemy!!!

Irena nie uświadamiała sobie, czy był to rozpaczliwy krzyk Gerdy, czy też jej samej. Gdy sięgała po walizkę, statek pochylił się niespodziewanie i padła z powrotem na koję. Zerwała się natychmiast i rzuciła ku drzwiom. Czuła instynktownie, że nie ma ani chwili do stracenia.

Korytarz przybierał niewiarygodnie pochyłą pozycję. Żarówki przygasały, to znów rozjarzały się żółtym światłem. Na wąskich schodach tłoczyli się ludzie. Wspinali się jedni przez drugich, zrzucali ze stopni, bili, kopali... Na podłodze leżały porzucone walizki i odzież...

Irena pobiegła do drugiego wyjścia. Tam również tłum ogarnięty paniką wypełniał schody. Usiłowała uspokajać oszalałych ze strachu ludzi, ale nikt jej nie słuchał. Ktoś uderzył ją pięścią w kark, aż się zatoczyła...

Na szczęście załoga przystąpiła do zorganizowanej akcji ratowniczej i zator ustępował szybciej.

— Pojedynczo! Pojedynczo! Prędeży! — przedzierały się przez zgiełk okrzyki. — Na lewo! Na lewo!

Nie pamiętała, popychana i szarpana przez tłum, kiedy znalazła się na pokładzie. Tu nad zgiełkiem górował donośny głos megafonu:

— Kierować pasażerów na lewą burtę! Uwaga! Druga i trzecia szalupa! Najpierw kobiety i dzieci!

Kłęby ciemnego, gryzącego dymu wydobywały się z maszynowni. Statek pogrążał się rufą coraz głębiej. Jakieś ręce narzuciły na Irenę pas ratunkowy. Usiłowała dotrzeć do szalupy, lecz nowy wstrząs zachwiał kadłubem statku. Z maszynowni wystrzelił w górę płomień. W ciemności rozjaśnianej tylko reflektorem na mostku kapitańskim ujrzała jakąś kobietę staczającą się z pokładu za burtę... Zacisnęła kurczowo dłonie na barierze. Nie była w stanie ruszyć się z miejsca.

— Wszyscy opuszczą statek! Jak najdalej od statku! Zrzucić tratwy ratunkowe!

Irena nie wiedziała, kiedy przeskoczyła barierę. Spojrzała w dół i zawahała się. Pod nią kotłowało się czarne spienione morze...

— Wszyscy za burtę! Jak najdalej od statku!!!

Skoczyła, wstrzymując oddech.

Nagły chłód ogarnął jej ciało. Usłyszała szum zamykającej się nad głową wody. W tym samym momencie strach i bezwład ustąpiły miejsca nerwowemu skupieniu i opanowaniu. Szybkimi ruchami ramion przyspieszyła wypłynięcie na powierzchnię. Była dobrą pływaczką. Natychmiast też zorientowała się w położeniu. Ciemny kadłub statku, pchany silnym wiatrem, oddalał się wolno, nieprzerwanie...

Głos megafonu umilkł. Światła zgasły. Szum morza tłumiał nawoływania i krzyki.

Przestała płynąć, wzrokiem szukała szalupy lub tratwy. Wiedziała, że musi oszczędzać siły. Panował mrok. Wokół piętrzyły się tylko spienione grzywy. Dopiero gdy większa fala uniosła ją w górę, spostrzegła w odległości kilkuset metrów zapadający w otchłań ciemny kadłub „Little Mary”. Po chwili przytłumiony, głuchy pomruk przeszedł nad wodą. Statek zatonął.

Irena położyła się na plecach i odpoczywała. Trwało to jednak krótko. Uświadomiła sobie nowe niebezpieczeństwo. Jeśli zbyt oddali się od miejsca katastrofy — szalupy ratunkowe mogą jej nie odnaleźć.

Zaczęła znów płynąć, nie była jednak pewna, czy wybrała właściwy kierunek. Usiłowała krzykiem zwrócić na siebie uwagę, ale głos ginął w szumie morza. Wydawało się jej, że słyszy nawoływania, lecz mogło to być tylko złudzenie...

Tak upłynęło kilka godzin. Niepokój jej wzrastał. Zmieniała coraz częściej kierunek, na próżno starając się przeniknąć wzrokiem ciemność bezksiężycowej nocy. Chwilami ogarniało ją zwątpienie, lecz nie odczuwała rozpaczony tylko apatię. Starła się nie myśleć o niczym.

Na wschodzie zaczynało się powoli przejaśniać. Wstawał świt.

Irena już tylko z rzadka, z rezygnacją błędziła wzrokiem po falach. Zimno dokuczało jej coraz bardziej. Myśli krążyły sennie wokół dawno minionych zdarzeń i przeżyć.

Odruchowo dotknęła palcami gładkiej powierzchni pasa ratunkowego.

„Podobno czasem rozbitkowie sami rozpinają pasy, gdy nie stać ich dłużej na walkę...” Instynktownie cofnęła rękę i uniosła głowę. Właśnie fala dźwignęła ją na swój ciemny grzbiet, by za chwilę zrzucić w dół. Irena spojrzała i naraz serce w niej zamarło. W odległości stu metrów ujrzała w mroku szary cień wynurzający się z wody. Rekin!!!

Rzuciła się gwałtownie w przeciwnym kierunku.

„Przecież Atlantyk to nie Bałtyk...” — pomyślała z przerażeniem.

Jednocześnie pojęła bezsensowność ucieczki. Zamknęła odruchowo oczy i czekała. Minuty upływały, rekin jednak się nie zbliżał. Wreszcie przemogła strach i spojrzała przed siebie.

Znów wśród fal zamajaczył szary cień... raz, drugi, trzeci... Wydało się jej, że czarna skóra potwora miejscami przechodzi w rdzawą, czerwoną powierzchnię... rury.

Wytężyła wzrok. Rzekomy rekin nie poruszał się. Fale unosiły go jak korek.

Świtało. A wraz ze świtem pierzchł lęk i wszelkie wątpliwości. Teraz była już pewna, że ma przed sobą jakiś przedmiot z zatopionego statku.

Ale niebezpieczeństwo pojawienia się rekinów istniało w dalszym ciągu. Myśl o tym budziła grozę. Nie szczczędząc sił, poczęła płynąć tam, skąd spodziewała się ratunku. Wkrótce dostrzegła wypukłe, pomalowane czerwoną i białą farbą pływaki... tratwy ratunkowej.

Po kilku minutach dosięgła grubej liny. Nie zwlekając, wspięła się na pływak i padła wyczerpana na powierzchnię czworokątnej, dziurkowanej płyty.

Niespodziewanie do uszu jej dobiegł przytłumiony jęk. Po przeciwnej stronie tratwy ujrzała leżącego nieruchomo człowieka. Właściwie tylko jego ramiona i głowa spoczywały na pływakach — reszta ciała zwisała bezwładnie w wodzie. Widocznie rozbitek nie miał sił wspiąć się wyżej.

Irena przysunęła się do leżącego i ująwszy go za ramiona poczęła wciągać na tratwę. Po paru nieudanych próbach, podtrzymywany przez dziewczynę, przerzucił wreszcie nogę poza pływak, dźwignął się i zwałił ciężko na pokład.

Był to mężczyzna niewysoki, chudy, ubrany w spodnie od piżamy i sportową bluzę. Rysy twarzy zacierał jeszcze mrok. Irena zauważyła tylko, że jest starszy, łysawy. Oczy miał zamknięte i oddychał ciężko. W pewnej chwili poruszył się nerwowo i jego lewa dłoń poczęła czegoś szukać wśród fałd mokrej bluzy. Wreszcie znalazł długi, błyszczący klucz zawieszony na łańcuszku u szyi. Zacisnął go kurczowo w dłoni.

Irena siedziała na brzegu tratwy, drżąc z zimna.

Powoli wschodziło słońce. Wiatr się uspokoił. Żółte refleksy biegały po falach. Zrobiło się nieco cieplej. Dziewczyna położyła się w kącie dziurkowanego pokładu, zalewanego co chwila wodą. Była tak zmęczona, że nie wiedziała, kiedy zasnęła.

II

Obudził ją żar bijący z nieba i dotkliwe pragnienie.

Mężczyzna również nie spał. Siedział z wyciągniętymi przed siebie bosymi stopami i patrzył na Irenę uporczywie. Prawą jego dłoń spowijała zakrwawiona szmata. Zapewne chustka do nosa. Wiek nieznajomego trudno było określić. Wyglądał na pięćdziesiąt parę lat, ale mógł być i młodszy. Przeżycia ubiegłej nocy były w stanie niejednego uczynić starcem. Twarz miał dużą, zda się z grubsza wyciosaną z jednego pnia. Wrażenie to potęgował niekształtny, mięsisty nos i wąskie, małe usta, jakby zaznaczone jednym uderzeniem dłuta nad szeroką, wydatną szczęką. Usta te układały się w nieprzyjemny grymas, przypominający ironiczny uśmiech.

Nie tylko wyraz ust nieznajomego budził niepokój w Irenie. W oczach mężczyzny było tyle zaciętości i jakiegoś nerwowego zainteresowania dziewczyną, że cofnęła się instynktownie, silniej przyciskając plecy do nagrzanej słońcem powierzchni pływaka. Czuła, że powinna się odezwać i rozładować wzrastające napięcie, ale coś dławilo ją za krtań.

Spojrzenie mężczyzny stało się jeszcze bardziej natarczywe. Nie mogła dłużej wytrzymać jego wzroku i spuściła oczy, jakby szukając dla nich gdzieś oparcia. W tej samej chwili uświadomiła sobie, że jest niemal zupełnie naga.

Instynktownie podkurczyła nogi i zakryła piersi strzępami piżamy, lecz odruch ten nie wywarł żadnego wrażenia na nieznajomym. Wpatrywał się dalej w dziewczynę, jakby ją chciał przewiercić wzrokiem. Teraz dopiero pojęła, że mężczyzna bynajmniej nie zwracał uwagi na jej nagość. Może nawet wcale nie zdawał sobie sprawy z tego, że budzi w niej strach. Wzrok zatopiony w Irenie nie wyrażał groźby, żądzy, czy nienawiści, lecz jakieś kategoryczne, uparte, nieme żądanie.

— Czego pan chce? — wykrztusiła z wysiłkiem po francusku.

Nie dosłyszał pytania, czy też sens słów nie zdołał dotrzeć do jego świadomości — poruszył nerwowo ustami, jakby coś przetykał, i naraz zapytał gardłowo, trochę dziwacznie, jak gdyby nawiązywał do przerwanej przed chwilą rozmowy.

— Co pani mówiła?

Irena czuła, że powtórzenie pytania nie miało sensu.

— Pić... pić mi się chce... — wypowiedziała to, co w tej chwili było dla niej najważniejsze. Jakiś tragiczny półuśmiech przebiegł przez jego usta.

— Wody mamy pod dostatkiem — ruchem ręki wskazał bezmiar oceanu.

— To straszne...

Pokręcił przecząco głową,

— Można pić wodę morską. Robiono już eksperymenty.

— Jak to? I gasi pragnienie?

— Nie wiem. Nie próbowałem... dotąd. Wiem tyle, że jakiś lekarz przepłynął

Atlantyk pijąc tylko wodę morską i jedząc plankton, surowe ryby... Można przeżyć.

Spojrzał odruchowo na swoją prawą rękę, spoczywającą bezwładnie na brzegu tratwy.

Spróbował unieść dłoń, lecz skrzywił się boleśnie.

— Może panu przewinać?

— Czym? — uśmiechnął się blado.

Bez wahania oderwała duży, suchy strzęp piżamy i przysunęła się do rannego. Poczęła ostrożnie rozwiązywać zakrwawioną szmatę. Nie protestował, tylko zacisnął kurczowo szczęki. Chusteczka była przyklepiona do skrzepów krwi. Gdy Irena obmacywała ostrożnie dłoń, syczał z bólu. Nie ulegało wątpliwości, że przynajmniej dwa palce były zgruchotane. Najwięcej obaw budziło jednak to, że rana była zanieczyszczona jakimś smarem czy farbą. Irena odwinęła jak najwyżej rękaw bluzy i z niepokojem poczęła oglądać rękę aż do ramienia.

— Grozi gangrena — westchnął, odpowiadając na jej myśli. — Wiem o tym.

Z trudem udało się Irenie odwinąć szmatę i oczyścić ranę.

W czasie zabiegu mężczyzna zdawał się nie myśleć o opatrunku. Widocznie jednak dotkliwy ból, jak również niebezpieczeństwo zakażenia nie dawały mu spokoju, bo wkrótce wrócił do tej sprawy.

— Czy pani jest lekarzem?

— Nie.

— Może pielęgniarką?

Pokręciła przecząco głową.

— Jestem nauczycielką.

— Nauczycielką? — zdziwił się nieco. — Ach, prawda, była na statku jakaś grupa nauczycieli różnej narodowości — przypominał sobie.

— Jechaliśmy na kongres młodych nauczycieli do Sao Paulo — odrzekła.

— Pani jest Rosjanką?

— Nie. Polką.

— Dobrze pani mówi po francusku.

— Uczę tego języka.

Syknął z bólu.

— Jeszcze trochę. Muszę dobrze oczyścić ranę.

Skinął głową, potem spytał:

— Jak pani myśli? Co było przyczyną zatopienia „Little Mary”?

— Słyszałam wyraźnie huk eksplozji.

— Ja też. Czy nie mogła to być bomba zegarowa?

Spojrzała ze zdziwieniem.

— Może po prostu jakiś wybuch. W maszynowni...

— Coś za szybko statek szedł na dno... Chyba że...

— Że co?

— Że wpadliśmy na minę. Dużo ich jeszcze błądzi po Atlantyku.

— To bardzo możliwe. Gdzie pan był w chwili eksplozji?

Nic nie odpowiedział. Zdawał się drzemać oparty o pływak. Oczy miał

zamknięte, tylko raz po raz poruszał spękanymi wargami. Widocznie dokuczało mu pragnienie, nie chciał jednak, podobnie jak Irena, pić wody morskiej. Na szczęście upał nie był zbyt dokuczliwy. Zerwał się lekki wietrzyk, chłodząc rozpalone ciała.

Irena, skończywszy opatrunek, usiadła w przeciwległym kącie tratwy. Również próbowała drzemać, lecz myśli jej krążyły wokół jednego pytania: kiedy nadejdzie pomoc?

Jeśli eksplozja nie zniszczyła urządzeń radiowych statku, sygnały SOS z pewnością ktoś odebrał. Od katastrofy „Little Mary” upłynęło dziesięć godzin. Irena doszła do wniosku, iż rozsądniej byłoby czuwać i obserwować horyzont.

Już miała wstać, gdy niespodziewanie oczy jej spotkały się z oczami współtowarzysza.

Nie spał. Śledził jej ruchy spod półprzymkniętych powiek.

Odwróciła głowę, udając, że tego nie widzi. Jednak obserwując horyzont, zerkając nieznacznie ku nieznanemu, który w dalszym ciągu udawał, że drzemie.

Odpięła pas ratunkowy i zabrała się do naprawiania odzieży. Polegało to w rzeczywistości na sporządzeniu z ocalałych części piżamy stroju podobnego do stroju kobiet z wysp Pacyfiku. Uporała się z tym szybko, zwłaszcza, że o szyciu nie było mowy, a do spięcia strzępów posłużył kawałek drutu znaleziony na tratwie.

Praca ta poprawiła nieco jej samopoczucie. „Pomoc mogłaby już nadejść” — pomyślała wstając. Była niemal pewna, że największe niebezpieczeństwa już są poza nią.

Rozczesując palcami włosy rozejrzała się wokoło. Słońce stało wysoko. Morze było spokojne, falowanie stosunkowo łagodne, tak że utrzymanie równowagi na kołyszącej się tratwie nie sprawiało zbyt wielkiej trudności dla kogoś, kto uprawiał żeglarstwo.

Z pozycji wyprostowanej mogła objąć wzrokiem znaczną przestrzeń. Nigdzie jednak nie dostrzegła ani statku, ani szalup z „Little Mary”.

Usiadła z powrotem, nie przestając obserwować horyzontu. Głodu nie odczuwała, tylko pragnienie dokuczało jej dotkliwie, zwłaszcza że upał się wzmagił. Umoczyła strzęp piżamy w wodzie i zawiązała go na głowie, jak chusteczkę.

— Może pani spróbuje się teraz zdrzemnąć — odezwał się niespodziewanie mężczyzna. Dźwignął się z wysiłkiem i usiadł, wspierając się zdrową ręką o pływak.

— Przespał się pan?

— Nie bardzo. Pragnienie dokucza, a człowiek to takie dziwne zwierzę, że boi się spróbować słonej wody.

Irena sięgnęła po kawałek materiału, jaki pozostał z nogawki piżamy, i umoczyła go w wodzie.

— Niech pan sobie to położy na głowie — powiedziała, podając mu zaimprovizowany kompres. — Zawsze to trochę chłodzi.

— Dziękuję. Pójdę za pani przykładem. Jak widzę, kobiety dają sobie wszędzie radę. Mimo naszej sytuacji nie zapomniała pani nawet o porannej toalecie — rzekł nieco uszczypliwie, ale w jego uśmiechu było więcej uznania niż ironii. — No tak... Kobieta chce być piękna nawet po śmierci...

Uczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku.

— Sądzę, że najdalej do wieczora powinni nas odnaleźć — odpowiedziała z taką stanowczością, jakby odpierała argumenty przeciwnika.

Spojrzał na nią jakoś ciepłej.

— Do wieczora? Tak. Do wieczora. — powtórzył.

— Jak pana ręka?

— Nie bardzo. Zdaje się, puchnie... Ale do wieczora wytrzymam — powiedział z uporem. — Muszę wytrzymać! Wierzę pani!

Poruszyła się niespokojnie.

— Jeśli nawet nie przyplynie żaden statek, to przecież rozpoczną poszukiwania za pomocą samolotów — zaczęła mówić szybko. — Ostatecznie zrzucą nam żywność, wodę, lekarstwa...

Umilkła raptownie.

— Niech pani mówi dalej...

— No cóż... Zdaje się, że nie ma powodu do obawy, aby mogli nas nie odnaleźć.

Znów umilkła.

— Widzę, że pani bardzo zmęczona — odezwał się po chwili. — Trzeba odpocząć. Ja będę czuwał.

— Nie chce mi się spać. Nie mogę zasnąć.

Skinął głową i zamyślił się. Dłuższy czas panowało milczenie. Naraz odezwał się głosem, w którym można było wyczuć nerwowe napięcie.

— Czy pani wierzy w przeznaczenie?

— Nie. O losach człowieka decyduje on sam oraz splot przypadków.

— Właśnie! Splot przypadków... Czy ten splot przypadków nie może podlegać jakiejś nieznaney nam prawidłowości, która warunkuje taki, a nie inny, ustalony z góry kierunek losów człowieka?

— Nie widzę podstaw do doszukiwania się w życiu skutków wpływu jakiejś siły fatalnej, która niezależnie od woli człowieka decydowałaby o jego losach.

— A jednak... Czyż nie ma jakiejś nadrzędnej celowości w splocie przypadków? Czy pani nigdy nie odczuwała dziwnej, niezrozumiałej dla siebie, a jednak wyczuwalnej kierunkowości, ba celowości rozwoju wydarzeń? Choćby pani nie wiem co robiła, aby osiągnąć wyznaczony cel, mimo to splot tych, jak pani mówi, przypadków nie pozwala pani osiągnąć celu i wtłacza życie w jakieś z góry wyznaczone łożysko.

— To złudzenie. Człowiek po prostu na siłę, sztucznie, doszukuje się jakiejś prawidłowości w splocie przypadków i własnych błędów. Gdy głębiej się zastanowimy nad każdym takim zdarzeniem, zawsze bez trudu znajdziemy przyczynę niepowodzeń. Konkretną, naturalną przyczynę.

— Więc pani sądzi, że to nie przeznaczenie sprawiło, iż znajduję się tu, razem z panią, na tej tratwie...

— Tylko przypadek.

— Przypadek? Widzi pani... Ja mógłbym bardzo łatwo zginąć. Ja powinienem być zginąć! Znajdowałem się bardzo blisko miejsca eksplozji. A przecież żyję. Mogłem

również utonąć, gdybym nie spotkał tratwy. Nie mam pasa ratunkowego, a zmiądzona dłoń nie ułatwia pływania. Nawet wówczas gdyby pani nie spotkała tej tratwy, na pewno musiałbym utonąć, bo nie miałem siły, aby wspiąć się na burtę. Prawdopodobieństwo powstania podobnego splotu okoliczności jest tak niezmiernie małe, że... trudno uwierzyć. A jednak żyję.

— Wszystko to nie oznacza jeszcze działania jakiejś siły wyższej! Szczęśliwy zbieg przypadków — nic więcej. Rzadki, ale możliwy.

— Tak, gdyby tylko chodziło o moje życie...

Irena spojrzała ze zdziwieniem na nieznanego.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

Mężczyzna jakby się zmieszał.

— Widzi pani... Ja nie mogłem zginąć...

— Nie rozumiem.

— Ja nie mogłem zginąć!... — powtórzył z jakąś nienaturalną stanowczością w głosie. — A przynajmniej nie mogę umrzeć samotnie. Bo jeśli nawet umrę, zanim nadejdzie pomoc — zostanie pani!

Umilkł i spuścił niepewnie wzrok, jakby się obawiał, że Irena będzie mogła wyczytać z niego coś więcej ponad to, co jej powiedział.

— Jaki może być związek pańskich przypadków z moją osobą?

— W tej chwili nie ma jeszcze żadnego — podjął nieznanemu, wyraźnie siląc się na spokojny, rzeczowy ton. — Nie wiadomo jednak... czy już wkrótce... — urwał jakby z lękiem i nagle zupełnie nieoczekiwanie zmienił temat. — Ale to wszystko nieważne. Tak sobie mówiłem... Raczej porozmawiajmy o czymś innym. Najlepiej na jakiś oderwany temat. Na przykład, jak pani wyobraża sobie istoty z innych światów?

Pytanie brzmiało tak dziwacznie, tak nie dostosowane było do okoliczności, że Irena sądziła, iż musiała się przesłyszeć.

— Co sobie wyobrażam?

— Istoty z innych światów...

Spojrzała z niepokojem na współtowarzysza, robił jednak wrażenie całkiem przytomnego.

Patrzył na nią spod przymrużonych powiek. Usta jego wykrzywiały się w sposób przypominający raczej grymas niezadowolenia niż uśmiech.

— O czym pan mówi? — spytała niepewnie.

— No, czy rozmyślała pani kiedyś o tym, jak mogą wyglądać na przykład Marsjanie? — „wyjaśnił” i znów się uśmiechnął.

— O ile wiem, na Marsie nie ma warunków do istnienia życia tak rozwiniętego jak na Ziemi. Brak dostatecznej ilości wody, tlenu...

— Widzę, że pani orientuje się nieco w naukach przyrodniczych — powiedział jakby z pewnym zadowoleniem. — Nie chodzi mi o Marsjan. Ale w ogóle... powiedzmy... poza Układem Słonecznym... Czy sądzi pani, że mogą istnieć jakieś istoty rozumne?

— Na pewno mogą istnieć. Przecież to oczywiste.

— Jak pani je sobie wyobraża?

Irena nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nieznajomy majaczy. Może pod wpływem wstrząsających przeżyć dostał obłądu? Uczuła zimny dreszcz.

— Trudno sobie wyobrazić coś, o czym się nie ma pojęcia. A może pan widział te istoty? — rzuciła, siląc się na żartobliwy ton. Chciała zyskać na czasie, a zarazem sprawdzić, w jakim stopniu jej obawy są uzasadnione.

Spojrzała na współtowarzysza i aż się wzdrygnęła — oczy jego rozszerzało zdziwienie i jakby przestrasz.

— Co pani wie? — zapytał głucho.

Irena zacisnęła nerwowo palce na brzegu tratwy, usiłując opanować lęk. „Więc jednak...” — przebiegło jej przez głowę.

Twarz mężczyzny stała się czujna i skupiona. Nie spuszczał wzroku z dziewczyny, a zdrowa jego ręka uderzała nerwowo o pokład.

Kilka minut trwało milczenie. Naraz mężczyzna przymknął oczy i podniósł rękę do czoła. Irena uchwyciła się kurczowo myśli, że przyczyną majaczenia jest upał.

— Może panu zmienić kompres? — spytała pośpiesznie.

— Dziękuję. Jeszcze nie wysechł — odpowiedział spokojnie i nie zmieniając tonu dodał: — No i co? Bierze mnie pani za wariata? Ma pani zupełną rację. Czy to możliwe, żeby człowiek normalny, w sytuacji takiej jak nasza, zamiast snuć rozważania na temat możliwości ratunku, myślał o... istotach z innych planet? Dziwaczne. Prawda? Co najmniej dziwaczne!...

W tej chwili mężczyzna sprawiał wrażenie zupełnie normalnego. Ale mogły to być tylko pozory.

— Temat nieco abstrakcyjny — odpowiedziała Irena niepewnie.

Nieznajomy parsknął śmiechem.

— Mówi pani: „nieco abstrakcyjny?” Nie dowierza mi pani. Może to wariat?... Wariaci też umieją się maskować... Widzę, że winienem pani wyjaśnienie, dlaczego wybrałem tak dziwaczny temat rozmowy.

— Czasem nasuwają się człowiekowi różne myśli...

— Sprawa jest prosta. A właściwie nie tyle prosta, co zrozumiała z mego punktu widzenia. Sądzę, że najgorsze jest oczekiwanie. Koncentrowanie myśli wokół tego, czego oczekujemy z napięciem. Nasze położenie, a przynajmniej pani, nie jest jeszcze tragiczne. Ale gdy człowiek zaczyna wszystko rozważać, może dojść do wniosków niezbyt optymistycznych. Wypróbowałem w praktyce, że w takich sytuacjach najlepiej zająć mózg czymś zupełnie oderwanym od rzeczywistości. Dziedziną szczególnie mnie pasjonującą są niektóre zagadnienia związane z życiem we wszechświecie. Więc... Może jednak ten temat panią nie interesuje?

— Ależ bardzo mnie interesuje — zaprzeczyła pośpiesznie. — Przyzna pan jednak, że samo pytanie było tak niespodziewane, po prostu aż dziwaczne...

— Tak. Ale i na Ziemi dzieją się nieraz sprawy tak dziwaczne, że trudno uwierzyć nawet własnym oczom i rozsądkowi — powiedział zagadkowo i spojrzał przenikliwie na Irenę.

— Co pan przez to rozumie?

Nieznajomy jakby się nieco stropił.

— Ach — machnął ręką. — Tak sobie powiedziałem parafrazując powiedzenie, że na Ziemi dzieją się rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Ale wracając do sprawy, czy gotowa jest pani dla zabicia czasu i uspokojenia nerwów podjąć ze mną dyskusję na tak oderwany temat?

— Spróbuję...

— Dla niejednego człowieka nasza rozmowa mogłaby wydawać się równie dziwaczna jak... Ale mniejsza o to. Ludzie sądzą, że wszystko, co dziś jest bezproduktywne, co nie daje dolarów, nie ma sensu — zapalał się coraz bardziej. — Krótkowidze! Ślimaki zapatrzone we własną skorupę! Jeszcze niedawno uważali za bzdurę liczenie plam na Słońcu. I wielce byli zdziwieni, gdy pewnego pięknego poranka dowiedzieli się, że od tych plam zależy odbiór radiowy i zbiór pszenicy...

Zamyślił się.

— Odbiegłem od tematu — podjął po chwili. — Widzi pani... istnieją dwa różne poglądy na rozwój form życia we wszechświecie. Jeden, że w retorcie natury świat żywy może powstać tylko wówczas, gdy warunki będą niemal identyczne z ziemskimi. Droga rozwoju świata żywego innych planet będzie więc identyczna, a przynajmniej bardzo podobna do ziemskiej. Drugi pogląd zakłada, że w zasadzie życie może powstać w bardzo różnych warunkach; oczywiście, wyłączając skrajności. Na przykład wykluczone, by powstało w atmosferach gwiazd, w temperaturach tysięcy stopni, lub też w pustce międzygwiazdnej, w temperaturze bliskiej zeru bezwzględnemu, gdy ustaje wszelki ruch cząstek. Droga rozwoju istot żywych w warunkach niepodobnych do ziemskich kształtowałyby się inaczej, a one same odbiegałyby zarówno budową, jak wyglądem od organizmów zamieszkujących naszą planetę. Niektórzy zakładają nawet, że świat psychiczny istot rozumnych z innych globów będzie dla nas zupełnie niezrozumiały.

— Pan jest uczonym?

— To nieważne, kim jestem — ściągnął brwi z niezadowoleniem.

— Ja... przepraszam. Ciekawią mnie te problemy... ale nigdy nie sięgałam zbyt głęboko.

Twarcz nieznajomego wypogodziła się.

— Ale jakiś, choćby mglisty pogląd własny miała pani na te sprawy? Jakoś wyobraża sobie pani te światy?

Irena zmieszła się.

— Nie jestem biologiem ani astronomem.

— Ja też.

— Pan jest jednak człowiekiem nauki.

— Mówiłem pani, że mniejsza o to, kim jestem — przeciął opryskliwie. — Niech pani trzyma się tematu.

Dziewczyna zastanawiała się chwilę.

— Nie wiem, czy to, co powiem, będzie bardzo mądre — zaczęła z wahaniem. — W każdym razie wydaje mi się, że pierwszy pogląd, jakoby życie mogło powstać tylko w ściśle określonych, identycznych jak nasze warunkach, stawia Ziemię w zbyt

uprzywilejowanej pozycji. Przypisujemy warunkom ziemskim jakieś wyjątkowe własności życiowótórcze dlatego tylko, że umysł nasz nie potrafi wyobrazić sobie nic poza tym, co zna z doświadczenia. A może na jakichś odległych planetach życie powstaje w zupełnie innych warunkach niż na Ziemi?

— Więc skłania się pani raczej do drugiego poglądu?

— Czy ja wiem?... Zupełna dowolność warunków powstania życia wydaje mi się niemożliwa. Chyba musi ono mieć za podstawę białko. A jeśli tak, to trudno przyjąć skrajniejsze temperatury od panujących na Wenus i Marsie!

— Myśli pani o białku węglowym? Niektórzy dopuszczają możliwość powstania życia opartego nie na węglu, lecz na krzemie. Osobiście trudno mi wyobrazić sobie żywe białko krzemowe... ale kto wie? Może gdzieś, w sprzyjających warunkach, w temperaturach znacznie wyższych niż na Ziemi, przy jakimś szczególnym składzie chemicznym powierzchni planety, jej atmosfery... No i oczywiście odpowiednim ciśnieniu... Może...

— No tak. Ale jeżeli nawet może istnieć życie oparte nie tylko na węglu — cząsteczki substancji żywej muszą być bardzo złożone, wielkie. Niezbędne jest bogactwo połączeń. Czy zgodzi się pan ze mną?

— Najzupełniej. Sądzę, że życie może powstać tylko w pewnych warunkach...

— Myślę, że nawet bardzo różnych od ziemskich, ale ściśle określonych działaniem zespołu czynników — dodała śmieiej Irena.

— Inaczej mówiąc, sądzi pani, że może być wiele różnych warunków, w których powstaje życie. Ale nie oznacza to bynajmniej, aby ono mogło powstać w każdym warunkach. Czy tak?

— Tak.

— Jak dotąd jesteście zgodni w poglądach — rzekł z wyraźnym zadowoleniem. — W każdym razie nie zdziwiłoby pani, gdyby pierwsza wyprawa międzyplanetarna przyniosła wiadomość o istnieniu życia na przykład na Marsie albo na Wenus?

— Bardzo bym się ucieszyła, ale nie zdziwiła!

— Pięknie. A teraz niech mi pani powie, jak sobie wyobraża wygląd istot z innych planet?

W tej chwili Irena znów wyczuła jakiś dziwny ton w głosie nieznanego. To nie była dyskusja — raczej egzamin czy indagacja, której celu nie mogła zrozumieć.

— No więc? — ponagłał.

— W ogóle nie wyobrażam sobie tych istot. Przecież ich droga ewolucyjna może być zupełnie różna od naszej.

— I sądzi pani, że wygląd żywych organizmów z innych światów musi się całkowicie różnić od wyglądu roślin czy zwierząt ziemskich, nie mówiąc już o ludziach?

— Na pewno. Przecież to będą zupełnie inne istoty.

— Nawet w warunkach zbliżonych do ziemskich?

Irena zawahała się.

— Sądzę — powiedziała po namyśle — że nawet działanie tych samych czynników niekoniecznie musi spowodować wytworzenie się takich a nie innych

organów. Ogromne bogactwo form żywych istnieje na Ziemi! A przecież pochodzą z jednego pnia ewolucyjnego.

Mężczyzna przymrużył nieco powieki, nie przestając się uśmiechać.

— A więc budowa i wygląd zewnętrzny istot z innych planet mogą się całkowicie różnić od naszego? — zapytał.

— Myślę, że nie tylko mogą, ale muszą się różnić. Po prostu trudno wyobrazić sobie, aby dwa przypadkowo znalezione kamienie miały ten sam kształt, wagę, skład chemiczny...

— Dwa przypadkowo znalezione kamienie... — powtórzył nieznajomy w zamyśleniu. — Czy będą pochodziły z nad brzegów Amazonki, z nad Dunaju czy Wisły, jeśli woda niosła je długo, kształt będą mieć owalny... To już coś znaczy.

— Nie bardzo rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć?

— Chodzi pani o różne ukształtowanie się drzewa genealogicznego istot żywych na różnych planetach. Drzewo takie ma jednakże... — urwał i skrzywił się z bólu. — Zaczyna dokuczać — powiedział po chwili przez zaciśnięte zęby, spoglądając na owiniętą rękę.

— Może pan się położy?

— I tak leżę. Nic mi to nie pomoże.

— Nie wiem, czy potrzebnie męczą się pan rozmową.

— Tego mi jeszcze pani odmawia? Może mam leżeć i „nasłuchiwać”, jak mi ręka puchnie?... Wściec się można!...

Opanował się tak nagle, jak nagle dał się ponieść nerwom.

— Przepraszam panią. To wszystko głupstwo — powiedział spokojnie, choć drżenie szczęki świadczyło, że z trudem panuje nad bólem. — O czym to mówiliśmy?

— Może jednak — zaprotestowała nieśmiało.

Zniecierpliwionym gestem lewej ręki dał znak, by nie przerywała.

— Aha — podjął nerwowo. — Mówiła pani o tym, że istoty żywe z innych planet muszą się różnić całkowicie od ziemskich. Otóż niezupełnie zgadzam się tu z panią. Nie przypuszczam, aby istoty zamieszkujące światy, gdzie panują warunki nawet tylko podobne do naszych — podkreśliłam — podobne, a nie identyczne z naszymi — różniły się we wszystkim od istot ziemskich.

— To znaczy?

— Mimo różnej drogi rozwoju istnieją pewne cechy, których takie a nie inne ukształtowanie pozostaje w prostej zależności od czynników zewnętrznych. Powiem więcej — mogą one w większym stopniu różnić się wewnętrzną budową poszczególnych organów, nawet ich przeznaczeniem niż zewnętrznymi cechami.

— Nie rozumiem dlaczego.

— Chyba myśląc o jakichś istotach — ciągnął nieznajomy, jakby nie słysząc pytania Ireny — nie neguje pani, że muszą to być pojedyncze osobniki, a nie jakaś fantastyczna żywa substancja bez kształtu, konkretnych organów, zlokalizowanych zmysłów, działających zgodnie z prawami fizyki.

Irena skinęła głową.

— Tak. Ale...

— Trudno wyobrazić sobie, by istoty wyższe, poruszające się po powierzchni globu dostatecznie szybko i zwinnie, pełzały jak węże, gąsienice czy ślimaki lub miały organ ruchu podobny na przykład do... koła.

— W zasadzie tak.

— Czy nie uderza panią podobieństwo zewnętrzne rekina, ichtiozaura i powiedzmy delfina — ryby, gada i ssaka? A przecież nie ma między nimi bezpośrednich związków dziedzicznych. Tutaj o kształcie, o wykształceniu się płetw decydował nie pień ewolucyjny, lecz środowisko, w którym się zwierzę poruszało. Jestem pewny, że jeśli w morzach jakiejś planety będą istnieć istoty żywe dużych rozmiarów i przebywające wielkie przestrzenie wodne ze znaczną, stałą prędkością — będą podobne do naszych ryb. Uderzająco podobne!

Irena nie odpowiedziała. Odbiegła w tej chwili myślą daleko od tego, co mówił nieznamy. Wróciła z dalekich gwiazd na Ziemię, a ściślej na kołyszącą się wśród morza tratwę. Słowo rekin przypomniało jej straszliwe chwile o świcie. W miarę jak upływał czas, w sercu dziewczyny począł się budzić niepokój. Pomoc nie nadchodziła!

Mężczyzna zamilkł również. Widocznie zaszepiona twarz współtowarzyszki niedoli przywróciła mu poczucie rzeczywistości, bo błędził wzrokiem chwilę po falach i naraz rzekł:

— Widzę, że pani ma już dość dyskusji. Myśli pani, że to sprawy zbyt oderwane od naszej rzeczywistości... Ano cóż... Najlepiej niech się pani prześpi.

— A pan?

— Ja teraz będę czuwał.

Pokręciła przecząco głową.

— Ależ pan nie może. Przecież ręka...

— Właśnie dlatego. Nie mogę spać. Pani musi wypocząć. Ratunek może nadejść w nocy, a nie wiadomo, co do tego czasu będzie ze mną...

Powiedział to takim tonem, że Irena nie śmiała oponować. Pragnienie dokuczało jej coraz bardziej. Odczuwała również uporczywy ból głowy, który potęgował się z godziny na godzinę. Zacerpnęła w dłonie trochę wody i podniosła do ust. Z trudem przełknęła nieprzyjemny, gorzko-słony płyn. Nie ugasiło to bynajmniej pragnienia, ale orzeźwiło ją trochę. Zwilżywszy włosy, położyła się w kącie tratwy.

Sen zmorzył ją szybko. Był jednak nerwowy i męczący. Zdawało jej się, że walczy samotnie z falami, czepiając się jakichś belek czy desek rozbitego statku, zaś z głębin wyłaniały się jakieś przerażające, ślepe istoty, bez twarzy, bez paszczy... Czuła jednak, że istoty te patrzą na nią i grożą wielopalczastymi, podobnymi do kłębówiska macek kończynami. Były one coraz bliżej i bliżej, zdawały się oplatać jej ciało, paraliżować ruchy rąk i nóg...

III

Ocknęła się raptownie. Odczuwała dotkliwy chłód. Ukośne promienie słońca odbijały się od fal czerwonożłotymi iskrami. Do zachodu brakowało najwyżej kilkudziesięciu minut — przespała więc ponad sześć godzin. Dokuczały jej głód i pragnienie. Napiła się znów trochę wody morskiej, ale nie przyniosło to ulgi.

Nieznajomy siedział nieruchomo, zapatrzony szeroko rozwartymi oczyma w słońce. Zdjął bluzę i poprzez podartą koszulę widać było szeroką, muskularną pierś, poruszającą się z wysiłkiem. Twarz jego wydawała się rozpalona, ale mogło to być również złudzenie wywołane czerwonym blaskiem zachodu.

— I co? — zapytała Irena.

— I nic — odparł lakonicznie, nie odwracając głowy.

Usiadła i dopiero teraz spostrzegła, że nieznajomy okrył ją bluzą. Spotęgowało to jeszcze bardziej sprzeczne uczucia, jakie w niej wywoływał. Na pierwszy rzut oka człowiek ten nie budził sympatii ani wyglądem, ani zachowaniem. Jednakże raz po raz spod zewnętrznej powłoki oschłości wyzierało ludzkie współczucie i ojcowska troskliwość.

Irena przysunęła się na klęczkach bliżej nieznajomego i podała mu bluzę.

— Dziękuję panu.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią niechętnie.

— Niech pani tę bluzę włoży na siebie. Noce są chłodne.

— Przecież panu będzie zimno. Tym więcej, że zdaje się ma pan gorączkę — dodała, biorąc go za puls.

— Ja nie potrzebuję bluzy. Niech pani nie zawraca głowy.

— Ależ... — uczyniła ruch, jakby chciała go zmusić do włożenia bluzy.

— Skończmy tę bzdurną zabawę — przerwał niemal ze złością i naraz zacisnął tak kurczowo palce na przegubie ręki dziewczyny, że aż syknęła z bólu. — Są ważniejsze sprawy.

Irena uczuła, jak znów ogarnia ją niepokój. Usiłowała oswobodzić rękę, ale mężczyzna nie ustępował, wpatrując się w jej twarz z uporem.

— Czego pan chce? — wyjąkała.

Nieznajomy milczał dłuższą chwilę oddychając ciężko, wreszcie powiedział jakby z ogromnym wysiłkiem:

— Chcę ci opowiedzieć pewną historię... Niezwykłą historię... której jeszcze nikt na Ziemi nie słyszał do końca...

Patrzyła w jego oczy, nie będąc w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Spostrzegł, że zaczyna drżeć, bo naraz rzekł:

— Czego się trzęsiesz? Boisz się mnie?

Skinęła odruchowo głową.

— Nie bój się — puścił jej rękę. — Nie jestem dzikusem ani obłąkanym. Jestem zupełnie normalny. Mam trochę gorączki, to wszystko. Muszę ci opowiedzieć o

pewnym zdarzeniu... Właściwie odkryciu — poprawił z wahaniem. — Boję się, że gorączka wzrośnie. Jeśli nie odnajdą nas w ciągu jednego, dwóch dni... mogę nie przeżyć... To, zdaje się, zatrucie organizmu. A ty masz szansę. Jesteś zdrowa, młoda... Ratunek chyba nadejdzie... Musi nadejść... Muszą nas odnaleźć! Przynajmniej ciebie!

Umilkł i znów zapatrzył się w czerwoną tarczę słońca.

— Nie wiem, czy z tego wyjdę — powiedział, odchylając rękaw koszuli. — Chyba wie pani, co to znaczy?...

Na wewnętrznej stronie ramienia biegły pod skórą ciemnoczerwone smugi.

— Dlatego muszę pani coś opowiedzieć. Nie myśl, że mi to łatwo przychodzi...

Zamyślił się na krótko.

— Czy ty wiesz, co znaczy pracować nad czymś przez lata?... O coś walczyć z uporem i... nie doczekać chwili triumfu?... Nie dokończyć swojej roboty... Oddać swe dzieło komuś, kto jest ci zupełnie obojętny... Oddać nie mając żadnej gwarancji, że potrafi pojąć jego niezwykłość a zarazem realność... Może przecież uważać to, co powiem, za majaczenie obłąkanego, gorączkującego człowieka... A jeśli nawet zrozumie — czy nie ukradnie odkrycia?... Czy nie przywłaszczy sobie owocu sześciu lat rozpaczliwej walki? Czy na to ukryłem prawdę głęboko przed wszystkimi, aby teraz przekazać ją pierwszemu lepszemu napotkanemu człowiekowi?...

W słowach nieznajomego było tyle szczerości, tyle gorczy, tyle rozpaczliwego buntu przeciw ślepemu losowi, że Irena nie była pewna, czy mogą być one tylko gorączkowym majaczeniem. W tej chwili nieznajomy budził w dziewczynie nie lęk, lecz współczucie pomieszane z ciekawością.

— Kim pan jest? — zapytała odruchowo.

Twarz chorego stała się znów czujna i opanowana.

— Mniejsza o to, kim jestem — odparł z naciskiem. — Dowie się pani o tym we właściwym czasie. Jeśli nie nadejdzie pomoc... ode mnie. Jeśli zaś zdążą, w ciągu najbliższych pięciu lat przeczyta pani w gazetach... We wszystkich... Na pewno we wszystkich... Na całym świecie...

Zamilkł na chwilę, wpatrując się w oczy Ireny.

— Niech mi pani nie ma za złe, że nie powiem wszystkiego od razu, że będę niejako dozował... Niełatwo oddaje się największy skarb życia. Że oddaję go tobie — to tylko przypadek. Gdyby był tu, na twoim miejscu, dzikus, analfabeta — też musiałbym mu o tym powiedzieć... Tyle, że trudniej przysłoby mi wytłumaczyć mu, o co chodzi...

Umilkł, dysząc ciężko.

— Zresztą, po co ja to mówię? — wzruszył ramionami. — Chciałem tylko prosić o jedno. Jeśli tak się złoży, że opowiem pani wszystko albo niemal wszystko, a później mimo to nas uratują... i będę żył — niech pani zapomni o tym, co ode mnie tu usłyszysz. Niech pani da mi słowo, że nikomu nie powie!

— Jeśli tylko milczenie moje nie skrzywdzi kogoś, jeśli nie będzie szkodziło społeczeństwu, ludzkości, przyrzekam milczeć.

Nieznajomy zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Jest pani śmieszna z tą swoją troską o ludzkość! Kto pani daje prawo osądu,

co jest słuszne, a co niesłuszne, co daje korzyść, a co szkodzi społeczeństwu? Ale niech się pani nie martwi, nikomu nie zaszkodzi pani milczenie. Za to, gdyby pani puściła parę z ust, mogłoby to zaszkodzić niektórym ludziom, a zwłaszcza mnie. Wiem, co warto jest moje odkrycie!

— Jeśli uważa pan, że może mi zaufać...

— Zaufać! — powtórzył i naraz wybuchnął. — Zaufać pani?! — zaśmiał się brutalnie. — Jaki ze mnie naiwny człowiek! Łudzę się, że potrafisz utrzymać język za zębami! Nawet gdybyś nie była kobietą... Czy w ogóle mogę zaufać jakiemukolwiek człowiekowi? Tu, na Ziemi?...

Nie ulegało wątpliwości, że chory ma wysoką gorączkę.

— Niech się pan uspokoi i prześpi — powiedziała Irena łagodnie. — Nie sądzę, aby stan pana był aż tak groźny. Zakażenie rozwija się trzy, cztery dni. W tym czasie...

— Niech pani nie opowiada głupstw! — przerwał gwałtownie. — Wiem najlepiej, co mi jest! Zdążę się wyspać na dnie Atlantyku! Niech pani lepiej słucha, co powiem.

Urwał na chwilę, zbierając myśli. Irena umoczyła w wodzie szmatę i poczęła delikatnie przecierać skronie nieznanego.

— Cała historia zaczęła się przed jedenastu laty — rozpoczął spokojnie, rzeczowo. — Pewne przedsięwzięcie — nazwy na razie nie chcę wymieniać — zajmujące się eksploatacją złóż pierwiastków radioaktywnych, prowadziło na polecenie rządu prace poszukiwawcze w Afryce, na terenie... Zresztą mniejsza o to, gdzie. Wystarczy powiedzieć, że był to obszar rzadko zaludniony. Klimat wilgotny, tropikalny. Okolice górzysta. Białego nie spotkasz w promieniu setek kilometrów. Na teren ten zwrócono uwagę w czasie poszukiwań złóż uranu prowadzonych z powietrza za pomocą scyntyłometrów; są one bardzo czułe. Można w ten sposób wykryć promieniowanie z dużej odległości.

— Co to są scyntyłometry?

— Liczniki błyskowe. Niektóre kryształy świecą pod wpływem promieni gamma. Gdy na taki kryształ padnie promień gamma — wyzwala się błysk świetlny, który z kolei wywołuje strumień elektronów. Te błyskometry wykrywają promieniowanie setki razy słabsze od promieniowania wykrywanego zwykłymi licznikami Geigera-Müllera. To wszystko nie ma jednak nic do rzeczy — przerwał wyjaśnienia powracając do tematu. — Dość, że stwierdzono znaczny wzrost promieniowania gamma nad pewnym górskim wąwozem. Przypuszczano, że istnieją tam bogate, odsłonięte złoża uranu lub toru. Tymczasem poszukiwania naziemne nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Znaleziono co prawda pewne ilości toru, lecz eksploatacja się nie opłacała. Jednakże w czasie prac poszukiwawczych odkryto coś, co wywołało, przynajmniej chwilowo, ogromną sensację. Na pewno byłoby o tym głośno w gazetach i w radio, gdyby nie fakt, że złoża tego rodzaju mają znaczenie strategiczne i stąd wyniki wszystkich badań są tajemnicą wojskową. Niech pani nie myśli, że to, co powiedziałem, nie miało znaczenia w rozwoju dalszych wydarzeń. Miało znaczenie, i to niemałe!... Tak więc wtajemniczony został tylko bardzo wąski krąg ludzi. Sensacja polegała na tym, że jeden z robotników zatrudnionych przy

„obmacywaniu” ziemi błyskometrem znalazł minerał, w którym stwierdzono znaczną zawartość plutonu, i to plutonu 242.

Umilkł, oczekując efektu swych słów, ale Irena siedziała nieruchomo, patrząc z uwagą w jego twarz.

— Nie wiem, czy pojmuje pani niezwykłość tego znaleziska? — odezwał się nieco zawiedziony. — Pluton należy do pierwiastków o wyższej liczbie atomowej od uranu, do tak zwanych transuranów. Wszystkie transurany są sztucznymi pierwiastkami, produkowanymi przez człowieka bądź w reaktorach atomowych, bądź za pomocą akceleratorów.

— Wiem, co to są transurany, ale czytałam gdzieś, że znaleziono naturalny pluton. Myślałam więc, że... nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

— Tak. Znaleziono w niektórych minerałach. Ale nie zmienia to wagi tamtego odkrycia. W przyrodzie pluton tworzy się bardzo wolno, a rozpada stosunkowo szybko. Stąd spotkać można w złożach tylko niewielkie jego ilości.

— W tym mineralu znaleziono dużo plutonu?

— Ponad sto milionów razy więcej, niż spotyka się go w uranie wydobywanym w Kongo. Blisko 0,001 procentu. Dotąd wydawało się rzeczą niemal nieprawdopodobną, by gdzieś na Ziemi powstały większe złoża plutonu. Tymczasem w wąwozie... — zająknął się. — W tamtym wąwozie, o którym pani mówiłam, znaleziono w mineralu pochodzenia ogniowego tlenek plutonu w ilości, która zdawała się zupełnie wykluczać jego naturalne pochodzenie. I to jeszcze nie plutonu 239, lecz znacznie rzadszego plutonu 242. Teraz pani rozumie sensacyjność odkrycia?...

— Rozumiem — skinęła głową, wpatrując się z napięciem w twarz uczonego.

— Co prawda, pluton 242 ma znacznie dłuższy okres połowicznego zaniku. Ale przecież nie było ważne, czy pluton ten powstał miliony czy tysiące lat temu. Chodziło tylko o to, czy istotnie mógł powstać w warunkach naturalnych?

— No i?...

— Przystąpiono natychmiast do dalszych poszukiwań. Niezbyt się szczęściło. Dopiero dwa miesiące później znaleziono nad brzegiem strumienia jeszcze jeden, nieco mniejszy kawałek podobnego minerału. W tym czasie jednak zaczęły rodzić się pewne podejrzenia. Dokładniejsza analiza wykazała, że nie jest to właściwie skała ogniowa, lecz minerał wytworzony sztucznie. Zdaje się, że jakieś stopione piaski czy coś w tym rodzaju. Brano pod uwagę również możliwość kosmicznego pochodzenia znaleziska — że to po prostu meteoryt. Nie zastanawiano się jednak nad nią dłużej. Nie było podstaw do twierdzenia, że pluton 242 powstał w mineralu w wyniku samorzutnych przemian jądrowych. Uranu i toru znaleziono zaledwie ślady. W jaki sposób oczyszczony tlenek plutonu mógł dostać się do płynnej masy mineralnej?... Pozostała jedna możliwość — minerał został spreparowany i podrzucony przez kogoś, kto chciał wprowadzić ekspedycję w błąd. Natychmiast też przyjechała specjalna komisja śledcza. Kilka osób zostało aresztowanych. Później zatrzymano tylko jednego inżyniera, starszego już człowieka. Śledztwo ostatecznie poszło w kierunku wykazania, że spreparowanie i podrzucenie minerału miało na celu

dezorganizację poszukiwań i ośmieszenie naszych specjalistów. Pewnym ludziom zależało na tym, by udowodnić, że sprawca czy sprawcy działali z polecenia obcego wywiadu.

Chory zamyślił się.

— Tego inżyniera — zaczął po chwili — powiedzmy, że nazywał się B., skazano na kilkanaście lat więzienia. Do końca nie przyznawał się do niczego...

Zapatrzył się ponuro w pokład zalewany raz po raz cienką warstwą wody.

— Co prawda — podjął znów — zagadka plutonu 242 nie została ostatecznie wyjaśniona, lecz wobec śmierci rzekomego przestępcy uznano sprawę za załatwioną, a zarzuty zawarte w akcie oskarżenia za potwierdzone. Do prasy dostały się bardzo skąpe wiadomości. Prawie cały proces toczył się przy drzwiach zamkniętych wobec konieczności ochrony tajemnic państwowych.

— I wszyscy wierzyli, że inżynier B. podrzucił ten minerał?

— Nie wszyscy. Choć takie wyjaśnienie zagadki wydawało się jedynie do przyjęcia, przyjaciele inżyniera B. wierzyli, że jest niewinny.

Popatrzył na Irenę niepewnie.

— Ja osobiście inżyniera B. nie znałem — powiedział po chwili. — Ale wiem, że miał przyjaciół. I to przyjaciół, jakich dziś trzeba by ze świecą szukać. Jeden z tych przyjaciół, Gray, był geologiem, podobnie jak inżynier B., tylko że miał trochę zmysłu do interesów i prowadził własne niewielkie przedsiębiorstwo. Gdy dowiedział się o procesie — przyjechał natychmiast. Szczegóły sprawy otoczone były wprawdzie tajemnicą, jednakże któryś z kolegów inżyniera B. opowiedział Grayowi wszystko. Widocznie Gray zorientował się, że sprawa nie jest łatwa, nie poprzestał bowiem na wniesieniu apelacji, lecz postanowił sam zebrać dowody niewinności przyjaciela. Sprzedał swe przedsiębiorstwo, zabrał żonę i pojechał do Afryki. Inżynier B. nie doczekał się już ich powrotu. Umarł w więzieniu zaledwie po roku. Dwa i pół roku po jego śmierci, dokładnie sześć lat temu, posługaczka jednego ze szpitali w naszym mieście przyniosła do mego mieszkania grubą kopertę. Nazwisko nadawcy było mi zupełnie nie znane. Oddawczyni listu też niewiele wiedziała. Jakaś kobieta, zmarła w szpitalu na białaczkę, prosiła ją przed śmiercią, aby oddała osobiście tę przesyłkę adresatowi. W kopercie znajdował się obszerny list adresowany do mnie, kilkanaście zdjęć, mapka, trzy plany sytuacje oraz siedem szkiców znalezisk. Zmarła kobieta była żoną Graya.

Nieznajomy zmarszczył brwi. Wyraz jego twarzy wskazywał, że nasłuchuje. Wiatr wzmógł się nieco i o burtę dryfującej tratwy uderzały co chwila niewysokie bałwany, opryskując rozbitków.

Irena również poczęła odruchowo nasłuchiwać. Ale nie mogła wyłowić żadnego dźwięku spośród szumu przelewającej się wody.

— Zdawało mi się — powiedział nieznajomy.

— Co się panu zdawało?

— Że słychać huk wystrzału, potem syrenę...

— Już powinien nadejść ratunek.

— Powinien — potwierdził chory, wpatrując się w srebrny sierp księżycy, coraz

wyrazistszy na ciemniejszym niebie.

Umoczył szmatę w wodzie i zwilżył sobie czoło. Potem rozparł się w rogu tratwy i udawał, że drzemie. Świadczyło o tym niespokojne drżenie jego powiek za każdym gwałtownym porywem wiatru czy ruchem tratwy.

Tak trwali oboje w milczeniu kilkanaście minut. Widocznie nieznamy odbiegł myślą daleko od toku swego opowiadania, bo z ust jego padły niespodziewanie dwa słowa pełne zawodu.

— Jednak nie...

Otworzył oczy. Chwilę patrzył na Irenę, wreszcie z tłumionym westchnieniem rzekł:

— A więc powiem pani, co było dalej, po śmierci Graya i jego żony. Bo Gray też umarł. Wcześniej. Jeszcze tam, w Afryce. Może wykończył go niezdrowy klimat, jakieś choroby tropikalne, a może jeszcze co innego... Dość, że umarł... Pozostała tylko jego żona. I jej też niewiele brakowało... Myślę, że przyczyna leżała w tym, że byli zupełnie nieprzygotowani na to, co tam zastali... W liście Gray przyznawał się do fiaska prób rozwiązania zagadki. On również znalazł kilka kawałków niezwyklej skały, lecz po dokładniejszych badaniach doszedł do tych samych wniosków co eksperci, że to sztuczny produkt. Nie dlatego jednak napisał do mnie, człowieka, którego znał tylko z publikacji popularnonaukowych. Otóż w czasie bezowocnych poszukiwań złóż owej tajemniczej rudy plutonowej dokonał wraz z żoną przypadkowo odkrycia archeologicznego, które mogło mieć związek ze sprawą inżyniera B. Potrzebował więc oceny specjalisty. W północnej, wyżej położonej części wąwozu odkryli Grayowie niedużą grootę ze śladami jakiejś starej kultury. Wejście było zasypane. Skały obsunęły się widocznie w czasie trzęsienia ziemi. Gray pracował wraz z żoną przez kilka tygodni czy nawet miesięcy, nim zdołał poszerzyć szczelinę.

— Jak więc zauważyli grootę?

— Uwagę ich zwróciły trzy regularne koła pod dużym okapem skalnym. Koła nie były bynajmniej wykute czy wymalowane, ale niejako wtopione w bardzo twardą skałę.

— Wtopione?

— Po prostu, jakby ktoś zatopił trzy obręcze w ciekłym betonie. Odcinały się jasnożółtą barwą od szarego tła skalnego. Dokładniejsza analiza wykazała, że obręcze nie są bynajmniej obcym ciałem w skale. Kamień w tym miejscu ma tylko inny odcień i ta zmiana barwy sięga na głębokość mniej więcej czterdziestu centymetrów w głąb skały. Pierścienie są ustawione w ten sposób, że w największym, o średnicy przekraczającej sześć metrów, umieszczono dwa maleńkie kółeczka — jedno, o blisko sześciocentymetrowej średnicy, w samym środku, drugie, cztery razy mniejsze, w odległości około stu osiemdziesięciu centymetrów od środka. Powierzchnia skały była kiedyś w tym miejscu płaska, prawdopodobnie sztucznie wygładzona, uległa jednak ogromnemu zniszczeniu wskutek działania wody i wiatru. Od szczeliny pod okapem prowadził wąski, kręty korytarz do małej salki w kształcie ostrosłupa foremego o podstawie kwadratowej. W salkie, jak i w korytarzu, natrafiono na grubą warstwę stwardniałego nawozu pozostawionego

przez nietoperze i innych mieszkańców groty. Głębiej znaleziono kości należące niewątpliwie do człowieka pierwotnego. Wskazywało to, że salka służyła również za schronienie ludziom lub była miejscem jakiegoś kultu.

— Czyżby wykuto ją sztucznie w skale?

— Nie ulegało wątpliwości, że tylko korytarz był naturalnym tworem. Sam dokonałem dokładnych badań. Każda ściana salki miała kształt trójkąta równobocznego. Każdy kąt sześćdziesiąt stopni...

— Więc pan tam był?

— Byłem. Już zdjęcia i szkice załączone do listu wystarczyły, by sprawę potraktować poważnie. Ale wróćmy do notatek Graya. Otóż na trzech ścianach tej komnaty, jeśli można tak nazwać przebudowaną grootę, zauważyli Grayowie pewne geometryczne elementy. Najciekawsze, że elementy te — wyłącznie kropki i kółka — były źródłem silnego promieniowania jądrowego.

— Budowniczo mogli nieświadomie używać do zdobnictwa materiałów zawierających substancje promieniotwórcze — wtrąciła Irena.

— Tak. Samo przez się nie było to jeszcze powodem do zdziwienia, jeśli wziąć pod uwagę, że teren należał do stosunkowo zasobnych w tor i uran. Rewelacyjność odkrycia Grayów polegała na tym, że analiza tlenków metali zawartych w tych minerałach wykazywała między innymi znaczny procent transuranów. Później stwierdziłem niezbitcie, że są to: pluton 244, neptun 237, pluton 242 oraz pewne niewielkie ślady kiuru 245, plutonu 239 i ameryku 243. A więc izotopy transuranów o najdłuższym znanym dotąd okresie samorzutnego rozpadu. Również w czasie drażenia przejścia do groty liczniki wykazywały znaczne natężenie promieniowania, jakkolwiek Grayowie wyraźnych żył pierwiastków radioaktywnych nie znaleźli. Wszystkie ich spostrzeżenia sprawdziłem osobiście. Przypuszczam też, że zarówno Gray, jak i jego żona otrzymali za dużą dawkę promieniowania i to stało się główną przyczyną ich śmierci. Gdy stan Graya zaczął się gwałtownie pogarszać, a ponadto fundusze były już na wyczerpaniu — postanowili wracać. W drodze Gray zmarł. Może wiadomość o zgonie przyjaciela, dla którego wszystko poświęcił, przyspieszyła śmierć. Nie wiadomo. Żona Graya przybyła do kraju sama. Nie wiem, czy zdążyła oddać próbki do analizy, czy też zaginęły w szpitalu. W każdym razie nie odnalazłem ich. Sądzę, że mogła powierzyć je tylko bardzo bliskiemu przyjacielowi, bo przecież chodziło tu o surowiec o znaczeniu militarnym. Tak czy inaczej — nikt się do mnie nie zgłosił. Byłem więc jedynym spadkobiercą odkrycia.

Umilkł i zamyślił się.

— To, co pan mówi, jest tak niezwykle... — odezwała się Irena. Nie ukrywała ogromnego wrażenia jakie wywarło na niej opowiadanie.

Oczy nieznajomego zabłysły. Na ustach wykwitł triumfalny uśmiech.

— Niezwykłe? Niezwykłe? — powtórzył i zaśmiał się. — Niezwykłe, rewelacyjne odkrycia nastąpiły dopiero później! Odkrycie Grayów było tylko uchwyceniem właściwego tropu! Niewyraźnego jeszcze tropu wielkiego odkrycia!

Twarz jego nabrała znów jakiegoś chorobliwego, niespokojnego wyrazu.

— O tym możesz się dowiedzieć tylko ode mnie. Od nikogo więcej. Na całej kuli

ziemskiej!... Tylko ja mam prawo do tego odkrycia! Ja i Grayowie! Ale oni nie żyją...

Duch przekory obudził się w Irenie.

— Jeśli nie odkrylibyście tej groty, to prędzej czy później zrobiłby to ktoś inny...

Spojrzał na Irenę złym, nieprzyjemnym wzrokiem.

— Może... Teraz jednak tylko ja znam tę prawdę. Teraz mogą przewrócić grootę do góry nogami i... nic nie znajdą...

— A jeśli zginiemy?

W oczach chorego pojawił się strach.

— Ty nie zginiesz. Nie zginiesz! Tobie nie wolno zginąć! Ratunek nadejdzie. Jeśli nie dziś, to jutro. Pojutrze. Ja ci powiem wszystko. I dam klucz...

Powoli się uspokajał.

— Tego samego roku pojechałem do Afryki — podjął opowieść już niemal zwykłym, beznamiętnym tonem. — Kierując się planami i wskazówkami Grayów, łatwo znalazłem grootę. Chciałem przede wszystkim rozstrzygnąć jeden zasadniczy problem; wśród zdjęć Graya były dwa przedstawiające fragment czaszki ludzkiej, znalezionej w jaskini. Odłamek ten wydał mi się bardzo podobny do fragmentu czaszki ze Steinheim^[1]. Dokładne zlokalizowanie znaleziska pozwoliłoby może określić wiek budowli. Mówię „może”, bo według dotychczasowych badań, nie jest rzeczą prawdopodobną, aby istoty stojące niżej od neandertalczyka mogły być twórcami wysokiej kultury. Chciałem też ustalić, w jakim stopniu budowniczowie komnaty opanowali arkana geometrii. Zdjęcia i opisy Grayów nie dawały dość jasnego poglądu na tę kwestię. Wyniki moich badań przeszły wszelkie oczekiwania. W samej komnacie odnalazłem szczątki kostne przodków człowieka. Należały one do kilku osobników, których niewątpliwie można było zaliczyć do formy pośredniej między pitekantropem, a neandertalczykiem. Nie ulegało więc wątpliwości, że komnata miała co najmniej kilkaset tysięcy lat. Już jednak pierwsze pomiary wykazały niezwykle wysoki poziom techniczny i matematyczny jej budowniczych. W pierwszych notatkach napisałem, że nie powstydziliby się takiej budowli twórcy piramid egipskich. Wtedy uważałem zdanie za zbyt śmiałe i wykreśliłem je z notesu. Nie zdawałem sobie zupełnie sprawy, że znalezienie właściwej skali porównawczej było... niemożliwe.

— Czyż w ogóle mogło to być dzieło ludzi stojących niżej od neandertalczyków?

— Otóż właśnie! Chodzi o to, że przyjęcie takiej hipotezy oznaczałoby rewolucję w naszych poglądach na rozwój gatunku ludzkiego. Nie miałem jeszcze dostatecznych podstaw do wyciągania takiego wniosku. W pierwszym więc rzędzie zająłem się szczegółowym zbadaniem osadów nagromadzonych w jaskini, a zwłaszcza w komnacie. Chciałem dotrzeć do pierwotnej skały i znaleźć jakieś materiały z okresu przebudowy pieczary. Tu nastąpiło pierwsze rewelacyjne odkrycie. Komnata w rzeczywistości nie miała pierwotnie płaskiej podłogi, lecz była ośmiościanem foremny. Po usunięciu naleciałości odkryłem dół czy basen podobny kształtem do formy na odwróconą piramidę. Szczegółowe badania nagromadzonych tam szczątków organicznych wykazały, że budowla jest znacznie starsza od kości ludzkich i zwierzęcych, które tam znalazłem.

— Czyim więc była dziełem?

— Pierwszy wniosek, jaki się nasuwał, sugerował, że kultura ludzka jest znacznie starsza, niż to się dziś przyjmuje. Może pitekanthrop i neandertalczyk nie są naszymi przodkami w prostej linii, lecz jakimś bocznym odgałęzieniem drzewa genealogicznego, ślepą uliczką w ewolucji człowieka? Przyjęcie takiej hipotezy było pociągające. Czym jednak wypełnić lukę między budowlami egipskimi a ośmiościenną komnatą? Lukę w czasie, która mogła przekraczać pół miliona lat? I wówczas przypominała mi się legenda o... Atlantydzie.

— Atlantyda... Więc Atlantyda istniała naprawdę?

Nie dosłyszał pytania.

— Po dwóch latach opuściłem Afrykę — ciągnął opowieść. — W bagażach wiozłem bogaty plon badań. Znaleźiska, próbki minerałów, szkice i zdjęcia. Po powrocie zabrałem się też zaraz do roboty. Na nieszczęście miejscowa prasa dowiedziała się, że powróciłem z Afryki z jakimś ciekawym materiałem. Przysłali do mnie reporterów. Oczywiście nie miałem zamiaru ujawniać szczegółów odkryć ani miejsca znaleźiska. Nie mówiąc już o kulisach całej sprawy. Przecież tylko wariat ściągałby sam sobie na głowę organa śledcze. Ponadto nie leży w moim zwyczaju oddawanie lepszych kąsków komu innemu. Chciałem samodzielnie opracować całe zagadnienie, a dopiero później, po usunięciu wszelkich wątpliwości, wystąpić publicznie.

Popełniłem jednak jeden fałszywy krok. W rozmowie z asystentem powiedziałem nieopatrznie, że jestem na tropie nowego rozwiązania zagadki Atlantydy, że mam w swym ręku dowód, iż cywilizacja ludzka istniała w czasie, gdy po Ziemi spacerował pitekanthrop. Chłopak nie umiał trzymać języka za zębami. Wiadomość przesiąkała do prasy. Co prawda nie od razu, ale dwa miesiące po tej rozmowie. Zasypano mnie wówczas gradem pytań, na które nie chciałem dać odpowiedzi. Koledzy zerwali ze mną stosunki. Najgorsze jednak było to, że znaleźli się ludzie, którzy poczuli... powoływać się na mój autorytet. Pewna sekta religijna głosiła na przykład, że znalazłem jeszcze jeden dowód... stworzenia człowieka. Moje odkrycia miały rzekomo potwierdzać, że Bóg stworzył w jednym akcie twórczym człowieka rozumnego, już w pełni ucywilizowanego Adama!...

Niektóre doniesienia i artykuły utrzymane były w stylu pseudonaukowym. Twierdzono na przykład, że znalazłem grób człowieka podobnego zupełnie do człowieka współczesnego, ale pochodzący z epoki znacznie dawniejszej niż znaleźiska pitekantrupa. Sugerowano mi dowód, że pitekanthrop i neandertalczyk nie byli przodkami człowieka, lecz małpami podobnymi do ludzi i posługującymi się prymitywnymi narzędziami. Niewiele bym się tymi bzdurami przejmował, gdyby nie to, że zaraz odezwały się koła naukowe. Niektórzy naukowcy zwrócili się do mnie z publicznymi zapytaniem. Starłem się, oczywiście, odpowiadać jak najbardziej ogólnikowo, zastrzegając, iż na wnioski jeszcze za wcześnie. Niestety, wkrótce zrozumiałem, że pewnym kołom nie chodzi bynajmniej o prawdę, lecz po prostu szukają one naukowego potwierdzenia swych teorii politycznych. Główną akcję podjęło pewne rasistowskie przedsiębiorstwo wydawniczo-telewizyjne. W jakiejś

audycji jeden z popularyzatorów nauki powołał się na mnie. Oświadczył, że udowodniłem jakoby rasa biała była starsza od czarnej i żółtej o setki tysięcy lat. Twierdzono, że odnajdywane dotąd szczątki kopalne należą do przodków tych dwóch, rzekomo niższych ras. Wzywano do stworzenia fundacji dla kontynuowania prac.

Wzmianką o Atlantydzie interesowała się głównie prasa brukowa. Oficjalnie w kołach naukowych mówiono o „kulturze głównego pnia genealogicznego”, która uległa zagładzie w wyniku jakiejś niewyjaśnionej katastrofy. Prasa, radio i telewizja atakowały mnie coraz natarczywiej. Poczęto też wywierać nacisk poprzez kierownictwo uczelni, w której wykładałem.

— No, a pan?

— Ja? Nic. Milczałem, kluczyłem, lawirowałem lub wprost przeczyłem. Czułem się jak człowiek, który dobrowolnie dał się ponieść rzece i nie wie, gdzie ona go zaniecie, a dopłynąć do brzegu nie ma siły. Na pierwszą wyprawę do Afryki wyprzedzałem się poważnie. Na drugą nie miałem funduszków. Tymczasem im więcej zagłębiałem się w przywiezione materiały, tym wyraźniej zdawałem sobie sprawę, że muszę tam pojechać jeszcze raz. Już w połowie pierwszego roku po powrocie zrozumiałem, że... nic nie rozumiem. Że co krok napotykałam sprzeczności i przeszkody nie do pokonania, jak choćby sprawa określenia wieku znalezisk. Pewno pani wie, że najdokładniejszą metodą oznaczania bezwzględnego wieku minerałów, okazów paleontologicznych czy archeologicznych jest metoda badania przemian izotopów radioaktywnych. Niestety, metoda radiowęglą przy obecnych środkach technicznych zawodzi, gdy znaleziska mają ponad czterdzieści tysięcy lat. Z kolei metoda ołowiowa i strontowa nie nadają się do badania okresów krótszych od kilkunastu milionów lat. Na metodzie helowej zaś nie mogłem polegać ze względu na przepuszczalność skał groty. Zegar promieniotwórczy wskazywał tylko sekundy bądź godziny dziejowe, a ja musiałem mierzyć czas w minutach. Co prawda, stosując łącznie wszystkie te metody, a zwłaszcza analizując przeobrażenia transuranów, doszedłem do wniosku, że budowla ma ponad pięćset tysięcy lat, ale mniej niż dwa miliony, jednakże nie byłem całkiem pewny tych przybliżonych wyników. Wszak z transuranami stykałem się po raz pierwszy.

— Nie mógł pan zaprosić fachowców do współpracy?

Przez twarz uczonego przebiegł grymas niezadowolenia. Nic nie odpowiedział, tylko ciągnął dalej swą opowieść, jakby nie słyszał uwagi dziewczyny.

— Najbardziej niepokojące było to, że co krok odkrywałem dowody ogromnej wiedzy budowniczych komnaty. Pamięta pani te trzy koła nad wejściem do groty?... Przez dłuższy czas nie potrafiłem wytłumaczyć ich znaczenia. Dopiero kiedyś, przypadkowo przeglądając jakąś popularną książkę astronomiczną, znalazłem rozwiązanie zagadki. Spostrzegłem rysunek przedstawiający porównawczo wielkość Słońca, Ziemi i Księżyca.

— Czyżby?...

— Tak! — błysnął w mroku białkami oczu. — To nie mógł być zbieg okoliczności! Wszystkie proporcje były zachowane z ogromną dokładnością. Nawet

średnia odległość Księżyca od Ziemi. Budowniczo wie groty znali rzeczywiste wymiary ciał niebieskich i ich wzajemne odległości. Po tym pierwszym odkryciu posypały się dalsze. Koła i punkty na ścianach komnaty to były modele poszczególnych planet z zachowaniem ścisłych wzajemnych proporcji. Był tam nawet Pluton. I jeszcze jedna planeta, o której, niestety, jeszcze nic nie wiemy. Zaczynałem wierzyć w cuda. Bo rozkład elementów zdawał się zupełnie wykluczać przypadek czy przywidzenie. Szczególnie zainteresowało mnie koło, które odpowiadało pozycją planecie Wenus. Średnica tarczy odpowiadała w porównaniu z innymi planetami wymiarom nieco mniejszym od średnicy Wenus obliczonej na podstawie zdjęć dokonanych w promieniach podczerwonych. Czyżby astronomowie sprzed setek tysięcy lat znali lepiej od nas grubość atmosfery Wenus?... Zacząłem wierzyć, że owe transurany są również osiągnięciem ich techniki! Na setki tysięcy lat przedtem, zanim istota ludzka nazywana przez nas pracłowiekiem nauczyła się krzesać ogień!

— Atlantydzi...

— Jakże śmieszne są nasze legendy o Atlantydzie!... — zapalał się coraz bardziej. — I cóż stało się z tą wspaniałą cywilizacją, wyższą od naszej cywilizacji dwudziestego wieku? Dlaczego pozostały z niej tak nędzne, nieliczne ślady?

— Może unicestwiła się sama w morderczej wojnie? — podjęła Irena. — Einstein mówił, że nie wie, jaka broń może być użyta w trzeciej wojnie światowej, ale wie, że w czwartej będą to już tylko maczugi i kamienie. Jeśli cywilizacja Atlantydwów istniała...

— Nie istniała! — przerwał tak porywczo, że Irena aż zadrżała.

Zapanowało milczenie. Dziewczyna wpatrywała się z wysiłkiem w ciemność. W słabym blasku księżycowego sierpa trudno było dostrzec wyraz twarzy uczonego.

— Atlantyda nie istniała — powtórzył nieznajomy jakby z satysfakcją.

— Przecież przed chwilą sam pan powiedział, że kilkaset tysięcy lat temu...

— To nie była cywilizacja Atlantydwów — przerwał już spokojnie. — Moje pierwsze wnioski były fałszywe.

— Mniejsza o nazwę — Irena zaczynała się denerwować. — W każdym razie, jeśli to, co pan tu naopowiadał, nie zrodziło się tylko w pańskiej wyobraźni — znalazł pan ślady jakiejś wysokiej cywilizacji ludzkiej.

— Czy ludzkiej?... — powiedział wolno i chociaż wokół panowała ciemność, Irena czuła, że się uśmiechnął.

— Nie rozumiem. Czy myśli pan, że oprócz ludzkiej mogła istnieć na Ziemi jakaś inna...

Nie dokończyła. Pograżona w mroku twarz uczonego pojaśniała naraz słabą czerwienią i dziewczyna ujrzała, jak w oczach chorego pojawiło się zdziwienie, a potem radość.

— Tam! Patrz! Tam!

Irena odwróciła głowę. Daleko, na horyzoncie, przygasał z wolna czerwony blask.

— Rakieta!...

— Tak! To rakietka! — podchwycił żywo chory. — Tam muszą być szalupy ratunkowe!... Na pewno jakiś statek przypłynął na ratunek! Marynarze z „Little Mary” mają na łodziach rakietnice!

— Czy oni nas spostrzegą? Teraz? W nocy?...

— Wątpię, aby ograniczyli się do poszukiwania tylko w nocy. Oczywiście najpierw zajęli się szalupami. Na pewno nas nie zostawią. Rano...

Znów pojaśniało niebo. Czerwona gwiazdka wyrzała na chwilę zza widnokręgu, a nieco dalej od niej, na zachodzie — zielona. Niemal jednocześnie dobiegło ich dalekie, przerywane buczenie syreny okrętowej.

Wsłuchiwali się oboje w ten dźwięk zwiastujący im ocalenie. I choć buczenie syreny wkrótce pochłonął szum rozkołysanego morza, trwali dalej w nerwowym oczekiwaniu.

IV

Wąski sierp księżycyca tonął z wolna we mgle czy dymie ścielącym się na widnokregu. Nieznajomy, oparty o pływak tratwy, począł obmacywać chorą rękę.

— Dokucza panu? — przerwała milczenie Irena.

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili, opryskliwie, ze złością:

— Nic mi nie jest! Do rana wytrzymam. A jak będzie potrzeba, to i do przyszłego wieczora!...

— Myślałam... że, może...

— Myślałam... myślałam... A może pani czeka na dalszy ciąg opowieści? Co? Zaciekawilo panią?

— Bardzo.

— Ale koniec musi pani sama stworzyć. Mnie już nie starcza fantazji...

— Nie rozumiem?!

— Czyżby to wszystko, co opowiadałem, brała pani na serio? A to świetne! — zaśmiał się nieznajomy. — Widocznie mam nie lada talent. Muszę zostać literatem. Nie ma co.

— Teraz już nic nie rozumiem.

— Czy nie mówiłem pani, że w takich pozornie beznadziejnych chwilach, w sytuacji takiej jak nasza, dobrze jest odbiec myślami w świat złudy...

— No tak. Ale...

— Widzę, że jeśli przyjdzie mi do głowy dobre zakończenie tej fantastycznej historii, to napiszę sensacyjną powieść. Oczywiście zastrzegam sobie w pełni prawa autorskie! Spodziewam się, że nie przywłaszczy sobie pani pomysłu i nie będzie opisywała lub opowiadała komuś... No i co? Widzę, że rozczarowałem panią. Bardzo mi przykro...

Irena milczała. Czuła w głowie chaos.

Podkurczyła nogi i wsparłszy głowę na kolanach, usiłowała zasnąć. Sen jednak nie nadchodził. Przeszkadzały nie tylko głód i pragnienie. Napięcie nerwów było zbyt silne i długotrwałe. Potęgowało je jeszcze zachowanie się nieznajomego, którego znów zaczęła podejrzewać o obłąd. Większą część nocy przetrwała w nerwowym półśnie. Podrywała głowę na każdy gwałtowniejszy ruch tratwy, na każdy jęk gorączkującego współtowarzysza.

Zasnęła dopiero przed świtem, i to na krótko. Zbudziło ją szarpnięcie za nogę. W mroku ujrzała przed sobą bezwładne ciało nieznajomego. Widocznie usiłował podpełznąć do niej, lecz nie starczyło mu sił.

Z trudem przesunęła go na powrót w róg tratwy i ułożyła w możliwie wygodnej pozycji. Gorączka bardzo wzrosła, ale wydawał się przytomny.

— Niech pani słucha — chwycił ją za rękę. — Koniecznie... Nie wiem, czy przeżyję do rana... Niech pani słucha. Oni ponawiali oferty... Kilkakrotnie... Wreszcie uderzyli. Podstępnie... z boku... — mówił urywanie, z trudem łapiąc powietrze.

— Kto? O czym pan mówi?

— Oni. Ci, co chcieli tworzyć fundację... Dokonano włamania... do mojej willi... Zginęły dwie błony... I ten fragment czaszki... Mówiłem pani — podobny do steinheimowskiej... Wiedzieli co brać... Musieli mnie dobrze obserwować... Na szczęście nie byłem głupi... zaraz po powrocie z Afryki zniszczyłem wszystkie mapy i plany...

Wstrząsnął nim dreszcz.

Irena zdjęła bluzę i usiłowała go okryć.

— Niech pani to zostawi... I tak mi nic nie pomoże — szeptał nerwowo. — Niech pani lepiej słucha. Zwróciłem się do policji... Poradzono mi, abym zastrzegł ogłoszeniem w prasie prawo reprodukcji zdjęć. Tak zrobiłem... Tymczasem otrzymałem anonim... Proponowano mi wykup materiałów... Nie było mowy, abym mógł zdobyć pieniądze... Następnego dnia zgłosił się do mnie przedstawiciel wydawnictwa... zaproponował mi napisanie artykułu do pracy zbiorowej o pochodzeniu ras. Nie stawiano zresztą żadnych szczególnych żądań. Wystarczyło im suche omówienie znalezisk... Powiedziałem, że moja praca nie jest jeszcze zakończona i nie mogę ujawnić miejsca odkrycia... Zapewniał, że to głupstwo. Że mogą poczekać, aż zakończę pracę... Suma była wysoka. Podpisałem umowę. Zapytał wówczas, kiedy wyjadę do Afryki... Nie miałem co ukrywać. Gdy powiedziałem, że chodzi o pieniądze — zrozumiałem, że tylko na to czekał... Mówił, że wydawnictwo gotowe jest sfinansować ekspedycję... Miałem za to napisać dla nich książkę o tych odkryciach... Wszelkie znaleziska miały się stać własnością moją i ich... Do spółki...

Umilkł oddychając ciężko. Irena uklękła przy chorym, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

Świtało.

— I podpisał pan?

Skinął głową i poruszył z wysiłkiem spieczonymi wargami.

— Musieli się jednak zgodzić na warunek... Ze mną niełatwo... W ekspedycji wzięli udział tylko ludzie wybrani przeze mnie... I... że... nie opublikują żadnej wiadomości... przed upływem roku...

— Czy oni znali szczegóły poprzednich pańskich badań?

— Bardzo ogólnie... O transuranach — nic... To by mnie oddało w ich ręce... Pojechałem z dwoma młodymi asystentami. Później okazało się, że zostali oni kupieni przez owo wydawnictwo... Gdy po roku wróciliśmy z Afryki — już nie byłem potrzebny... A nawet, ściślej mówiąc, przeszkadzałem... Wydawnictwo chciało, aby odkrycia moje podbudowały teorię wyższości rasy białej. Ja mogłem godzić się tylko na to, co wynikało z faktów... A to nie wystarczyło... Fakty nie podważały bynajmniej poprzednich odkryć... Podział na rasy nastąpił dopiero w młodszym paleolicie. Dopiero w ostatnich fazach epoki lodowej. Ale inni zgodzili się zebrać materiały takie, jakie potrzebne były wydawnictwu... Mnie zapłacili odszkodowanie... Wymusili, abym się przestał interesować moim odkryciem... Moim odkryciem!!! Rozumie pani?!...

— Jak to „wymusili”?!

— Odkryli ślady transuranów. Usiłovali to wykorzystać przeciw mnie... Że złamałem umowę... Nie byłem taki głupi. Niczego mi nie udowodnili... Nic nie musiałem wiedzieć o transuranach, jestem archeologiem! Zresztą dobrze, że się tak stało... Odnalezienie transuranów bardzo im utrudniło wykorzystanie materiałów naukowych... Cóż warto jest znalezisko bez podania miejsca jego odkrycia? Znów odezwało się Ministerstwo Obrony... Rozpoczęto nowe poszukiwania... Nie powiem... mieli dość interesujące osiągnięcia... Stwierdzili, że ci z grot budowali w wąwozie przed tysiącami lat jakieś urządzenia. Pozostały tylko ślady... Bardzo nieliczne... Lecz na próżno szukano złóż... Ale mnie już wtedy w Afryce nie było... Nie czepiali się mnie zresztą zbytnio. I tak zagarnęli ogromne materiały! Okradli mnie... Okradli mnie z odkrycia... Ale... — wpił dygoczące palce w ramię Ireny. — Nie wiedzieli... że... że... i ja ich oszukałem... że ukryłem przed nimi i wywozłem znalezisko... I to jakie znalezisko! Jego wartości nie opłacą wszystkie bogactwa świata.

Oddech chorego stał się świszczący. Rozpalona twarz nabrzmiała.

Dopiero po dłuższej chwili wrócił nieco do siebie.

— Ściany komnaty sondowałem sam — podjął z wysiłkiem opowieść. — Wie pani, jak działa aparat ultradźwiękowy? Łatwo wykryć każde ciało o innej gęstości i sztywności. Miałem przecucie... Do miejsc nie zbadanych nikogo nie dopuszczałem... Asystenci mogli pracować dopiero po mnie... Nie wiedzieli, że pod kołem oznaczającym Ziemię... na jednej ze ścian komnaty, znalazłem... blisko dziewięciocentymetrową rurkę... Cienką jak ołówek... Była umieszczona w otworze wytopionym w skale. Zagwożdżona metalowym czopem... Rurkę wyjąłem nocą... Ślad zatarłem w ten sposób, że przewierciłem otwór szerszym świdrem. Wyglądało na zwykłą pracę poszukiwawczą. Mówię to tobie pierwszej... Mówię po to, abyś nie myślała, że kłamię... Asystenci żyją... Jeden jest dziś profesorem... Na pewno będzie pamiętał ten otwór... Pytali się wówczas, ale nie dowiedzieli się prawdy... Nikt się nie dowiedział do dziś! Choć mnie szpiegują, obserwują... Choć muszę stale mylić ślady...

— Co to była za rurka?

— Znalazłem jeszcze trzy takie same, tylko w innych miejscach... Były przezroczyste jak ze szkła... Ale to nie szkło... Wewnątrz były jakieś krążki o średnicy nie większej od milimetra... Ale nie mogłem zająć się badaniem tych rurek... Nie mogłem budzić podejrzeń... Ukryłem je... Czułem, że to klucz do zagadki...

Umilkł. Puścił rękę Ireny i sięgnął do swej piersi.

Chwilę szukał czegoś pod koszulą, wreszcie odnalazł klucz. Dopiero gdy ukrył go w dłoni, począł mówić dalej, głosem urywanym, to słabnącym, to znów wzmaganym ogromnym wysiłkiem woli.

— Dopiero półtora roku temu zająłem się rurkami. Porozpiłowywałem je i znalazłem w każdej osiemset sześćdziesiąt cztery krążki cienkie jak bibułka. Gdy po raz pierwszy podsunąłem jeden z tych krążków pod mikroskop o mało nie zemdlałem z wrażenia... To były zdjęcia!... Kolorowe!... Jakże subtelne w doborze barw! Na cienkich, przezroczystych płatkach, wykonanych z jakiegoś plastiku... Byłem wstrząśnięty odkryciem, ale zarazem ogarnął mnie strach. Pomyślałem, że wszystko to może być błąd, wielki błąd... Że mogę być ofiarą jakiegoś bardzo zręcznie

zainscenizowanego oszustwa. Oszustwa potrzebnego komuś dla jakichś niewiadomych mi celów... Komuś, kto usiłował może umocnić swą teorię fałszerstwem. Im dłużej myślałem o wszystkim, tym większe ogarniało mnie przerażenie. Przecież nigdy na oczy nie widziałem ani inżyniera B., ani Graya. Jacyś ludzie mogli wykorzystać śmierć nie znanej kobiety... Ale niepotrzebnie się lękałem. Niepotrzebna nawet były analiza tworzywa, z którego zrobiono rurki. Ta bardzo skomplikowana chemicznie, przezroczysta substancja miała ponad pół miliona lat... Treść barwnych obrazków sama mówiła za siebie. Był to list. List do nas! List sprzed pięciuset tysięcy lat! Do nas! Do ludzi XX wieku!

Teraz Irena już była pewna, że chory bredzi. Co prawda nie wątpiła, że w dziwacznej opowieści nieznanego kryje się jakieś prawdziwe zdarzenie. Jednak czyż mogła odróżnić fikcję stworzoną przez chory mózg od prawdy, którą chciał ten umierający człowiek przekazać nieznannej dziewczynie?

Umoczyła szmatę i zaczęła przecierać skronie chorego. Wodził za nią oczami i jakby czytając jej myśli, powtarzał:

— Słuchaj... Słuchaj mnie... Widzę, że mi nie wierzysz. Wiem, to przerasta nasz rozum... Tu rzeczywistość zatracą realny kształt... Słowa przestają mieć sens... Nie wierzysz mi? Nie wierzysz mi...

— Ależ wierzę panu — odpowiedziała machinalnie.

— Niech pani położy tę szmatę tu, na twarzy... Już lżej mi... Czasu zostało niewiele... Ale czuję, że bez szczegółów nie uwierzysz. Na płytkach tych były różne obrazy. Utrwalone jakąś... nieznaną nam metodą fotograficzną. Większość to widoki przyrody, roślin, zwierząt... I nie tylko roślin i zwierząt — byli tam również ludzie... Źle się wyraziłem — to były istoty, które dziś zwiemy potocznie małpoludami. Zresztą nie tylko one, cała przyroda świadczyła, że był to pierwszy okres międzylodowcowy. Interglacja! Günz-Mindel! Rozumie pani?! Günz-Mindel!...

Przymknął oczy.

— Nieprędko jednak odczytałem ten obrazkowy list — podjął po chwili. — Chociaż łatwo ustalić kolejność poszczególnych płytek...

— Jak to możliwe? Czyżby numeracja?!

— Nie. Skądże by oni mogli przewidzieć? Skąd mieli wiedzieć, jakimi drogami pójdzie pismo istot, które w owym czasie były tylko małpoludami?...

— Jakich istot?

— Nas. Ludzi. Przecież na Ziemi nie było jeszcze wówczas człowieka, którego nazywamy *Homo sapiens*. Oni spotkali tylko pierwociny ludzkości. Pierwociny, z których miała za setki tysięcy lat powstać istota mieniąca się dziś panem świata.

Nowe siły zdawały się wstępować w zamierający organizm.

— Oni przewidzieli! Przewidzieli potęgą swej wiedzy, że z tych słabych, trawionych chorobami i walczących rozpaczliwie z przyrodą istot będą kiedyś istoty rozumne... Będziemy my, ludzie, zdolni do stworzenia wielkiej kultury i techniki! Ale rozwoju pisma ani mowy nie mogli przewidzieć, przecież nie byli jasnowidzami!... Kolejność zdjęć zaznaczyli dwiema nierównoległymi liniami... Dwa nacięcia biegnące na krawędziach krążków... Widzieli jednak, znali tych, którzy w przyszłości mieli

czytać te listy. Znali budowę ich oczu, mózgów. Znali czułość siatekówki na zakres fal elektromagnetycznych! I dlatego ich obrazy są zupełnie czytelne dla naszych oczu. Po prostu celowo wyrażali swe myśli środkami dostępnymi naszym zmysłom. Czy to nie świadczy o ogromnym wczuciu się w psychikę innych istot? Czy nie świadczy o związku, jaki łączy istoty rozumne we wszechświecie?

— Ale kto oni byli? Dlaczego zginęli?

— Nie zginęli. Odeszli. Odlecieli gdzieś ku innym światom... Może wrócili tam, skąd przybyli do nas?...

— A więc podejrzewa pan, że to były istoty przybyłe z jakichś innych planet?...

— Nie podejrzewam, lecz wiem na pewno! Powiem więcej, oni nie przylecieli ani z Marsa, ani z Wenus, ani z żadnej innej planety naszego Układu Słonecznego. Wówczas odwiedziny byłyby częstsze... To byli goście międzygwiazdni... Niestety, nie udało mi się jeszcze stwierdzić, skąd przybyli...

— Ale na jakiej podstawie pan przypuszcza, że krążki były dziełem istot pozaziemskiego pochodzenia?

— Część obrazków przedstawiała zbliżanie się do Układu Słonecznego... Potem podróż przez Układ Słoneczny... Wreszcie Ziemia. Ziemia widziana pół miliona lat temu!...

— Dlaczego? Po co do nas przybyli?

Przez twarz umierającego przebiegł słaby uśmiech.

— Czy wizyta gości kosmicznych musi nastąpić koniecznie wtedy, gdy będziemy w domu? Gdy będziemy do tego przygotowani?... Ziemia istnieje ponad trzy miliardy lat. Historyczne dzieje ludzkości to zaledwie kilka tysięcy. Naiwnością byłoby ludzić się, że takie odwiedziny nastąpią dziś... Właśnie w XX czy XXI wieku!

Twarc chorego wykrzywił ból. Przymknął nerwowo powieki. Oddech jego znów stał się świszczący i nieregularny.

— Czy znalazł pan wśród mikrozdjęć wizerunki tych istot?

Umierający z wysiłkiem przełknął gęstą ślinę. Irenie wydało się, że patrzy na nią z jakąś tkliwością. Widocznie siły go opuściły, bo tylko słabym ruchem głowy i powiek dał twierdzącą odpowiedź.

— Czy oni są podobni do nas?...

Poruszył się niespokojnie. Irena nie była pewna, czy zaprzeczył, czy po prostu miało to oznaczać wzruszenie ramion. Wpatrywał się z rozpaczą w twarz dziewczyny. Żył nabrzmiały mu na skroniach. Szept ginął jednak w szumie morza. Zbliżywszy ucho niemal do samych ust umierającego, usłyszała urywane słowa:

— ...pełniące funkcje rąk... ale to nie są ludzkie ręce... Mają oczy, które pełnią te same funkcje... ale to nie są nasze oczy... Są inni, a jednak podobni... Oni wiedzieli... przewidzieli, że małpoludy stworzą cywilizację... Ślady... list... językiem naszych zmysłów... Istoty rozumne. Ich mądrość... To nie zwierzęta! Choć z innych globów... zrozumiemy... Prawa przyrody... Przyroda jest jedna... Muszą zrozumieć...

Głos jego stawał się coraz cichszy. Naraz jakby zebrał nowe siły. Twarc mu nabrzmiała jeszcze bardziej.

— Są inne miejsca — wychrypiął. — Trzy... czy cztery... punkty orientacyjne...

Łatwo dostępne... Trzeba umieć znaleźć... Jak ta grota w Kaa...

Głos mu się załamał, lecz po chwili podjął jeszcze jeden wysiłek.

— Trzeba szukać... Brazylia... Negro... Ale najważniejsze... Dwa... Dziesięć tysięcy metrów... Na dnie oceanu... I Księżyc... po drugiej stronie... Materiały... Skarby wiedzy... Dostępne dopiero na wyższym szczeblu... Konieczna kultura... Z pożytkiem...

Wargi poruszyły się już bezdźwięcznie, wreszcie zamarły.

Irena chwyciła umierającego za rękę.

— Nazwisko!!! Jak się pan nazywa?!!! Gdzie szukać materiałów?!!! Gdzie szukać materiałów?!!!

Zdawało się jej, że nieznajomy już nie żyje, ale w tej właśnie chwili otworzył oczy. Nie było w nich już jednak dotychczasowej przytomności umysłu.

— Jak się pan nazywa?!!!

— Co? Co? — zachrypiał po angielsku.

I naraz przebiegł błędnymi oczami po niebie.

— Cicho... Cicho... Samolot...

Irena również uniosła głowę, lecz wokoło panowała cisza.

— Samolot... Samolot... Ratunek...

— Gdzie szukać materiałów?! — krzyknęła rozpaczliwie, potrząsając go za ramiona.

— Precz! Nie powiem! Nic nie powiem! Nie dam klucza!

Naraz twarz jego wykrzywił strach.

— Ty wiesz!!! Ty mi ukradłaś!!!!...

Jakimś nadludzkim wysiłkiem dźwignął się na kolana i lewą ręką chwycił Irenę za włosy.

— Ty wiesz!!! — krzyczał. — Musisz zginąć!... Zaraz tu będą!... Nie dam klucza!!!

Całym ciężarem ciała zwałił się bezwładnie na dziewczynę. Szarpnęła się gwałtownie i odepchnęła go od siebie.

Dźwignął się jeszcze raz, lecz w tej samej chwili większa fala zakołysała tratwę. Padł z jękiem na wznak. Ciało jego przesunęło się błyskawicznie przez burtę. Irena rzuciła się naprzód i niemal w ostatniej chwili pochwyciła tonącego. Był już zupełnie bezwładny. Szybko, jak tylko mogła najszybciej, wciągnęła go na tratwę.

Wydawał się martwy.

Przyłożyła głowę do jego piersi.

Czyżby słabe uderzenia serca?

Poczęła nerwowo masować ramiona i szyję nieszczęśliwego.

Wreszcie poruszył ustami, jakby coś przełykał.

— Gdzie szukać materiałów?!!! — zawołała z rozpaczą.

Otworzył oczy. Zsiniałe wargi zadrgały. Nachyliła się i usłyszała tylko jakąś pojedynczą sylabę.

Przymknął powieki.

— Gdzie szukać?!...

Znów poruszył wargami bezdźwięcznie raz i drugi. Starał się dobyć głosu, ale już nie starczyło mu sił. Tylko wyprężył palce lewej ręki, jakby chciał sięgnąć do

piersi. Wśród fałdów rozdartej koszuli błysnął w promieniach wschodzącego słońca klucz.

Irena ujęła delikatnie palcami zimny kawałek metalu.

Spojrzała w twarz umierającego. Wydało jej się, że na jego ustach pojawił się słaby uśmiech.

Tak skonał.

Dopiero czwartego dnia po katastrofie „Little Mary” helikopter poszukujący rozbitków odnalazł Irenę nieprzytomną, w stanie zupełnego wyczerpania.

W dłoni zaciskała kurczowo mały, błyszczący klucz. Była ostatnim z odnalezionych pasażerów zatopionego statku.

Zwłoki nieznanego pochłonęło morze.

Gdy otworzyła oczy, przy łóżku jej stał kapitan „Little Mary”. Chodziło o przekazanie wiadomości rodzinie. Okazało się, że liczba ofiar była mniejsza, niż Irena przypuszczała. Poza czterema marynarzami zginęły tylko trzy kobiety i młody osiemnastoletni chłopiec. Nikt więcej.

Mimo uporczywych pytań nic się nie dowiedziała o archeologu. Nikt nie znał ani nie widział wśród pasażerów mężczyzny, który mógłby odpowiadać rysopisowi jej współtowarzysza na tratwie. Może ukrywał go nielegalnie gdzieś pod pokładem jakiś marynarz? Może nawet jeden z tych, którzy zginęli w katastrofie?

Ale im dłużej rozmyślała, tym silniejsze ogarniało ją wrażenie, że wszystko, co przeżyła — spotkanie z tym dziwnym człowiekiem, jego wyznanie, owa jakże niezwykła opowieść — było tylko gorączkowym majakiem.

Gdyby nie klucz...

1957

Koszmar

I

Tłok w pociągu był duży. Pasażerowie zapełniali nawet korytarze pierwszej klasy. Wacek Kubicz miał jednak wyjątkowe szczęście. Już w Skarżysku zwolniono obok niego trzy miejsca. Oczywiście było przypadkiem, że trafił na pasażerów jadących tylko do Skarżyska, ale przed drzwiami tego właśnie przedziału zatrzymał się nie bez powodu. Przy oknie siedziała bardzo ładna, i to w jego guście, dziewczyna czytająca książkę. Takie towarzystwo było wysoce pożądane w czasie wielogodzinnej i nudnej podróży. Poprosił więc najpierw pasażerów przedziału o prawo ulokowania na półce swego plecaka, a później zajął przy drzwiach pozycję obserwatora, licząc na szczęśliwe zrządzenie losu. Co prawda, dziewczyna zatrzymała na nim, gdy wchodził za ledwie przelotne, odruchowe spojrzenie, niemniej liczył, że okazję do nawiązania rozmowy znajdzie łatwo, jeśli tylko młoda pasażerka nie wysiądzie za wcześnie. Nie spodziewał się, że tak prędko otrzyma miejsce w przedziale, i to tuż obok obiektu swych zainteresowań.

Wraz z Wackiem szczęśliwymi zdobywcami miejsca byli jakaś tęga, niemłoda już kobieta i barczysty łysy kolejarz o twarzy zniszczonej, niemal starczej. Kolejarz energicznym ruchem zamknął drzwi, zdjął płaszcz i okrywając się nim głowę niemal natychmiast zasnął. Korpulentną jejmość również morzył sen. Ziewała raz po raz patrząc w okno, za którym ginęły w ciemności ostatnie światła miasta.

Większość pasażerów przedziału drzemała już od dawna, ukołysana miarowymi przechyłami wagonu i jednostajną muzyką kół. Przy oknie, naprzeciw dziewczyny, chrapał jakiś szpakowaty jegomość, zakrywając twarz numerem „Przekroju”, którego kartki poruszały się rytmicznie za każdym oddechem śpiącego.

Wacek przez dłuższą chwilę przyglądał się pięknemu profilowi swej sąsiadki, po czym spojrzał dyskretnie przez ramię, co czyta. Z radością spostrzegł, że książka otwarta jest w miejscu, gdzie w połowie strony widnieje słowo: „Epilog”, a pod nim tylko kilkadziesiąt wierszy tekstu:

„Trudno się powstrzymać od przypuszczeń. Czy człowiek ten kiedykolwiek powróci?” Słowa wydały się znajome. Począł czytać dalej:

„Być może dostał się w Przeszłość i wpadł między krwiożerczych, włosem porośniętych dzikusów z epoki niegładzonego kamienia, może się dostał w otchłanie morza epoki kredowej lub znalazł wśród dziwnych...”

Dziewczyna zamknęła książkę, lecz owo niedokończone zdanie wystarczyło, aby Wacek przypomniał sobie treść opowiadania. Postanowił skorzystać z okazji.

— Co pani czyta?

Młoda pasażerka przetarła wierzchem dłoni powieki i z lekka się przeciągnęła.

— Wells. Opowieści fantastyczne.

— *Wehikuł czasu?*

Dziewczyna dopiero teraz spojrzała z zainteresowaniem na Wacka i odruchowo przygładziła niesforny lok, który w czasie czytania zsunął się jej na czoło.

— Właśnie skończyłam przed chwilą.

— No i?...

Wzruszyła ramionami; co bynajmniej nie miało oznaczać lekceważenia.

— Lubię takie dziwne, fantastyczne historie.

— Świat Eloiów i Morloków...

— Tak, właśnie. Jeśli traktować tę wizję Wellsa poważnie, jako przewidywanie przyszłości... — nie dokończyła podjętej myśli.

— Przeraza panią taka perspektywa? Mogę panią zapewnić, że owa straszliwa przyszłość ludzkości nie grozi. Wells wyobrażał sobie jutro świata według pojęć XIX wieku. Fabryki — molochy bez słońca... Wille i ogrody bogaczy... Proletariat zepchnięty pod ziemię. Pogłębiające się różnice klasowe...

— Doprawdy? Czy mam panu wierzyć na słowo, czy też zacytuje pan jakiegoś klasyka?... — przerwała dziewczyna łagodnie, lecz stanowczo. Na jej kształtnych wargach igrał ironiczny uśmiech.

Wacek zmieszał się. Zapanowało kłopotliwe milczenie. Dziewczyna nie miała jednak widocznie zamiaru „gasić” rozmowy doszczętnie.

— Żarty żartami — podjęła po chwili. — A jak pan sobie wyobraża przyszłość świata?

— No cóż, jeśli to panią interesuje... — próbował udawać obojętność, ale zarazem bał się, że może stracić okazję do nawiązania rozmowy. — Przyszłość ludzkości wyobrażam sobie jako nieustanny postęp techniki... no i oczywiście kultury. Coraz lepsza organizacja życia społecznego...

— To są ogólniki. A konkretnie?

— Automatyzacja opanuje niemal wszystkie dziedziny techniki. Energia jądrowa również. Potrafimy wykorzystać ogromne jej źródło — wodór wód oceanów. Wszystkie choroby będą pokonane. Ludzie nauczą się lepiej współżyć ze sobą. Nie będzie niebezpieczeństwa wojen. Znikną rozwarstwienia. Wolny, nieskrępowany rozkwit nauki, sztuki... Zwłaszcza, że epoce automatyzacji ludzie będą mieli wiele czasu.

— A jeśli dojdzie do trzeciej wojny światowej zanim ziszczą się pańskie marzenia?

— Po pierwsze — wojny nie będzie. Przy obecnej równowadze sił i groźbie natychmiastowego odwetu?... Nie sądzę, aby światem rządzą obłąkani.

— A po drugie?

— Po drugie — jeśliby nawet doszło do wojny, to ci, którzy pozostaną...

— Ci, którzy pozostaną — przerwała nieznajoma — będą żyli w świecie skazanym na zagładę. Promieniowanie wywoła najrozmaitsze schorzenia, zniekształcenia cielesne, a także nieodwracalne zmiany w komórkach płciowych. Taka przyszłość to degeneracja ludzkości.

— Patrzy pani zbyt czarno. Wierzę w postęp.

— Ja również, lecz zdaję sobie sprawę, że to tylko wiara, bo jeśli chodzi o fakty, na razie powodów do zbytniego optymizmu nie ma. Nie wiadomo nawet, jakie będą następstwa eksperymentów z bombami wodorowymi. Skażenia wywołane pyłami radioaktywnymi...

— ...mają charakter tylko lokalny. Jak dotąd, wybuchy jądrowe wywołały, licząc średnio, w skali światowej bardzo nieznaczny wzrost natężenia promieniowania, występującego od wieków na Ziemi z przyczyn naturalnych.

— Jak dotąd — zgoda. Ale jeśli eksperymenty będą trwały jeszcze dziesięć czy dwadzieścia lat... jeśli to, co się dzieje już dziś w Japonii i okolicach Nevady czy na Saharze, obejmie cały glob...

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale niektórzy mówią, że to zimno — też przez te bomby — wtrąciła korpulentna jejmość przysłuchująca się z nieukrywanym zainteresowaniem rozmowie.

— Większość uczonych jest zdania, że eksplozje wodorowe nie mają wpływu na pogodę. Co najwyżej tylko lokalny i krótkotrwały.

— Zdania są podzielone — zaproponowała dziewczyna.

— Przede wszystkim zebrano jeszcze za mało danych.

— A czy bywało kiedy tak, żeby na Siedmiu Braci Śpiących padał śnieg? — dorzuciła kobieta.

— Co to za „bracia śpiący”?

— Siedmiu świętych męczenników, co ich żywcem pogrzebano za wiarę 27 lipca... Czy to bywało kiedy, aby...

— Bywało, bywało! Osiemdziesiąt lat temu w lecie spadły takie śniegi, że parterowych okien wcale nie było widać. Niech sobie pani dobrze przypomni...

Wacek nie mógł powstrzymać się od złośliwości. Miał dość wtrącania się kobiety do dyskusji. Ponadto czuł, że poruszany temat nie stwarza mu pola do zabłyśnięcia elokwencją. Dziewczyna orientowała się w tych zagadnieniach lepiej od niego i to go najbardziej denerwowało. Postanowił jak najszybciej skierować rozmowę na dogodniejszy dla siebie teren.

— Przydałby się nam wellsowski wehikuł czasu — powiedział do dziewczyny. — Pojechalibyśmy ze sto lat w przyszłość i spór byłby rozstrzygnięty.

— Niestety podróż w czasie to chyba utopia.

— I tak, i nie...

— Jak pan to rozumie? — oczy dziewczyny spoczęły na Wacku z uwagą.

— Moim zdaniem podróż w czasie jest możliwa, ale tylko w jednym kierunku.

— To znaczy?

— W przyszłość!

Powiedział to tak głośno, że drzemiący na przeciwległej ławce mężczyzna upuścił zakrywający mu twarz tygodnik.

Zza szkieł okularów z ciemnego plastiku spojrzało na Wacka dwoje szarych, jakby wyblakłych oczu.

Wacek nachylił się, podniósł „Przekrój” z podłogi i podał nieznanemu. Ten mruknął pod nosem coś, co prawdopodobnie miało oznaczać „dziękuję” i

zmieniwszy nieco pozycję na ławce, począł przygotowywać się do kontynuowania drzemki. Widocznie jednak odeszła go senność, bo po paru minutach wstał i wyjąwszy z teczki termos, nalał sobie herbaty do małej szklanki.

Ten drobny incydent przerwał na chwilę dyskusję młodych. Wacek miał nawet zamiar jeszcze raz zmienić temat, lecz dziewczynę widocznie zaczęła pasjonować sprawa podróży w czasie, gdyż pierwsza podjęła rozmowę.

— Jeśli dobrze zrozumiałam, utożsamia pan podróż w czasie z przedłużeniem życia. Właściwie już samo życie jest podróżą w czasie. To tylko kwestia szybkości.

— Otóż właśnie — kwestia szybkości... Jestem pewny, że w przyszłości potrafimy tak zwolnić przebieg procesów fizjologicznych i na tak długi okres, że jeśli będziemy tylko chcieli — nic nie stanie na przeszkodzie, aby zasnąć i obudzić się, powiedzmy, za sto czy nawet pięćset lat. Jeśli na ten czas człowiek utraci przytomność, to czyż po przebudzeniu nie będzie odczuwał swego snu jako podróży w czasie? Oczywiście, taki stan nie ma nic wspólnego z żadną machiną czasu. Będzie to podróż biologiczna, jednokierunkowa. Jak pani słusznie zauważyła, różniąc się tylko szybkością, a więc czasem trwania snu.

Umilkł, czując instynktownie, że nie tylko dziewczyna słucha go z natężoną uwagą. Mężczyzna w okularach przyglądał mu się uparcie z jakimś szczególnym wyrazem twarzy.

Wacek spojrzał na dziewczynę. Zamyślona wbiła wzrok w podłogę. Może czekała na dalsze jego słowa.

— Nie wiem, czy nie przecenia pan możliwości dzisiejszej nauki — przerwała jednak sama chwilowe milczenie. — Nie wiadomo, w jakim stopniu zwolnienie procesów fizjologicznych może przedłużyć życie. Nawet nie bardzo wierzę, by można było wprowadzić żywy organizm w taki stan na całe lata.

— Pani za to nie docenia postępu — obruszył się Wacek. — Jestem pewny, że jeszcze za naszego życia będzie można uśpić człowieka na parę miesięcy.

— Nie wiem, czy znajdzie się wielu amatorów takich eksperymentów.

— Ja pierwszy. Jeśliby tylko istniała dostateczna gwarancja powrotu do życia, chętnie odbyłbym taką podróż w czasie. Choćby tylko na tydzień...

Wackowi wydało się, że mężczyzna w okularach patrzy na niego kpiąco.

— Wielki entuzjasta z pana! — podjęła dziewczyna. — Mnie życie uczy raczej trzeźwości, realizmu...

Wacek postanowił natychmiast skorzystać z okazji i dowiedzieć się czegoś bliższego o nieznanym jej.

— Nie zawsze to się opłaca. Nieraz właśnie entuzjazm, a nie trzeźwość, pomaga nam usuwać trudności i przeszkody na drodze do celu. Założę się, że pani nie osiągnęła jeszcze swego szczytowego celu, że zrażają panią trudności. I stąd pani rzekoma trzeźwość, a w istocie — pesymizm życiowy.

— To nie jest tak, jak się panu zdaje. Niewiele ludzi może powiedzieć o sobie, że osiągnęło w życiu to, do czego dążyło. To, co wydaje nam się dziś szczytem marzeń — jutro, po osiągnięciu rzekomego szczytu, już nie zadowala. Otwierają się przed nami nowe perspektywy, nowe pragnienia...

— A co w tej chwili uważa pani za swoje największe pragnienie? Oczywiście, jeśli to pytanie pani nie krępuje.

— Pragnienie bardzo konkretne, jak niektórzy mówią, prozaiczne — dobrze płatna posada i mieszkanie. Mieć wreszcie własny dom, rodzinę. Tak wygląda mój cel życiowy „od podszewki”.

— Pani mieszka w Warszawie?

— Mieszkałam. Urodziłam się w Warszawie. Teraz pozostały tam tylko matka i babka. Od pięciu lat jestem w Krakowie.

— I niezbyt zadowolona pani jest z pracy, mieszkania?

— Studiuję. W tym roku kończę.

— Można wiedzieć co?

— Medycynę.

— Jaką pani wybiera specjalność?

— Radiologię.

— A wie pani, aż się... dziwiłem. Myślę sobie, co za zakres zainteresowań. Teraz rozumiem. Radioaktywność to w przyszłości specjalność zawodowa.

— Poniekąd tak.

— Po studiach wraca pani do Warszawy?

— Nie. Zostaję w Krakowie.

— Woli pani Kraków od Warszawy?

— Trudno powiedzieć. Chyba nie. Jestem warszawianką. Bardzo jednak przywiązałam się do Krakowa. Mam kolegów w Akademii...

— Widzę, że godzi pani stary antagonizm Krakowa i Warszawy.

— Zupełnie dobrze. A pan z Warszawy?

— Niestety... z Radomia. Nie każdy może mieszkać w Warszawie lub Krakowie. Pracuję w „Głosie Radomskim”.

— Jest pan dziennikarzem?

— Tak. Dziennikarzem, jak mówią, z prowincji. Ale dziennikarzem wierzącym, że na Radomiu świat się nie kończy. Co prawda, można tak wierzyć i czekać całe życie.

— Widzę, że w sprawach osobistych pański optymizm jest bardzo naciągnięty — zauważyła dziewczyna. — Nie bardzo wierzy pan w swoją przyszłość...

— Przeciwnie — wierzę, ale do tego, by spełniły się moje pragnienia, potrzeba szczególnej okazji, którą muszę umiejętnie wykorzystać. Pozycję w świecie dziennikarskim zdobywa się jak w teatrze. Albo codzienną, solidną, dobrą robotą — ale na to trzeba lat i dlatego ta droga mi nie odpowiada — albo też można sobie „zrobić nazwisko”, wyskakując z jakąś prawdziwą rewelacją. Na to trzeba szczególnej okazji i uchwycenia jej za „głowę”.

— Czeka pan właśnie na taką okazję?

— Przygotowuję się do właściwego jej wykorzystania. Czekać nie wystarczy. Okazji trzeba szukać.

— I teraz też pan jedzie jej szukać?

— Raczej nie. Teraz mam urlop. Jadę w góry powłóczyć się trochę po Tatrach.

Zatrzymam się może na parę dni w Krakowie...

— Kochani moi! Skończcie wreszcie to gadanie. Idźcie lepiej spać — odezwał się niespodziewanie z kąta mężczyzna w mundurze kolejarskim. — Już trzecia.

Wacek spojrzał niechętnie.

— To nie wagon sypialny — powiedział ze złością — Można rozmawiać i całą noc.

Kolejarz wzruszył ramionami i okrył sobie głowę szczelnie płaszczem.

— Zostanę parę dni w Krakowie — Wacek zwrócił się do dziewczyny. — Czy pani będzie bardzo zajęta?

— Bardzo — odpowiedziała po chwili szeptem. — Ale zdaje się, że warto trochę podrzemać. Jutro od rana mam zajęcia w laboratorium...

— Przejmuje się pani tym facetem? — ruchem głowy wskazał na kolejarza.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Podniosła się z ławki. Zdjęła z półki walizkę, wyjęła niewielką poduszeczkę i schowała książkę. Nie ulegało wątpliwości, że przygotowuje się do snu.

— Czyżby pani naprawdę miała zamiar spać?

Skinęła bez słowa głową.

— Nawet się pani nie przedstawiłem — podjął ściszym głosem. — Nazywam się Waclaw Kubicz. Tak się nam świetnie rozmawiało. Może jednak w Krakowie... Jestem pewny, że się jeszcze spotkamy. Co prawda, nie znam ani pani nazwiska, ani adresu...

— Jeśli pan jest tak bardzo pewny, że się spotkamy, to po cóż panu moje nazwisko? — Niech pani chociaż powie imię!

— Bardzo panu na tym zależy? — zaśmiała się cicho.

— Bardzo.

— Na imię mi Ewa. Więcej panu nie powiem. Niech pan sam szuka okazji. A teraz już śpijmy! — powiedziała tonem stanowczym i oparłszy głowę na poduszeczkę, przymknęła powieki.

— Może jednak...

Pokręciła przecząco głową.

Wacek zamyślił się. Właściwie sam nie wiedział, czego chce. Czyż warto sobie psuć urlop szukaniem nieznannej dziewczyny po Krakowie? Na pewno ma kogoś... Co prawda to, iż podała mu swe imię, znaczyło już wiele. Powiedziała, że studiuje medycynę i jest na ostatnim roku... Nietrudno byłoby ją znaleźć. Jeśli naprawdę ma na imię Ewa. Bo przecież mogła go oszukać — podać pierwsze lepsze imię na odcepnego.

Ta ostatnia możliwość jeszcze bardziej zniechęciła Kubicza. Czy warto zwracać sobie głowę? Jeszcze dowie się Iwona...

Spojrzał na dziewczynę. Spała. Podniósł się i zgasił światło. Za oknem wstawał świt.

Wacek również zaczął odczuwać senność. Chciał zapalić papierosa, lecz okazało się, że nie ma zapalek. Wszyscy w przedziale spali, a wyjść na korytarz nie miał ochoty. Oparł głowę o kurtkę wiszącą za plecami.

Miarowo stukały koła wagonu. Siny, zamglony obraz za oknem, szare cienie współtowarzyszy podróży, słaby odbłask lamp palących się na korytarzu — wszystko to poczęło z wolna rozplýwać się i zacierać przed oczami Wacka. Nim pociąg dotarł do Jędrzejowa — Kubicz pogrążony był już w głębokim, twardym śnie.

II

Różnobarwna, szumiąca rzeka ludzka spływa z pociągów podmiejskich i dalekobieżnych, toczy się wolno przez perony ku wyjściu, wylewa szeroką falą na ulicę. Wacek podąża wraz z prądem tej rzeki. Za sobą słyszy jeszcze zgiełk dworca, podobnego w tej chwili do ogromnego ula, pełnego zaniepokojonych pszczoł. Na próżno rozgląda się na wszystkie strony — nigdzie nie może dostrzec niebieskiego beretu dziewczyny z pociągu. Zagubił ją w ciżbie bezpowrotnie.

Przed dworcem tłum się przeredza, Wacek przechodzi na drugą stronę ulicy i podąża ku plantom.

— Przepraszam pana, panie redaktorze! — słyszy za sobą niespodziewany okrzyk. Spozstrzega niskiego, szpakowatego mężczyznę z teczką pod pachą.

— Przepraszam pana bardzo...

Nie ulega wątpliwości, że nieznajomy zwraca się do Kubicza. Przez szkła okularów patrzą na niego szare, jakby wyblakłe oczy.

„Skąd ja znam tę twarz?” — zastanawia się Wacek i naraz uświadamia sobie, że należy ona do współtowarzysza podróży, który drzemał w przedziale na przeciwległej ławce przy oknie. — Słucham pana.

Nieznajomy jakby się waha.

— Czy... czy zna pan dobrze Kraków? A zwłaszcza tereny podmiejskie?

Mężczyzna wyczekująco wpatruje się w oczy Kubicza.

— Niestety bardzo słabo. Bez pytania o drogę potrafię tylko przejść od dworca do Wawelu.

Na twarzy nieznajomego występuje na krótką chwilę wyraz odprężenia.

— Pan wybiera się na wycieczkę w Tatry?

— Taki mam zamiar.

Mężczyzna jeszcze jakby ważył w myślach jakąś decyzję.

— Czy mógłby pan poświęcić mi trochę czasu? Jestem pewny, że nie będzie pan żałował... — poczyna mówić szybko, jakby od razu chciał z siebie wyrzucić przygotowane z góry zdania. — Słyszałem przypadkowo w wagonie pańską rozmowę z tą młodą panią. Interesuje pana zagadnienie zwolnienia procesów fizjologicznych aż do stanu życia utajonego, czyli tak zwanej anabiozy, i możliwość zastosowania go do przedłużenia życia ludzkiego. Ja w tej chwili poszukuję młodego człowieka, którego interesowałyby szczerze te problemy. Na razie nie chcę bawić się w szczegóły. Wystarczy, że powiem panu, iż pracuję nad tym już od 1926 roku. Czy mógłby mi pan poświęcić trochę czasu? Moglibyśmy wpaść gdzieś na kawę... Przed wojną dziennikarze przeważnie przesiadywali w kawiarniach...

„Czego ten facet chce ode mnie? — myśli Kubicz. — Na wariata nie wygląda, ale kto go wie?... Cóż jednak ryzykuję? Do Zakopanego pojedę wieczornym pociągiem, tak jak postanowiłem.”

— Miałem zamiar wstąpić na kawę do Michalika — oświadcza powściągliwie.

— Jeśli panu to odpowiada?...

Twarz nieznanego rozjaśnia się.

— Najzupełniej.

— No, to chodźmy.

Kolorowe witraże tłumią światło dnia. Wacek nie widzi oczu nieznanego — tylko raz po raz soczewki okularów błyskają w mroku refleksami barwnych szkielek.

To chyba najciemniejszy kąt „Jamy Michalikowej”.

Nieznanym mówi cichym, monotonnym głosem, ale treść jego słów wydaje się niezwykłą, niezmiernie ciekawą bajką. Wacka pasjonuje ta opowieść tak bardzo, że chwilami zapomina, gdzie się znajduje i po co przyjechał do Krakowa. Coraz mniej go stać na krytyczną ocenę tego, co słyszy. Czyżby słowa nieznanego działały aż tak sugestywnie? Czuje w głowie coraz większy chaos. Zdaje sobie jednak sprawę, że jeśli propozycja nieznanego nie jest fikcją — los zesłał mu ową tak długo oczekiwaną szansę życiową.

— Z chwilą opuszczenia mego towarzystwa ma pan panie kolego, pełne prawo opublikowania wszystkiego, co pan widział czy przeżył — ciągnie nieznanym w tonie trochę poufałym. — Mówię „przeżył”, gdyż jeśli będzie panu na tym zależało, gotów jestem nawet wprowadzić pana, oczywiście na bardzo krótki okres, w stan anabiozy. Nie chciałbym tylko, aby pan, panie kolego, podawał w prasie lub choćby w prywatnych rozmowach jakiegokolwiek szczegóły dotyczące położenia laboratorium, gdyby mimo przedsięwziętych przeze mnie środków ostrożności zdołał pan je zapamiętać. Oczywiście, nie mam żadnej możliwości egzekwowania od pana tej części naszej umowy, ale po prostu zdaję się tu na pańską dziennikarską uczciwość. Zachowanie w tajemnicy położenia „czasowego grobowca” jest konieczne, jeśli eksperyment ma się w ogóle udać. Nikt, panie kolego, nie może otrzymać od pana jakichkolwiek wskazówek.

— Dlaczego jednak nie chce pan przeprowadzić doświadczenia publicznie, czy też wtajemniczywszy kilkudziesięciu lub choćby tylko kilku przedstawicieli PAN-u?

— Widzi pan, zdarzają się różne wypadki, wojny, kataklizmy społeczne... Jeśli ktokolwiek będzie znał miejsce mego pobytu, zawsze istnieje znaczne prawdopodobieństwo, że będą je znali również ludzie niepowołani, którzy zechcą przerwać mój sen...

— Nie wiem jednak, czy długo uda się utrzymać tajemnicę po moich reportażach, a przede wszystkim po zbadaniu materiałów naukowych, które w pańskim imieniu przedłożę Akademii. Na pewno znajdą się ludzie, którzy będą chcieli odnaleźć kryjówkę pana profesora.

— To już moja sprawa. Na ślad mógłby ich naprowadzić tylko pan. Ale ufam, że pan, panie kolego, tego nie zrobi.

— Dlaczego jednak chce pan zasnąć aż na sto pięćdziesiąt lat? Nie wystarczy rok, dwa, no powiedzmy — nawet dziesięć lat? — zapytuje Wacek myśląc z żalem, że nie dożyje dnia, w którym przebudzi się nieznanym.

Soczewki okularów świecą teraz jak dwa rubinowe płomyki. Nieznanym zdaje się wpatrywać nieruchomo w twarz Wacka.

— Istnieją dwa powody — mówi powoli, cedząc słowa. — Pierwszy, można powiedzieć obiektywny, to chęć potwierdzenia drogą eksperymentalną tezy, że wprowadzenie organizmu człowieka w stan anabiozy na dłuższy okres nie jest szkodliwe oraz że proces starzenia się przebiega w tym stanie w niezmiernie zwolnionym tempie. Sto pięćdziesiąt lat snu to minimum, by dowód stał się dostatecznie przekonujący.

— A drugi powód?

Nieznajomy milczy chwilę, potem odpowiada cicho, głosem trochę drżącym.

— Powiem panu szczerze: nienawidzę naszych czasów... Chcę żyć w innym, lepszym świecie, w którym nie będzie już wojen ani prześladowań. Wiek XX to bardzo złe czasy. Widzi pan, tylko ja jeden zostałem z całej rodziny... W 1908 roku straciłem ojca. Dostał ataku serca w czasie pogromu w Częstochowie. Wkrótce potem umarła matka... W 1939 bomba zabiła mi żonę... Dalsza rodzina zginęła w getcie w Warszawie i na Majdanku. Ja z córką ukryłem się tu, pod Krakowem... Nie wyglądam na Żyda. Prawda? Ale nie o tym chcę mówić. To tylko dygresja... Otóż przez całą okupację nie przerywałem pracy ani na chwilę. Ukrywałem się w laboratorium. Głęboko pod ziemią. Skala wapienna, wejście dobrze zakonspirowane. Zacząłem budować zaraz, jak Hitler doszedł do władzy... Czułem, że się to wszystko źle skończy. Chciałem uciec... w przyszłość. W czasie okupacji, gdy zostało nas tylko dwoje, zbudowałem dwie komory... Ida starała się o niezbędne części. Ja wychodziłem bardzo rzadko. W końcu lipca 1944 roku pojechała do Warszawy. Dowiedziała się, że tam ktoś chce sprzedać rad. Pieniądzy mi wówczas nie brakowało, a rad rozwiązywał sprawę źródła energii dla zegara kontrolującego przebieg procesu. Słyszał pan pewno o zegarze Strutta. Ta sama zasada. Źródło energii może być bardzo słabe, ale nie powinno tracić na sile przez możliwie długi okres. Niestety, pierwszego sierpnia wybuchło powstanie. Ida nie wróciła. Nawet nie odnalazłem jej grobu. Podobno widziano ją na Czerniakowie z biało-czerwoną opaską... Zginęła tak niepotrzebnie...

Nieznajomy pochyla teraz głowę i tęczowe refleksy znikają z szkieł okularów.

— Zostałem sam — podejmuje po chwili. — Rozumie pan teraz, dlaczego nienawidzę naszych czasów i chcę uciec z nich jak najdalej. Wszystko już przygotowałem...

W okularach nieznajomego odbija się teraz jasnożółte, prostokątne szkiełko witraża...

Prostokątna, jasna plama nad głową przykuwa wzrok. Przez maleńkie okienko widać fragment ceglanego sklepienia, po którym biegną przewody osadzone na białych izolatorach. Do uszu Wacka dochodzi daleki, jednostajny szmer, przypominający dźwięk spadających kropel wody.

— Raz, dwa, trzy, cztery — liczy Wacek odruchowo w myślach.

Nie pamięta, kiedy i jak się tu znalazł, ale nie jest to bynajmniej dla niego sprawa najistotniejsza. Wie, że przybył do podziemnego laboratorium z nieznajomym, że zgodził się na jego propozycję, więcej — że sam go prosił, aby mógł odbyć krótką, tygodniową „podróż w czasie”. Czy nie postąpił lekkomyślnie? Wacek

czuje, że poczyna go ogarniać niepokój. Może dał się zwabić w potrzask szaleńcowi, który teraz, pozbawiwszy go możliwości ruchu, będzie dokonywał na nim jakichś potwornych, wyrafinowanych wiwisekcji?...

Niepokój wzrasta, przeobrażając się w strach. Po plecach zdają się wędrować tysiące mrówek. Potęgujący się chłód wywołuje dotkliwy ból w stopach i dłoniach. Nieprzyjemne uczucie drętwoty ogarnia mięśnie. Chciałby poruszyć się, zmienić pozycję, lecz mimo wysiłku nie może tego uczynić. Całe ciało objęte jest paralizem.

— Jeśli nawet byłbym w stanie dosięgnąć uchwytu, czy potrafię odsunąć klapę? Może otwiera się ona tylko z zewnątrz?... Tylko z zewnątrz...

Wackowi wydaje się, że widzi wewnątrz laboratorium. Przewody elektryczne, cewki, kondensatory. Błyszczące kule i konduktory. Długie, przezroczyste rurki, spirale i bańki z wtopionymi w ściany elektrodami. Grzejniki i skraplacze, kolby, retorty i probówki. A wśród nich dwie jakby przyklepione do ściany ciemne skrzynie przypominające trumny. Jedna z owych „trumien” otwarta, wypełniona jakimiś przyrządami elektrycznymi i chemicznymi. Druga zamknięta, z niewielkim prostokątnym okienkiem w metalowym wieku.

— Gdzie ja takie okienka widziałem? — zastanawia się Wacek. — Może w kryptach wawelskich... Albo w jakimś kościele... W trumnie powinien znajdować się szkielet. A może nieboszczyk jest zabalsamowany?...

Nachyla się nad wiekiem i przez szklane okienko widzi w trumnie... swoją własną twarz.

— Ależ nie, to nie moja twarz. — Teraz dopiero spostrzega, że znajduje się nie na zewnątrz, lecz wewnątrz skrzyni. W okienku widnieje twarz nieznanego. Zza okularów patrzą na Wacka szare oczy.

— To nie mogą być oczy szaleńca lub zbrodniarza. Nie tak patrzy morderca na swoją ofiarę. — Wacek odzyskuje wewnętrzny spokój.

Nieznamy podnosi do twarzy jakiś błyszczący przedmiot. Wacek poznaje swoją „Retinę”. A więc wszystko odbywa się tak, jak ustalili w umowie. Nieznany fotografuje Wacka zapadającego w sen. Zdjęcia te będą jednym z dokumentów świadczących o prawdziwości przyszłych rewelacyjnych reportaży młodego dziennikarza.

— Czy jednak zdjęcia nie będą za ciemne? Przecież tu, w tej komorze, panuje mrok. Dopiero byłby pech, gdyby nie wyszły! Może jednak to tylko złudzenie? Może zmysły po prostu słabiej odbierają wrażenia?... Przecież w laboratorium powinno być widno. Widział kto kiedy ciemne laboratorium? Chyba tylko fotograficzne... Eksperyment z pewnością już się rozpoczął. Już niedługo zasną...

Do uszu Wacka dobiega cichy, daleki szum. Może to działają jakieś automaty?... Proces trwa...

Czyżby dlatego odczuwał chłód?... Przejście w stan życia utajonego — anabiozy, musi być poprzedzone hibernacją — sztucznym zwolnieniem procesów życiowych poprzez oziębienie ciała. Serce uderza rzadziej. Oddech staje się powolniejszy, temperatura ciała spada...

Tap, tap, tap — spadają krople wolno, coraz wolniej. Może to pracuje zegar

radioaktywny?... Rozpadowi substancji radioaktywnej towarzyszy wysyłanie cząstek naładowanych elektrycznie. Powodują one ładowanie się delikatnych płytek przypominających listki elektroskopu. Ładunki równoimienne odpychają się. Płytki coraz dalej odsuwają się od siebie, wreszcie docierają do przewodnika połączonego z ziemią i oddawszy mu ładunek, opadają swobodnie, by znów, po upływie takiego samego, jak poprzednio czasu, naładować się i unieść w górę. Taki ruch będzie trwał tak długo, jak długo nie wygaśnie źródło promieniowania. Każde opadnięcie płytek zwalnia kroplę cieczy, spadającą na substancję półprzewodnikową, powodując reakcję elektrochemiczną. Ta miniaturowa elektrownia kontrolowana przez zegar radioaktywny, dostarcza bardzo niewielkiej ilości energii, może jednak działać prawie niezmiennie przez setki lat.

Czy jednak krople mogą tak szybko spadać? To chyba niemożliwe?... Czyżby czas zaczął płynąć szybciej? To na pewno wstępne zwolnienie procesów życiowych. Wszak dopiero zapada w sen... Wtedy jednak mikroelektrownia jeszcze nie działa. Trzeba więcej energii. Z sieci. Jeśli by zaś znajdował się w stanie całkowitej anabiozy, gdy kontrolę pełni zegar radioaktywny, czy mógłby cokolwiek widzieć i słyszeć?...

A przecież widzi dotąd, co prawda bardzo słabo, szarawy zarys okienka.

Nie czuje chłodu. Przeciwnie — po całym ciele zda się rozlewać przyjemne ciepło...

— Z pewnością zaraz zasnę. A jeśli się już nigdy nie obudzę? — myśl ta przebiega mu przez głowę i ginie w niepamięci. — Za siedem dni będzie po wszystkim. Zacznie się dla mnie nowy, niezwykle okres życia — sława, powodzenie, pieniądze...

Oto doczekał wreszcie owej wielkiej szansy, o której marzył od wielu lat. A gdyby tak zasnąć na sto, dwieście lat?... Znaleźć się w innych, na pewno lepszych czasach?... Stać się człowiekiem przeniesionym w przyszłość?...

Ale co byłoby z Iwoną? Z wielkimi planami, z niezwykłą szansą?

Jak przyjęliby mnie ludzie przyszłości? Czy to można przewidzieć?... Tu, w naszym XX wieku, wszystko jest znajome, zrozumiałe. Wiadomo, na czym polega szczęście... Za siedem dni...

...sięgnę ręką do uchwytu. Uwolnię się z tej zimnej, mrocznej trumny.

Jakże ciemno. Nic wokół nie widać. Nawet prostokątne okienko zagubiło się gdzieś w czarnej jak sadza przestrzeni.

Wacek czeka na nadejście snu. Ale sen nie nadchodzi. Czuje za to ogromne zmęczenie i silny jednostajny ból głowy. Wydaje mu się, że w skrzyni jest coraz duszniej i zimniej.

Wie, że nie wolno mu otworzyć klapy, gdyż przerwałby eksperyment, a jednak gotów to uczynić. Jest zresztą przekonany, iż nie potrafi poruszyć nawet palcami, a cóż dopiero ręką.

Ogarnia go ogromne zdziwienie. Oto, jakkolwiek z pewnym oporem, mięśnie nie odmawiają mu posłuszeństwa. Wyczuwa pod palcami chłodną powierzchnię metalu, wodzi rękami po ścianach — żadna igła, rurka czy elektroda nie dotyka jego ciała.

— Dlaczego eksperyment został przerwany? — zadaje sobie pytanie. — Czy powstała blokada jakichś automatycznych urządzeń, czy może nieznajomy wyłączył aparaturę? Dlaczego jednak zgasło światło?

Wacek decyduje się otworzyć klapę. Opiera dłoń o uchwyt. Słyszy zgrzyt, świszczący, nieprzyjemny. Klapa się uniosła i Wacek siada. Czuje zawrót głowy, ale nie opada na powrót do wnętrza „trumny”.

Gdzieś, w głębi sali, rozlega się syk gazu. Błysk światła i na przeciwległej ścianie, pod sufitem, zapłonęła lampa przypominająca nieco karbidówkę.

Czyżby nieznajomy zapalił światło? Nie. Wacek przypomina sobie, że lampa ta zapala się automatycznie po otwarciu klapy. Nie jest ona zależna od sieci oświetleniowej, lecz wykorzystano tu jakąś dość prostą reakcję chemiczną. W ten sposób lampa może być zapalona choćby po kilku wiekach...

— Dlaczego jednak zaprzętam sobie głowę tą lampą? — Kubicz usiłuje kierować tokiem swych myśli. Przekłada nogi poza brzeg „trumny” i staje na podłodze.

Laboratorium tonie w półmroku. Nieznajomego nigdzie nie widać. Wacek chce przejść kilka kroków i zatacza się. Przed upadkiem ratuje go poręcz metalowego krzesła, na której wspiera się całym ciałem.

Na krześle leży coś szarego. Wacek chce to „coś” odsunąć i usiąść, lecz spostrzega, że trzyma w dłoniach swoją koszulę. Pod bielizną, pokrytą warstwą pyłu, znajduje swe ubranie narciarskie. Obok krzesła stoją buty.

Chce włożyć na siebie koszulę, lecz ta rozpada się w rękach jak zetlały łachman. Inne części płóciennej bielizny również rozchodzą się pod palcami. Tylko ubranie, nylonowe skarpety i grube narciarskie buty nadają się do użycia.

Wacka ogarnia przerażenie. Ubiera się pośpiesznie i czuje, jak serce poczyną mu bić w piersiach szybko, szybko, coraz gwałtowniej.

Niewielkie, pokryte zardzewiałą blachą drzwi są zamknięte. Wacek poczyną bić w nie pięściami coraz bardziej nerwowo, potem rzuca się całym ciężarem ciała na metalową płytę. Raz, drugi, trzeci... Za piątym czy szóstym uderzeniem słyszy trzask pękających zawiasów i odsłania się przed nim niski, ciasny loch.

Słyszac w ciszy swój przyspieszony, nerwowy oddech, wchodzi do lochu. Ogarnia go ciemność. Niemal odruchowo sięga do kieszeni i znajduje pudełko zapalek. Otwiera je ostrożnie. Czy zapalki będą się palić?... Niepokój ściska go za gardło. Po kilkunastokrotnym potarciu wystrzela wąty płomyk.

Wacek posuwa się teraz wśród krętego labiryntu korytarzy. W niektórych miejscach są one tak niskie, że musi przeciskać się na czworakach.

— Czy potrafię wydostać się z tych lochów, zanim zabraknie mi zapalek? — ta myśl coraz natarczywiej poczyną go prześladować.

Przypadkowo natrafia na długą, wznoszącą się w górę drabinę. Nad nią w suficie ciężka klapa. Otwiera ją z trudem.

Znajduje się teraz w niewielkiej piwniczce. Zapalek jest już bardzo mało. W nikłym świetelku dostrzega pod przeciwległą ścianą jakąś skuloną przykucniętą postać ludzką. W tej chwili zapalka gaśnie i Wacka znów ogarnia ciemność.

— Kto tu jest?

Odpowiada mu cisza.

W pudełku są jeszcze tylko trzy drewnianka.

Pierwsza z zapalek nie chce w ogóle zapłonąć. Na szczęście druga nie zawodzi.

Wacek podchodzi do nieruchomej postaci i z ust wyrывa mu się okrzyk przerażenia.

Na długim, wystającym ze ściany pręcie — prawdopodobnie jakiejś dźwigni — opiera się ręka... kościotrupa. Kubicz widzi teraz wyraźnie przed sobą pochyloną gołą czaszkę. Ten człowiek z pewnością chciał otworzyć jakieś tajne przejście i umarł tu lub został zamordowany. Może za którąś z tych ścian otwiera się zwykły, ludzki świat?...

Wacek nachyla się nad szkieletem i w ostatnim wątłym blasku gasnącej zapalniczki dostrzega, że oczodoły zmarłego pokrywają szkła okularów w ciemnej oprawie.

Korytarz piwniczny — taki sam jak w wielu znajomych Kubiczowi domach. Szereg otworów drzwiowych zionie ciemnymi oczodołami wewnątrz. Z rzadka, przez pozbawione szyb okienka, wpada słaby odblask dnia.

Schody porośnięte zielskiem prowadzą na parter. Tu posadzkę zarastają nie tylko trawy i drobne dzikie rośliny, lecz wdzierające się z zewnątrz krzaki i rozłożyste paprocie. Drzwi wejściowe, szeroko otwarte, zwisają bezwładnie na naderwanych przez wiatr zawiasach. Za nimi, zamiast ścieżki wiodącej przez ogródek, gęsta ściana splątanych krzewów, drzew i wysokich żółtych traw.

Wacek przedziera się przez zarośla do miejsca, w którym powinna znajdować się furka.

— Gdzie ja jestem? Cóż to za katastrofa nawiedziła świat?...

Spostrzega wysoki mur, a na nim oszkloną tablicę z wyblakłym afiszem czy instrukcją. „Zgodnie z uchwałą Zarządu Terenów Opuszczonych z dnia 27 stycznia 2063 roku, ustala się nast.....” Dalej tekst jest już zupełnie wyblakły.

Wacek czuje mrowie wędrujące po krzyżu.

Czyżby spał dziesiątki lat?

— Miałem spotkać się w górach z Iwoną... Umawiałem się z nią. Na pewno czekała na Ornaku... Ile lat upłynęło od tamtych dni?... Czy to możliwe? A więc tam, ten szkielet w piwnicy, to było... on... Nieznajomy!... Ach, prawda! Mówił, że dokucza mu serce... Widocznie umarł w tym czasie, gdy ja znajdowałem się w stanie anabiozy... Dlatego nie przyszedł mnie przebudzić... Nie doczekał spełnienia swych pragnień... Nie umknął w inny, szczęśliwszy świat...

Szczęśliwszy świat? Czy po to Kubicz przespał wiek, aby znaleźć się wśród dziko zarosłych ruin? Jakież potworne kataklizm przeżyła ludzkość?

I czy przeżyła?... Może kataklizm objął cały świat? Jest chyba tylko jedno wytłumaczenie — wojna atomowa.

Wśród ruin nie widać jednak śladu pożaru czy podmuchu. To jeszcze nic nie znaczy — „radioaktywna śmierć może wędrować z wiatrem setki, a nawet tysiące kilometrów...”

Wacek poczyną przedzierać się przez zarośla, które pokryły biegnącą tu kiedyś uliczkę. Gdzieś w pobliżu powinna być szeroka asfaltowa droga łącząca Kraków z

Ojcowem.

Gęsto splątane gałęzie krzaków i drzew utrudniają ogromnie ruch. Wacek posuwa się wolno, bardzo wolno. Siły jego wyczerpuje szybko walka z dziko pniącą się roślinnością. Coraz częściej musi odpoczywać. Wreszcie dociera do wysokiego drzewa o rozłożystych, nisko sięgających konarach. Drzewo nadaje się świetnie na punkt obserwacyjny. Wacek postanawia wspiąć się na nie, aby ocenić położenie i wybrać najwłaściwszą drogę.

Sam nie wie, kiedy znalazł się na szczycie.

Z wierzchołka drzewa widok jest rozległy — nie pozostawia on żadnych złudzeń i nadziei. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, przestrzeń zarasta dziki las. Rzadkimi szeregami wystrzelają w górę starsze drzewa, często jedyne ślady ulic, które tu kiedyś biegły. Wśród tej zieloności, przybierającej w zapadającym mroku brudnosiną barwę, Wacek dostrzega odrapane, szerniałe ściany budynków mieszkalnych — wielopiętrowych bloków i samotnych willi. Poszarpane dachy, oczodoły okien świecące z rzadka pojedynczą szybą, powykrzywiane pokraccie anteny telewizyjne, a nad nimi czyste, pogodne niebo przedwieczorne.

Co się stało z Krakowem? Gdzie ludzie? Czyżby wszyscy wyginęli? To, co Wacek widzi, oznacza niewątpliwie koniec panowania człowieka na Ziemi... Cóż za potworna igraszka losu!... On, człowiek XX wieku — jedynym żyjącym?...

Obawa, że przypuszczenie to może okazać się straszliwą rzeczywistością, graniczy z przerażeniem. Stara się odsunąć tę myśl od siebie jak najdalej, aby nie popaść w obłąd. Zamyka kurczowo powieki. Gdy po chwili otwiera oczy — widzi przed sobą na ciemnym niebie jasną, niebieskawą gwiazdę.

— To pewno Wenus? — zastanawia się i zaraz spostrzega, że noc już zapadła, a gwiazda owa bynajmniej nie świeci na niebie, lecz wśród jakichś ruin, widocznych w stosunkowo niedużej odległości od jego drzewa.

Światło nie jest zresztą nieruchome, lecz zmienia wolno położenie, błyska, a nawet chwilami gaśnie. Nie ulega wątpliwości, iż tam muszą być ludzie.

— A więc nie jestem sam na tej nieszczęsnej planecie — myśli Wacek z rozrzewnieniem i poczyną szybko opuszczać się w dół.

W jasnym świetle Księżycy ruiny willi przypominają mury starego zamczyska. Jest to dwupiętrowy budynek o dziwacznym nieco układzie architektonicznym. Zbyt wysokie jak na nowoczesny wystrój okna upodobniają się z daleka do strzelnic w murach obronnych, a brak szyb potęguje jeszcze to wrażenie. Krzaki i wysokie zielska zarastają podjazd dla samochodów, wdzierają się na schody aż poza otwarte szeroko drzwi, w głąb sieni.

Wacek rozgląda się dokoła i nasłuchuje. Wokół panuje jednak spokój i cisza. Gdzie są ludzie, którzy świecili latarką wśród tych ruin? Już chce okrzykiem zwrócić na siebie uwagę, gdy nagle spostrzega błysk światła wśród gałęzi pobliskiego drzewa.

Nie. To nie człowiek. To po niebie przesuwa się szybko jasna niebieskawa gwiazda. Widocznie niedawno wysunęła się z za widnokręgu, a teraz dąży w górę ku zenitowi.

Samolot?... Więc ludzie! A może tylko któryś z większych sztucznych satelitów?
Bez załogi...

Czy możliwe jednak, aby dostrzeżone poprzednio błyskające światełko było tym samym, które widzi teraz? Chyba nie.

Wacek wchodzi na schody budowli. Księżycowa poświata u wejścia nie rozprasza mroku korytarza. Z trudem można dostrzec schody prowadzące na pierwsze piętro. Stopnie porasta miękki dywan traw. Przez pozbawione szyb wąskie okna zagląдают poruszane wiatrem gałęzie drzew.

Kubicz stąpa po schodach cicho i ostrożnie. Już dotarł do podestu pierwszego piętra, gdy do uszu jego dobiega przytłumiony jęk. Gdzieś spoza uchylonych drzwi błyska na moment światło. Znów ciemności przecinają tylko szare szczeliny okien. Ale wśród szumu wiatru Wacek słyszy teraz wyraźnie odgłosy uderzeń, stłumione jęki, sapanie, głuche pomruki i nieprzyjemny piskliwy chichot. Posuwając się w kierunku tych dźwięków, mija ciemny przedpokój i staje w drzwiach niedużej salki o dwóch podłużnych oknach.

Naprzeciw okien, w księżycowej poświacie, szamocą się na podłodze jakieś cienie... Czyżby gałęzie drzew? Nie. To cztery postacie ludzkie splecione z sobą w walce. Właściwie trudno nazwać walką to, co tu się dzieje — po prostu z rąk osobników ubranych w dziwacznie skrojone, kropkowane „piżamy” usiłuje wyrwać się jakiś człowiek niedużego wzrostu. Głowę jego, okręconą białą szmatą przyciska silnie do podłogi barczysty mężczyzna o wypukłej tysej czaszce. Dwaj inni napastnicy ściągają pospiesznie z nieszczęśnika elastyczny, jednoczęściowy kombinezon. Ich głowy są krótko ostrzyżone, ale piskliwy śmiech, jaki towarzyszy każdemu gwałtowniejszemu ruchowi czy jękowi ofiary, dowodzi, że są to kobiety.

Już udało im się zdjąć kombinezon z rąk i tułowia obezwładnionego człowieka. Jeszcze tylko trzeba ściągnąć buty. Wreszcie z triumfalnym wrzaskiem unoszą w górę zdobycz. Ich ofiara — młoda kobieta, pozostaje w lekkim, kusym stroju, prawdopodobnie bieliźnie, i odzyskując swobodę ruchów, gwałtownym szarpnięciem uwalnia się z uścisku barczystego osobnika.

— Ratunku! — słyszy Wacek rozpaczliwy okrzyk, ale czuje, że jakiś paraliż ogarnął wszystkie jego mięśnie.

Dziewczyna rzuca się ku drzwiom, lecz prześladowca zagradza jej drogę.

— Ciszej! — rechoce gardłowo. — Milcz, ptaszyno, bo uduszę!

Jednym skokiem dopada dziewczyny, przewraca ją na podłogę i usiłuje zedrzeć z niej resztę odzienia.

Wacek widzi teraz w świetle księżyca wykrzywioną gniewem dziwnie starczą twarz.

W tej samej chwili w drugim kącie pokoju podnosi się wrzask i tumult. To współtowarzyszki barczystego mężczyzny zaczynają bić się o kombinezon.

Wacek nadludzkim wysiłkiem przewycięża bezwład mięśni. Podbiega do napastnika i chwytą go za kołnierz.

Ten niespodziewany atak dezorientuje mężczyznę zupełnie. Puszczą swoją ofiarę, która zrywa się z ziemi i chce biec ku drzwiom.

Błyska światło latarki. Teraz ze wszystkich stron spada na Wacka i dziewczynę grad ciosów. To kobiety przerwały bójkę i pospieszyły swemu towarzyszowi z pomocą. Wacek nie pozostaje dłużny. Wytrąca komuś z ręki latarkę i gdy znów zapada ciemność — osłaniając dziewczynę przebija się ku wyjściu.

Trójka napastników atakuje z zajądłością.

— Niech pani ucieka! Prędszej! Prędszej!

Rzucają się oboje na oślep po schodach w dół. U wejścia dziewczyna potyka się i pada.

Nie jest w stanie podnieść się o własnych siłach. Nie potrafi już dalej biec. Pogoń jest tuż tuż. Wacek chwyta dziewczynę na ręce, zarzuca sobie jej bezwładne ciało na plecy i wpada w zarośla. Gałęzie biją go po twarzy, drapią boleśnie skórę, ale on nie zwraca na to uwagi. Byle dalej, byle szybciej ujść pogoni...

Niewielka, prostokątna polanka porośnięta wysoką trawą i krzakami. Właściwie nie jest to polanka, lecz wewnątrz jakiegoś przed laty spalonego domu. Wstający z wolna świt rozprasza mroki nocy.

Dziewczyna leży na trawie i patrzy na Wacka nieufnie. Twarz jej wydaje się znajoma i Wacek naraz spostrzega, że ma przed sobą współtowarzyszkę ostatniej podróży.

— Pani tu? — pyta odruchowo.

Ale dziewczyna nie odpowiada. Wydaje się tylko ogromnie zdziwiona.

Czyżby się mylił?

— Imię pani — Ewa? Prawda?

Dziewczyna pochyla głowę twierdząco.

— Tak. Ale nie przypominam sobie pana. Gdzieśmy się poznali?

— W pociągu.

— W pociągu? — dziewczyna marszczy kształtne brwi. — Nie rozumiem...

— Było to na początku października, w 1959 roku...

— W 1959 roku? — w oczach dziewczyny pojawia się niepokój.

— No tak. Pani też spała, to jasne... Który mamy teraz rok?

— 2088.

— A więc aż 129 lat!... — mówi Wacek z westchnieniem. Dziewczyna patrzy na niego jakoś dziwnie. — Czyżby pani nie była tą samą osobą, którą poznałem w 1959 roku? Kiedy się pani urodziła?

Nieznajoma zrywa się z ziemi. Wygląda tak, jakby w każdej chwili chciała się rzucić do ucieczki.

— W 2067 roku...

— Co za zadziwiające podobieństwo! I imię to samo...

Teraz dopiero Wacek uprzytamnia sobie, że dziewczyna bierze go za wariata.

— Niech się pani mnie nie boi — mówi z uśmiechem, który ma rozproszyć obawy dziewczyny. — Wszystko, co mówię jest prawdą. Zaraz pani wyjaśnię. Czy nie słyszała pani o sztucznym śnie... hibernacji i anabiozie?

Dziewczyna wpatruje się w twarz Kubicza szeroko rozwartymi oczami.

— Więc pan nie uciekł z...

— ...z domu wariatów? Bynajmniej! Jestem zupełnie normalnym człowiekiem! Nieznajoma patrzy na Wacka z uwagą, jednakże w dalszym ciągu nieufnie.

— Kto to byli ci w nocy? — zapytuje z kolei Kubicz.

Dziewczyna jakby naraz przybladła.

— Ach... — z ust jej pada okrzyk pełen lęku.

Wacek czuje, że teraz z kolei jego samego ogarnia rosnący niepokój. Czyżby sprawdziły się przewidywania Wellsa? W tym samym momencie gdzieś w pobliżu rozlega się przeraźliwy wrzask.

— To oni — szepce nieznajoma w panicznym strachu.

Kubicz wyjmuje scyzoryk, podchodzi do krzaków i ścina gruby pręt.

— Niech się pani nie obawia. Dam sobie z nimi radę — mówi do dziewczyny. — Jest ich chyba tylko troje?

— Tak, ale mają broń. Mój pistolet.

Wargi dziewczyny drżą nerwowo.

Znów rozlega się wrzask. Tym razem już zupełnie blisko. Potem dwukrotny suchy trzask, przypominający wystrzał z wiatrówki.

W wypalonym otworze okiennym ukazuje się łysa głowa.

Zdarty z dziewczyny kombinezon ciasno opina muskularne ciało. Mężczyzna trzyma w prawej dłoni jakiś krótki przedmiot.

— A więc znów się spotykamy! — woła ochryple i celuje w Kubicza.

Jego starcza twarz wyraża obłąkańczą radość.

Wacek rzuca się na ziemię. Niemal w tym samym momencie nad jego głową przecina powietrze purpurowy błysk. Wacek chwyta dziewczynę za ramiona i przyciska do ściany, poza zasięg strzałów. Lecz napastnik wskakuje przez otwór okienny.

Znów wznosi broń.

Nagle robi się zupełnie jasno. Wacek słyszy nad sobą świst przecinanego powietrza i czuje jakby podmuch huraganu.

Uderza grom i barczysta postać osuwa się na ziemię.

Nad Wackiem i dziewczyną błyszczą w promieniach wschodzącego słońca „latający talerz”. Srebrzysty dysk szybuje nad miastem. Przez podłogę z przezroczystego tworzywa widać regularną siatkę ulic, maleńkie sylwetki mknących pojazdów i ciemne przecinki, w których trudno rozpoznać ludzi. Wzdłuż szerokich arterii rozsiadły się w harmonijnym układzie przestrzennym potężne gmachy o ażurowych, lekkich szkieletach wypełnionych wielkimi taflami różnobarwnego szkła. Nieco dalej biegną długie szeregi dwudziestowiecznych bloków mieszkalnych, wreszcie ukazuje się zielony pierścień plant i wąskie uliczki starego Krakowa.

„Latający talerz” traci gwałtownie szybkość i wysokość. Zatacza szeroki łuk nad rynkiem, przelatuje nad filigranowym dachem Sukiennic, okrąża wieżę kościoła Mariackiego. Oto stare mury Wszechnicy Jagiellońskiej. Wawel z błyszczącą kopułą kaplicy Zygmuntowskiej. Potem znów szeregi bloków i ażurowych budowli.

Wehikuł powietrzny ląduje łagodnie na płaskim dachu szklanego wieżowca. Bezszelestnie rozsuwa się ściana pojazdu. Wacek widzi, jak tuż przed nim wstaje z

fotela dziewczyna, którą w nocy uwolnił z rąk tajemniczych napastników. Okryta jest teraz granatową, długą peleryną. Uśmiecha się do Wacka i daje znak, aby szedł za nią.

Jakiś mężczyzna o jasnych włosach, prawdopodobnie pilot „latającego talerza”, kiwa im przyjaźnie dłonią na pożegnanie, gdy oboje opuszczają wehikuł.

W rogu dachu widnieje prostokątny otwór — stopnie prowadzą w dół. Potem drzwi, jakaś winda, korytarze, wreszcie znów drzwi i wnętrze mieszkania. Meble o trochę dziwacznych kształtach. Krzesła, fotele i tapczany dostosowują się same do kształtu ciała ludzkiego. Dziewczyna wprowadza Wacka do przestronnego gabinetu.

— Niech pan siada — wskazuje Wackowi fotel i włączając duży płaski ekran na ścianie, dodaje. — Zaraz wrócę.

Ekran wypełniają kolorowe, plastyczne obrazy — ulice, dziwaczne pojazdy ni to helikoptery, ni to samochody o na wpół przezroczystych karoseriach. Kilkoro ludzi idących skąpaną w słońcu aleją rozmawia z ożywieniem. Uwagę Wacka przykuwają barwne, swobodne stroje zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Młodzi ludzie uśmiechają się do siebie, są zadowoleni z życia... Jak pogodzić ten bajkowy obraz z tym, co niedawno przeżył?

Wacek nie patrzy już na ekran. Nie potrafi z uwagą śledzić niezrozumiałej dla niego intrygi. Rozgląda się po pokoju. Za szklistą zasłoną — półki biblioteki. Na ścianach jakieś kompozycje geometryczne o delikatnych pastelowych barwach. Na stoliku, a może biurku, nieduża szafka z guziczkami i okrągłymi ekranami. Wzrok Wacka ślizga się po tych przedmiotach niemal bezmyślnie. Kubicz odczuwa wewnętrzne napięcie oczekiwania na coś czy na kogoś...

W drzwiach staje Ewa. Ma na sobie w tej chwili krótką, żółtą sukienkę z miękkiej, powiewnej tkaniny. Lekkie pantofelki podkreślają piękną linię opalonych „na brąz” nóg. Dziewczyna jest nie tylko ładna, ale i niezwykle zgrabna.

— Teraz możemy wreszcie porozmawiać spokojnie. Niech się pan przyzna — ta historyjka z anabiozą to żart. Prawda? A może nie chce pan powiedzieć, skąd, na szczęście dla mnie, znalazł się pan wśród tych ruin? — pyta bezceremonialnie, jakby rozmawiała ze starym dobrym znajomym, i siadając na rogu stołu zakłada nogę na nogę.

— Ależ ja naprawdę przespałem prawie sto trzydzieści lat.

Przez twarz dziewczyny przesuwają się cień niepokoju. Podejmuje jednak w nieco kpiącym, acz serdecznym tonie.

— Chciałby pan, abym w to uwierzyła? Dobrze. Dla pana gotowam zrobić wszystko. Niech to jednak zostanie tajemnicą moją i pana. Tak będzie lepiej. Jeszcze ktoś uwierzy i będzie pan miał nieprzyjemności — ciągnie, przybierając na chwilę ton poważny. — A teraz niech mi pan lepiej powie, w jaki sposób odgadł pan moje imię?

— Znałem bardzo podobną do pani osobę tego samego imienia. Studiowała w Krakowie medycynę.

— A więc to jednak chodzi o mnie? Jestem lekarzem i studiowałam w Krakowie, tu, w Akademii. Wszystko się zgadza.

— Z wyjątkiem dat. Widzę, że jednak nie wierzy mi pani, a nawet zdaje się podejrzewać, iż...

— Niech się pan niczym nie przejmuję — przerywa dziewczyna łagodnie. — To nie ma żadnego znaczenia.

Kubicz poczyną się już denerwować.

— Ależ ja mówię prawdę. Gotów jestem odnaleźć willę, w której znajduje się laboratorium anabiotyczne.

Lekarka marszczy brwi.

— Radzę panu nie włączyć się po terenach opuszczonych...

— Sądzi pani, że „tamtych” może być więcej?

— Nie tylko to.

— A więc?

— Niech pan nie udaje, że pan nie wie.

— Ale naprawdę nic nie wiem. Czego mam się bać?

Dziewczyna nie odpowiada.

— Czy pozwoli pan się zbadać? — pyta po dłuższym namyśle, uśmiechając się trochę sztucznie.

— Komu?

— Oczywiście mnie. Czy boi się pan? Jestem zupełnie zdrowa.

Sięga pospiesznie za bluzkę i wyjmuję coś przypominającego mały medalion na łańcuszku.

— Proszę. Może pan sprawdzić. Kontrola sprzed trzech dni.

Na jednej stronie metalowego krążka widnieją utrwalona chemicznie fotografia dziewczyny, na drugiej — szereg wytłoczonych cyfr, prawdopodobnie dat. Ostatnie — 12. 5. 2088.

Wacek jest całkowicie wytrącony z równowagi.

— Czyżby się pan obawiał badania?

— Nie boję się, ale...

— „Kontrolkę” pewno pan zgubił — podsuwa dziewczyna, zakładając przezroczysty fartuch.

— Nigdy nie miałem...

— Ach prawda. Nigdy pan nie miał. Pan pochodzi z 1826 roku.

— 1959.

— Tak. Tak. Z 1959 roku. Więc podda się pan badaniu?

— Bardzo chętnie.

Lekarka zdaje się być zdziwiona.

— I nie boi się pan? — pyta jeszcze raz.

Wacek czuje, jak mrówki zaczynają mu spacerować po krzyżu.

— Czego mam się obawiać z rąk tak pięknej lekarki? — mówi siląc się na komplement. — Czy może mi pani jednak powiedzieć, jaki ma być cel tych niebezpiecznych badań?

— Badania nie są niebezpieczne. Jednakże, chociaż uratował mi pan życie, nie będę mogła ukryć faktu, jeśli wynik okaże się dodatni.

— Nie rozumiem, o czym pani mówi?

— Nie będę mogła panu pomóc — mówi dziewczyna ze szczerym żalem. — A niech mi pan wierzy, to nie tylko wdzięczność. Od pierwszej chwili poczułam do pana sympatię i wiele bym dała, żeby wynik okazał się ujemny. No, niech się pan rozbiera.

— Zupełnie?

— Wystarczy do pasa. Czyż pan nie pamięta, jak się pobiera płyn mózgowo-rdzeniowy?

— A więc punkcja?

— Coś w tym rodzaju. Ponadto badanie elektroencefalograficzne.

— Chcę panią ostrzec, że nie jestem zbyt wytrzymała na ból.

— Na ból? Przecież zrobię panu anestoblokadę przygotowawczą. Niech pan siada tu na tym fotelu — wskazuje krzesło objęte zespołem przyrządów.

Wacek siada i nagle konstatuje, że jego ręce i nogi unieruchomione zostały w metalowych imadłach, a na czaszkę nasunął się wielki hełm. Znów ogarnia go strach. Chce się zerwać z fotela i w tej samej chwili czuje delikatne ukłucie w okolicach lędźwi.

— Już po wszystkim — słyszy głos dziewczyny.

Uchwyty zwalniają. Wacek wstaje z fotela.

— No i jaki wynik? — pyta lekarkę schyloną nad jakimś przyrządem.

— Zaraz skończę.

Przez chwilę panuje cisza, potem dziewczyna podnosi głowę i mówi powoli, jakby z wahaniem.

— Wynik ujemny...

Oczy jej błyszczą niekłamaną radością.

— Spodziewała się pani dodatniego?

— Tak. Musi pan jak najszybciej postarać się o żeton kontrolny. Zaraz połączę się z urzędem. Jak można tak ryzykować?

— Co ryzykować?

Lekarka przechodzi nagle na ty.

— Nie blaguj. Sprawa zbyt poważna, jak na żarty.

— Ja nie żartuję. Naprawdę nic nie wiem o waszym świecie.

— Waszym świecie? — dziewczyna patrzy z powagą w oczy Wacka. — Jeśli to, o czym mówisz, jest prawdą, to... to... — naraz pospiesznie zrzuca z siebie fartuch i bierze Wacka pod ramię ruchem kawiarnianego „kodaka”. — To chodźmy na herbatę. Mój ojciec chce cię poznać.

Jasny metal łyżeczki błyska w złotawym płynie. Łysy, barczysty starzec miesza wolno herbatę, wpatrując się badawczo w oczy Wacka.

— A więc jest pan człowiekiem z XX wieku? — mówi po chwili milczenia ściszone, nieco ochryplym głosem. — A to ciekawe, ciekawe... Gotów jestem panu uwierzyć. Tylko coś nie bardzo zgadzają się daty... Raczej lata dziewięćdziesiąte ubiegłego stulecia, a nie pięćdziesiąte... I nie Kraków, nie Kraków... w ogóle nie Polska...

— Myślisz, że chodzi tu o... — dziewczyna spogląda porozumiewawczo na łysego mężczyznę — ...Siedmiu Braci Śpiących?...

Starzec kiwa w milczeniu głową.

— Nie bardzo rozumiem, o czym państwo mówicie — wtrąca Wacek.

— Tym lepiej, tym lepiej — mówi mężczyzna z powagą. — Jeśli zasnął pan w połowie XX wieku — tym lepiej. Tym wartościowszy zespół cech dziedzicznych.

— Wartościowszy?

— Oczywiście. Tym mniejsze prawdopodobieństwo niespodziewanego ujawnienia się cech degeneracyjnych u pańskiego potomstwa.

— U mego potomstwa?

— Tak, mój panie. Jeśli szczegółowa analiza potwierdzi to, co pan mówi, pańskie dzieci, a moje wnuki, mają pełne szanse dać początek nowej, zdrowej rasie ludzkiej. Ewa posiada wyjątkowo wartościowy zespół cech dziedzicznych. Od czterech pokoleń ze szczególną troską dbano w naszej rodzinie o zmniejszenie do minimum skażeń. Kontrola pokarmów, wdychanego powietrza, ubrań, mebli... Skrupulatny dobór małżonków, przyjaciół. Niech pan weźmie pod uwagę, że mimo stałego spadku płodności — liczba poronień sięga u nas zaledwie 50%, gdy średnia światowa przekracza 95%. W naszej rodzinie przychodzi na świat jeden chłopiec na dwie dziewczynki, gdy tymczasem średnio przychodzi jeden na siedem, mimo regulacji płci.

Duma maluje się na twarzy łysego mężczyzny.

— Dlaczego tak mało chłopców?

— Ach, to zupełnie proste. Nowe cechy powstają w drodze mutacji w genach. Te zmiany w podstawowych zawiązkach cech dziedzicznych pojawiają się przecież według praw statystycznych i mają przeważnie charakter degeneracyjny. Nowe cechy przy dużym nasileniu mutacji u obojga rodziców są bardzo często dominujące, a możliwość usuwania ich skutków w okresie życia płodowego niezwykle trudna. Najczęściej jest już za późno na przeciwdziałanie...

— Ale dlaczego chłopcy?

— Płód męski podlega liczniejszym ewolucjom przy kształtowaniu się niektórych narządów, jest słabszy, mniej odporny na zmiany warunków. Stąd trudniejsze utrzymanie go przy życiu. Te 95% poronień to w ogromnej większości chłopcy.

— Więc mężczyzn jest coraz mniej?

— Coraz mniej — kiwa łysą głową starzec. — Jeszcze pół wieku temu 1,8 kobiet przypadało na jednego mężczyznę. Dziś już 5,3. A co będzie jutro — strach pomyśleć...

— Wspominał pan, zdaje się, coś o regulacji płci?

— Tak. Potrafimy spowodować powstanie zarodka określonej płci. Gdyby nie to, chyba jeden chłopiec rodziłby się na dwadzieścia dziewcząt. Niestety, nie można wymagać od kobiet, aby rezygnowały z dzieci tylko dlatego, że chłopcy giną. Po dziesiątym poronieniu kobieta z reguły decyduje się na dziewczynkę. Rodzice liczą, że następnym będzie chłopiec, a tymczasem...

— Czy nie ma żadnych możliwości zapobieżenia tej kłęsce? Jakichś środków leczniczych?

— Medycyna jest tu, niestety, bezsilna. I nie wiem nawet, czy w tym tysiącleciu, jeśli chodzi o tak skomplikowany twór, jak ludzki organizm, nauczymy się celowo, niejako na zamówienie, kształtować określone cechy dziedziczne. Tu trzeba nie tylko zapobiegać ściśle określonym mutacjom, ale również rekonstruować zmutowane przypadkowo geny, czyli sztucznie powodować mutacje wsteczne. Niestety... Dotąd nawet tego nie potrafimy dokonać. Najwyżej możemy zmniejszyć prawdopodobieństwo przypadkowych mutacji, tak jak na przykład robi to od kilku pokoleń moja rodzina.

— Dlaczego więc chociaż w ten sposób nie walczy się w skali światowej z tą kłęską? — podejmuje z przejęciem Wacek. — Przecież konieczne jest tu planowe, zorganizowane działanie. Świadoma selekcja, a nie chaos i przypadkowość.

— Nie takie to łatwe — mówi z westchnieniem dziewczyna.

— Trzeba ratować ludzkość za wszelką cenę, choćby za cenę ograniczenia swobody osobistej. Wprowadzić ścisłą kontrolę małżeństw i urodzeń.

Lekarka wpatruje się w twarz Wacka ze smutkiem.

— Kontrola taka w pewnym stopniu istnieje, ale...

— Już za późno... za późno — starzec kręci przecząco głową.

— Mamy prawo obawiać się, że dalsze wzmocnienie kontroli zadałoby ostateczny cios ludzkości — dorzuca dziewczyna.

— Nie rozumiem. Dlaczego?

— Obyś nie potrzebował tego rozumieć... Skończmy dyskusję na ten temat.

Twarz dziewczyny rozjaśnia się nagle.

— Lepiej powiedz mi, czy ci się podoba? — mówi bez zażenowania. — Czy chcesz zostać ojcem mego dziecka?

— Ależ pani Ewo — Wacek czuje się onieśmielony jak pensjonarka z XIX wieku.

— No więc? — dziewczyna śmieje się w głos z konfuzji gościa. — Nie podoba ci się?

— Pani mi się bardzo podoba — mówi Wacek cicho, nie patrząc w oczy dziewczynie. —

Ale...

— Przeraza cię pośpiech? Któż wie, czy świat potrwa jeszcze dwa tygodnie?

— Jeszcze nie zdążyłem się rozejrzeć w waszym świecie — oświadcza Wacek nieco śmielej.

— Lepiej się nie rozglądać. Nikomu też nie wspominaj, skąd przybyłeś. To niebezpieczne.

— Boi się pani, że znalazłoby się zbyt wiele kandydatek do mojej ręki? — Wacek usiłuje żartować, ale wychodzi mu to niezręcznie.

Na usta młodej lekarki nie wraca oczekiwany uśmiech.

— Bynajmniej nie o tym myślałam — mówi dziewczyna z powagą. — Kochanek, żon, dzieci możesz mieć tyle, ile zechcesz. Nie ma ograniczeń. U nas, w Polsce, w tej chwili małżeństwa monogamiczne są rzadkością.

— Czego mam się obawiać? Powiedzcie mi wreszcie, jaka jest przyczyna tej klęski? Co się na Ziemi stało? Czyżby ludzkość wymierała? Jakie są przyczyny degeneracji?

Wacek czuje, że atmosfera przy stole stała się nagle chłodna, niemal lodowata. Przez chwilę panuje milczenie. Wreszcie przerywa je dziewczyna.

— Ty o tym najlepiej powinienesz wiedzieć...

— Ja?

— Jeśli prawdą jest, że przybywasz z drugiej połowy XX wieku.

Barczysty mężczyzna podnosi się gwałtownie z fotela. Twarz jego zdaje się pałać gniewem.

— Moi kochani — rzuca ochryple, wyraźnie siląc się na spokojny ton. — Skończcie wreszcie tę gadaninę. Idźcie spać.

— Czy warto spać w tak piękną majową noc?

Z tarasu wieżowca otwiera się rozległy widok na uśpione miasto. Jarzą się zimnym światłem fluoryzujących tynków XIX-, XX- i XXI-wieczne dzielnice Krakowa. Od tego morza jasności odcina się ciemną plamą Stare Miasto z szeregami punktowych lamp, podobnych z góry do gwiazd na granatowym niebie. Poza promieniującym obszarem nowokrakowskich i nowohuckich dzielnic zapada znów ciemność, groźna tym razem w swej potędze wszechogarniającej ziemię aż po widnokrąg.

— Czy warto spać w tak piękną noc? — powtarza Ewa, kładąc delikatnie dłoń na ramieniu Wacka. — Czemu milczysz?

— Jakie to wszystko dziwne, niezwykle — mówi Kubicz, nie odrywając wzroku od obrazu, który się przed nim roztacza.

— Tak — podejmuje dziewczyna. — Ujrzałam cię po raz pierwszy wczorajszej nocy, a mnie się wciąż zdaje, że znamy się od lat. I wiem, że nie będziesz mym kochankiem tylko na jedną noc...

Wacka ogarniają sprzeczne uczucia. Ewa podoba mu się. Rozbudziła w nim coś więcej niż przelotną sympatię. Jednocześnie odczuwa lęk przed tą dziewczyną. Drażni go jej bezpośredni, otwarty sposób bycia — zimna konsekwencja w realistycznym spojrzeniu na świat, szczerłość granicząca z brutalnością w wyrażaniu najintymniejszych uczuć i pragnień. Coś ciągnie go do tej kobiety, a zarazem odpycha.

Wacek należy do mężczyzn, którzy nie traktują kobiet zbyt poważnie. Miłość była dla niego tylko grą towarzyską. Ale Ewa nie jest podobna do żadnej ze znanych mu dziewcząt. Jej brutalność nie wyklucza subtelności — nie ma w niej najmniejszej sztuczności i pozy. Traktuje życie bez złudzeń i nie pragnie się łudzić, wie, czego chce i nie wstydzi się swych pragnień. Wacek nie wie, jak ma się zachować wobec takiej kobiety. Wszelkie wypróbowane dotąd gierki nie tylko na pewno tu zawiodą, ale nawet będą potraktowane jako nietakt.

Teraz to, co mówi dziewczyna, niepokoi go i onieśmiela. Pragnąc więc jak najszybciej skierować rozmowę na inny temat, pyta.

— Dlaczego ludzie opuścili tamte, podmiejskie tereny? — wskazuje dłonią

ciemny pas na horyzoncie. — Ilu właściwie mieszkańców ma obecnie Kraków?

Dziewczyna jakby się przebudziła. Przez dłuższy czas patrzy w zamyśleniu na Wacka.

— Ilu mieszkańców? — powtarza odruchowo pytanie. — 210 tysięcy — odpowiada po chwili.

— Włącznie z Nową Hutą?

— Tak. W początkach tego stulecia — przeszło milion. Łatwo znajdziesz odpowiedź na pytanie, skąd się wzięły opustoszałe tereny... Gdy ludzi jest coraz mniej — wolą mieszkać w skupieniu. Stąd pustoszały najpierw tereny najdalej odsunięte od centrum miasta.

— Czego się bali mieszkańcy dalekich przedmieść? Bandytyzm już chyba zanikł na ziemi? Wasza epoka automatyzacji i energii jądrowej...

— Milcz! — Ewa ściska dłoń Wacka aż do bólu.

Dłuższą chwilę panuje cisza.

— Czyżby postęp był owym przekleństwem ludzkości? — zbiera się na odwagę Kubicz.

— Postęp? Och, co za nedorzeczna myśl! Postęp nauki to nie przekleństwo, lecz ostatnia nadzieja ludzkości! Jeśli coś uratuje świat przed zagładą, to tylko nauka!

— A więc?

— U schyłku XX stulecia prawie wszyscy wierzyli, że rozpoczyna się wiek złoty, że nadchodzą lepsze, szczęśliwsze czasy dla wszystkich ludzi. Automatyzacja, nieprzebrane źródła energii, pierwsze osiągnięcia w sztucznej fotosyntetycznej produkcji żywności na skalę przemysłową, coraz szersze zaspokajanie potrzeb człowieka, coraz więcej wolnego czasu na życie kulturalne, na sport, podróże, zabawy, na życie osobiste i społeczne. Złoty wiek! Złoty wiek!

— Tymczasem?

— Tymczasem, do roku 2000 zaludnienie świata wzrastało, dochodząc do pięciu miliardów. Natomiast już w pierwszych latach XXI wieku rozpoczął się ubytek. Początkowo nie zwracano na to szczególnej uwagi. Ściślej mówiąc, uważano to za zjawisko normalne. Przypuszczano, że po prostu nastąpił okresowy, przejściowy spadek rozrodczości. Wkrótce jednak przestano lekceważyć sygnały Światowej Organizacji Zdrowia. Liczba poronień i dziedzicznych zmian chorobowych rosła powoli, ale nieustannie. Ślepotą byłoby szukanie przyczyn tego zjawiska w jakiejś naturalnej biologicznej samoobronie przed przeludnieniem globu ziemskiego, zwłaszcza że nie było powodów do obaw, aby w nadchodzącym tysiącleciu mogło zabraknąć żywności lub miejsca na Ziemi. Żywności i miejsca nie zabraknie, za to coraz bardziej brakuje... ludzi.

— Więc sądzisz, że wówczas jeszcze, na początku XXI wieku można było zapobiec klęsce?

Lekarka wzrusza ramionami.

— Nie wiem. Chyba nie. Raczej może udałoby się złagodzić nieco następstwa. Bo tej klęski już w XXI wieku nikt odwrócić nie mógł.

— Ciągle mówimy o klęsce — podejmuje ostrożnie Wacek, obawiając się

gwałtownej reakcji. — Lecz jeszcze nie bardzo rozumiem, na czym ona polega. Katastrofalny spadek liczby urodzeń, zwłaszcza chłopców, to są następstwa, a nie przyczyny.

— Mówiłam już — mutacje genów! A ściślej, katastrofalny wzrost liczby mutacji. Bo przecież mutacje występowały od narodzin życia na Ziemi, stanowiąc jeden z podstawowych czynników ewolucji. Nie może ich jednak być zbyt wiele, tak wiele, aby została zburzona cała równowaga biologiczna w obrębie gatunku.

— Tak, ale przyczyny mutacji są różne: krótkofalowe promieniowanie elektromagnetyczne, promienie korpuskularne, wysoka temperatura, niektóre substancje chemiczne, zwłaszcza rakotwórcze. Co powoduje ten katastrofalny wzrost liczby mutacji?

— Nie udawaj, że nie wiesz.

— Ależ ja naprawdę...

Dziewczyna jednak nie ma zamiaru udzielać bliższych wyjaśnień, bo przerywa mu w pół zdania.

— Chodźmy już! Pewno jesteś zmęczony.

— Ależ, gdzie tam! Właśnie chciałem ci zaproponować, żebyśmy się gdzieś przeszli. Na przykład bardzo chętnie pospacerowałbym po Plantach...

— Teraz? W nocy?

— A cóż w tym niezwykłego? Pamiętam, że gdy po raz pierwszy przyjechałem do Krakowa nie mogłem znaleźć miejsca w hotelu. Zamiast drzemać na dworcu, przesiedziałem na Plantach całą noc.

Na oświetlonej blaskami miasta twarzy dziewczyny pojawia się gorzki uśmiech.

— Tak było kiedyś... — mówi cicho.

— A teraz?

— To niemożliwe — i widząc pytające spojrzenie Wacka, dodaje: — Niebezpieczne...

— Niebezpieczne? Czyżby jednak bandytyzm?

Ewa nic nie odpowiada.

— Dziwi mnie, że przy nadmiarze produktów... — podejmuje Wacek.

— Nie chodzi o bandytyzm w dawnym tego słowa znaczeniu...

— A więc bandy pijaków, łobuzów, chuliganów? Dlaczego przy tak wspaniałym poziomie techniki władze nie mogą opanować sytuacji?

— To nie jest problem społeczny, lecz... biologiczny.

— Biologiczny? Czy to ma coś wspólnego z tym, co było wczoraj?...

Ewa pochyła głowę w milczeniu.

— Skąd się wzięłaś na tych opuszczonych terenach? Co to byli za ludzie?

Dziewczyna podnosi wzrok.

— Chcesz wiedzieć? — pyta takim tonem, jakby błagała o zaprzeczenie.

— Chcę wiedzieć wszystko!

— Dobrze — mówi Ewa z cichym westchnieniem. — Jutro polecimy tam...

— Gdzie?

— Zobaczysz kulisy naszego... „złotego wieku”. Ale teraz chodź ze mną.

Obejmuje go ramieniem i prowadzi schodami w dół. Przy drzwiach sypialni zatrzymuje się. Ewa chwyta go gwałtownie za szyję i całuje mocno w usta.

— Boję się... Strasznie się boję... — szepcze nerwowo.

— Czego się boisz?

— Boję się jutrzejszego dnia. Boję się o siebie i o ciebie.

— Ale co ma się stać? Dlaczego ciągle coś ukrywasz przede mną?

— Nie chcę, abyś odszedł! Nie chcę! Pamiętaj, ja ciebie nie potrafiłam znieawidzić, chociaż...

— Chociaż co? Powiedz!

Zamiast odpowiedzi czuje na swych wargach pocałunek dziewczyny.

Na jasnym tle okna rysuje się ciemny profil Ewy. Gładkie, wypukłe czoło pod sfalowaną czupryną, zgrabny, z lekka zadarty nosek. Z ust padają krótkie, urywane zdania.

— Chcesz wiedzieć, to ci powiem. Leciałam do ośrodka superkontroli. Wiozłam chorych. Było ich troje. Dwie kobiety — typowy niedorozwój umysłowy ze skłonnością do wykroczeń — tak zwane oligofreniczki eretywne. Jedną schwytano przy próbie podpalenia budynku mieszkalnego, drugą odebrano rodzinie, gdyż stawała się niebezpieczna dla otoczenia. Trzeci chory, starszy pięćdziesięciosześcioletni mężczyzna, lekarz z zawodu. Prawdopodobnie psychoza maniakalno-depresyjna. Diagnoza mogła być postawiona dopiero po systematyczniejszych badaniach i obserwacjach. Człowiek ten zatrzymany został w czasie lotnego sprawdzania „kontrolerek”. Okazało się, że data na stemplu była sprzed dwóch lat. Wynik kontroli dodatni. Tych troje chorych przewoziłam sama. Sama pilotowałam maszynę. Pacjenci znajdowali się w izolowanej kabinie. Zachowywali się spokojnie, toteż nie zwracałam na nich uwagi. Przeleciałam już chyba z połowę drogi, gdy niespodziewanie coś ciężkiego spadło mi na głowę. Gdy odzyskałam przytomność — miałam głowę okręconą kocem, a jakieś ręce zdzierały ze mnie kombinezon. Co było dalej — wiesz sam.

— Ta trójka napastników to byli twoi pacjenci?

— Nietrudno domyślić się przebiegu napadu. Widocznie zapomniałam zamknąć drzwi, albo też zamek był uszkodzony. Niewykluczone, że przez owego mężczyznę. Maniacy bywają nieraz bardzo sprytni i przebiegli. Ogłuszył mnie i przejął stery. Oczywiście rozumiał, że zmianą kursu natychmiast spowoduje wysłanie pościgu. Utrata łączności ze mną musiała zaalarmować centralę. Wylądował więc na terenach opuszczonych i przy pomocy współtowarzyszek zawłókł mnie w ruiny. Chodziło mu przede wszystkim o zdobycie kombinezonu, gdyż stroje szpitalne uniemożliwiają ucieczkę. Gdybyś się spóźnił kilka minut — może bym już nie żyła.

Ewa stwierdza to suchym, beznamiętnym tonem, tak jak gdyby nie chodziło tu o jej osobę. Wacek patrzy na nią i znów poczyna go ogarniać przykre wrażenie obcości. Jednocześnie słowa lekarki budzą w nim nowe, niepokojące wątpliwości. Jeśli owa okrągła płytka pokazana mu przez Ewę służyła do rejestracji przeprowadzanych kontroli stanu psychicznego, to wynikałyby stąd ponure wnioski.

— Czy choroby psychiczne bardzo są rozpowszechnione? — decyduje się na

otwarte pytanie.

Ewa pochyła lekko głowę i mówi cicho:

— To w tej chwili największa klęska i niebezpieczeństwo dla ludzkości.

W głosie jej Wacek nie czuje już niedawnego spokoju i tonu suchej relacji.

— I nie ma sposobu?

— Potrafimy zwalczać skutecznie wiele chorób, lecz nie zmiany genetyczne — mutacje genów. A właśnie one mają charakter degeneracyjny. Już w tej chwili co drugie dziecko jest niedorozwinięte umysłowo. Dwoje ludzi na troje w wieku dojrzałym zapada na którąś ze znanych psychoz, a czasem na zupełnie nową, nieznaną chorobę umysłową. Z tego najwyżej trzydzieści procent to psychozy uleczone. W innych przypadkach jesteśmy bezsilni. Wszak leczymy tylko skutki, nie przyczyny!

— To straszne!...

— Straszne! Najstraszniejsze jest to, że nie mamy zupełnie pewnych środków kontroli! Jesteśmy w stanie wykryć tylko osiemdziesiąt procent przypadków. A już prawie zupełnie wymykają się badaniom, więc i leczeniu, wcześniejsze stadia, przede wszystkim nieprzeliczone psychopatie, różne odchylenia, ułomności psychiczne, które nie mają jeszcze cech chorób umysłowych. Jestem niemal pewna, że gdyby można było poddać obserwacjom całą ludność naszej planety — nie wiem, czy zupełnie zdrowych psychicznie, jak to się potocznie mówi, „normalnych”, byłoby pięć procent.

— Mnie się wydaje, że takie stwierdzenie polega na nieporozumieniu. Chyba „normalnym” stanem będzie stan większości ludzi?

— To błędna, powierzchowna ocena. Gdyby większość dzieci rodziła się z krótszą prawą nogą albo nawet z paraliżem, czy cechę tę można byłoby uznać za „normalną” tylko z tego powodu, że występuje u większości ludzi?

— Jednakże stany psychiczne...

— Nie widzę różnicy. Każda psychoza i psychopatia są zespołami schorzeń obniżającymi, przynajmniej w ogólnym bilansie, sprawność umysłową człowieka, a przede wszystkim jego zdolność współdziałania z otoczeniem, ze społeczeństwem.

— Bywali ludzie genialni, którzy cierpieli na różne zaburzenia psychiczne, a jednak wartość ich twórczości dla świata jest ogromna.

— Tak, ale w niczym to nie zmienia faktu, że społeczeństwo złożone z takich „nienormalnych” geniuszów nie byłoby zdolne do życia i w szybkim tempie musiałyby się rozpaść!...

— Może...

— A więc nie zdołałam cię przekonać. Tak jak ty mówi dziś wielu ludzi. Ale to jest świadome lub podświadome asekuranctwo. Nie wiemy, czy w nas samych nie rozwija się jakaś psychoza. Ciągłe wykrywamy psychopatów, nieraz wśród ludzi bardzo wybitnych.

— I nic nie można na to poradzić?

W tej chwili do Wacka i Ewy podchodzi starsza, tęgawa kobieta.

— Przepraszam, że przeszkadzam... — rozpoczyna i nie kończy.

Wacek milczy ostentacyjnie. Ewa wydaje się rada z przerwania rozmowy.

— Nie przeszkadza ciocia. Tak sobie rozmawiamy — odpowiada z uśmiechem.

— Tam czekają na was. To przecież wasze święto! Nieładnie chować się przed gośćmi. Macie przed sobą noc, macie przed sobą przyszłość. Całe życie...

— Taki piękny wieczór...

— Piękny jest świat... Jesteście młodzi, szczęśliwi. Kiedy gwiazdy spadają, młodzi ludzie życzą sobie szczęścia — mówi kobieta z jakimś trochę nienaturalnym patosem. — A życzenie może się spełnić, jeśli się bardzo pragnie. Czego należy pragnąć? Pragnąć można wody, gdy jest pragnienie... Pragnienie rodzi się z soli. Kto soli potrawy, temu smakują. A wiecie chyba, że trawa smakuje psom? Mój Kis zawsze chętnie zjada moc trawy... Ach, o czym to ja mówiłam?... Chciałabym wam życzyć... wszystkiego dobrego... Szczęścia, pomyślności...

Kobieta mówi coraz prędzej, coraz więcej wyrzuca z siebie słów. Na szczęście Ewa przerywa ten potok wymowy.

— Chodźmy do stołu!

Długi biały stół zastawiony niezliczonymi potrawami. Butelki pełne barwnych napojów. W nozdrza uderzają smakowite zapachy. Na końcu stołu, naprzeciw drzwi, siedzi barczysty starzec — ojciec Ewy. Wokół stołu biesiadnicy — przeważnie młodzi ludzie. Kobiety i mężczyźni prowadzą ożywioną, hałaśliwą rozmowę.

Wacek zdaje sobie sprawę, że wypada mu włączyć się do którejś z dyskutujących grup. Przecież to jego wesele. Czuje jednak nieodpartą niechęć do tych ludzi, może nawet lęk przed nimi. Musi się jednak przemóc. Dla Ewy...

Podchodzi do stołu i siada pomiędzy Ewą a młodym, szczupłym blondynem perorującym zawzięcie.

— A jednak to wszystko, co robią władze, to zero! — woła blondyn. — To zabawa z wariatami w ciuciubabkę. Konieczne jest planowe, zorganizowane działanie! Ja bym się nie wahał zastosować jak najradykałniejszych, choćby bardzo drastycznych środków. Czyż tam na górze nie widzą, że pewnego dnia obłąkańcy skoczą nam do gardła?!...

— Przesadzasz! — oponuje czarnooka, ruchliwa brunetka siedząca naprzeciw Wacka. — Cóż im brakuje?

— Są zamknięci!...

— I co z tego? Dla ich dobra! Dbamy o ich zdrowie, wygodę, nawet i rozrywki...

— To ich rozzuchwała.

— Moi złoci — przerywa ciotka Ewy. — Opowiadacie głupstwa, bo nigdy nie widzieliście sanatoriów „od podszewki”! Ja tam byłam cztery lata, to wiem. Pielęgniarki to bynajmniej nie łagodne baranki ani serdeczni opiekunowie... Mnie, co prawda, nie tknęli, bo bali się Ewy, ale dla innych mają rękę ciężką. Potrafią bić, i to mocno!...

— Widocznie jeszcze za mało — unosi się jasnowłosa młodzieniec. — Pani nie zdaje sobie sprawy, co się dzieje! Oni zaczynają się organizować! Przede wszystkim trzeba izolować najniebezpieczniejszych!

— To znaczy?

— Nie myślcie, że wszyscy chorzy psychicznie są idiotami. Wielu z nich to inteligentni, przebiegli, nieraz na krótką metę bardzo poprawnie rozumujący ludzie. Nie zdziwiłbym się, gdyby przygotowali spis.

— Przeciw komu?

— Przeciw wszystkim... zdrowym. Nieraz strach mnie ogarnia, że pewnego pięknego poranka mogę znaleźć się za murami...

— Nie zdziwię się! — wybucha nienaturalnym śmiechem czarnooka dziewczyna. — Raczej jestem zdziwiona, że dotąd chodzisz swobodnie.

— Słyszeliście, podobno odnaleziono Siedmiu Braci Śpiących? — wtrąca ciotka Ewy.

— Po co mieli odnajdywać? Wiadomo, że w Blue Stone — przerywa czarnooka dziewczyna.

— Pleciesz, Baśka, głupstwa — odzywa się blondyn. — Blue Stone to pasmo górskie czy coś w tym rodzaju. Można szukać i nie znaleźć.

— Jeśli ich znajdą... — czarnooka dziewczyna, nazwana Baśką, przerywa i nie kończy.

— Cóż oni winni? — odzywa się Ewa.

— Urodzili się w wieku XX.

— Ale wówczas byli jeszcze dziećmi!

— Spróbuj to wytłumaczyć ludziom.

— Ewa mimo swojej całej uczoneści jest jeszcze ogromnie naiwna — śmieje się blondyn.

— A ja wam mówię, że to wszystko przesada — unosi się ciotka Ewy. — Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

— Jest niebezpieczeństwo!

— Daliśmy sobie radę z kwasem azotowym, z wirusami — damy i z...

— No z czym?... No z czym?...

— Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie... — śpiewa Baśka.

— Cóż to znaczy śmierć? Chwila i już!

— A ja wam mówię, że to wszystko przesada — upiera się ciotka Ewy.

— Nowe życie trzeba budować od podstaw. Nic tu nie da się zrobić połowicznie — mówi z patosem blondyn. — Po nas przyjdą inni i nie wybaczą nam słabości. Decyduje interes ludzkości.

— Mówisz jak Edon Hind.

— Co za Hind?

— Idiota! — chichocze Baśka.

— Co za idiota?

— No, Edon Hind!

— Nie! — przerywa ciotka Ewy. — To prorok!

— Prorok? W XXI stuleciu nie ma proroków! — wykrzykuje blondyn. — A nawet jeśli by byli — nikt nie potrafi ich odróżnić od zwykłych psychopatów i nie zdobędą autorytetu w ludzie.

— Po co autorytet! Wystarczy siła! — śmieje się Baśka. — Potem przychodzi

autorytet. Tak było od wieków...

— Masz rację — kiwa głową blondyn. — Wszystkiemu winni śpiący! Muszą znaleźć się winni. Bez tego nie można karać!... A karać trzeba! Trzeba okazać siłę!...

— I autorytet! Ale to głupstwo, bo i tak śmierć wszystko zmiecie!... Niech żyje Edon Hind!...

— Niech żyje!!!

Wacek patrzy na rozpłomienione podnieceniem twarze współbiesiadników. Słucha ich bezładnej, dziwacznej gadaniny. Nie tylko nie jest w stanie wziąć udziału w rozmowie, ale nawet zrozumieć, o co tym ludziom chodzi.

Ogarnia go coraz większy niepokój. Ton i chaotyczność wypowiedzi przypominają pijacką dysputę. Czyżby ludzie ci byli odurzeni alkoholem lub jakimś narkotykiem?... A może całe to towarzystwo, ci wszyscy ludzie, nawet Ewa...

Nie! Ewa zachowuje się inaczej. I ona na pewno nie czuje się dobrze w tym gronie. W tej chwili zbliża się do niej jakiś wysoki, tęgi młodzieniec.

— A ty, Ewuniu, milczysz? Widocznie masz nas wszystkich dość! — woła ze sztucznym oburzeniem.

— Ewa jest zawsze śmiertelnie poważna — zwraca się do niego ze śmiechem Baśka.

— Nieprawda — uderza pięścią w stół blondyn — Ewa to mądra, dobra przyjaciółka, chociaż trochę naiwna! A jaka kochanka! Ho! Ho! Nie dam nic na nią powiedzieć!

— Nie wygłupiaj się. Misiu! — przerywa mu Ewa bez gniewu.

Wacek odczuwa przykrość. Czyżby Ewę i tego blondyna łączyło coś więcej niż koleżeństwo? Nie, to chyba tylko żarty! Wszyscy się śmieją. Tylko na końcu stołu siedzi nachmurzony ojciec Ewy. Znow rośnie gwar, krzyżują się słowa, padają okrzyki.

— Może już w tej chwili, przy zamkniętej kurtynie, rozpoczął się największy z dramatów naszych czasów — mówi ktoś szybko, emfazą. — Czeka nas walka. Walka o przyszłość ludzkości!...

— Po co walka? Ja wolę spokój!

— Musi dojść do starcia! Musi!

— Kto to powiedział?

— Edon Hind!

— Co mi tam Edon Hind!

— Młodzież za nim szaleje!

— Nie cała... Nie cała...

— Co wy tam wiecie!

— Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie!

— Dość!

Stary, barczysty mężczyzna zrywa się z fotela. Gwar cichnie.

— Skończcie wreszcie, moi kochani! Skończcie tę gadaninę! Dostyc! Idźcie lepiej spać!

W oczach starca dostrzega Wacek jakiś dziwny, błędny wyraz. Czyżby ten

człowiek również?...

Chwilową ciszę, wywołaną słowami starca, przerywa szczupły blondyn.

— Profesorze kochany! Jak można? To nie wagon sypialny! Dopiero zaczęliśmy się bawić! — Jak można! — rozlegają się wokół głosy.

Ewa podchodzi do ojca i bierze go pod ramię.

— Uspokój się. Pewno jesteś zmęczony — mówi serdecznie, wyprowadzając go z sali. Za nimi podąża blondyn.

Rozlegają się dźwięki muzyki. Młodzi zaczynają tańczyć.

Wacek wstaje. Nikt na niego nie zwraca uwagi.

„Uciec stąd jak najprędzej!” — ta myśl nie daje mu spokoju.

Ostrożnie przemyka się ku drzwiom.

Musi odnaleźć to miejsce. Na pewno odnajdzie. Ale czy potrafi uruchomić komorę? A może zabrać Ewę?...

„Nie! Nie!” — odpowiada sam sobie. — „Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi ludźmi”. Biegnie po schodach w górę, przeskakując po kilka stopni.

W świetle księżyca błyszczą ściany srebrzystego dysku. Oto szczeble krótkiej drabinki. Ściana rozsuwa się bezszelestnie i Wacek siada w wygodnym fotelu, opierając nogi na dźwigniach sterowych.

Rozlega się świst. Prostokątny taras znika w dole. Wacek podnosi głowę i spostrzega w sąsiednim fotelu... Ewę.

— Ty tutaj?

— Tak. Jestem tutaj! Chciałeś uciec? Przyznaj się!

— Nie — Wacek zaprzecza gwałtownie.

— A jednak...

— Tylko na chwilę... Chciałem oderwać się... Uspokoić nerwy. To towarzystwo...

— Co?

— Trochę mnie...

— ...przeraziło — dopowiada dziewczyna ironicznie.

— Tak.

Ewa milczy przez chwilę.

— Może masz słuszość — mówi wreszcie z westchnieniem. — Mnie też ciężko...

Wacek chce jak najszybciej zmienić kierunek rozmowy.

— Skąd się tu wzięłaś?

— Szłam za tobą. Wydałeś się półprzytomny. Bałam się o ciebie.

— O mnie?

— Czyż cię to dziwi? — mówi ze smutkiem w głosie. — Dokąd lecimy? — przechodzi nagle na inny temat.

— Nie wiem. Byle dalej od...

— Rano powinnam być w ośrodku. Jeśli chcesz zobaczyć nasz świat „od podszewki”, możesz polecieć tam ze mną. Chyba, że... się boisz.

— Nie. Chcę wiedzieć wszystko...

— Przejmuję stery.

Ostatnie światła miasta giną w ciemnościach. Na wschodzie wstaje świt.

— Czy wiesz, że Baśka chciałaby zostać twoją żoną? Mówiła mi.

— A ty co na to?

— To zależy od ciebie.

Wacek wzrusza ramionami.

Niebo coraz bardziej się rozjaśnia. Wacek czuje, że dłużej nie wytrzyma tego nerwowego napięcia.

— Powiedz mi wreszcie prawdę — wybucha znieczeka. — Co to wszystko znaczy? Ciągłe kręćcie, nie chcecie dać jasnej odpowiedzi. Co się stało? Dlaczego?

Ewa widocznie pojmuje w lot, o co chodzi Wackowi, bo odpowiada spokojnie:

— Nie domyślasz się?

— Radioaktywność?

— Oczywiście. Wszystkie zmiany spowodowane są skażeniem atmosfery i żywych organizmów izotopami promieniotwórczymi.

— A więc doszło do...

— Do czego?

— Do wojny? Kiedy?

— Jakiej wojny?

— Wojny atomowej.

— Nie było takiej wojny.

— Nie było? A więc skąd? Dlaczego skażenie?

Ewa nie odpowiada. Maszyna schodzi szybko w dół. Otacza ich mgła i nagle oczom Wacka ukazuje się miasto. Długie, niskie budynki, place, drogi o białej nawierzchni. Między domami ogrody czy parki. Miasto otacza pierścieniem wąski pas lasu. Las ten tworzy tak ściśle ograniczoną „ścianę”, że z góry przypomina nieco średniowieczny mur obronny. Wrażenie to potęgują jeszcze liczne wieże, zakończone świecącymi kulami, wystającymi ponad wierzchołki drzew.

„Latający talerz” siada łagodnie na placu, z którego szeroka ulica prowadzi do miasta. Ewa wysiada.

— Dlaczego nie wylądowałaś w mieście?

— Nie wolno — odpowiada niechętnie.

— Dlaczego nie wolno?

— Takie zarządzenie. Wchodzić i wychodzić można tylko tą drogą. Dzięki temu jest zapewniona całkowita kontrola.

— A przez las?

— Nikt nie przejdzie. Nie potrafi...

— Czyżby mury?

— Nie. Ten las nie jest zbyt gęsty. Gdy stanąć na skraju, poprzez odstępy między pniami widać szeroką i daleką przestrzeń.

— A więc?

— Tego pasa nikt nie przekroczy. To, co widzisz... Czeka! — Ewa urywa nagle i przyspiesza kroku.

Wacek jednak nie wykonuje polecenia, lecz idzie za dziewczyną. Przechodzą pod

wielką bramą przypominającą łuk tryumfalny o zgeometryzowanych kształtach. Po obu stronach bramy opustoszałe budki z przezroczystego jak kryształ tworzywa.

Nie. Budki nie są puste. Na progu jednej z nich leży w kałuży krwi człowiek. Nie żyje. Twarz wykrzywiona strachem.

Ewa pochyla się nad nim. Ręce jej drżą. Stoi chwilę nieruchomo, potem podąża do najbliższego budynku. Długi korytarz, pokoje, biurka, jakieś przyrządy i aparaty elektryczne. Krzesła poprzewracane, papiery walają się na podłodze.

Ewa przyspiesza kroku. Już niemal biegnie. Większy dwupiętrowy budynek. Schody, drzwi frontowe. Zamknięte. Dziewczyna okrąża budynek i otwiera małe drzwiczki. Wąski korytarz, przegrodzony w połowie szklaną płytą.

— Jest tu kto?

W głębi korytarza otwierają się jakieś drzwi. Wychodzi z nich łysy, barczysty mężczyzna w białym kitlu.

— Aaa! I pani doktor tu?! — woła na widok Ewy i podchodzi do płyty. — To dobrze. Zaraz się panią zajmę.

Naciska jakiś guzik i płyta unosi się w górę.

— Chodź! Chodź tu ptaszyno — kiwa zachęcająco ręką. Oczy błyszczą mu podnieceniem. Ewa stoi nieruchomo, wpatrując się z przerażeniem w twarz mężczyzny. Ten wyciąga rękę i już, już ma dosięgnąć dziewczyny.

— Uciekaj!!! — krzyczy rozdzierająco Wacek.

Ewa jakby poderwana impulsem elektrycznym rzuca się w tył ku drzwiom.

Przed budynkiem gromada ludzi. Zagradzają im drogę.

— Prędko do wyjścia!!! — woła Ewa, lecz w tej chwili jakaś kobieta rzuca się na lekarkę, przewracając ją na ziemię.

Już sięga po nią kilkadziesiąt rąk.

Wacek rzuca się w tłum, rozpraszając napastników. Podnosi Ewę z ziemi.

Biegną razem ku wyjściu.

— Prędezej! Prędezej!

Już są za bramą. Wskakują do wehikułu. Ewa włącza silnik. Maszyna wzbija się w górę. Wacek widzi w dole malejące szybko sylwetki biegnących ludzi, polem miasto znika we mgle.

— Co to było?

— Stało się — szepcze na wpół do siebie Ewa.

— Co się stało?

— To, czego się obawialiśmy najwięcej. Bunt. Ci ludzie to... chorzy.

Dysk znów opada w dół. Mgła pierzchła. Maszyna przelatuje nisko nad miastem.

— Nie ma nikogo — mówi Ewa.

— Jak to nie mu nikogo? Przecież zaatakowali nas ludzie!

— Tu było trzysta tysięcy chorych.

— Trzysta tysięcy!

— Lecimy do Krakowa?

— Chyba tak.

Srebrzysty dysk nabiera wysokości. Słyszc szum przecinanego powietrza.

Wacek myśli intensywnie: „Co dalej? Czy jest sens pozostawać w tym strasznym świecie? Trzeba zrobić wszystko, aby uciec w przyszłość. Czy z Ewą?...”

— Czy nie chciałabyś opuścić tego świata? — pyta pośpiesznie, jakby pragnął postawić siebie wobec faktu dokonanego.

— Tego świata? Nie rozumiem? — pyta dziewczyna.

— Przypuszczam, że uda nam się odnaleźć na terenach opuszczonych tę willę... Laboratorium anabiotyczne. Tam są dwie komory. Sądzę, że potrafisz je uruchomić. Zresztą twój ojciec?...

— Ojciec? Nie mam ojca.

— Ale przecież ten starszy, łysy pan?

— Umarł...

Maszyna siada na tarasie wieżowca. Ewa i Wacek schodzą po stopniach w dół. Milczą oboje. Wacek krąży myślami wokół jednego problemu. Czy Ewa się zgodzi? Czy jest zresztą sens zwlekać?...

Dochodzą do drzwi mieszkania Ewy. Już minęli hall. Sala z białymi stołami. Gości już nie ma. Nie dojedzone potrawy, nie dopite szklanki, kieliszki, niektóre krzesła poprzewracane. Resztki jedzenia na podłodze, butelki, jakieś skorupy...

— Popili się...

— Tak sądzisz? — Ewa marszczy brwi. Naraz przyspiesza kroku. — Boję się. Chodź prędzej! Przechodzą do gabinetu Ewy. Dziewczyna siada przy biurku i włącza aparaturę wideofoniczną.

— Halo! Halo! Centrala RTCMS — 313 182.

Czeka chwilę.

— Tu centrala RTCMS — 313 182. Mówi automat!

— Połącz z BC — 321!

— Łączę.

— Halo! — rozlega się piskliwy głos. — Kto mówi?

Na maleńkim ekranie ukazuje się twarz kobiety. Ewa gwałtownie wyłącza aparaturę.

— Za późno... — mówi do Wacka z lękiem.

— Uciekajmy!

— Dokąd?

— Jak najdalej! W przyszłość!

— Chodźmy — decyduje się Ewa.

Biegną ku drzwiom, gdy naraz drogę zagrażdza im trzech ludzi. Ubrani są w białe kombinezony.

— Gdzie to? — odzywa się jeden z nich stanowczym tonem. — Dokąd to się ptaszki wybierają? Spokojnie. Tylko spokój. Jak w szpitalu...

Słabe światło, wpadające przez niewielki otwór w suficie, z trudem rozprasza mrok. Nad otworem stoi człowiek ubrany w biały kitel i patrzy na Wacka.

Kubicz siedzi na tapczanie. W pokoju są jeszcze dwa tapczany. Na jednym śpi jakiś człowiek, drugi jest pusty. Jego „właściciel” spaceruje miarowo z kąta w kąt, długimi krokami przemierzając podłogę. Włosy ma ostrzyżone, ubrany jest w

kropkowaną piżamę. Nagle zatrzymuje się przed Wackiem i podając mu rękę, mówi:

— Jestem Hind. Bardzo mi miło.

Wacek podnosi głowę. Widzi przed sobą niskiego, starszego mężczyznę o szarych jakby, wyblakłych oczach.

— Muszę się stąd wydostać — woła Kubicz półprzytomnie.

— Cicho. Niech pan tak nie krzyczy — uspokaja go nieznajomy. — Gotowi usłyszeć. Oni tego nie lubią. Wiem coś o tym... Jeszcze mam ślady...

— Gdzie ja jestem?

— Czy to nie wszystko jedno? Niech się pan uspokoi. Tu trzeba zimnej krwi. A przede wszystkim — nikomu się nie sprzeciwiać! Nie mieć własnego zdania, własnych potrzeb, pragnień. Radzę też zapomnieć o własnych smutkach i radościach. Cieszyć się trzeba wtedy, kiedy oni chcą abyś się cieszył — smucić i martwić tylko wtedy, gdy oni uważają, że masz ku temu powody. Inaczej zmienią panu życie w piekło. Nie radzę też domagać się reform poprzez interwencję u dyrekcji. Dyrekcja nie wprowadzi nawet zmian organizacyjnych, bo to sprawa kłopotliwa i grożąca zarzutami ze strony zwierzchnictwa o łamanie przepisów. Nade wszystko jednak niech pan nie próbuje skarżyć się na niższy personel. Pielęgniarze blisko — lekarze i dyrektorzy daleko. Nie wolno się skarżyć. Nie będzie zdrowo. Dla pośladków... Ja wiem dobrze. Już chyba ze dwadzieścia lat siedzę...

— Tu?!

— Tu i nie tu...

— To okropne!

— Można się przyzwyczaić. Człowiek do wszystkiego musi się przyzwyczaić. Gdy mnie zamknęli, miałem dwadzieścia sześć lat. Początkowo myślałem, że nie wytrzymam, że naprawdę zwariuję. Ale nie. Zacząłem się przyzwyczajać — raz było lepiej, raz gorzej. Jak było lepiej to człowiek liczył, że będzie jeszcze lepiej — może nawet zwolnią... A potem było znów gorzej. A jak było gorzej, człowiek myślał: trzeba się cieszyć jak jest, bo może być jeszcze gorzej. Zresztą gorzej nie może być zawsze, więc czekałem, żeby było lepiej. Potem znów było albo gorzej, albo i lepiej... Jak było gorzej, to...

— A teraz nic się nie zmieniło? — przerywa Wacek potok wymowy nieznajomego.

— Zmieniło się: kierownictwo, lekarze, posługacze, dozorczy... Zamknięto dawnych lekarzy, dozorców...

— A pan?

— Ja? Jak siedzę, tak siedzę. Takich jak ja nie wypuszczono.

— Dlaczego?

— Bo ja jestem Pierwszy Brat Śpiący! — mówi nieznajomy zniżając głos do szeptu.

— Cóż to za Bracia Śpiący?

— To pan nie wie? A to ciekawe! Taki młody i nie wie!

— A pan jest jednym z tych Braci?

— Tak przypuszczają niektórzy...

— A naprawdę?

— Nie wiem. Ja już się na wszystko zgadzam co chcą... Tak najlepiej...
Przynajmniej mam spokój!...

W tej chwili do uszu Wacka dobiegają podniesione głosy. Przez okrągłe okienko w drzwiach widać część korytarza.

Dwie kobiety w białych kombinezonach prowadzą jakiegoś człowieka z ogoloną głową, ubranego w kropkowaną piżamę.

— Proszę mnie natychmiast zaprowadzić do naczelnego dyrektora — słyszy Wacek znajomy głos. Ogarnia go przerażenie. Kobiety mijają właśnie drzwi, za którymi stoi, i może dostrzec twarz prowadzonego człowieka. Rozpaczliwy okrzyk wyrывa mu się z gardła.

— Ewa...

Kobiety jednak nie zwracają na Wacka uwagi.

— Chcę się widzieć z dyrektorem zakładu — mówi Ewa spokojnie, lecz stanowczo.

— Jeszcze czego! — śmieją się kobiety.

— Jestem lekarzem.

— Co z tego? Mamy tu ze trzystu lekarzy. Niektórzy nawet siedzą w separatkach.

— Nie możecie mnie bezprawnie więzić. Jestem zdrowa.

— To się zobaczy. Każdy wariat tak mówi.

— Żądam natychmiastowej kontroli — podnosi głos Ewa.

— Możesz sobie żądać. Najpierw pójdziesz pod prysznic.

— Nie pójdę.

— Pójdziesz, koteczku, pójdziesz. Jeszcze podziękujesz.

— To bezprawie.

— Prawo to my. A może chcesz spróbować, jak smakuje nasze prawo?

— Nie ważcie się mnie uderzyć — głos drży przerażeniem.

— Widocznie jednak trzeba będzie cię nauczyć posłuszeństwa — śmieje się jedna z kobiet, otwierając jakieś białe drzwi w głębi korytarza. Druga chwytą Ewę za ręce i ciągnie do pomieszczenia.

— Nie. Nie! — woła rozpaczliwie dziewczyna.

Słychać szamotanie. Przez chwilę jeszcze widać, jak Ewa, unoszona w górę, wymachuje gwałtownie nogami, wreszcie wszystkie trzy kobiety znikają w drzwiach.

Krzyki nie ustają jednak. Wzmagają się nawet, przenikając bez trudu przez niedomknięte drzwi. Słychać trzask jakby rzemienia i jęki towarzyszące zadawanym razem.

Wacek poczyną walić pięściami we drzwi i wołać na całe gardło.

— Ratunku! Lekarza! Ratunku! Biją!

W tej chwili jakieś ręce chwytają go za ramiona, przewracają na podłogę, zatykają usta.

— Cicho. Cicho. Co pan wyprawia? — woła człowiek o wyblakłych oczach.

— Czy chcesz, żeby nas wszystkich wzięto pod prysznic? — dorzuca drugi współtowarzysz. Do uszu Wacka dochodzi z daleka szum wody, potem znów trzask

uderzeń, krzyki i błagalny lament. W końcu nastaje dłuższa chwila ciszy, którą przerywa dopiero głos „opiekunek”.

— No co? Starczy ci? Będziesz posłuszna?

Przez parę minut panuje spokój. Wacek wstaje z podłogi. Podchodzi do drzwi, które niespodziewanie otwierają się przed nim. Na progu stoi dwóch ludzi w białych kombinezonach.

— Pójdiesz z nami — zwracają się do Wacka, któremu dreszcz przebiega po krzyżu.

— Dokąd? — pyta drżącym głosem.

— Nie twoja rzecz.

Wyprowadzają go z pokoju. Idą wzdłuż korytarza. Białe drzwi są coraz bliżej. Wacek wie jednak, że ucieczka czy opór nie zdadzą się na nic. Mijają jednak białe drzwi i dochodzą do klatki schodowej. Wacek liczy odruchowo stopnie: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, dziesięć...

Znów długi korytarz. Drzwi obite plastikiem imitującym skórę. Za nimi nieduży, jasno oświetlony pokój. Stolik, dwa fotele. Z jednego wstaje łysy, barczysty, trochę przygarbiony mężczyzna o twarzy starca.

— Niech pan siada — wskazuje Wackowi fotel. — Niech pan to włoży na głowę — podaje mu pękaty hełm.

Kubicz bez słowa wykonuje polecenie.

— Kazałem pana przyprowadzić, gdyż jak wynika z wstępnych badań, nie jest wykluczone, że zaszła tu jakaś pomyłka. Skąd się pan znalazł w naszym ośrodku? Gdzie pan został zatrzymany?

— Zabrano mnie z domu. Ściślej — z gabinetu mojej żony.

— Ach, tak, prawda. Przypominam sobie. Gdzie pan poznał swoją żonę? Ostrzegam, że odpowiedzi pańskie są kontrolowane — barczysty mężczyzna wskazuje wzrokiem małe pudełko stojące na stole. — Od wyniku badań zależy, czy zwolnimy pana, czy też skierujemy do sanatorium. No więc, gdzie pan poznał swoją żonę?

— Pod Krakowem.

— W jakiej miejscowości?

— Niestety nie znam tutejszych okolic.

— Dobrze — mówi mężczyzna spoglądając na aparat. — W jakich to było okolicznościach?

— Spotkałem ją przypadkowo. Na terenie opuszczonym. Wśród ruin. Uwolniłem ją z rąk jakichś ludzi...

— Ach, tak? To ciekawe... Skąd się pan wziął wśród tych ruin?

— Znalazłem się tam przypadkowo.

— Przekładkowo? — starzec uśmiecha się ironicznie.

— Może wyraziłem się nieściśle. Interesują mnie stare budowle. Właściwie przyjechałem, aby...

— Czy wie pan, że nie wolno włóczyć się po terenach opuszczonych? — przerywa mu mężczyzna.

— Nie wiedziałem, ale spostrzegłem tablicę i chciałem zawrócić.

— Ach, tak... — mężczyzna ciągle się uśmiecha. — Skąd pan przyjechał?

— Z Ameryki.

— Z jakiego kraju?

— Ze Stanów...

— Dlaczego pan ciągle kłamie?

— Ależ...

— Mniejsza o to. Więc pan twierdzi, że uwolnił swoją przyszlą żonę z rąk jakichś ludzi? Co to byli za ludzie?

— Nie ulega wątpliwości, że chorzy psychicznie. Nienormalni.

— Sam jesteś nienormalny — rzuca ze złością lekarz i naraz Wacek uświadamia sobie, że przed nim siedzi ów osobnik, który wraz z oligofreniczkami napastował Ewę pierwszej nocy. — Widzę, że mnie pan sobie przypomina — wybucha mężczyzna złowrogim śmiechem. — To dobrze. To bardzo dobrze. Może to wpłynie dodatnio na pańską pamięć. Kiedy pan opuścił Blue Stone?

— Nigdy tam nie byłem.

— Dlaczego pan kłamie?

— Ależ nie kłamie. Chyba stwierdza to pański aparat.

— Widzę, że nie chce pan mówić prawdy i będę musiał pana zatrzymać dla obserwacji. Niech pan nie myśli, że się mszczę. Takie uczucie jest mi obce. Jeśli okaże się, że istotnie nie był pan w Blue Stone i jest pan normalnym człowiekiem — zwolnię pana natychmiast. A może pana od razu zwolnić? Wie pan, właściwie badania wypadły pozytywnie... Czy chce pan być zaraz zwolniony?

— Oczywiście.

Wacek nie może uwierzyć własnym uszom.

— Czy ma pan jakieś uwagi dotyczące pracy personelu ośrodka? Może zażalenia? Chętnie słucham uwag. Bardzo pomagają w pracy.

Wackowi stoi jeszcze żywo w pamięci niedawne zajście i czuje, że powinien skorzystać z okazji.

— Obsługa, pielęgniarki, dozorczy mogliby być trochę grzeczniejsi... — rozpoczyna ostrożnie.

— Czy traktowali pana źle?

— Mnie nie. Ale byłem świadkiem nieprzyjemnej sceny.

— To się zawsze może zdarzyć. Walczymy z tym. Kiedyś było znacznie gorzej. Wiem coś o tym.

— Ależ ja widziałem, jak znęcano się nad kobietą.

— Przesada. Często chorzy celowo oskarżają służbę szpitalną, a nawet lekarzy o sadyzm. W ten sposób usiłują szantażować personel. Nawet symulują pobicie...

— Naprawdę biją.

— Pan przesadza. Widział pan?

— Nie. Ale słyszałem.

— Niech pan nie wierzy. To symulacja. Często chorzy sami prowokują awanturę. Czy pana kto uderzył?

— Mnie nie, ale...

— No widzi pan. Jak ktoś zachowuje się spokojnie i wykonuje posłusznie polecenia — nie może się skarżyć. Niektórych chorych nie uspokoi się inaczej, tylko trzeba im lekko skórę przetrzepać. Są na to ściśle określone przepisy. Czy ma pan jeszcze jakieś uwagi lub zażalenia?

— Owszem. W tym samym zakładzie znajduje się moja żona.

— Wiem o tym. Pan pewno chce, abym ją zwolnił?

— Właśnie chciałem pana o to prosić. Przecież ona jest zupełnie zdrowa.

— Pan się myli. Miałem przed chwilą raport, że wystąpił u niej napad szału. Z trudem udało się ją uspokoić.

— Przy pomocy bata.

— Możliwe — lekarz uśmiecha się z lekka.

— Widziałem i słyszałem wszystko. Zachowywała się zupełnie normalnie. To ją sprowokowano.

— Taaak? Ciekawe. Dlaczego nastawiony jest pan tak wrogo do służby szpitalnej? W którym zakładzie pan ostatnio przebywał?

— Nigdy nie przebywałem w żadnym zakładzie.

— I to możliwe. Widać to z pańskiego zachowania. Ale nie o panu teraz mówimy. Otóż pańska żona była już poddana szczegółowemu badaniu i wynik wypadł ujemnie.

— No więc właśnie.

— Co znaczy „właśnie”?

— Ujemny wynik oznacza, że jest zdrowa.

— Wprost przeciwnie.

— Teraz ja już nic nie rozumiem.

— Nie dziwię się. Już przy pierwszym naszym spotkaniu był pan aż tak naiwny, że mnie — lekarza — wziął pan za wariata, a ją — niebezpieczną psychopatkę — za ofiarę...

W głowie Wacka powstaje teraz zupełny chaos.

— Więc pan mówi, że to ona...

— Czyż to, że pan się tu znalazł, nie jest najlepszym dowodem? Ja tu jestem dyrektorem, nie pańska żona.

Wacek jest zdruzgotany tymi słowami. Nie potrafi zdobyć się na krytyczną ocenę. Jeśli lekarz ma rację... Ogarnia go żal, palący żal...

— Mimo to proszę pana, aby pan przeniósł moją żonę do jakiegoś lepszego sanatorium — mówi po chwili z wysiłkiem.

— Dlaczego?

— Boję się, że nie potrafi przywyknąć do tutejszych warunków.

— Pomyślę o tym. Ale wiedz pan, że gdyby ona była na moim miejscu, nie wytargowałby pan od niej nic. Znam ją dobrze.

Wacek patrzy na lekarza ze zdziwieniem, ale ten sięga już do stołu i naciska jakiś guzik.

— Proszę czekać pod drzwiami na chorego — mówi do niewidocznego

mikrofonu.

Patrzy przez chwilę na Wacka, zastanawiając się nad czymś głęboko.

— Mogę pana zwolnić, lecz musi mi pan wyświadczyć pewną przysługę.

— Słucham pana.

— Niech mi pan powie, tak w zaufaniu, gdzie zostały pochowane Siostry Śpiące?

— Siostry Śpiące?

— Tak. Pan przecież wie, bo pan przybył z Blue Stone.

— Ależ...

— Jeśli pan odmawia, rozmowę naszą uważam za skończoną. Niech się pan jednak zastanowi. Nie należy igrzać z ogniem. Ostrzegam po przyjacielsku. Mimo wszystko lubię pana. Nie należę do tych, którzy chcieliby uśmiercać wszystkich Braci i Siostry Śpiące. Uważam, że wystarczy sterylizacja. To będzie większa kara.

— Co?

— Nie podzielam zdania obecnego kierownictwa. Dlatego zrobię wszystko, mimo że nie ma pan do mnie zaufania. Zrobię wszystko, co będę mógł, aby pana i pańską żonę umieścić w najlepszym sanatorium. Razem.

— Więc mnie pan nie zwolni?

— Chyba nie. Szkoda mi pana... — rzuca ze smutkiem.

— Dlaczego?

— Dziękuję. Może pan już odejść.

Naciska guzik. W drzwiach staje znów dwóch ludzi w kombinezonach.

— Proszę zaprowadzić chorego do pokoju 1953.

— Tak jest.

Znów przed Wackiem otwiera się długi korytarz, potem schody, winda i znów korytarz.

Wędrówka nie trwa długo. Ciężkie drzwi z niewielkim okrągłym okienkiem zasuwiają się cicho.

W pokoju panuje półmrok. Ktoś leży na tapczanie na wznak. Wacek podchodzi do tapczana i spostrzega Ewę.

A więc ów dziwny lekarz spełnił obietnicę. Umieścił ich w jednej celi.

Ewa siada na tapczanie. Twarz jej promienieje radością. Wyciąga do Wacka rękę.

— Jak dobrze, że jesteśmy razem... Jaka jestem szczęśliwa... — szepcze z czułością.

„Nie. Ona nie jest obłąkana. To nieprawda, co mówił ten człowiek” — powtarza z uporem w myślach Wacek.

Bierze dziewczynę w ramiona. W oczach Ewy błyszczą srebrzyste krople. Czuje jej gorące łzy na swych policzkach.

Srebrzyste krople pełzają długimi strumyczkami w dół po gładkiej tafli szklanych drzwi. Deszcz raz po raz, za każdym gwałtowniejszym podmuchem wiatru, siecze po twarzach i odsłoniętych głowach. Wacek i Ewa schodzą po stopniach na plac. Przestrzeń przed nimi wypełnia morze głów ludzkich. Starcy, ludzie dojrzały, młodzież i dzieci. Ogromna większość to kobiety. Ustawieni w nie kończące się

szeregi — czekają. Nad nimi unosi się w powietrzu rząd świecących złotym blaskiem kul.

Ewa i Wacek stają w szeregu. Wkrótce w tłumie wszczyna się ruch. Szeregi przeobrażają się w długie kolumny. Pochód rusza szeroką drogą o gładkiej, przypominającej asfalt nawierzchni. Nad ludźmi — złote kule. Po bokach posuwającej się wolno kolumny, w kilkudziesięciometrowych odstępach, nieco mniejsze kule, wsparte na długich teleskopowych prętach, zakończonych gąsienicowymi „stopami”. Czyżby eskorta robotów?

Rzadko zabudowana ulica zmienia się w szeroką, podobną do autostrady drogę, przecinającą dziko zarosły krzakami i drzewami teren. Pochód posuwa się w milczeniu, tylko czasami do uszu Wacka dobiega szmer przyciszonej rozmowy. Na twarzach współtowarzyszy maluje się otepienie i rezygnacja. Ciężki, pełen wysiłku chód większości ludzi wskazuje na ogromne wyczerpanie fizyczne i psychiczne. Również i Wacek czuje potęgujące się zmęczenie. Na domiar złego dokuczają mu dreszcze i ból głowy.

Idąca obok Wacka Ewa jest wyraźnie zaniepokojona zmianą w jego wyglądzie.

— Co się z tobą dzieje? — pyta ściszym głosem, jakby w obawie, by ktoś nie dosłyszał jej słów.

— Źle się czuję...

— Właśnie to widzę. Chyba masz gorączkę. Oczy ci tak błyszczą. Daj rękę.

Kubicz czuje chłodne palce dziewczyny na przegubie prawej dłoni. Chwilę idą w milczeniu.

— Tętno przyspieszone — stwierdza Ewa. — Nie ulega wątpliwości, że masz gorączkę.

— Powinien się położyć — dorzuca idąca tuż za Wackiem tęgawa kobieta.

— Nie rozumiem, jaka może być przyczyna? — zastanawia się Ewa.

— Grypa — podsuwa Wacek.

— To byłoby straszne...

Wacek patrzy ze zdziwieniem na Ewę. Nie może zrozumieć, dlaczego to przypuszczenie tak bardzo ją przeraziło. Już chce zapytać, gdy naraz gdzieś daleko w tłumie przed nimi wszczyna się tumult.

Słysząc krzyki, wrzaski, nawoływania. Nagle wystrzelają w górę języki ognia i jedna z kul sunących po ziemi na teleskopowej „nodze” przewraca się w tłum.

— Uciekać. Uciekać. Prędko — wyławia Wacek okrzyki wśród zgiełku.

Zarówno latające, jak i sunące po ziemi maszyny kierują się ku miejscu, gdzie powstało zamieszanie. Jednocześnie zaczyna padać gęsty śnieg, przysłaniający wszystko dookoła.

— Uciekajmy — słyszy nad uchem szept Ewy. — To zdaje się jedyna szansa.

Dziewczyna chwyta go za rękę i ciągnie gdzieś w bok. Wacek widzi kontury drzew, potem krzaki. Wpadają w zarośla.

W mglistym całunie zadymki Wacek dostrzega jeszcze kilka innych postaci ludzkich, przedzierających się przez chaszczę.

— Prędeej. Prędeej.

Gałęzie biją go po twarzy, drapią boleśnie skórę, szarpią odzież. Nie zwraca jednak na to uwagi. Biegnie dalej za Ewą.

Śnieg przestaje padać i ukazuje się słońce. Robi się zupełnie jasno. Nad wierzchołkami drzew przelatuje ze świstem żółta kula i błyskawica przecina powietrze. Rozlega się grzmot. Nowa błyskawica — jeszcze bliżej.

Jakaś kobieta, biegnąca przez zarośla w odległości kilkunastu metrów przed nimi, wykonuje gwałtowne, rozpaczliwe ruchy i pada nieprzytomna wśród traw.

— Na ziemię. Szybko! — woła rozkazująco Ewa i pociąga Wacka między krzaki. — Nie ruszaj się. Wstrzymaj oddech.

Leżą teraz oboje nieruchomo obok siebie. Wacek czuje, jak serce łomocze mu w piersi. Coraz trudniej wstrzymuje oddech.

Znów świst. Nad ich głowami przelatuje kulisty robot. Potem nastaje cisza. Wacek dusi się, a jednak paniczny strach nie pozwala mu zaczerpnąć powietrza.

— Zdaje się, że już po wszystkim — słyszy z ulgą szept Ewy. — Teraz trzeba jak najszybciej znaleźć jakąś kryjówkę i czekać nocy.

Dziewczyna podnosi się szybko z ziemi i pomaga Wackowi wstać.

— Źle z tobą — mówi z niepokojem, widząc, że Kubicz chwieje się na nogach. — Ale nie ma rady, musimy uciekać.

Wackowi jednak mięśnie odmawiają posłuszeństwa. Nie jest w stanie biec dalej. Na nic zdają się rozpaczliwe wysiłki Ewy.

— Jeszcze trochę, jeszcze... — szepcze dziewczyna błagalnie.

Ale on nie potrafi już nawet iść. Osuwa się na trawę.

— Wacku — słyszy pełen łęku głos Ewy. Widzi zarys jej głowy na tle jasnego nieba. Nagle obok Ewy ukazuje się druga głowa.

— Zaraz wam pomogę — słyszy jakiś znajomy kobiecy głos.

Jakieś ręce podnoszą go z ziemi.

— Tu, niedaleko... W tych ruinach... najlepsza kryjówka.

Przez wielką dziurę w na wpół zawalonym suficie widać błękit nieba. Wacek leży na podłodze zasłanej suchymi liśćmi i trawą. Obok niego siedzi na ziemi z podkurczonymi nogami jakaś starsza, tęgawa kobieta. Oczy jej są wpatrzone nieruchomo w prostokąt okna, z którego zwisają resztki dawnej ramy.

— Kto pani jest? — pyta z wysiłkiem Wacek.

— Kwas azotowy — odpowiada machinalnie kobieta.

— Co?

— Kwas azotowy. Pada... Z deszczem. Wszystko zmarnieje... Nie będzie roślin... Nie będzie życia...

Twarcz kobiety wyraża bezgraniczny smutek.

— O czym pani mówi?

Kobieta patrzy chwilę na niego jakby ze współczuciem.

— Pan nic nie wie, bo pan nie jest biologiem — oświadcza, podnosząc nieco głos. — Jeśli pana to interesuje, wyjaśnię. Stopień kwaśności wody ma niezmiernie ważne znaczenie dla życia. Nawet bardzo niewielkie zmiany w nasyceniu wody deszczowej kwasem azotowym mogą spowodować śmierć roślin. Tu chodzi o proces

fotosyntezy. Bardzo słaby roztwór kwasu 1:1000000000 przyspiesza fotosyntezę, jednakże niewielki wzrost jego zawartości w wodzie powoduje zwolnienie tego procesu. Gdy zaś stosunek ten zmieni się na 1:100000, powstają już poważne zaburzenia. Kwas azotowy wytrąca w postaci i azotanów pierwiastki niezbędne roślinom do życia, niszczy bakterie przyswajające azot z powietrza, których rola w obiegu azotu w przyrodzie jest niezmiernie ważna. Doprowadza to do zagłady roślinności. A przecież bez roślin zginie tlen z atmosfery, zginą zwierzęta, zginie człowiek.

Wacek czuje szum w głowie, lecz usiłuje zrozumieć wyjaśnienia nieznanym.

— Ale skąd ten kwas azotowy? Skąd ten wzrost stężenia?

— Jak to? I tego pan nie wie? — dziwi się kobieta. — Jeśli poddać powietrze działaniu wysokiej temperatury, azot i tlen łączą się, tworząc tlenek azotu. No, chyba pan się tego kiedyś uczył?

Wacek kiwa głową. Wyobraża sobie szkolną tablicę, ławki...

— Ten gazowy tlenek azotu powstaje również przy wyładowaniach elektrycznych, ale zostaje natychmiast w czasie burzy spłukany na ziemię, zanim zdąży przeobrazić się w kwas azotowy. Tymczasem w „grzybie” olbrzymie ilości tlenku azotu bynajmniej nie ulegają spłukaniu. Łącząc się ponownie z tlenem powietrza, a następnie z parą wodną zawartą w atmosferze, tworzą w rezultacie kwas azotowy. HNO_3 . I dopiero przypadkowy deszcz ściąga go na ziemię. Ale jest to już deszcz kwaśny...

— Lecz skąd się bierze to ciepło? Czyżby „grzyb”, o którym pani mówiła był... — Wacek urywa. Straszne przypuszczenie nie chce mu przejść przez gardło.

— Oczywiście mówię o „grzybie” po wybuchu bomby wodorowej — wyjaśnia z dziwnym spokojem kobieta.

— Więc rozpoczęła się wojna?

Kobieta patrzy na Wacka ze zdziwieniem.

— Dlaczego zaraz wojna? Po prostu bomba wybucha, powstaje temperatura, powiedzmy 20 milionów stopni...

Wacek podnosi się gwałtownie i siada na podłodze.

— Ale dlaczego bomby? Teraz bomby?

— A co pan myśli, że wolno było tylko w XX wieku? A może myśli pan, że to zimno, te deszcze, śnieg — to nie przez te bomby? Tylko nas oszukują, że potrafią kierować pogodą. To wszystko kłamstwo. Żeby się nie buntowano. Mówią — energia wyzwolana przez zwykłą burzę jest znacznie większa od energii bomby wodorowej. Niby dlatego wybuch bomby nie może mieć wpływu na pogodę, a co najwyżej ma wpływ bardzo lokalny. Nieprawda. Stosunek energetyczny nie daje właściwego obrazu. Tu chodzi o efekt katalityczny. Pyły radioaktywne, jony i kwas azotowy powstałe w czasie wybuchu bomby wodorowej są roznoszone przez wiatry w całej atmosferze, i to często w znacznych stężeniach. A przecież stan pogody zależy od niezliczonych czynników. Niewielka zmiana niektórych z nich może wystarczyć do wywołania, wskutek reakcji łańcuchowych, poważnych zaburzeń na wielkich obszarach. Wie pan, że nieraz jeden narciarz może podciąć na zboczu pole śnieżne i

spowodować lawinę...

— A więc sądzi pani...

— Nic nie sądzę — jestem pewna. Równowaga ukształtowana przez miliony lat została zakłócona. I nie wiem, czy wystarczą tysiąclecia, aby powróciła.

— I nie ma sposobu? — pyta Wacek, opadając z powrotem na zaimprovizowane legowisko.

— Nie ma! — woła kobieta z błyskiem w oczach. — Znaleziono Braci i Siostry Śpiące. To już nadchodzi koniec... Na Siedmiu Braci Śpiących padał śnieg... Czy pan wie, co to znaczy?

W głowie Wacka rodzi się podejrzenie, że kobieta cierpi na jakąś psychozę. Odpowiada jej jednak, siląc się na spokój.

— Nawet się nie domyślam.

— Trzeba uciekać. Na Wenus. Na Marsa. Na Księżyc nie wystarczy. Za blisko. A kwas azotowy pada i pada, i pada... Patrz pan, jaki żółty deszcz.

— W tej chwili deszcz nie pada.

— Przecież mówię, że pada. Pan ma halucynacje... To z gorączki.

Rozlegają się jakieś szybkie kroki.

— Ktoś idzie — stwierdza Wacek.

— Zdaje się panu. To deszcz pada.

Lecz Wacek bynajmniej nie uległ halucynacji. Do zrujnowanego pokoju wchodzi Ewa.

Przez ramię ma przewieszoną dużą torbę.

— Jak się czuje? — zwraca się do kobiety szeptem. Widocznie myśli, że Wacek śpi.

— Kłóci się ze mną, że deszcz nie pada... — odpowiada nieznajoma.

— A więc już jesteś przytomny? — mówi Ewa. — Zaraz zrobię ci zastrzyk.

— Skąd zdobyłaś lekarstwa? — dziwi się Kubicz.

— Podejrzewałam, że tu gdzieś w pobliżu leży moja maszyna. Przecież wówczas, gdy mnie ogłuszyli, musieli coś z nią zrobić. Oczywiście lądowali. Łatwo przy tym mogło dojść do awarii i maszyna na pewno ugrzęzła w zaroślach. Miałam rację.

Ewa wyjmuje z torby niewielki pistolet, zakłada nabój-ampułkę, manipuluje jakimiś gałeczkami i guzikami. Po chwili unosi pistolet w górę.

— Połóż się na brzuchu — rozkazuje.

Zaledwie zdążył wykonać polecenie — słyszy głos Ewy. — Już po wszystkim. Dobrze byłoby wziąć doustnie jeszcze ze dwie pastylki, ale niestety nie mamy wody.

— Woda się znajdzie — odzywa się kobieta. — Zaraz przyniosę. Świetna, czysta woda. Bez kwasu azotowego.

— Co ona mówi? — pyta niespokojnie Wacek.

— Ach, pewno opowiadała ci o kwasie azotowym, o eksperymentach jądrowych, pogodzie...

— Tak.

— Nie martw się tym — śmieje się Ewa.

Kobieta patrzy na nią z niechęcią.

— Niech pan jej nie wierzy — zwraca się do Wacka. Ona panu będzie wmawiać, że żadne bomby nie wybuchają, że nie pada kwas azotowy. Że w ogóle jest wszystko w porządku. Bo ona nie wierzy faktom empirycznym. Nie wierzy. A przecież na Siedmiu Braci Śpiących padał śnieg...

Kobieta znikła w otworze, który kiedyś był drzwiami.

— Więc wszystko, co mi naopowiadała ta kobieta, to nieprawda? — pyta Wacek z ogromną ulgą.

— Nie zauważyłeś, że jest maniaczką?

— Tak. Ale to, co mówiła, nie było bynajmniej pozbawione sensu.

— Nie dotyczy jednak naszych czasów. Obecnie już potrafimy regulować pogodę na znacznych obszarach.

— A dzisiejszy deszcz i śnieg?...

— To na pewno są następstwa przewrotu... Jakiś wariat dał fałszywą instrukcję automatom.

— Wariaci mogą również rzucać bomby...

— Bomb nie ma. Nawet w muzeum.

— A jakby ktoś na własną rękę tak pokierował zautomatyzowanym przemysłem...

— Cały przemysł materiałów rozszczepialnych, jak i syntezy nuklearnej, niezależnie czy chodzi tu o siłownie jądrowe, czy też o zakłady przetwórcze, umieszczony jest głęboko pod ziemią i odizolowany od świata zewnętrznego, aby nie dopuścić do skażenia atmosfery jego produktami.

— Niemniej jednak ktoś przecież kieruje automatami...

— Oczywiście, lecz istnieje tu bardzo złożony system wzajemnej kontroli. Uniemożliwia on wyłamanie się jakiegokolwiek zespołu z ustalonego w skali światowej planu, a tym mniej — podporządkowanie przemysłu jądrowego jednostce czy grupie ludzi.

— Więc ten kwas azotowy to również...

— ...sprawa przebrzmiała. Mógł być problemem przed rokiem 2000. Dziś już nie padają deszcze zawierające kwas azotowy o stężeniu niebezpiecznym dla życia, ani też deszcze radioaktywne. Obszary wyjałowione potrafiliśmy zagospodarować i ożywić roślinnością już w dwudziestych latach naszego stulecia.

— A więc jednak kwas azotowy spowodował spustoszenia?

— Na niektórych obszarach stało się to prawdziwą klęską. Zwłaszcza, że syntetyczna produkcja żywności była jeszcze w powijakach. Nie wiadomo co gorsze — głód czy epidemie...

— Epidemie?

— Myślisz, że przypadkowo zachorowałeś?

Wacek odczuwa coraz większy chaos w głowie. Czy Ewa mówi w czasie przeszłym, czy teraźniejszym o kwasie azotowym, epidemiach, głodzie? Może ona również jest nienormalna, jak twierdził ów dziwny lekarz...

— Sądzisz, że to epidemia? — pyta ostrożnie. — Czyżby też od tych eksplozji?...

— Tak. Wzrost promieniowania powoduje nie tylko mutację genów ludzkich.

Niemniej groźne są zmiany wywołane w bakteriach i wirusach. Już w drugiej połowie XX wieku świat przeżył kilka groźnych epidemii wywołanych nieznanymi dotąd odmianami zarazków. Zwłaszcza niebezpieczne rozmiary przybrały choroby wirusowe. Stosowane z dobrym dotąd skutkiem szczepionki okazały się całkowicie zawodne. Zarazki odznaczały się ogromną zjadliwością i dużą odpornością na działanie środków bakteriobójczych. Wkrótce okazało się, że są to odmiany dawnych, dobrze znanych wirusów i bakterii, powstałe pod wpływem bombardowania promieniami wysyłanymi przez pyły radioaktywne. Ich zjadliwość spotęgowana była ponadto tym, że w walce z dotychczas występującymi chorobami zakaźnymi medycyna sparaliżowała działanie poznanych dotąd szczepów, stwarzając niejako pole dla nowych zarazków. Walka była bardzo trudna, gdyż znaczne natężenie promieniowania sprzyjało nieustannemu powstawaniu nowych chorób. Przez pewien czas wydawało się nawet, że jest to przysłowiowa walka z hydrą. Na miejsce jednej odciętej głowy wyrastały dwie.

— I te epidemie trwają nadal? Radioaktywność...

— Natężenie radioaktywności jest dziś bez porównania mniejsze niż sto lat temu — przerywa Ewa. — Nowych mutacji mamy coraz mniej. Teraz już nie można mówić o epidemii.

— A moja choroba? Mówiłaś...

— Zmutowane szczepy jeszcze istnieją, ale podobnie jak stare bakterie i wirusy, powstałe w wyniku naturalnego procesu, nie stanowią niebezpieczeństwa dla ludzi. Potrafimy się przed nimi zabezpieczyć. Zresztą liczne szczepienia sprzyjają biologicznemu uodpornieniu. Z tobą jest inaczej. Po pierwsze — nie byłeś szczepiony. Po drugie — nie mogła wystąpić u ciebie również dziedziczna odporność. Gdyby nie zastrzyk surowicy i zespół środków bakteriobójczych — mogło się to skończyć bardzo źle. Parę godzin zwłoki i wywiązałyby się komplikacje. Teraz widzę, że jakoś szczęśliwie zdążyłam na czas. Był to zresztą szczep dobrze znany; łatwo mogłam zdławić chorobę w zarodku. Musisz się jednak strzec. Niestety, nie jestem w stanie...

Daleki okrzyk przerywa wywody Ewy. Głos należy niewątpliwie do kobiety, która przed chwilą opuściła pokój. Krzyk ponawia się, przechodząc z nagła w głuchy grzmot.

Słysząc świst przecinanego powietrza i szum silnika. Czarny cień przesłania na moment błękit widoczny przez otwór w suficie.

Ewa rzuca się na podłogę obok Wacka.

— Musieli nas zauważyć.

— Ta kobieta?...

— Nic jej już nie pomożemy...

Szum silnika cichnie. Ewa ostrożnie podnosi głowę. Twarz jej jest blada.

— Co myślisz robić dalej? — pyta Kubicz.

Ewa wzrusza ramionami..

— A więc?...

— Jeśli wyjdziemy z tego domu — wytropią nas w ciągu kilku minut. Teren jest

na pewno pod stałą obserwacją. Tu zaś umrzemy z głodu.

— Daleko leży ta twoja maszyna?

— Ze sto metrów stąd. Jest jednak uszkodzona bardzo poważnie. Nie wystartujemy. Zresztą i tak by nas zaraz umiejscowili.

— Nie to miałem na myśli. Jeśli się znajdujemy niedaleko miejsca, w którym spotkałem ciebie po raz pierwszy — łatwo chyba odnajdę willę.

— Jaką willę? — pyta Ewa apatycznie.

— W podziemiach owej willi znajduje się laboratorium anabiotyczne. Na pewno znajdę drogę.

— Chcesz uciec w przyszłość? — w oczach Ewy pojawia się błysk nadziei.

— Tak. Uciec w przyszłość. Z tobą. Może uda nam się uruchomić aparaturę. Tam są dwie komory. Chyba dasz sobie radę?

— Muszę — oświadcza Ewa z dawną energią.

— Chodźmy szybko. Szkoda każdej chwili.

Wacek podnosi się z podłogi i chwiejnym krokiem rusza ku drzwiom. Za drzwiami klatka schodowa. Zarośnięte zielskim stopnie prowadzą w dół.

Ewa i Wacek dochodzą do parteru. Ostrożnie, aby nikt ich nie dostrzegł, zbliżają się do drzwi wejściowych.

W tej samej chwili znów rozlega się rosnący w siłę dźwięk motoru. „Latający talerz” przelatuje nad domem. Wacek ciągnie Ewę z powrotem w głąb sieni.

— Trzeba chyba poczekać do zmierzchu — szepcze nerwowo dziewczyna.

Wacek nic nie odpowiada. Wodzi zdziwionymi oczyma po ścianach korytarza, to znów zatrzymuje wzrok na szeroko rozwartych drzwiach, wiszących bezwładnie u framugi na naderwanych zawiasach.

— Patrz. Patrz.

— Co? Gdzie mam patrzeć?

— Ach, prawda. Ty nie wiesz. Wyobraź sobie, że nie będziemy czekać do nocy. W ogóle nigdzie nie pójdziemy.

— Nie rozumiem. Dlaczego? — dziewczyna spogląda na Wacka z niepokojem.

— Nie bój się. Nie zwariowałem. Co za szczęście. Szalone szczęście. To jest właśnie ta willa. Wystarczy zejść do piwnic... Poznaję ten mur, drzwi... Jesteśmy uratowani...

Wacek radośnie ściska dłoń Ewy.

Wypogodzone gładkie czoło, blade policzki, zamknięte swobodnie powieki. Ewa zda się uśmiechać przez sen. Niewielka czworokątna szyba pozwala dostrzec tylko rysy twarzy i cienie elektrod czy przewodów wokół czaszki. Szyja, ramiona i pierś dziewczyny toną w mroku wypełniającym ciemną mgłą wnętrze skrzyni.

„A więc już zasnęła”, myśli Wacek. „Obudzi się za pięćset lat”.

Za pięćset lat...

Co zastaną wówczas na świecie? Czy będą go jeszcze zamieszkiwać ludzie? A jeśli tak — to kim oni będą?... Szczęśliwymi, wolnymi twórcami, którzy potęgą nauki przemogli zagładę cywilizacji? Może ludzkość, zdziczała i zdegenerowana, nie będzie już zdolna do podjęcia walki o swą przyszłość? Może dopiero poprzez dziesiątki

tysiącleci doboru naturalnego i selekcji biologicznej z owych resztek człowieka gatunku wyodrębniony zostanie przez samą przyrodę szczep ludzi nie obciążonych cechami degeneracyjnymi. I znów rozpocznie się wszystko od początku...

A jednak ta daleka przyszłość, pełna niepewności, a może i zasadzek, nie budzi w Wacku lęku — wie, że nie jest sam. Patrzy z tkliwością na Ewę. Jakaż ona piękna w tym niezwykłym wielowiekowym śnie...

Teraz Wacek kieruje snop światła w głąb laboratorium.

Druga skrzynia, z uniesioną w górę pokrywą, czeka na niego. Podchodzi do niej i waha się. Odczuwa jakiś nieokreślony niepokój. Czyżby się bał, że aparatura może zawieść?... Ewa wszystko dokładnie zbadała. Usunęła skutki działania czasu. Wie o tym dobrze, a jednak...

Nie. To nie jest brak zaufania do „maszyny anabiotycznej”. W tej chwili wraca myślą na górę, na powierzchnię, w ruiny willi. Zastanawia się, czy czegoś nie zapomniał. Może jakiś zostawiony przez nieuwagę ślad sprowadzi ich prześladowców tu, do podziemi? Jeśli sen jego i Ewy zostanie przerwany i znajdą się znów w rękach szaleńców?... Los Siedmiu Braci Śpiących... To byłoby straszne...

Wacek wie, że nie zamknie wieka swej „trumny”, nim jeszcze raz nie sprawdzi wszystkiego i nie upewni się, że nikt i nic nie zdoła zakłócić ich pięćsetletniego snu. Jest już zdecydowany. Podchodzi do metalowych drzwiczek. Odsuwa sztabę. Idzie długim, ciasnym korytarzem. Jeden zakręt, drugi, trzeci. Potem drabina. Wspina się po niej i czuje jak serce coraz natarczywiej łomocze mu w piersi.

Nie ma szkieletu... Ach, prawda, że też mógł o tym zapomnieć. Przecież go pochowali zaraz po zejściu do podziemi. Czy dobrze zrobili? Może lepiej, gdyby strzegł wejścia?...

Wacek naciska dźwignię, otwiera tajne przejście i wchodzi do piwnicy. Otwór zamyka się za nim bezszelestnie. Teraz jeszcze kilkadziesiąt metrów krętymi korytarzami piwnic i schody. Już jest na parterze. Za rozwartymi drzwiami ciemność. Na niebie świecą gwiazdy. Jedna z nich, jaśniejsza od innych, porusza się wolno na tle konstelacji Herkulesa, to na pewno sztuczny satelita.

Wackiem wstrząsa dreszcz niepokoju. Rusza schodami w górę, na pierwsze, potem na drugie piętro.

Pokój z zapadniętym sufitem. W świetle latarki widzi na podłodze jakiś przedmiot. Torba z lekarstwami — przypomina sobie. Pozostawiła ją Ewa. Dobrze, że wrócił... Czy jednak lekarstwa nadadzą się do użytku za pięćset lat? Tak czy inaczej trzeba schować. Jeszcze gotowi rozpocząć poszukiwania w piwnicach...

W tej samej chwili ogarnia go nowy niepokój. Gasi pospiesznie latarkę. Co za nieostrożność... Przecież jest noc. Ktoś może zauważyć światło. Jak to się stało, że on o tym zupełnie zapomniał? Chyba jest nieprzytomny...

Podchodzi do otworu okiennego. W zarośniętym ogrodzie panuje cisza i mrok. Naraz ciemność przecina jasny snop światła i uderza oślepiająco oczy Wacka.

— Tam! Tam on jest! Mamy go wreszcie! — słyszy z dołu okrzyki.

Odskakuje od okna i rzuca się ku drzwiom.

Chce biec do piwnic, lecz uświadamia sobie, że w ten sposób zdradziłby

kryjówkę.

Zbiega ze schodów i skacze w krzaki. Przedziera się w głąb ogrodu. Byle dalej od willi i tajnego laboratorium.

Ogłuszający świst rozlega się nad głową Wacka. Od wielkiego dysku odrywa się żółta kula rosnąc w oczach... Przez okrągłe okno w suficie bije żółte światło. Kwadratową salkę zapełniają szeregi tapczanów. W środku duży stół, krzesła. Kilka postaci ludzkich siedzi nieruchomo przy stole. Mężczyźni, kobiety... Jedna z nich — młoda, krótko ostrzyżona, drzemie ukrywając twarz w zgiętym ramieniu.

— Ewa?

Wacek zastanawia się chwilę i naraz uświadamia sobie, że przecież nie może tu być Ewy. Została w podziemnej kryjówce. Śpi...

„Tym lepiej — myśli Wacek — samemu będzie łatwiej uciec”.

— Pan zdaje się myśleć o ucieczce — rozlega się niespodziewanie czyjś głos. — Każdy się tak łudzi. Na początku. Ale to nierealne.

Do Wacka podchodzi jakiś starszy mężczyzna niskiego wzrostu.

— Nie radzę panu nawet o tym myśleć — ciągnie nieznajomy. — Oni pana obserwują...

Przez szkła okularów patrzą na Wacka szare, wyblakłe oczy.

— Czego pan chce ode mnie?

— Niczego nie chcę — odpowiada nieznajomy. — Tak sobie mówię. Tu u nas w sanatorium bardzo nudno...

— Co ja na to poradzę?

— Pan jako jeden z Braci Śpiących...

— Nie jestem żadnym Bratem Śpiącym — przerywa Wacek opryskliwie.

— To dziwne. A ja myślałem, że ze mną będzie pan szczerzy. Nie wydam pana.

— Kim są ci Bracia Śpiący?

— Pan nie wie? — dziwi się człowiek w okularach.

— Nie wiem.

— Pierwszy raz widzę człowieka, który ośmiela się twierdzić, że nie wie, kim są Bracia Śpiący. Ale niech tam... Powiem panu. Mniej więcej sto lat temu, gdy niebezpieczeństwo radioaktywności i zmian genetycznych stało się jasne, wybrano w tajemnicy grupę młodych, zdrowych ludzi — mężczyzn i kobiet. Z najbardziej wpływowych rodzin czwartego kontynentu. Nie wiadomo dokładnie, ile — dziesięć czy dwadzieścia osób... To nieważne. Dość, że byli. Otóż w grotach Blue Stone, w Kordylierach, zbudowano specjalną aparaturę i tę grupę Braci i Sióstr Śpiących — bo tak ich zaczęto nazywać — uśpiono na pięćset czy tysiąc lat. Tego też nie wiadomo.

— I co się z nimi stało?

— Parę lat temu ich odnaleziono i zlikwidowano całą zabawę. Podobno jednak kilkoro uciekło.

— Dlaczego przerwano im sen?

— Coś pan? Nie wiesz? To chyba jasne... Teraz, kiedy już wiadomo, że zbliża się koniec...

— Koniec czego?

— Oczywiście wszystkiego. Coś pan z innej galaktyki przyleciał? — nieznajomy patrzy na Wacka nieufnie.

— I co się stało z tymi ludźmi?

— Ano, większość miała lekką śmierć...

— Pozabijano ich? Dlaczego?...

— Gdzieś się pan uchował, że tego nie rozumiesz? Oni myśleli, że przeżyją nas... Że przeżyją całą ludzkość... Tę ludzkość, którą zniszczyli... Nie udało im się. Nie będzie świata — naszego świata — nie będzie i ich... To słaba może pociecha, ale i to dobre. Chociaż taka kara.

— Za co? — Wacka coraz bardziej ogarnia niepokój.

— Czy pan tego nie rozumie? Tyle lat trwały eksperymenty. Tyle lat każda eksplozja jądrowa zwiększała stopień radioaktywności powietrza, gleby, roślin, zwierząt, produktów żywnościowych... Powstały nawet mutacje bakterii i wirusów, miliony ton żywności zakopywano w ziemię... Instytuty medyczne sygnalizowały groźne następstwa... Ale nie zwracali na to uwagi... Były ważniejsze powody niż... przyszłość ludzkości.

Wacek milczy, patrząc z przerażeniem na nieznajomego.

— Energia jądrowa — szczęśliwa przyszłość świata. Zwiastun złotego wieku — ciągnie nieznajomy. — Nie... To było przekleństwo... A raczej przekleństwem była ślepotą ludzka. Zachwycano się swą siłą... Średnia bomba atomowa niszczy wszystko w promieniu półtora kilometra, wodorowa — w promieniu piętnastu kilometrów. Ziemia paruje na głębokość sześćdziesięciu metrów. Grzyb radioaktywny sięga w promieniu stu, a nawet stu pięćdziesięciu kilometrów... Oto były powody do dumy... A rezultat?... W minutę po wybuchu „nominalnej” bomby atomowej nasilenie promieniowania odpowiada promieniowaniu 82000 ton radu, po roku 110 kilogramów, a po stu latach jeszcze 0,6 kg. A ile bomb eksplodowało? I to nie tylko atomowych, lecz setki i tysiące razy potężniejszych — wodorowych. Nie zwracano uwagi ani na koszty, ani na głosy ostrzegawcze... A właśnie te tysiące ton pyłów radioaktywnych, krążąc w atmosferze i padając na ziemię powoli, i niedostrzegalnie dla przeciętnego człowieka, ale nieustannie, tworzyło podstawy klęski. Ciosy poczęły spadać po latach... Gdy już było za późno. Cóż z tego, że dziś rozumiemy, jaką to było zbrodnią? Cóż z tego, że potrafimy strącać radioaktywne substancje, gromadzące się w wielu organach? Zwalczyliśmy raka... Zapobiegamy tysiącom chorób... Uratowaliśmy rośliny... Nawet zdrowie fizyczne człowieka... — zapalał się coraz bardziej. — To nie wystarczy. Mózg ludzki to zbyt czuły, zbyt delikatny instrument... A przede wszystkim nie potrafimy przeciwstawić się zmianom, których źródłem są mutacje genów... Jeszcze nieprędko ludzkość opanuje tajemnicę narodzin wszystkich cech dziedzicznych. Prędzej zabraknie ludzkości.

— I dlatego?

— Dlatego.

W tej chwili otwierają się nieduże, szklane drzwi i w progu staje korpulentna, starsza kobieta.

— Panie Wacku. Niech pan ucieka. Zaraz. Natychmiast. Oni wiedzą...

— Co wiedzą?

— Że pan przybył z XX wieku.

Wacek rzuca się ku drzwiom, lecz nieznajomy zasłania wyjście swym wątłym ciałem.

— A więc tak? Jeszcze jeden Brat Śpiący? — wybucha mały człowieczek histerycznym śmiechem. — Nie puszczę cię. Chodźcie tu wszyscy. Wszyscy.

Wacek wie, że nie ma chwili do stracenia. Odepchnąwszy na bok nieznajomego, wybiega przed budynek.

Tu jednak zagradza mu drogę zwarty tłum.

— To on! To on! — słycać krzyki.

Kubicz zaciska pięści. Nie da się wziąć żywcem gromadzie obłąkańców. Tłum jest coraz bliżej.

Wykrzywione gniewem nienawiścią twarze. W dłoniach drągi, pręty, kamienie...

— Ja nie jestem winien — woła Wacek, jak może najgłośniej.

— Winien. Winien — rozlega się echem wśród tłumu.

— Czego ode mnie chcecie? — krzyczy rozpaczliwie.

Ale nikt go nie słucha.

Kamienie i grudki błota poczynają spadać na Wacka. Rzuca się teraz z powrotem ku drzwiom budynku.

Drzwi są jednak zamknięte.

Przez przezroczystą płytę widać człowieka w okularach. Oczy mu błyszczą dziko, usta uśmiechają się ironicznie.

Wacek poczyną bić pięściami w drzwi. Tłum jest tuż, tuż.

Łysy, barczysty mężczyzna zamierza się grubym kijem. Wacek czuje ostry, przesywający skronie ból... Próbuje odpierać ciosy, ale czuje, że to już koniec.

Już szarpią go dziesiątki rąk. Nie jest w stanie się bronić. Ogarnia go ciemność.

„A więc śmierć — myśli z lękiem. — A tam Ewa. Śpi... Co będzie, gdy się obudzi sama, za pięćset lat?... Sama w obłąkanym świecie...”

III

Wacek Kubicz, wyrwany raptownie ze snu, spojrział wółprzymtomnie na stojącego przed nim wysokiego, starszego mężczyznę w granatowym mundurze.

„Lekarz-wariat” — przebiegło mu przez głowę, ale natychmiast uświadomił sobie rzeczywistą sytuację.

Znajdował się w prawie pustym przedziale. Pociąg stał na dworcu w Krakowie. Przy oknie zapinał teczkę mały człowieczek w okularach. Na przeciwległej ławce leżał pozostawiony przez niego numer „Przekroju”. Wacek zatrzymał odruchowo wzrok na dużym zdjęciu jakiegoś młodego śpiewaka z gitarą, i uczył lekki dreszcz. „Edon Hind, nowe bożyszczę młodzięży czwartego kontynentu” — głośił duży, czytelny z daleka tytuł artykułu. Nieco niżej, obok zdjęcia znalezisk archeologicznych inny tytuł mówił o „niezwykłych odkryciach w Blue Stone w Kordylierach”.

Powoli ustępowało oszołomienie.

Trudno jednak było od razu otrząsnąć się z przejmującego wrażenia realności tego, co przeżył we śnie. Jakkolwiek wątek majaku rwał się co krok, gubił w niepamięci — niektóre sceny tkwiły w mózgu bardzo silnie.

Jednocześnie poczał żałować, że spał zbyt mocno i sympatyczna towarzyska podróży zdążyła już opuścić wagon.

Nie zwlekając, narzucił plecak i pospieszył ku wyjściu. Liczył, że może uda mu się dogonić dziewczynę.

Na peronie panował jednak tłok tak znaczny, że mimo rozglądania się na wszystkie strony — nigdzie nie mógł dostrzec niebieskiego beretu studentki.

Wreszcie wydostał się z dworca na ulicę. Medyczka zniknęła, niestety, jak sen. Wacek zastanawiał się chwilę, co dalej z sobą począć, wreszcie ruszył ku Plantom.

Nie uszedł jeszcze dwudziestu kroków, gdy usłyszał za sobą okrzyk.

— Przepraszam pana!

Za nim stał niski, szpakowaty mężczyzna w okularach — sąsiad z przedziału.

— Przepraszam — powtórzył nieznajomy niepewnie, jakby nie wiedząc od czego zacząć.

— Słucham.

— Czy zna pan Kraków?

Wacka ogarnęło nagle uczucie niepokoju. Coś wydawało mu się znajomego w tym pytaniu.

— Bardzo słabo — odparł machinalnie. — Nie pytając o drogę potrafię przejść tylko od dworca do Wawelu.

Ostatnie słowa wyszeptał niemal niezrozumiale. Serce poczęło mu łomotać gwałtownie, a na czoło wystąpiły krople potu. Jeśli za chwilę padnie to samo pytanie co we śnie... Nie, ten sen nie może się sprawdzić, wystarczy przecież zmienić ciąg zdarzeń...

— Czy pan... — podjął nieznajomy.

Ale Wacek nie pozwolił mu dokończyć.

— Przepraszam, lecz bardzo się śpieszę — przerwał niezbyt przekonywającym tonem i ruszył szybkim krokiem w kierunku Plant, odprowadzany zawiedzionym spojrzeniem nieznajomego.

1958

Antyświat

I

Informacje były ścisłe. Złapałem go w Muzeum Sztuki Nieludzkiej. Co ciekawsze, spotkałem go właśnie w sali starego Sorry — tam, gdzie wystawiona jest seria stereogramów sondy Bumerang XII. Tych samych, które trzydzieści lat temu wywołały tak wielkie zamieszanie wśród historyków sztuki.

Stał przed stereogramem wyobrażającym jakąś trójkątną, ściętą piramidę o prostych, niemal surowych liniach. Wydawało mi się, że patrzy uporczywie, nieruchomo w jeden punkt plastycznego obrazu, ale gdy podszedłem bliżej, spostrzegłem, że oczy ma zamknięte.

Poznałem go natychmiast po wejściu do sali, mimo że nie widziałem go dwadzieścia osiem lat. Nie zmienił się prawie zupełnie, tylko włosy jego nabrały srebrzystoniebieskawej barwy, a oczy jakby zapadły w głąb czaszki, nadając twarzy wyraz zmęczenia i ponurej zadumy.

Podszedłem do niego i powiedziałem:

— „Piegowaty”! Skąd się tu wzięłeś?

Użyłem naumyślnie starego studenckiego przezwiska, gdyż obawiałem się, że może mnie na pierwszy rzut oka nie poznać. Czas robi swoje.

Ale obawy były niepotrzebne. Spojrzał na mnie jakby przebudzony ze snu, zamrugał ze zdziwienia powiekami i naraz twarz mu się rozjaśniła.

— A niech mnie! — zawołał. — „Zielone Oko”! Człowieku, aleś się zestarzał!

Uściskaliśmy się serdecznie.

— Może pójdziemy gdzieś przepłukać gardła? — zaproponował jak przed laty.

Poszliśmy. Chciałem zamówić popularną ostatnio czystą bezalkoholową, lecz on był konserwatystą. Usiedliśmy więc przy sporej butelce starego wina.

Zastanawiałem się, od czego zacząć, ale on sam ułatwił mi sytuację.

— Kiedyśmy się widzieli po raz ostatni? — zapytał, wypiuwszy pierwszą czarę „pod spotkanie”. — Chyba jeszcze przed „wielkim skokiem”?

— Ależ nieee — zaoponowałem. — To było już po „wielkim skoku”! Jakieś chyba z pięć lat później... Pamiętasz? Mówiłeś wtedy, że wybierasz się na dłuższy czas... A potem już nie dałeś znaku życia. Szukałem cię nawet...

— Zaraz, zaraz... Czyżby to było akurat przed moim wyjazdem na Księżyc?

— Nie wiem. Mówiłeś wtedy, że lecisz gdzieś dalej, a nawet bardzo daleko... Poza Układ... Pewno tak sobie gadałeś.

Pamiętałem, że nie lubił, gdy ktoś powątpiewał o prawdziwości jego słów. Już byłem pewny, że złapał haczyk, bo nasrożył się i zawołał:

— „Zielone Oko”! Ja nigdy nie bujam! Jeśli powiedziałem, że... — urwał w pół zdania. Popatrzył na mnie przenikliwie i powtórzył — Ja nigdy nie bujam! Najwyżej

milczę!

Widocznie za bardzo mi było spieszno. Nalałem znów wina, mówiąc:

— Ależ... Nie obrażaj się! Tak dawno cię nie widziałem... Lepiej powiedz, co się z tobą działo? Po co te komedie?

— To ty pleciesz głupstwa — odburknął, ale wypił. Znów mu się twarz rozpogodziła. — No, a ty gdzieś się włóczył?

Nie byłem pewny, czy to świadomy unik, czy też tylko przypadkowo zmienił kierunek rozmowy.

— Eee. Ja tam nie mam o czym mówić... — odrzekłem lekceważąco. — Siedziałem przeważnie na Ziemi. Pół roku byłem na Marsie, dwa miesiące na Wenus. I to chyba wszystko. No, a ty gdzie byłeś w tym czasie? — ponowiłem pytanie. — Tyle lat... Tyle lat... Będzie chyba blisko trzydzieści...

— Dwadzieścia osiem — powiedział krótko i zamyślił się.

Nie chciałem być zbyt natarczywy. Dolałem wina do czarek i siedząc naprzeciw, patrzyłem w milczeniu wyczekująco.

— Czy nadal pracujesz w prasie? — zapytał zniecierpliwiony.

— Właściwie... już nie pracuję. Przeszedłem na emeryturę. Chcę skończyć powieść...

Spojrzał na mnie jakoś ciepłej.

— Więc jednak wzięłeś się za literaturę? Nie czytałem dotąd żadnej twojej książki. Przez te dwadzieścia osiem lat w ogóle nic nie brałem do ręki. Po prostu... — uśmiechnął się blado — to było niemożliwe. Nie było mnie w Układzie Słonecznym. Dużo już napisałeś?

— Blisko jedną trzecią.

— A więc to dopiero pierwsza powieść? Może ta sama, którą zaczynałeś pisać wówczas, gdyśmy się widzieli po raz ostatni? — dorzucił trochę kpiąco.

— Ta sama. Cóż... Nie miałem czasu. Dopiero teraz, po przejściu na emeryturę...

— No, to powodzenia, „Zielone Oko”! — zawołał wesoło, podnosząc w górę czarkę. Wypiliśmy.

— Więc byłeś poza Układem Słonecznym? — podjąłem już śmielej temat.

Twą twarz mu spochmurniała.

— Czy słyszałeś o wyprawie Antartu? — rzucił, nie odpowiadając na pytanie.

— Mówisz o tym przedsięwzięciu reprodukcji antyki?

— Nie tylko antyki, lecz w ogóle dzieła sztuki — sprostował patrząc mi uważnie w oczy — Antiquity-Art-Reproduction.

— Oczywiście, że wiem. Sam niegdyś kupiłem od nich niezłego Matisse'a. Nie wiem, czy znasz tego malarza? XIX-XX wiek. Wziąłem takie czerwone studium.

— Znam. Który gatunek?

— Trzeci. Na lepszy mnie nie stać. Zresztą wystarczy. Rekonstrukcja struktury włóknistej płótna tak świetna, że nie odróżnisz od oryginału. Również na odwrotnej stronie. Nawet wszystkie skazy odtworzone, nie mówiąc o barwach czy kładzeniu farb.

— Nie obrażaj się, ale tylko snobi kupują pierwsze cztery gatunki. Przecież

optycznie już piąty nie różni się niczym od oryginału. Punktowanie elektronowe jest tak drobne, że dopiero przez mikroskop dojrzysz strukturę. Lupa nie wystarczy.

— Skąd ty się tak dobrze na tym znasz? — zapytałem nieco zdziwiony, gdyż z wykształcenia był kosmonawigatorem.

— Ano — rzekł niechętnie — miałem czas przez te dwadzieścia parę lat zapoznać się i z tą techniką.

— A mówiłeś, że byłeś poza Zespołem Planet Zamieszkałych...

— Bo też byłem. W ogóle poza Układem Słonecznym.

— Nie rozumiem...

— Słyszałeś o wyprawie Antartu, czy nie słyszałeś?

— Zdaje się... że tak — wahałem się, co odpowiedzieć. — Niezbyt sobie przypominam... Chyba to bardzo stara historia?

— Stara nie stara. Właśnie wtedy, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, było o tym głośno. Antart organizował wówczas wyprawę do Układu Procjona.

Stanęły mi przed oczyma nagłówki depesz w przeglądanych wczoraj starych telegazetach.

— Coś sobie przypominam — powiedziałem po chwili. — To było po ogłoszeniu materiałów sondy Sorry'ego.

— Właśnie! Narobił zamieszania tymi stereogramami. Przypomniała mi się scena z Muzeum Sztuki Nieludzkiej.

— Powiedz mi, dlaczego tak jakoś dziwnie zachowywałeś się tam, w muzeum? — zapytałem wprost.

— Dziwnie? — spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Wydawało mi się, że jakoś bardzo byłeś przejęty, patrząc na te stereogramy. Co prawda, i na mnie wywierają one bardzo silne wrażenie...

— Na mnie nie! — rzucił ze złością. — Tyle, że... — nie dokończył.

— Że co?

— Przypominają mi one pewną historię... A jeśli chodzi o wrażenie, to nie tylko ciebie wzięły, ale i profesorów z Antartu...

— Te budowle naprawdę są piękne!...

— Piękne? A cóż to znaczy „piękne”? Ja się na tym dziś niewiele wyznaję... A wtedy to jeszcze mniej! I dlatego tu jestem! — wybuchnął nagle. — Dlatego mogłem wrócić! Dlatego żyję tu razem z ludźmi na Ziemi i mogę razem z tobą przepłukiwać gardło — zakończył, zmieniając ton.

Intrygował mnie coraz bardziej. Więc jednak coś w tym było...

— Gdzieś ty latał? Nie bardzo rozumiem — zapytałem, nie okazując podniecenia.

— Chcesz wiedzieć? — zniżył głos. — A umiesz milczeć?

— Jeśli trzeba...

— Byłem w Układzie Procjona z wyprawą Antartu.

Coś mi się tu nie zgadzało.

— Słuchaj, mój drogi! Więc twierdzisz, że poleciałeś z Antartem do Układu Procjona? A mnie się zdawało, że ta ekspedycja w ogóle nie doszła do skutku! O ile

pamięć mnie nie myli, była tam jakaś awaria już w pierwszej fazie przyspieszania i zawrócili. Może zresztą to było trochę inaczej... W każdym razie, zdaje się, mowa była tylko o ekspedycji fotonowca „Matterhorn”. Ale oni jeszcze nie wrócili.

Zdawało mi się, że przybladł nagle.

— I chyba nie wrócą!... — powiedział po chwili. Nalał sobie pełną czarkę i wypił jednym haustem. — Wróciłem tylko ja. Ja sam! — zaakcentował.

— Nie rozumiem. Przecież przed chwilą mówiłeś, że brałeś udział w wyprawie Antartu, a teraz znów twierdzisz, że leciałeś na „Matterhornie”.

— Bo tak właśnie było!

— Czyżbym aż tak wszystko pokręcił? — nie mogłem jeszcze zrozumieć. — Wydawało mi się, że „Matterhorn” to był fotonowiec przydzielony ekspedycji australijskiej, a nie Antartowi. Dałbym głowę...

— Nie potrzebujesz jej dawać — przerwał mi z lekka kpiącym tonem. — Było tak, jak mówisz. A więc słuchaj. Muszę tu wrócić do pewnych spraw. Nie wiem, czy pamiętasz? W rewelacje Sorry’ego początkowo nikt nie wierzył. Stereogramy łatwo było sfabrykować tu, na Ziemi. Wydawało się to wszystko zbyt proste, aby mogło być prawdziwe. A ta sztuka zbyt komunikatywna jak na sztukę nie ludzką. Cała historia z katastrofą sondy międzygwiazdnej, i to już w Układzie Ziemia-Księżyc, pachniała na parseki jakimś oszustwem. W ogóle cała sprawa miała wyraźnie posmak rewelacji sztucznie sfabrykowanej. Chyba pamiętasz?...

— Nie bardzo. To było zaraz po „wielkim skoku” i cała sprawa wydawała się w porównaniu z nim błaha.

— Właśnie. Tak to wyglądało. Przynajmniej w oczach przeciętnego mieszkańca Zespołu Planet Zamieszkałych. Wobec powrotu ekspedycji z Układu Alfa Centauri i wysłania trzech statków fotonowych z sześćdziesięcioosobową załogą do Układu Syriusza, pojawienie się jakiejś starej, zautomatyzowanej sondy, którą wszyscy od pół wieku uważali za zaginioną — musiało wydać się nieważne! Przede wszystkim uważano za rzecz nieprawdopodobną, aby to była istotnie ta sama rakietka fotonowa. Przecież, jak dotąd, z sondami międzygwiazdowymi nigdy nic nie wychodziło. Nawet matematycznie wykazano, jak mało prawdopodobny jest powrót takiego zautomatyzowanego zespołu badawczego. W granicach Układu Słonecznego mogło się ostatecznie udawać. Lecz jak można przewidzieć warunki w układzie pozasłonecznym, o którym wiadomo tyle, że jest? Żeby jeszcze wyposażyć raketę w jakiś wielki, wysoce skomplikowany układ ultrastabilizujący. Ale przecież to były wielostopniowe rakietki relatywistyczne. Przecież wtedy nawet siedem stopni silników fotonowych z trudem mogło przyspieszyć zespół powrotny do połowy prędkości światła i trzeba było walczyć o każdy gram ładunku użytecznego. A poza tym rzucanie sond na tak wielkie odległości, aż do Układu Procyona, wydawało się wówczas szarżowaniem bez pokrycia w rzeczywistych możliwościach technicznych. Było w tym wiele racji... — urwał i nalał sobie jeszcze wina.

— A jak, twoim zdaniem, było naprawdę? — zapytałem, widząc, że nie kwapi się z rychłym podjęciem tematu.

— Nie wiem jak to wytłumaczyć. Powrót sondy międzygwiazdowej tak starego

typu jak ISFS, obdarzonej tylko prostymi tropizmami i niewielką pamięcią, jest istotnie niezmiernie mało prawdopodobny. Biorąc na zdrowy rozum, to cała historia, tak jak ją przedstawił Sorry, należałaby do bardzo nędznie sfabrykowanych kaczek dziennikarskich, gdyby nie jedno „ale”...

— Jakie „ale”?

— Gdyby nie to, że stereogramy Sorry’ego są prawdziwe. Widziałem te budowle własnymi oczami na planecie IV Układu Procjona A.

— Więc jednak sonda Sorry’ego była tam i powróciła?

— Tak chyba było rzeczywiście. Widocznie mimo oszczędnej konstrukcji jej układ programowo-odruchowy był wystarczająco skomplikowany dla dokonania właściwego manewru.

— Może natrafiła na sprzyjające warunki?

— Niewątpliwie, mój stary! Widocznie tak się złożyło, że położenia gwiazd i planet były wyjątkowo korzystne. Loger wyliczył nawet, że przypadek taki mógł zdarzyć się raz na parę milionów sondaży, ale nie bardzo wierzę w te obliczenia. Mnie doświadczenie uczy, że te elektronowe bestie potrafią płać niezwykle figle... Ich możliwości są naprawdę, mówię ci, nieobliczalne! Tylko dzięki temu udało mi się wrócić! A obliczenia i tak nic nie pomogą Logerowi — zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Co się z nim dzieje? — zapytałem. — Nie widziałem go również chyba ze dwadzieścia parę lat. Czyżby umarł?

— Nie wiem — wzruszył ramionami. — Może byłoby dla niego lepiej, gdyby się w ogóle nie urodził... Zresztą to, czy żyje, nie ma chyba teraz żadnego znaczenia. Dla niego! A tym bardziej dla nas...

Zaskoczył mnie ton jakim to powiedział, ale przypomniało mi się, że nie znosił Logera, przynajmniej wtedy, przed laty, gdyśmy się spotykali wszyscy z całej naszej paczki „Robinsonów” w klubie „Zdechłej Ryby”.

— Jeśli nie umarł, to chyba ma to dla niego pewne znaczenie — podjąłem kpiącym tonem.

Lecz mój przyjaciel spąsowiał i wypalił ze złością.

— Zamknij się! Jak nic nie wiesz, to nie pleć trzy po trzy! Loger to świnia!... Ale ma za swoje. Ciesz się, że nie jesteś w jego skórze.

— Dlaczego?

— Bo on został tam!

— Gdzie?

— Co ty? Tracisz pamięć na starość? Przecież o niczym innym nie mówię od godziny jak o Układzie Procjona!

— Więc Loger brał udział w tej wyprawie? Wcale tego nie mówiłeś! — usiłowałem się oburzyć.

— Mniejsza o to. Mógłbyś być domyślniejszy! Loger pełnił funkcję zastępcy dowódcy na „Matterhornie”. Myślę, że na początku to on nawet nie miał złych zamiarów. Gdyby kto inny był pełnomocnikiem... jakaś silniejsza indywidualność. Wiek nie gra roli...

Wyraźnie zaczął „kołować”. Nie chcąc więc stracić orientacji — podjąłem

próbę skłonienia go do opowiadania w jakim takim chronologicznym porządku.

— Mówiłeś, że wszystko zaczęło się od chwili, kiedy Sorry ujawnił materiały przywiezione przez sondę. Czyżby eksperci Antartu wierzyli w ich prawdziwość i dlatego zdecydowano się na ekspedycję?

Uśmiechnął się ironicznie.

— Widzisz... Niełatwo na to odpowiedzieć. Kto wie, jak to tam było? Sorry należał do światowej czołówki planetologów. Uchodził za autorytet w sprawach dotyczących układów sąsiednich. Gdy wysyłano Bumerang XII miał chyba ze dwadzieścia parę lat i pracował w zespole programowania jeszcze jako asystent Grodzkiego. Podobno jednak wniósł tam sporo własnych pomysłów, zwłaszcza jeśli chodzi o zasadę samoczynnego wchodzenia sondy na orbitę satelitarną wokół nieznanej planety. Automat miał tu zastąpić człowieka. A był to problem niełatwy. Wszak o Układzie Procjona wiedziano wówczas bardzo niewiele. Wiedziano, że gwiazda A świeci sześć razy jaśniej od Słońca, że gwiazda B jest białym karłem obiegającym Procjona A w ciągu czterdziestu lat i że prawdopodobnie wokół tego ostatniego krążą planety. Lecz ile i w jakich odległościach — to wszystko miał samodzielnie zbadać Bumerang XII. Robot musiał wybrać najkorzystniejszą z punktu widzenia człowieka planetę i wprowadzić raketę na orbitę satelitarną stosunkowo blisko podchodzącą do powierzchni wybranego globu. Chodziło o to, aby kinoastrograf mógł dokonać zdjęć powierzchni w możliwie dużych powiększeniach. Z kolei, po wykonaniu programu badań, robot dokonywał wyboru właściwego kierunku i momentu ponownego włączenia silników, no i następowało przyspieszenie do prędkości stu kilkudziesięciu tysięcy kilometrów na sekundę. Tor musiał być tak wyliczony, by wreszcie, po blisko trzydziestoletnim locie, sonda trafiła do Układu Słonecznego, wytraciła prędkość i dotarła do okolicy, w której znajdowała się Ziemia. Wszystko to zdawało się przerastać możliwości prostej sondy, zwłaszcza że warunki panujące w Układzie Procjona były wielką niewiadomą.

— A jednak...

— Jednak Bumerang XII wrócił. Przywiózł zdjęcia powierzchni jakiejś nieznanej planety, i to jakie zdjęcia! W znacznym powiększeniu wyglądały tak, jakby ich dokonywano z samolotu. Nie darmo wyposażono kinoastrograf w specjalny obiektyw ultrateleskopowy. Ci, co budowali Bumerang XII, to byli ludzie z nie byle jakimi głowami...

— Czy jest jednak rzeczą prawdopodobną, aby owa sonda po przebyciu tak skomplikowanej drogi uległa przypadkowo katastrofie akurat w Układzie Ziemia-Księżyc? I że ocalał tylko zasobnik z filmami?...

— Masz rację! To było zupełnie nieprawdopodobne! A raczej bardzo mało prawdopodobne. To pachniało z daleka jakimś oszustwem. Bo też tak było...

— Jak to?

— Bumerang XII nie został bynajmniej zniszczony. To była fałszywa wiadomość; celowe wprowadzenie w błąd.

— Ale po co?

Patrzył na mnie w milczeniu.

— Aby nie trzeba było zwracać sondy tym, którzy ją wysłali — odrzekł dopiero po chwili.

— Przecież Sorry...

— Widzę, że bardzo słabo pamiętasz całą sprawę. Program „Bumerang” był przedsięwzięciem międzynarodowym, organizowanym pod patronatem Światowej Federacji Astronautycznej. Uczestniczyli w tym Amerykanie, Rosjanie, Anglicy, Polacy, Chińczycy, Francuzi, Niemcy i Węgrzy. Komuś jednak zależało na tym, aby sonda nie wróciła do rąk tych, którzy ją wysłali. Było wiele niewyjaśnionych okoliczności towarzyszących jej przybyciu. Najpierw rozeszły się wiadomości o odbiorze jakichś tajemniczych sygnałów, których źródło lokalizowano w konstelacji Małego Psa. Potem odezwał się Sorry, wyrażając ostrożną sugestię, że chodzi tu o którąś z sond wysłanych w ramach programu „Bumerang”. Ale sygnałów nikomu już nie udało się odebrać. Patrole przeczesywały przestrzeń bez rezultatu. Tymczasem Sorry znów zabrał głos i, poparty całym autorytetem Federacji Astronautycznej, począł udowadniać już na podstawie ścisłych obliczeń, że sygnały mógł nadać tylko Bumerang XII. Niektórzy dziennikarze poczęli wyrażać przypuszczenia, że sonda została skradziona i domagali się podjęcia akcji ze strony Międzynarodowej Policji Kosmicznej. I oto parę dni później znów odezwały się sygnały. Lecz zanim pierwszy patrol zdołał dotrzeć do sondy, eksplozja termojądrowa zniszczyła raketę.

— Zasobnik jednak ocalał — wtrąciłem uwagę. — Czy to możliwe przy reakcji termojądrowej?

— W tym bynajmniej nie było nic nadzwyczajnego. To sprawa dość prosta. Rakiety fotonowe typu „Bumerang” były zaopatrzone w urządzenie uruchamiane sygnałami radiowymi, które wywoływało eksplozję resztek paliwa jądrowego. Chodziło o to, aby w razie stwierdzenia jakichś uszkodzeń spowodować zniszczenie rakiety jeszcze przed lądowaniem — w przestrzeni kosmicznej — tak aby nie dopuścić do ewentualnego skażenia atmosfery planet zamieszkałych. Materiały naukowe wcale przy tym nie przepadały, ponieważ zasobnik był wystrzelony z rakiety na kilka sekund przed eksplozją, tak aby nie znalazł się w zasięgu kuli ognistej. Nie tu więc tkwiła zagadka. Zagadkowe było samo nadanie sygnału. Był on tak zaszyfrowany, że mogła go wysłać tylko specjalna aparatura, znajdująca się zresztą w siedzibie Federacji. Z tej aparatury jednak nikt nie nadał sygnału. Plomby były nienaruszone.

— Czyżby ktoś zbudował podobny nadajnik?

— Nie wydaje się to prawdopodobne. Raczej można przypuszczać, że wydarzenia miały nieco inny przebieg. Bumerang XII został schwyty wkrótce po odebraniu pierwszych sygnałów przez kogoś, komu zależało na tym, aby materiały nie stały się własnością międzynarodową i kto spodziewał się wyciągnięcia z nich jakichś szczególnych korzyści. Później jednak, gdy zaczęto mówić o kradzieży, w obawie przed sankcjami, które bardzo ostro karzą tego rodzaju korsarstwo kosmiczne, postanowiono zatrzeć ślady przestępstwa. Jest rzeczą wątpliwą zresztą, czy rakieta naprawdę uległa zniszczeniu. Z pewnością została wcześniej rozmontowana i trudno byłoby ją przewieźć i wprowadzić na poprzedni tor.

Wystarczyło wyrzucić zasobnik i niewielką bombę wodorową...

— Może nie wszystkie materiały dotarły do rąk Sorry'ego?

— Zależy, jak to rozumieć... Zasobnik był w komplecie, o czym łatwo można było się przekonać na podstawie dokumentacji znajdującej się w archiwum Federacji. Zdjęcia i taśmy, na których robot zarejestrował dane dotyczące badań naukowych i obserwacji, nie zdawały się wykazywać luk. Niemniej zapis kolejnych czynności roboczych zespołu napędowego i sterującego, stan przyrządów i powierzchni pocisku międzygwiazdowego, a przede wszystkim pamięć mózgu elektronowego mogłyby dostarczyć informacji niezmiernie cennych przy planowaniu nowych sondowań, czy nawet ekspedycji z ludźmi. Pamiętasz chyba, na ile nieprzyjemnych niespodzianek narażeni byli członkowie ekspedycji „Żar Pticy” w Układzie Alfa Centauri właśnie dlatego, że badano zupełnie nie znany teren, nie dysponując żadnym materiałem z sondowań. Zasobnik Bumeranga XII był bardzo cenny, ale raczej z punktu widzenia badacza obcych kultur i historyka sztuki niż organizatora wyprawy międzygwiazdowej. Zresztą warunki, w jakich odzyskano zasobnik, wzbudzać musiały nieufność. Choć Sorry był przekonany, że istotnie zdjęcia pochodzą z Układu Procyona A, nie brakło jednak przeciwników. Co prawda, nie śmieli oni zarzucać tak znanemu badaczowi oszustwa, lecz przynajmniej wysuwali sugestie, że może stał się ofiarą jakichś dowcipnisiów, którzy podsunęli mu zasobnik odpowiednio spreparowany na Ziemi. Przecież przed pięćdziesięciu czy stu laty produkowano wiele tego rodzaju urządzeń. Stąd też — chociaż stereogramy opracowane przez Sorry'ego z udziałem kilku historyków sztuki i speców od rekonstrukcji wywołały sensację w świecie artystycznym — nie przywiązywano do nich większej wagi naukowej, nie licząc paru naukowców-entuzjastów i wielu snobów, dla których określenie „sztuka i architektura nieludzka” zawsze miało szczególną wartość.

— No a ty? — zapytałem.

— Już ci powiedziałem, że mnie to nie interesowało, przynajmniej wtedy.

— A jednak zostałeś wciągnięty w tę historię! — wlałem mu resztę wina do czaruki.

Podniósł ją w milczeniu w górę. Chwilę patrzył na złoty płyn, jakby we wnętrzu naczynia dostrzegł coś niezwykłego, potem wolno pociągnął łyk.

— Musieli być jednak i tacy, co wiedzieli dobrze, że zdjęcia są autentyczne! — podjąłem jeszcze raz dla zachęty. — Tak poważna instytucja jak Antart nie ryzykowałaby przecież ogromnych kosztów nie mając w ręku czegoś konkretniejszego niż stereogramy Sorry'ego.

— Dobrze to wino. Udało ci się... — odstawił czarukę i sięgnął po butelkę, oglądając ją pod światło.

— To z automatu — odrzekłem skromnie.

— No chyba. Szkoda, że „wysechł”...

Wiedziałem już, do czego zmierza. Automaty badały samoczynnie zawartość alkoholu w organizmie kupującego i na pewno nie sprzedałyby mu wina. Ja wypilem dopiero szklanekę, więc miałem jeszcze szanse... Wstałem od stołu i podszedłem do

szafy najeżonej guzikami. Gdy po wrzuceniu monety naciskałem guzik pod etykietą starego Bordeaux, automat wydał mi jeszcze butelkę, jakkolwiek z ociąganiem. Zamówiłem więc dla siebie czystą bezalkoholową — podaną mi natychmiast, skwapliwie. Wiedziałem, że mam w tej chwili mego przyjaciela w ręku i, umiejętnie dozując wino, mogę skłonić go do wielu interesujących zwierzeń.

— Nie wiem, czy nie za dużo pijemy — powiedziałem stawiając butelki na stole.

— Musimy nadrobić dwadzieścia osiem lat — zaśmiał się trochę sztucznie i pośpiesznie nalał sobie do szklanki. — A co do Antartu, to masz zupełną rację. Nie topiono by funduszków w niepewnym przedsięwzięciu. Wiedzieli dobrze, co robią...

— Myślisz, że to oni „zaopiekowali” się tą sondą?

Spoważniał.

— Tego nie powiedziałem. Nic nie wiadomo...

— Ale jakich korzyści spodziewał się Antart po wyprawie do Układu Procjona? Chyba chodziło tylko o pierwszeństwo w odkryciach naukowych?

— Czasem to wystarczy. Złoto dziś ma niewielką wartość, bo byle zakład syntezy nuklearnej może je produkować w niemal dowolnych ilościach. A diamenty i inne kamienie szlachetne to i w domowym-laboratorium... Lecz są wartości, których wyprodukować nie sposób, których nie można przeliczyć na „jednostki pracy produkcyjnej”.

— Myślisz o twórczości artystycznej i naukowej?

— Nie tylko! Myślę o sławie, o pierwszeństwie, o przewodnictwie i władzy. Ludzie lubią błyszczeć, pragną, aby ich podziwiano, więcej — chcieliby niejako przedłużyć swe istnienie w nieskończoność. Chcą, aby pamięć o ich czynach przetrwała jak najdłużej.

— Ale ta słabość ludzka często służy wspólnemu dobru.

— Czy ja kwestionuję jej wartość społeczną? — oburzył się mój przyjaciel. — Jeśli żądza sławy staje się bodźcem do działalności odkrywczej, naukowej, artystycznej — może przynieść niemało korzyści ludzkości. Może i powinna! Ale nie musi!... Wszystko zależy od ludzi! I w naszych czasach zdarzają się świnie...

— Ale przecież zastrzegłeś, że nie posądzasz nikogo z Antartu o kradzież Bumeranga XII.

— Ach, wcale o tym nie myślałem — sięgnął po butelkę i nalał sobie wina. — Nie wiem nawet, czy sympatyczna nazwa „świnia” pasuje do takich ludzi jak Loger.

— Co on zrobił, że go tak nienawidzisz?

— Ja?! — obruszył się gwałtownie. — Dla mnie jego istnienie jest zupełnie obojętne!

Właściwie, byłoby obojętne, gdyby nie... — urwał i po chwili wybuchnął. — Potrafił sobie owinać wokół palca tego durnia, Goldeny...

— Co za Goldeny?

— Pełnomocnika rządu Federacji Ameryki Północnej.

— Opowiadaj po kolei, bo znów nie mogę zrozumieć, o czym mówisz.

— O! To długa historia!... Zresztą nie wiem, czy to można słowami wyrazić. Czy uwierzysz mi zresztą? Czy w ogóle ktoś może uwierzyć, jeśli sam się nie przekona na

własnej skórze? — odstawił pustą szklankę i zamyślił się.

— Mówiłeś, że leciałeś na „Matterhornie” — rozpocząłem ostrożną indagację — i jednocześnie, że byłeś członkiem ekspedycji Antartu, a nie australijskiej.

Spojrzał na mnie uważnie.

— Najpierw chcieli mnie zaangażować Australijczycy. Dawali mi funkcję drugiego kosmonawigatora. Właściwie chciałem się zgodzić, tyle że trochę zwlekałem. Ze względu na Logera! W tym samym czasie Antart montował swoją wyprawę i zaproponował mi funkcję pierwszego kosmonawigatora. Miałem już przecież wówczas na swym koncie niemało „skoków”. Jeśli chodzi o liczbę przelecianych jednostek astronomicznych, to chyba niewielu znajdzie się takich jak ja! Może pięciu, może sześciu w całym Zespole Trzech Planet Zamieszkałych!... „Silver Flash” — tak się nazywał fotonowiec przydzielony Antartowi — nie wiem, czy pamiętasz... Był specjalnie przystosowany do dalekich podróży. Miał dwa silniki fotonowe wielkiej mocy, umożliwiające rozwinięcie prędkości 299 tysięcy kilometrów na sekundę! To była niezła maszyna. Załoga nieduża, składała się z trzydziestu dwóch ludzi, nie licząc pełnomocnika. Właściwie to już było nieporozumieniem, aby w tak trudnym i odpowiedzialnym przedsięwzięciu, jak spotkanie z obcą cywilizacją decydujący głos miał Golden, może skądinąd wybitny znawca prawa kosmicznego, ale człowiek niezdecydowany, wahający się i ulegający łatwo wpływom energiczniejszych towarzyszy. Zresztą, gdyby wyprawa odbyła się na „Silver Flash”, w zespole bardzo umiejętnie dobranym przez profesora Nordena, wiesz... tego, co umarł przed dwoma laty, to Golden byłby cenną pomocą, ale niestety... Później wszystko tak pokręcono, że... ach, jeszcze dziś diabli mnie biorą. Takie piękne przedsięwzięcie! I taki wynik! — machnął ręką.

— Ale „Silver Flash” wystartował?

— Tak. Wystartował. Zgodnie z planem. W terminie! Tydzień później, tuż przed włączeniem silników wielkiej mocy — dowiedzieliśmy się, że za nami idzie „Matterhorn” i że nie my, lecz on poleci do Układu Procyona!

— Zdaje się, że mieliście awarię?

— Awarię? To były plotki! Plotki prasowe! W rzeczywistości chodziło o zupełnie co innego. Hindusi wystąpili z Programem Tysiącletnim i rząd Federacji Ameryki Północnej nie chciał dać się wyprzedzić innym. A właśnie „Silver Flash” był statkiem nadającym się świetnie do dalekich ekspedycji, gdyż rozwijając prędkość bliską prędkości światła powodował znaczny relatywistyczny skrót czasu lotu przez wydłużenie jednostek. I tak oto już po wyruszeniu ekspedycji dowiedzieliśmy się, że zmieniono program, postanawiając skierować statek z powrotem na Księżyc do centralnych zakładów konstrukcyjnych dla przebudowy i przystosowania do lotu w okolicy Cudownej w Wielorybie.

— Mira Ceti?

— Tak. Chodziło o zbadanie procesów zachodzących w tej niezwyklej gwiazdzie zmiennej. Naczelny dyrektor Antartu Wilson zawiadomiony był o tym, że przydział statku został cofnięty, jeszcze nim wyruszyliśmy w drogę, ale mając przyjaciół w ministerstwie spraw kosmicznych, postarał się, aby nie ogłaszano tego faktu, dopóki

nie zostaną zakończone pomyślnie pertraktacje z Australijczykami.

— Pertraktacje?

— Jesteś mało domyślny. Nie rozumiesz? Antartowi zależało bardzo na wyprawie do Układu Procjona. Z drugiej strony, rząd Federacji Ameryki Północnej nie chciał tracić możliwości zdobycia pierwszeństwa w przebadaniu okolic Cudownej. Wilson rozpoczął więc pertraktować z organizatorami ekspedycji australijskiej. W wyścigu zaś do Procjona „Silver Flash” miał zdecydowaną przewagę nad „Matterhornem”. Australijczycy woleli zgodzić się na użycie „Matterhorna” jako fotonowca dwóch ekspedycji, a ściślej — wspólnej ekspedycji australijsko-amerykańskiej, niż przegrać wyścig. Za ten XX-wieczny „chwyt” Wilson wyleciał później ze stanowiska naczelnego dyrektora.

— Może również maczał palce w próbie porwania Bumeranga XII?

— Wątpię. Co prawda, w tym czasie w Antarcie kręciło się sporo niewyraźnych typów, ale to byłaby sprawa zbyt gruba.

— I w ten sposób przeszedłeś na „Matterhorna”? — wróciłem do głównego tematu.

— Tak. Zrobiłem głupstwo. Jeszcze dziś nie mogę sobie darować, że brałem udział w tej wyprawie. Po prostu bałem się tych pięciuset lat.

— Jakich znów pięciuset lat?

Pociągnął złotawego płynu i skrzywił się.

— Mam już dość tego wina.

— Przecież ci smakowało?

— Już mam dość. Napiłbym się, ale czegoś innego. — Wstał i zataczając się z lekka ruszył ku drzwiom. — Poszukajmy innej knajpy.

— Może jednak naprawdę już dosyć? — powiedziałem biorąc go pod ramię. — Może zawieźć cię do domu?

— Jestem zupełnie trzeźwy! — wyrwał mi rękę. — Co jak co, ale pić to umiem! Chodź, znam tu jeszcze jeden lokal. To niedaleko. Pójdziemy piechotą.

Chwycił mnie mocno za rękę i pociągnął za sobą. Chłodne, wiosenne powietrze orzeźwiało nas trochę. Mój przyjaciel szedł pierwszy, gwizdząc fałszywie jakąś starą melodię. Mijaliśmy właśnie mały skwer, gdy niespodziewanie zбочzył w aleję i usiadł ciężko na pierwszej ławce.

— A jednak przyjemnie tu u was. Na Ziemi...

— Ano zawsze co Ziemia, to Ziemia.

— Pewno ciekaw jesteś, co tu będzie za pięćset lat?

— No? Chciałbym wiedzieć.

— Ale ja wcale! Mnie wystarczą nasze czasy. Te drzewa — wskazał ręką przed siebie. — Ta aleja... Dlatego wolałem lecieć do Procjona... Jedenaście lat to nie to samo co dwieście pięćdziesiąt... Na „Silver Flash”, co prawda, niecałe osiemnaście lat lotu... ale to nie dla mnie.

— Mówisz o odległości Mira Ceti?

— To chyba jasne. Nie lubię zresztą wracać, jak już gdzieś raz wyruszę w drogę. Dlatego przyjąłem funkcję drugiego nawigatora na „Matterhornie”. „Matterhorn” był

starszym statkiem od „Silver Flasha”. Budował go jeszcze Stuhlberger w Nowej Saksonii na Marsie. Miał on mniejszą prędkość, a więc i czas w nim bardziej się rozciągał. Jedenaście lat ziemskich trwało w rakiecie ponad dwa lata. Mniej też w nim było miejsca, no i — ze względu na konieczne wyposażenie — mniejsza załoga. Było nas tam wszystkiego szesnaście osób. Sami mężczyźni. Oprócz mnie, z ramienia ekspedycji amerykańskiej przeszedł na „Matterhorna” Golden oraz sześciu specjalistów Antartu w dziedzinie architektury i plastyki.

— A Loger? — zapytałem.

— Już ci, zdaje się, mówiłem, że pełnił funkcję zastępcy dowódcy statku. Był zresztą początkowo bardzo miły dla mnie. Twierdził, że w zasadzie zwierzchnictwo Kalena, pierwszego nawigatora, nade mną jest formalne, że na „Matterhornie” są to stanowiska równorzędne, a poza tym, że stare nasze nieporozumienia są przebrzmiały. I powiem ci szczerze — sądziłem, że istotnie się zmienił, że oduczył się zadzierania nosa. Później okazało się, że to było tylko maskowanie. Po śmierci Sławskiego...

— Kto to?

— Kapitan „Matterhorna”.

— Co się z nim stało?

— Ano... zginął przez naszą głupotę... Tam, w Układzie Procjona... Funkcję dowódcy objął Loger. Wtedy pokazał, co potrafi! Ach, jaki ja byłem głupi! Jaki głupi! — zawołał z goryczą i sięgnął do kieszeni. Chwilę czegoś w niej szukał i wreszcie wyciągnął podłużny flakon. Odkręcił wieczko i wysypał na dłoń dwie pastylki.

— Chcesz? — zapytał.

— A co to takiego?

— CRC.

— Co? Przecież to narkotyki!

— No to co? Nieszkodliwy.

— Nie ma nieszkodliwych narkotyków.

— Przyzwyczailem się — przełknął pastylki.

— Od kiedy używasz tego świństwa?

— Nauczyłem się tam... w przestrzeni. Nic innego mi nie pozostało...

— Przecież się zatruwasz.

— Wszystko mi jedno.... Kiedy myślę o tym draniu...

— Ale co on ci takiego zrobił?

— Nie chodzi o mnie. Już ci raz, zdaje się, mówiłem.

— Więc poleciałeś w załodze fotonowca „Matterhorn” do Układu Procjona? — próbowałem wprowadzić rozmowę na dawny tor. Lecz widocznie narkotyk już zaczynał działać, bo o ile poprzednio mój przyjaciel, mimo wypicia sporej ilości wina, potrafił opowiadać w sposób jako tako przejrzysty, teraz język począł mu się plątać.

— Polecieliśmy. To było piekło... To była nuda nie droga. Ocean nudy! Czas włókł się niemiłosiernie. „Matterhorn” to prymityw. Nie było urządzeń grawitonowych, amortyzujących wielkie przyspieszenia. Trzeba było maszynę

przyspieszać przez 11 miesięcy i tyleż czasu hamować... Stary Golden — miał wtedy ponad 90 lat — zwoływał konferencję za konferencją... Żeby zabić czas! Ale i tak można było umrzeć z nudów. Wysuwano różne przypuszczenia. Pamiętam raz — kiedy była konferencja... Zwołano konferencje nad planami prac badawczych. Było to już chyba w drugim roku podróży, dla nas, oczywiście, bo rakieta leciała z prędkością relatywistyczną — poczynął gubić wątek — 295000 kilometrów na sekundę. Nie licząc czasu przyspieszania nasza podróż w jedną stronę trwała dla was na Ziemi 11,3 roku. Dla nas było to dwa lata i miesiąc, a potem hamowanie, jeszcze przed układem... Właściwie „Matterhorn” był niezłym statkiem, choć trochę przestarzałym. Ale oni nie umieli organizować pracy... Slawski był frajer, Loger za mądry, a tamta paczka to tylko się kłóciła.

— Jaka paczka?

— Aaa ta... od tej sztuki niehumanitarnej! Ciągłe tylko mełli językami! Jakby z tego mogło coś wyjść! Mówili tak albo tak... Autentyczne — nie autentyczne... Zrobili — nie zrobili... Przywieziemy — nie przywieziemy... Początkowo mnie to śmieszyło. Był tam taki jeden bubek o długim nosie. Holy się nazywał. Ciągłe wykrzykiwał. „A ja wam mówię, że to wszystko nieprawda! Że Sorry’ego nabili w butelkę, bo sztuka niehumanitarna nie może być taka ludzka”! A drugi — Gordon, taki starszy, gruby: „Zaraz! Zaraz! Stopień komunikatywności o niczym jeszcze nie decyduje! Nie zapominajmy! Może tu też grać rolę specyficzna konwergencja”. Specyficzna konwergencja! Też wymyślił!... Konwergencja... — powtórzył z uporem.

— Pewno chodziło o podobieństwo form u istot różnego pochodzenia, wywołane podobnymi warunkami życia?

— Coś w tym guście. Konwergencja... Ha! Ha! Ha!

— Może jednak pójdziesz do domu? — podparłem go ramieniem.

— Ja ci mówię, że... Loger... Loger... Do domu?... Mówisz do domu? A chodź, coś ci pokażę!

— Gdzie mieszkasz?

— W hotelu Pallas.

Podszedłem do automatu i wezwałem powietrzną taksówkę. Po chwili wspólnie z pilotem załadowaliśmy mego przyjaciela do wnętrza maszyny. W parę minut później koleopter wylądował na tarasie hotelu. Okazało się, że mój przyjaciel wynajął tu przed miesiącem dwupokojowy apartament na sto szesnastym piętrze.

II

W pierwszym pokoju panował straszliwy nieporządek. Później okazało się, że mój przyjaciel zabronił włączać automaty sprząające. Na podłodze leżały porozrzucone papiery, książki, taśmy filmowe i talerze z resztkami jedzenia. Jakieś podarte szkice, mapy i rysunki zapełniały wysunięty ze ściany tapczan. Nie brakło wykresów i obliczeń dokonywanych na przewróconej w kącie podręcznej maszynie. Wszędzie poniewierały się butelki, przeważnie próżne.

Drugi pokój był zamknięty. Klucza w zamku nie było. Usunąłem z tapczana zawalające go papiery i ułożyłem mego przyjaciela. Nie chciał jednak leżeć. Usiadł, oparł się o ścianę i zaczął gwizdać jeszcze fałszywiej niż w parku.

— Może się prześpisz? — zaproponowałem.

— Nie chce mi się. Tam, w ścianie, w szafie jest butelka... Na dolnej półce. Coś mocniejszego. Napijemy się.

— Chyba już dosyć.

— Nie martw się. Wszystko będzie OK! Dawaj butelkę.

Nie chciałem go drażnić. Znalazłem pod papierami flaszkę i nalałem do pustych szklanek, stojących na stole. Wyciągnął łąpczywie rękę i zręcznie pochwycił szklanekę, wychylając w oka mgnieniu zawartość. Nie chciałem robić mu przykrości. Wypiłem również.

— No, a teraz się prześpisz.

— Ani mi się śni! Bardzo mi jest dobrze.

Nie wiedziałem, jak wybrnąć z sytuacji.

— Może ja już pójdę? Przyjdę jutro...

— Nie! Zostań! Coś miałem ci powiedzieć! Coś ważnego...

— Może o Układzie Procjona?

— O Układzie Procjona?... Procjon: gwiazda podwójna... w odległości 11,3 lat świetlnych. Należy do konstelacji Małego Psa... Składa się z dwóch gwiazd A i B, obiegających wspólny środek masy w ciągu lat czterdziestu. Procjon A — recytował jak z książki. — Jasność wizualna 0,5. Typ F 5... wielkość absolutna 2,8, a więc 5,8 raza jaśniejsza od Słońca... promień 1,7 raza większy od promienia Słońca... masa 1,8 raza większa od masy Słońca... temperatura powierzchni 6700 stopni. Procjon B — biały karzeł... wizualna wielkość 10,8... absolutna 13,1 a więc 0,00044 jasności Słońca... promień — 0,007 promienia Słońca... masa 0,46 masy Słońca. Ekosfera Procjona A sięga od 200 do 650 milionów kilometrów. Obecność planet można stwierdzić, już na podstawie spektroskopowych badań prędkości obrotu gwiazdy wokół osi. Ilość i wielkość planet nieznana. Brak dowodów istnienia życia w Układzie Procjona. Brak potwierdzenia autentyczności zdjęć przywiezionych rzekomo przez sondę międzygwiazdną Bumerang XII w roku 2068. Wyprawa statku fotonowego „Matterhorn” — rok startu 2070.

Brak wiadomości o losach ekspedycji. Brak wiadomości! Brak danych!... Patrz!

Tam leży! Tam w kącie! Najnowsze wydanie! Encyklopedia Powszechna! Najświeższe informacje! Ha! Ha! Ha! — zaśmiał się nienaturalnie. — Brak danych!... Brak dowodów!... Nie ma dowodów! Nie ma! Nie ma! A „Matterhorn”? A ja? Nie ma? Nie ma? — nagle spoważniał. — Nie ma! — krzyknął. — A właśnie, że jest!

Począł gorączkowo szukać po kieszeniach. Wreszcie wy dobył klucze.

— Masz! Otwórz drzwi! Idź, zobacz!

Uczułem nieprzyjemny dreszcz. Niepewnie podszedłem do drzwi i włożyłem klucz w otwór. Drzwi rozsunęły się z cichym szmerem.

Stanąłem w progu. Był to gabinet. W przeciwieństwie do poprzedniego pokoju panował tu porządek jak w zwykłych lokalach hotelowych, jakkolwiek warstwa kurzu na meblach wskazywała, że nie sprzątno tu dawno. Na środku, na wprost drzwi, w miejscu, gdzie zwykle stoi biurko, teraz odsunięte pod ścianę, stała duża skrzynia połączona szeregiem przewodów z drugą skrzynią — mniejszą, prawdopodobnie aparaturą zasilająco-sterującą. Uczułem lekkie pchnięcie w plecy.

— No, nie bój się! Odsuń klapę i zajrzyj! Tam, na prawo guzik!

Podszedłem i bez słowa wykonałem polecenie. Zajrzałem. przez niewielkie okienko kontrolne.

Wnętrze skrzyni, a ściślej komora, do której zaglądałem, miało kształt spłaszczonego walca o błyszczących lustrzanych ścianach. Średnica komory nie przekraczała 50 centymetrów. Nie wiem, czyżby szklanka wypitego przed chwilą trunku zawierała taką ilość alkoholu, że zaczynało mi się mącić w głowie...

W centrum tej jasno oświetlonej przestrzeni unosiło się nieruchomo w powietrzu, a może w próżni... cudo.

Co to było w rzeczywistości — nie mogłem się zorientować. Na pierwszy rzut oka przypominało prymitywny totem murzyński. Może przedstawiało jakąś istotę z innej planety, może zwierzę... Ciemna bryła o dziwnie harmonijnym kształcie pokryta jakimś zawiłym splotem linii i plam barwnych.

W tej plątaniu barw i kształtów nie wyczuwało się jednak chaosu. Przeciwnie — jakaś niezwykła harmonia przebijała przez zawiłość plastycznego obrazu. Coś odpychało, a zarazem przykuwało wzrok do tej bryłki. Dziwna „rzeźbka” oddziaływała nie tylko wzrokowo, lecz podniecała wyobraźnię, rodziła skojarzenia, niemal halucynacje. Zdawało mi się, że elementy barwne łączą się, to znów rozdzielają, że tam odbywa się jakiś ruch, jakieś życie...

Ogarnęło mnie niezrozumiałe wzruszenie... Coś odległego, a zarazem bliskiego zdawał się zawierać ów przedmiot. Odczuwałem nieprzepartą chęć pochwycenia go w dłoń, a jednocześnie byłem przekonany, że może on sparzyć jak rozpalone żelazo.

— Co to? — zapytałem, nie odwracając głowy. Nie mogłem oderwać wzroku od wnętrza tajemniczej komory. Ale nie otrzymałem odpowiedzi. Widocznie mój przyjaciel wrócił na tapczan, bo z sąsiedniego pokoju dochodziły mnie jakieś beładnie rzucane strzępy zdań, to znów pojedyncze wyrazy, powtarzane jakby w malignie.

— Tonie tylko promieniowanie pierwotne, mój drogi, nie bądź naiwny! Tak!

Tak! O to właśnie chodzi!... Więc się nie upieraj! Nie tylko promieniowanie kosmiczne!... Nieprawda! ja już mówiłem wcześniej!... Na powierzchni są ślady!... Wyraźne ślady antycząstek! Struktura — mówisz?! Przez ultramikroskop? Nieprawda! Właśnie że potwierdza! Jesteś głupi! Jesteś naiwny! To są ślady anihilacji! Nie upieraj się! Wyraźne ślady anihilacji!!! Mówił wcześniej!... Tak! Tak! Nie trzeba było ich puszczać!... Nie upieraj się! Ty mówisz, że to, że tamto... nie chcę!... Nie przyjmę niczego! Najpierw trzeba zbadać!... Najprzód zwiad! To nie tylko antycząstka! Ale jądra! Jądra!!! Neutrony!!! — stopniowo cichł. — Nie... Nie... — powtórzył jeszcze parokrotnie. W końcu było słycać tylko jego miarowy oddech.

— Śpisz?! — zawołałem. Nic mi nie odpowiedział.

Z wysiłkiem oderwałem wzrok od tajemniczego przedmiotu i zasunąłem klapę. Mój przyjaciel spał.

Zastanawiałem się, co robić. Oczywiście powinienem tu pozostać. Okoliczności układały się nad wyraz pomyślnie i nie wolno było tracić okazji, zwłaszcza że wszystkie podejrzenia, jak dotąd, znalazły pełne potwierdzenie. Dowiedziałem się już sporo, i to prawie nie ciągnąc za język, ale nie ulegało wątpliwości, że wszystko, co usłyszałem, to tylko prolog, że chodzi tu o sprawę znacznie poważniejszą.

Z drugiej strony — zaufanie, jakim mnie darzył mój przyjaciel, stawiało mnie w bardzo nieprzyjemnym położeniu. Czułem, że nie wolno mi nadużyć tego zaufania, a jednocześnie wiedziałem, że jest to prawie niemożliwe... Teraz na przykład powinienem wykorzystać sytuację i choć trochę poszperać w tych pokojach. Na pewno wśród papierów, zdjęć i planów znajdzie się coś ciekawego, rzucającego dodatkowe światło na sprawę. A jednak nie mogłem zdecydować się na ten krok. „Piegowaty” wydawał mi się w tej chwili bezbronnym, słabym, chorym dzieckiem...

Chory był zresztą na pewno. Co prawda, nigdy nie unikał mocnych trunków, ale teraz widać było, że stał się nałogowym alkoholikiem, a nawet narkomanem. Trzeba jak najszybciej się nim zająć i wysłać go na kurację.

Spojrzałem na niego. Spał nerwowo, przewracając się raz po raz z boku na bok. Widocznie sny nie były zbyt przyjemne, bo mamrotał coś jakby przekleństwa, a chwilami zdawał się nawet odpychać od siebie urojonego przeciwnika.

Postanowiłem poczekać, aż otrzeźwieje. Obok tapczana stał fotel zarzucony jakimiś książkami i papierami. Ułożyłem je na podłodze i usiadłem w fotelu. Miałem zamiar się zdrzemnąć, ale odruchowo sięgnąłem po leżące obok papiery. Perforacja kontrolna na marginesie maszynopisu wskazywała, że został sporządzony przez automat stenotypowy z taśm magnetycznych. Strona zaczynała się od niedokończonego zdania.

„...wprost nie do uwierzenia! A jednak Petersen miał słusność. I gdyby go wówczas posłuchano — Sławski żyłby do dziś. Cóż za nonsens ufać nieznanym, obcym istotom... Umieli się dobrze maskować.

A więc operują bronią jądrową! I to jeszcze jaką! Antyprotony! Tylko jeden Petersen zorientował się, że to podstęp. Golden upierał się, że nie wypada wysłać zwiadowcy. Ciekaw jestem, czy to tylko głupota? Loger uparcie popierał Goldeną w tej kwestii. To on właśnie nie dopuścił do wysłania sondy na ciasną orbitę... Czy było

to tylko zaślepienie? Dlaczego z takim uporem trzymał się swych koncepcji? Nie chciał się przyznać do pomyłki? Gdyby tylko to! A jeśli?... Niełatwo w to uwierzyć.

Żal mi tylko Slawskiego... Jaki naiwny... Ale czyja bym inaczej postąpił? Przecież wszyscy daliśmy się zasugerować. Nawet w końcu Petersen. Skąd Slawski mógł się domyślać, jak jest naprawdę, jeśli tak wybitny fachowiec jak Loger twierdził, że wszystko jest w porządku?

Slawski zbyt ufał teorii Logera — ale to był twardy człowiek. Jeśli wrócimy — na Marsie postawią mu pomnik w Alei Zasłużonych. No cóż? W Układzie Słonecznym powiedzieliby: „bohater”. A cóż to jest bohaterstwo? Dać się żywcem usmażyć? Gordon, Kalen, Hoły i Harter zawdzięczają mu życie. Zrobił to dla nich, czy może dla ratowania siebie?... Chyba jednak zdawał sobie sprawę, że tak czy inaczej — zginie. Może właśnie dlatego się zdecydował? A jednak taka śmierć?... Czy ja byłbym zdolny do czegoś...

Tu urywał się tekst. Sięgnąłem po następną stronę, ale nie znalazłem dalszego ciągu. Widocznie kartki były rozrzucone, a potem złożone bezładnie, gdyż następna dotyczyła innego zdarzenia. Już chciałem rozpocząć poszukiwania według numeracji (przeczytana kartka oznaczona była liczbą 1207), ale treść tej, którą teraz trzymałem w rękę, przykuła moją uwagę jeszcze silniej niż poprzedniej.

„Loger nazywa to Świątynią Słońc Procjona, ale Lang jest innego zdania. Twierdzi, że nic nie wskazuje, aby w społeczeństwie Procjonidów występowały przejawy kultu gwiazdy dziennej, zwłaszcza że osiągnęli oni w niektórych dziedzinach techniki poziom Europy w początkach XX wieku. Holy idzie jeszcze dalej — twierdzi, że kula może tu być emblematem „narodowym”, jeśli w ogóle to słowo ma jakiś sens w świecie Procjonidów. Mnie wszystko jedno, czy to pomnik, czy świątynia, czy też amfiteatr, bo wewnątrz tej ściętej piramidy chyba najbardziej podobne jest do amfiteatru lub stadionu. Gdyby nie wielka świecąca kula na środku „boiska”, można by tam urządzać mecze piłkarskie.

Ale nie o to mi chodzi. Nie powiem — ładne to wszystko. Zręcznie, z głową zrobione (co prawda — gdzie oni mają te głowy?) lecz po co zaraz taki entuzjazm? Ci spece od architektury i plastyki sami wzajemnie się sugestionują, podniecają. A z Logera wyłazi mistyk. Kto się spodziewał? Niby to trzeźwy, realista, fizyk, matematyk, a tu... dziejowe posłannictwo, przeznaczenie... Bzdura... Czy można mówić o „misji kulturalnej” po tym, co się stało? Gdyby Procjonidzi słyszeli to, o czym się tu plecie, na pewno uznaliby nas za pomyleńców...

Dlaczego oni uciekli?... Zresztą, czy to była ucieczka? Raczej exodus! Ewakuować swe największe miasto i rozproszyć jego ludność po całym kraju — to posunięcie, na które niełatwo się zdecydować.

Nie podzielam optymizmu Logera i Goldeny — bierny opór jest nieraz gorszy od czynnego, zwłaszcza w takiej sytuacji jak obecnie... Oczywiście, ta kula ma jakieś szczególne znaczenie, ale nie bardzo sobie wyobrażam, aby...”

Znów nie mogłem znaleźć dalszego ciągu. Wiedziałem tyle, że kartka miała numerację dalszą (1443), a więc komentarz dotyczył wydarzeń późniejszych niż opisane na pierwszej kartce. Obok fotela leżało kilkanaście stron; niestety, wśród

nich nie znalazłem kolejnych numerów. Wstałem więc i zebrałem z podłogi podobne kartki. Część ich była w strzępach, poplamiona, wygnieciona. Znalazłem ich sporo w koszu na śmieci, a nawet — niedopalone resztki — w dużej popielniczce na stole. W sumie zebrało się 39 kartek, pochodzących — z pewnością z większego pamiętnika, który zawierał ponad 2000 stron tekstu, jak wynikało z numeracji maszynopisów. Mogły więc one dawać obraz bardzo wycinkowy.

Wahałem się chwilę, co zrobić z tym materiałem — czasu było niewiele. W żadnym wypadku nie zaszkodziłoby sporządzić reprodukcje. Mikrokamerę miałem, oczywiście, przy sobie.

Dokonanie 39 zdjęć nie zajęło mi wiele czasu. Przyznaję, że postąpiłem niezbyt uczciwie. Mój przyjaciel nie upoważnił mnie do czytania, a tym mniej do fotografowania strzępów jego pamiętników (bo to chyba były jego pamiętniki). Z drugiej jednak strony, wszystko wskazywało, że ten cenny materiał skazany był na szybką zagładę. Spodziewałem się, że może on stanowić niezwykle istotny dokument dotyczący losów ekspedycji „Matterhorn”.

Schowałem aparat i ułożywszy kartki według kolejności, zabrałem się do czytania. Niestety; ogromna większość dotyczyła mało istotnych szczegółów podróży do Układu Procjona, a zaledwie dziewięć — pobytu w tym układzie. Wreszcie ostatnia — odbiegająca numeracją dość daleko od poprzedniej — zawierała jakieś chaotyczne rozmyślenia, prawdopodobnie w czasie drogi powrotnej.

Przytoczę tu treść tych kilku kartek w całości, z wyjątkiem pierwszej (1052), gdyż zawierała ona tylko fragmenty szczegółów wizualnych i spektroskopowych obserwacji powierzchni jakiejś planety — prawdopodobnie owej IV planety Procjona A. Był to glob nieco większy od Ziemi, krążący w odległości 380 milionów kilometrów od gwiazdy macierzystej. Obserwacje pozwalały sądzić, iż będzie tam można znaleźć warunki podobne do tych, jakie panują w ekosferze Układu Słonecznego. Pomiar temperatury wykazały, że jest wyższa niż na Ziemi, niższa jednak znacznie niż na Wenus, a więc prawdopodobnie znośna dla człowieka nawet bez urządzeń chłodzących.

Następne dwie kartki miały numerację: 1097 i 1098. Był to fragment, jak się zdaje, opisu pierwszych prób porozumienia z Procjonidami. Na pierwszej widniała data:

„12 października, piątek.

Dziś znów wznowiliśmy próby. Idzie coraz lepiej. Slawski miał dobry pomysł z tymi rysunkami na niebie. Hagen okazał się nie tylko świetnym mechanikiem, ale i pierwszorzędnym pilotem przestrzennym. Na swojej raketce dokonuje istnych cudów. Oczywiście, rysunki wykonuje według zaprogramowania Hartera, lecz robi to fenomenalnie. Między innymi świetnie narysował nasze postacie. Wątpię jednak, aby Procjonidzi zrozumieli, o co chodzi, jakkolwiek smugi były na pewno nocą bardzo dobrze widoczne z powierzchni planety. Niemniej są to inteligentne istoty i mają pewne pojęcie o astronomii. Nie wiem, czy my, ludzie, na analogicznym poziomie rozwoju cywilizacyjnego potrafilibyśmy tak szybko pojąć znaki innych

istot.

Wiedzą już, skąd przylecieliśmy. Hagen utworzył w przestrzeni pierścien, który przez kilka minut musiał być widoczny ze „stolicy” jako aureola wokół Słońca. Następnie nakreślił schematyczny rysunek Układu Słonecznego, z zaznaczeniem orbity Ziemi. Zrozumieli... W — nocy rozmieścili na wodach zatoki setki punktów świetlnych. Początkowo wyobrażały one ten obszar nieba, w którym widoczne jest Słońce, a następnie otoczyli je, tak jak my, pierścieniem świetlistym. Potem zmienili układ, pokazując nam swój układ planetarny z zaznaczeniem orbity ich planety macierzystej. My z kolei powtórzyliśmy niezwłocznie ten układ. Odpowiedzieli nam rytmicznym mruganiem, stanowiącym potwierdzenie, że widzą.

A więc mamy już drugi dowód, że chociaż wiedzą, iż przybyliśmy z przestrzeni kosmicznej — uważają nas za istoty podobne im w jakiś sposób, a nie za dobre czy złe duchy. Nie miał więc racji Golden, gdy trójkąt dymny traktował jako dowód oddawania boskiej czci naszemu statkowi, kiedy zaczęliśmy strzelać racami w przestrzeń po stacjonarnym ustawieniu „Matterhorna”.

Na dzisiejszej naradzie mamy rozszerzyć i zmodyfikować program nawiązania łączności. Harter jest pewny, że uda nam się bardzo szybko opracować prosty system znaków i rodzaj słownika, który umożliwi bliższy kontakt i stworzy warunki do lądowania. Oczywiście, będziemy przestrzegać ściśle zasad Konwencji Marsjańskiej. Loger sądzi zresztą, że Procjonidzi chętnie się zgodzą na wizytę, zwłaszcza że nie są w stanie przeszkodzić nam w lądowaniu.

Poziomem technicznym dorównują chyba naszemu wiekowi XIX lub XX. Nie brak też kontrastów, jeśli chodzi o poziom życia tych istot. Większość miast, a zwłaszcza „stolica” Żółtego Kontynentu, to istne cacka urbanistyki i architektury. Bogactwo kształtów i barw jest wprost oszałamiające. Jednocześnie, na niektórych obszarach, zwłaszcza na terenach górzystych, można dostrzec budowle, o tak prymitywnym...”.

Następna kartka w kolejności ułożenia — to przytoczona już poprzednio strona 1207 ze wzmianką o tragicznej śmierci dowódcy fotonowca „Matterhorn”. Po niej przypada kartka oznaczona liczbą 1266.

„Właściwie — trochę przesadzam. Sam wówczas nie miałem obiekcji. Trudno się dziwić... Spektroskopowe badania już z daleka wykazywały wolny tlen. Życie miało charakter węglo-organiczny. Widzieliśmy wszyscy duże zbiorniki wody, tereny pokryte czymś w rodzaju obecnej roślinności wenusjańskiej, a te ich „miasta”, to przecież niezbity dowód stosunkowo wysokiej i starej kultury. Cóż bliższego, niemal „swojskiego” mogliśmy spotkać we wszechświecie niż tę IV planetę Procjona A? Któż przypuszczał, że problem nie sprowadzi się tu bynajmniej do wyboru między maską tlenową a klimatyzowanym skafandrem...

Jak to nieraz dziwnie się składa. Spór między Petersenem a Logerem wydawał się jak najbardziej teoretyczny i oderwany od naszego codziennego życia. Czyż wzór Novaka, dotyczący stosunku ogólnej masy antycząstek w jednym centymetrze sześciennym materii międzyplanetarnej do średniej prędkości tych antycząstek, a także temperatury kinetycznej całego gazu zawartego w jednym centymetrze

sześciennym, jest słuszny dla każdego układu planetarnego? Czy wzór ten nie traci ważności w warunkach silniejszego pola magnetycznego planety lub gwiazdy, jak ma to na przykład miejsce w tutejszym układzie? Czy pole takie może działać wybiórczo, a jeśli tak — jaki kształt i wzajemne położenie przybrałyby pierścienie radiacji złożone z cząstek i antycząstek? Może to były problemy bardzo istotne... ale co za straszliwa ślepotą?... Kiedy rzeczywiście sondaż wykazał istnienie pierścieni radiacji złożonych z antycząstek — Loger uznał się za zwycięzcę. Zbudował całą nową teorię promieniowania kosmicznego. Można byłoby śmiać się dziś z tego, gdyby to jednocześnie nie było tak ponure w skutkach. Dlaczego on...”

Z kolei kartka opatrzona numerem 1401 była prawie nieczytelna. Z tego, co można było zrozumieć, wynikało, że jest tam mowa o jakichś „niezwykłych skarbach sztuki” oraz obawa przed niespodziewanym atakiem, który może zakończyć się katastrofą.

O co chodziło, trudno było wywnioskować z fragmentów zdań i pojedynczych słów. Była tam także mowa w czasie przeszłym o walce i zniszczeniu trzydziestu czterech „cygar”. Wyczuwało się tu jakieś sprzeczności, gdyż pewne określenia wskazywały jakoby walka miała charakter obronny, ale jednocześnie autor pamiętnika zarzucał Logerowi awanturnictwo i łamanie zasad prawa kosmicznego. Może po prostu mój przyjaciel uprzedzony był do Logera i wyolbrzymiał w swych pamiętnikach fakty mogące świadczyć o nim ujemnie.

Za tą zniszczoną kartką następowała druga z przytoczonych już stron (1443), na której jest mowa o ucieczce Procjonidów z miasta. Wreszcie przypadały dwie kartki, znów o kolejnej numeracji — 1958 i 1959. Oto ich treść.

„...żadnego sensu. Nie pozwolę zabierać całej załogi. I tak zostało na statku tylko nas dwóch. Po cóż mu tyle ludzi tam, w tym przeklętym dole? I tak bryły nie ruszy, bo pola są za słabe! Kalen ma jeszcze wrzody na palcach od wzmożonej emisji. A przede wszystkim nie zgodzę się, aby to świństwo magazynować w statku! Jeszcze mi życie miłe, jeśli spróbuje przesłać jeszcze jeden transport — wyrzucę wszystko w przestrzeń! Nie będę się patyczkował! Postępują jak złodzieje i myślą, że będą razem z nimi... (zdanie się urywa).

16 stycznia.

Siedzę już trzeci dzień w służbie awaryjnej. Chyba to już koniec. Nie zostawili mi nawet wody... Widocznie Loger czeka, aż umrę z pragnienia. Chyba się doczeka... Przecież nie mam żadnych szans na wydostanie się z tej rury. Nawet światło wyłączył... Dyktuję te słowa na taśmę... Na szczęście miałem w kieszonce magnetofon. Może przypadek sprawi, że znajdzie go ktoś uczciwy i przekaże na Ziemię prawdę o tym, co się tu stało...

Wczoraj z rana, tak jak przewidywałem, Loger przysłał nowy transport. Wyrzuciłem wszystko w przestrzeń i zniszczyłem w odległości trzydziestu kilometrów. Oczywiście widzieli to z bazy... Zrobiłem im iluminację, tym większą, że świecił tylko Procjon B. Było widno — jakby nagle Procjon A rozświetlił niebo. Loger przyleciał z Gordonem. Wmówił Hagenowi, że zwariowałem. Wrzucili mnie tu do

śluzy. Myślałem, że choć dadzą wody i jakichś pastylek odżywczych, ale nikt się nie zjawił. Nie zostawili nawet światła...

Nie spodziewałem się tego po Hagenie i Gordonie... Może zresztą powiedział im, że zostawia mi jedzenie?... Na pewno Loger tak powiedział. Przecież oni nie skazaliby mnie na taką podłą śmierć! Na pewno nie wiedzą o niczym...

Dlaczego jednak nie daje nikt znaku życia? Czyżby zostawili statek zupełnie bez załogi? Co prawda centralny układ koordynacyjny czuwa i obsługa ludzka jest niepotrzebna... Ale zawsze... Na pewno zabrał wszystkich do tej przeklętej bazy!

A oni na to jak idioci...

Wszyscy powariowali... Rozumiem — można tęsknić, można wzdychać za kobietą, kochanką, matką... ale za migocącą kulą?!... Dobrze, że tam nie poleciałem... Jeszcze mnie by to opętało...

Na pewno statek jest opustoszały. Na pewno zabrał wszystkich. Przecież to jasne: żeby mi nikt nie pomógł... Żebym zdechł w tej ciemności. Nawet światła mi nie zostawili!...

18 stycznia.

A jednak żyję! Na złość! Na przekór temu podlecowi! Ja żyję, a oni tam zdychają... Może jeszcze nie teraz, ale to nastąpi prędzej czy później. Nastąpi — i nic im nie pomoże!... Procionidzi na pewno łapą nie kiwną!... To zresztą chyba ich robota. Mądra robota. Któż by się po tych oślizgłych bydlakach spodziewał, że potrafią takiego mądralę jak Loger zamknąć w pułapce? I to jak zamknąć?... Prymitywna, niby dziewiętnastowieczna technika... A jednak — nic tu nie pomoże wiek dwudziesty pierwszy. Nie ugryziesz zębem ani pazurem nie zadrapiesz... Możesz najwyżej „rozmienić się” na... fotony.

I ja im nie pomogę. Nie mogę im pomóc, choćbym nawet chciał. Właściwie... to nawet chcę. Czy pomóc Logerowi, Goldenowi, a i niektórym innym z ich paczki — może bym się zastanowił... Lecz po co mają ginąć za nich tacy ludzie, jak Harter, Gibson, Petersen czy Kalen?

Gdybym mógł — na pewno zrobiłbym wszystko, aby ich wyciągnąć z tej szklanej trumny. Ale jestem bezsilny. Jestem zupełnie bezradny... To Loger ich wpędził w tę matnię.

Gdyby chociaż Kalen był na statku... Może by znalazł jakiś sposób. Ale ja — nie potrafię nawet prostego skafandra zmontować, a cóż dopiero mówić o układach polowych... Czy zresztą tego rodzaju przyrządy, jakie budowali Kalen z Logerem, przydałyby się na coś? Czy stopiłyby tę szklistą masę? Bo przecież o działaniu mechanicznym nie ma tu mowy...

Próbowałem przekazać zadanie koordynatorowi, ale on też jest chyba bezradny. Zachowuje zupełną bierność... A przecież jemu zawdzięczam życie. Przecież to chyba on dosłyszał pukanie i otworzył klapy awaryjne.

Co mam robić? Co robić?... Przecież nie mogę ich tak zostawić!... Jak tylko stolica wejdzie w cień — spróbuję nawiązać z nimi łączność świetlną. Może Petersen i Kalen coś wykombinują.”

Ostatnia kartka oznaczona liczbą 2004 dyktowana była z pewnością w czasie drogi powrotnej:

„Wszystko to głupstwo, a jednak... Człowiek — to jednak głupia maszyna... Głupio nagrana taśma. W kółko się kręci... ciągle się myśli o tym, o czym chciałoby się zapomnieć...

Właściwie... czego ja się martwię? Przecież żyję. Jestem wolny. Powrócę na Ziemię i wszystko będzie w porządku. Mam co jeść. Im też wystarczy pastylek... Czy im wystarczy?... Przecież to tylko dla mnie szybciej czas płynie!... Jedenaście i trzy dziesiąte roku!...

To w najlepszym razie dwakroć po 12 lat... Czy wystarczy im energii? Może wystarczy... Lecz jak wytrzymają nerwowo? Czy nie porozszarpują się jak dzikie zwierzęta? A jeśli im nie starczy energii?... Może już nie wystarczyło?... Ciągle mi się wydaje, że widzę potworny grzyb eksplozji anihilacyjnej... A potem... już nie jestem pewny... Raz mi się zdaje, że to „amfiteatr”, w którym błyskają przyćmione światła zatopionej bazy... to znów, że tam w ogóle nie ma miasta, lecz straszliwy lej, krater o wielokilometrowej średnicy...

A przecież nie mogłem... Nie mogłem zmusić tych istot. Nie mogłem zrobić tego, czego żądał ode mnie Loger... i inni... Nie mogłem dalej brnąć w ten ślepy zaułek... Nie mogłem zabić! Niech mnie sądzi Ziemia...

Wszędzie widzę to szkliste tworzywo... i ich cienie w oknach bazy... Czy oni jeszcze widzą gwiazdy?... Może już niesione wiatrem pyły pokryły grubą warstwą powierzchnię zastygłego jeziora? Może tam rosną kwiaty? Ich kwiaty... Purpurowe kwiaty Procjonidów... Kwiaty, których nigdy nie dotknie ręka ludzka...

Może mieszkańcy stolicy wrócili do swych siedzib? A jeśli wrócili?... Czy zdają sobie sprawę, co kryje wewnątrz ich wydrążonej piramidy?... Jak niewiele potrzeba, by zamiast miasta, w tym miejscu czerniał krater... Znów nie mogę odegnąć uczucia, że tam już wszystko się skończyło... Że ekspedycja ratunkowa nie ma sensu...

Czy wystarczy mi pastylek CRC?... A co będzie, gdy zabraknie?... Czy zacznę bić głową o ściany i...”

Na tym urywały się pamiętniki. Co właściwie stało się z załogą fotonowca? Dlaczego zginął Slawski? W jaki sposób uwięziono, czy zatopiono bazę wyprawy na powierzchni IV planety? Dlaczego mój przyjaciel nie mógł pomóc towarzyszom? I dlaczego nie chciał przyjąć ładunku wysłanego przez dowództwo wyprawy? Może pozował tylko na obrońcę moralności? Może kryła się za tym jeszcze jakaś inna, ponura przyczyna? Jaki był naprawdę Loger?

Wszystkie te pytania cisnęły mi się na usta.

Czułem, że muszę dojść prawdy.

Uniosłem głowę znad maszynopisu i spojrzałem w stronę tapczana. Oczy moje spotkały się z oczami mego przyjaciela. Nie spał. Patrzył na mnie z powagą.

III

— Czytałeś! — powiedział wskazując wzrokiem i ruchem głowy na maszynopis. Zmieszałem się. Wiedziałem, że zaprzeczanie nie ma sensu.

— Próbowałem posprzątać i przypadkowo wpadły mi w ręce te kartki — zacząłem niezręcznie się tłumaczyć. — A że zaciekawiałeś mnie bardzo, więc...

Uśmiechnął się ironicznie.

— Wymyśliłem nowe przysłowie. Nie wpuszczaj dziennikarza do domu, choćby nawet wmawiał ci, że jest na emeryturze... — rzucił zgryźliwie.

— Bardzo cię przepraszam — bąknąłem. — To chyba już pójdę...

— Nie! Teraz nie wyjdiesz! Siadaj! — rozkazał tonem nie znoszącym sprzeciwu. — No cóż, jak już przeczytałeś te strzępki, musisz poznać wszystko. Całą prawdę! Abyś zrozumiał... Było mi trochę nieswojo, lecz jednocześnie miałem ułatwioną sytuację.

— To wszystko jest takie jakieś... że chwilami aż człowieka dreszcz przechodzi — podjąłem ostrożnie. — Toś ty dyktował? — wskazałem na maszynopis.

— Tak. O co ci chodzi?

— Właściwie... o wszystko. Chciałbym jakoś uporządkować sobie w głowie tę całą historię. W jakiejś chronologicznej kolejności... Mógłbyś mi opowiedzieć...

— Nie mam chęci na opowiadanie, W głowie mi szumi. Właściwie dobrze byłoby się czegoś napić, ale wszystko, co tu znajdziesz, to świństwo, i do tego resztki. Nie lubię wypijać resztek. W ogóle nie chce mi się gadać. Zwłaszcza opowiadać z jakimś ładem — składem... Głowa mnie trochę boli. Jeśli chcesz, to pytaj, jeżeli nie chcesz — nie pytaj... Ja cię zabawiać nie będę.

Wyciągnął się na tapczanie, podkładając ręce pod głowę.

Byłem zdezorientowany.

— Sam mówiłeś, że chcesz mi coś opowiedzieć... — odrzekłem z lekkim wyrzutem. — Nie chcę cię bynajmniej męczyć. Może się jeszcze prześpisz?

— Cóż za Wersal? Jedź prosto z mostu, bo się rozmyślę...

Oczywiście targować się nie miałem zamiaru.

— Z tego, co dotychczas zrozumiałem — przeszedłem od razu do konkretów — po przybyciu do Układu Procjona wprowadziliście „Matterhorna” na stacjonarną orbitę wokół IV planety Procjona A i próbowaliście się porozumieć z jego mieszkańcami. Czy kontakty te dały chociaż jakiś rezultat praktyczny?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi? Były to próby porozumienia metodami optycznymi. Kreślenie świecących śladów w przestrzeni. Procjonidzi to bardzo inteligentne istoty. Szybko domyślili się, o co nam chodzi. Już drugiego dnia poczęli reagować na nasze sygnały w sposób logiczny, po czterech dniach, jak wynikało z odpowiedzi, chwytali już ich sens, zaś po tygodniu stanęła sprawa bezpośrednich kontaktów.

— I przez ten tydzień nie lądowaliście?

— Nie. Prawo kosmiczne zabrania lądowania na planetach zamieszkałych przez istoty rozumne bez ich zgody. Poza tym konieczne są obserwacje wstępne. Trzeba się trochę poznać wzajemnie.

— Jak wyglądają ci Procjonidzi?

— Jak odwrócone przecinki. Lepkie oślizgłe stwory. Cielsko okrągłe jak kula czy jajko, sześć odnóży, wszystkie chwytne.

— A głowa?

— W ogóle nie mają głowy. Przynajmniej w naszym rozumieniu. Narząd wzroku osadzony na ruchomych czułkach, a otwory chłonne i wydalnicze w kończynach chwytnych.

— Nie masz zdjęcia?

— Owszem. Pokażę ci później.

— Czy masz zachowany kompletny egzemplarz twego pamiętnika?

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Nie. Nie mam. Zniszczyłem wszystko. A raczej prawie wszystko. Zniszczyłem także mikrozapis magnetyczny... Zniszczyłem wszystko! — powtórzył.

— Dlaczego?

— Tak lepiej — odrzekł wymijająco.

— Czego się boisz?

— Ach, nie ma czym się chwalić. Oni... — rozpoczął i nagle zmienił temat. — Pytałeś o lądowanie? Od tego zaczęło się wszystko!... Kiedy udało nam się wytłumaczyć Procjonidom, że chcielibyśmy im złożyć wizytę, zaraz wyrazili zgodę. W delegacji miał lecieć Slawski jako dowódca, Kalen jako nawigator i mechanik, Gordon i Hoły jako znawcy sztuki i architektury nie ludzkiej, a także Harter — lingwista i cybernetyk.

Wszyscy byliśmy zadowoleni, że tak gładko idzie, tylko jeden Petersen był niespokojny. Twierdził, że najpierw trzeba wysłać automat. Że ta szybka zgoda może oznaczać podstęp. Chodziło o to, że stwierdziliśmy występowanie w otaczającej przestrzeni znacznej liczby antycząstek i nie ulegało wątpliwości, że ma to jakiś związek z badaną planetą. Petersen był zdania, że nie mamy jeszcze dostatecznych podstaw do oceny poziomu techniki Procjonidów. Możliwe, mówił, iż wielki przemysł mieści się pod ziemią, że już dysponują techniką jądrową, a owe antycząstki są produktem ich eksperymentów. Wysunął nawet sugestię, aby przy ocenie sytuacji brać zawsze pod uwagę możliwość ataku. Loger wyśmiał go jednak, twierdząc, że występowanie większej liczby antycząstek wiąże się z pewnego rodzaju selekcją promieniowania kosmicznego, która dokonuje się rzekomo w silnym polu magnetycznym planety IV.

Już w czasie drogi, a zwłaszcza w ostatnim półroczu, obserwowaliśmy w niektórych obszarach pewien wzrost liczby antycząstek o znacznej energii, jak sądziliśmy, pochodzenia pozagalaktycznego. Część tych cząstek była, zdaniem Logera, wychwytywana i zatrzymywana w Układzie Procjona. Spór był zresztą bardzo teoretyczny — każdy uzasadniał wzorami swoje tezy, ale dyskusję przeciął Golden. Stwierdził on autorytatywnie, że zwiadowcy wysłać nie można bez zgody

mieszkańców planety. A prosić teraz o zezwolenie — nie wypada, bo się zorientują, że im nie wierzymy. Co prawda, z tym ostatnim to on nie miał racji, bo wysłanie automatu można było łatwo uzasadnić koniecznością zbadania warunków, a zwłaszcza mikroorganizmów, aby nie spowodować wzajemnych zakażeń. Ale wtedy wszystkim nam się spieszyło do lądowania, więc zakrzyczeliśmy Petersena, który w końcu zgodził się, z tym, iż mieliśmy przeprowadzić jedno sondowanie w strefie wolnej, to jest powyżej 1000 kilometrów od powierzchni planety. Automat stwierdził wówczas istnienie pierścienia radiacji złożonego z antycząstek, co zdawało się potwierdzić teorię Logera, że chodzi tu o zjawisko naturalne.

— A jednak to był podstęp. I Slawski zginął?

— Ano zginął... Tak jak ustalono poprzednio — polecili w piątkę. Na początku wszystko było w porządku. Pilot-automat prowadził maszynę po zaprogramowanej orbicie. Slawski, Gordon, Hoły, Harter i Kalen siedzieli w kabinie pasażerskiej obserwując ekran. Powierzchnia lądownika, jak każdego statku kosmiczno-atmosferycznego, chroniona była przed nagrzeniem powodowanym zderzeniami z cząstkami zjonizowanej atmosfery metodą magneto-hydrodynamiczną. Pole samowzbudzone stanowi tu znaczną ochronę zarówno przed zjonizowanymi cząstkami, jak i antycząstkami, których tory ulegają zakrzywieniu tak, iż nie docierają do ścian statku. Oczywiście, pewna ilość cząstek o większej energii przenika przez takie pole, ale nie sądzono, aby mogło to być zjawiskiem groźnym. Toteż kiedy nagle rozległ się sygnał alarmowy, oznaczający gwałtowne nasilenie promieniowania — nikt się nie przejął. Pomyśleli, że to po prostu pierścień radiacji — wyliczony teoretycznie przez Logera i potwierdzony przez robota. Takie same pierścienie występują wokół Ziemi, tyle że ten zawierał niemal wyłącznie antycząstki. Ale nasilenie promieniowania rosło. Stracili też łączność radiową ze statkiem.

Slawski kazał siedzieć kolegom na miejscach, a sam poszedł do kabiny pilota, bo robot alarmował coraz natarczywiej i mógł lada chwila samorzutnie dokonać zmiany toru. Widocznie Slawski pomyślał, że trzeba jak najszybciej wyjść z pierścienia radiacji, bo wydał robotowi polecenie skierowania maszyny wprost w dół ku planecie. Sądził, że niżej, jak to przewidywał Loger, znajdzie pierścień złożony z protonów. A to było właśnie samobójstwem. Dozymetry oszalały! Nasilenie promieniowania gamma było tak ogromne, że w parę chwil później liczniki przestały dawać wskazania. Jednocześnie zaczęła płonąć powierzchnia lądownika. Spektrografy wskazywały, że zamiast oczekiwanych protonów rakietę napotyka tylko na antyprotony i że nasilenie strumienia rośnie... Slawski wydał robotowi polecenie wykonania skrętu, lecz robot odmówił posłuszeństwa. Widocznie nasilenie promieniowania gamma spowodowało jakieś zaburzenia w elektronicznych układach. Slawski musiał przejść na pilotaż ręczny.

Maszyna wykonała skręt, ale jeszcze przez pewien czas wchodziła coraz głębiej w atmosferę planety. I płonęła... Płonęła! — powtórzył mój przyjaciel drżącym nerwowo głosem. — Pole ochronne „wysiadło”. Wiesz, co się dzieje, gdy zderza się cząstka z antycząstką? Patrzyliśmy ze statku, jak powierzchnia lądownika staje się

czzerwona, potem żółta... wreszcie — biała... Byliśmy przekonani, że potwierdziły się przewidywania Petersena, że Procjonidzi zaatakowali raketę strumieniem antyprotonów. Loger chciał nawet zarządzić włączenie silników i przenieść bazę na dalszą orbitę, lecz nie pozwoliliśmy. Przecież to oznaczałoby pozostawienie tamtych na łasce losu. Bo rakieta, chociaż płonęła, zmieniała kierunek, oddalała się od tej przeklętej planety! Na szczęście silniki nie zawiodły. Co prawda, Slawski już nie żył, gdyż jak później wykazały badania, temperatura w kabinie pilota doszła do ośmiuset stopni, ale po wyjściu rakiety z atmosfery i osłabnięciu promieniowania gamma robot przejął prowadzenie. Nie mógł jednak doprowadzić rakiety do „Matterhorna”, gdyż zupełnie oślepl.

— Kto oślepl?!

— Mówię przecież, że robot! Wszystkie zewnętrzne urządzenia lądownika, a zwłaszcza głowicy, uległy stopieniu. Kiedyśmy dotarli do niej, była jeszcze jasnoczerwona. Na szczęście kłapa śluzy puściła. Harter, Kalen, Gordon i Holy żyli, ale byli nieprzytomni. Kabina pasażerska znajdowała się w środku kadłuba i nie miała okien — temperatura nie przekroczyła tam stu stopni. Slawskiego nie udało się już, niestety, przywrócić do życia.

— Więc jednak Petersen miał rację?

— Zależy, jak to rozumieć. Miał rację, że należało najpierw przeprowadzić dokładny zwiad. Ale to nie był podstęp. Procjonidzi nie chcieli nas zabić! Oni zresztą nie mieli jeszcze zielonego pojęcia o fizyce jądrowej.

Byłem zupełnie zaskoczony.

— A więc co się stało?

— To był antyświat! — powiedział mój przyjaciel cicho, lecz z naciskiem. Zapanowało milczenie.

— Myślisz o świecie zbudowanym z antimaterii? — zapytałem po chwili, chcąc się jeszcze upewnić, czy się nie przesłyszałem.

— Tak! — skinął głową. — Wiesz chyba, co to znaczy? U nas wokół dodatnich jąder krążą ujemne elektrony. Tam... wokół ujemnych jąder krążą dodatnie elektrony — pozytony. Zamiast protonu mamy antyproton, zamiast neutronu — antyneutron o przeciwnym momencie magnetycznym. Zetknięcie się cząstki z antycząstką daje w efekcie...

— ...anihilację — dokończyłem czując nieprzyjemny skurcz w okolicy żołądka.

— Tak! Anihilację — powtórzył głucho. — Unicestwienie dotychczasowej postaci materii, całkowitą zamianę masy w energię. Nic dziwnego, że żaroodporna powierzchnia rakiety płonęła jak słoma na wietrze.

— Ale czy to możliwe, aby Procjon?... Tak blisko Słońca? Załedwie 11 lat świetlnych.

— Cóż znaczą wszystkie teorie wobec faktów? — zaśmiał się sztucznie mój przyjaciel. — Trzeba będzie zrewidować hipotezy kosmogoniczne. Trzeba będzie potworzyć nowe teorie, a stare wyrzucić na śmietnik. Tak, „Zielone Oko” — na śmietnik!

— Jeszcze nie chce mi się wierzyć!

— I my też nie chcieliśmy wierzyć. Nawet Petersen nie wierzył! Przecież według dotychczasowych obliczeń, gdyby w Galaktyce przypadało średnio na 10 milionów cząstek więcej niż jedna antycząstka, już spowodowałoby to naruszenie równowagi termodynamicznej! Koncentracja antymaterii w pyle międzygwiazdowym jest tak mała, że wszyscy zgodnie wykluczali możliwość powstania w Drodze Mlecznej gwiazd zbudowanych z antymaterii.

— Może ten antyświat przywędrował z innej galaktyki?

— To również wydaje się mało prawdopodobne wobec stosunkowo niedużej prędkości Procjona względem Słońca. Widocznie jednak zbyt mało jeszcze wiemy o wszechświecie... Byliśmy zupełnie zaskoczeni tym odkryciem.

— Ale przecież w czasie wchodzenia w głąb układu powinniście się byli zorientować...

— W głąb układu wchodzi się w okresie hamowania, zaś działanie silnika fotonowego, a ściślej produkty zachodzących w nim reakcji przekreślają całkowicie wartość pomiarów prowadzonych w bezpośrednim sąsiedztwie statku.

— Więc poza śladami antymaterii w przestrzeni międzygwiazdowej oraz w pobliżu planety IV nie zauważyliście niczego? Czy to możliwe?

Patrzył na mnie chwilę, jakby zastanawiał się, o co pytam.

— Nie zapominaj — powiedział wreszcie — że antymateria zewnętrznie nie różni się fizycznie i chemicznie niczym od materii. Właściwie jest to zupełnie taka sama materia jak nasza, tyle że zbudowana odwrotnie. Dla Procjonidów nasze podręczniki fizyki i chemii są tak samo użyteczne jak dla nas. Opisują takie same prawidłości, takie same reakcje zachodzące między takimi samymi pierwiastkami. Tylko że dla nich nasza materia jest antymateria. To tylko kwestia, z której strony patrzeć. Ale na odległość nie można wykryć różnic. Fotony są takie same. Dopiero przy bezpośrednim spotkaniu...

— I wtedy, po tej katastrofie, zorientowaliście się, że to jest antyświat...

— Gdyby tak było... — westchnął ciężko mój przyjaciel. — Niestety, nawet nam to przez głowę nie przeszło. Byliśmy zasugerowani podejrzeniami Petersena. Zresztą, któż mógł uwierzyć, że to planeta zbudowana z antymaterii? Loger, który natychmiast po śmierci Slawskiego objął dowództwo, oświadczył, że na zbrodniczy podstęp musimy odpowiedzieć demonstracją naszej wysokiej techniki. Że musimy pokazać, iż nasze rakiety, jeśli zechcemy, dotrą do powierzchni planety. Sprzeciwiłem się temu, uważając, iż nie ma sensu zaostrzać sytuacji. Loger może by ze mną się nie liczył, lecz poparł mnie Golden, Kalen, a później i inni. Loger uparł się jednak, żeby wysłać z akceleratora, w kierunku planety strumień antycząstek. Chciał pokazać, że my również to potrafimy. Oczywiście nie było żadnego efektu. Ale jeszcze wówczas byliśmy jak ślepi. Petersen sądził, że strumień mogli odchylić jakimś polem. Golden zaproponował, aby posłać robota wyposażonego w możliwie potężne pole ochronne, jako parlamentariusza. Jako cel lotu Loger wybrał wyspę o średnicy około półtora kilometra z wznoszącą się na niej wysoką budowlą, przypominającą ściętą piramidę aztecką, tyle że o podstawie w kształcie równobocznego trójkąta.

— Nie próbowaliście dogadać się przy pomocy sygnałów świetlnych?

— Próbowaliśmy, ale nic z tego nie wyszło. Golden usiłował przekazać pewnego rodzaju „oświadczenie”, że wobec złamania przez Procjonidów umowy, zniszczenia naszej rakiety i spowodowania śmierci człowieka — domagamy się satysfakcji dyplomatycznej. Widocznie było to zbyt zawile jak na ubogi „wspólny język”, gdyż Procjonidzi nic z tego nie zrozumieli i tylko raz po raz, zaniepokojeni, powtarzali serię sygnałów, które uprzednio odczytaliśmy, jako zgodę na lądowanie. Loger zarządził więc wysłanie rakiety-roboty. Tak długo, jak poruszał się wśród zjonizowanej antymaterii — pole chroniło go nieźle. Kiedy jednak wszedł w gęstsze warstwy atmosfery i stracił szybkość, proces anihilacji począł się gwałtownie wzmacniać. W odległości 50 km od powierzchni planety świecił już oślepiającym blaskiem. Byliśmy przekonani, że Procjonidzi chcą go zniszczyć i usiłowaliśmy zmienić kierunek lotu, ale aparatura sterująca już nie działała. Wreszcie nastąpiła eksplozja. Robot nie zawierał ładunku wybuchowego, a tym bardziej jądrowego, tymczasem eksplozja przypominała do złudzenia wybuch bomby wodorowej. Wówczas dopiero Petersen i Loger zrozumieli, że to był antyświat. Rakieta miała blisko 100 kg masy. Część materii uległa anihilacji w atmosferze, ale z powierzchnią wody zetknęło się co najmniej 50 kg masy. Pocisk spadł obok wyspy, w morze. Przez długie godziny chmura radioaktywna unosiła się nad oceanem, sięgając aż do wybrzeży oddalonych 190 kilometrów od wyspy.

— A Procjonidzi?

— Na wyspie było ich prawdopodobnie niewielu. To była jedyna pociecha, bo wyspa została dosłownie starta z powierzchni morza. Natychmiast po stwierdzeniu, że mamy do czynienia z antymaterią, przekazaliśmy Procjonidom ostrzeżenie, by opuścili teren zagrożony zasięgiem chmury radioaktywnej. Sądzę jednak, że nie brakło wypadków śmiertelnych także poza wyspą. Byliśmy wszyscy przybici tym, co się stało. Wspomnienie niedawnej śmierci Sławskiego jakby przybladło. Nawet Loger wyglądał na załamane. Bo też on był dowódcą i na niego spadała przede wszystkim odpowiedzialność.

— Co za głupia, bezsensowna, a zarazem potworna historia — powiedziałem, głęboko wstrząśnięty opowieścią.

— Tak. To było straszne uczucie... Nie wiedzieliśmy zupełnie, jak wybrnąć z sytuacji... Loger chciał nawet od razu wracać do Układu Słonecznego, ale Golden przekonał go, że to też nie miałoby sensu. Mówił, że trzeba wszystko jakoś załagodzić. A poza tym ekspedycja musi wykonać swe zadanie. Tymczasem Procjonidzi zupełnie opacznie zrozumieli ten wypadek. Uznali go za wypowiedzenie wojny. Nie ma się im zresztą co dziwić!...

— Chyba próbowaliście wyjaśnić nieporozumienie?

— Niestety. Procjonidzi nie znali pojęcia jądra atomowego, nie mówiąc o antymaterii, nie zrozumieli więc, o czym usiłujemy ich przekonać. A może po prostu przestali nam wierzyć! Dość, że od tej chwili już ani razu nie odpowiedzieli na nasze sygnały. Po tygodniu bezowocnych usiłowań „złapania” kontaktu Loger zdecydował, że dokonamy jeszcze próby bezpośredniego nawiązania łączności. Co prawda, o

wylądowaniu człowieka na powierzchni planety zbudowanej z antymaterii nie było mowy...

Dostrzegłem niezgodność opowiadania z pamiętnikiem mego przyjaciela.

— Przecież pisałeś... — podjąłem, lecz nie dał mi dokończyć.

— Czekaj! To był dopiero początek!... Widocznie niewiele skorzystałeś z tych strzępów — wskazał na maszynopis — jeśli nie wiedziałeś nawet o antymaterii ani o skafandrach polowych.

Sięgnął po kartkę i patrzył na nią machinalnie.

— O skafandrach coś tam było... Ale nie domyślałem się. Czyżby?...

— Na wszystko znajdzie się sposób! Nawet na antymaterię!... Na początku chodziło tylko o robota. O ludziach jeszcze nikt nie myślał. Procionidzi nie odpowiadali na sygnały, poza tym zachowywali się normalnie. Obserwowaliśmy ich przez teleskopy, robiliśmy zdjęcia i pomiary. Od czasu do czasu płytkie sondowanie. Wreszcie, po jakichś pięciu tygodniach, Loger, Petersen i Kalen zakończyli budowę dwóch robotów, które mogły wylądować w antyświecie, przekazywać obrazy i dokonywać z bliska obserwacji telewizyjnych.

— Ale przecież chodziło tu o antymaterię niezjonizowaną, nie podlegającą działaniu pól. Przecież każda cząstka powietrza, która zetknie się z powierzchnią aparatu...

— Otóż właśnie! — przerwał, mi mój przyjaciel. — Chodziło o to, żeby nie dopuścić do zetknięcia! Loger i Petersen wpadli na pomysł, aby otoczyć robota płaszczem zjonizowanej antymaterii, utrzymywanym na odległość przy pomocy potężnych pól. Jonizacja powodowana była anihilacją cząstek, które zdołały przeniknąć przez pole. Wzrost liczby cząstek przenikających przez płaszcz powodował wzmożoną jonizację, a tym samym wzmacniał płaszcz ochronny, zmniejszając anihilację. Zachowana więc była pewnego rodzaju równowaga. Pole ochronne nie zabezpieczało przed anihilacją, tylko ją niezmiernie zwalniało. Robot zaopatrzony był w dwa silniki jonowe. Jeden raketowy, na plazmę produkowaną z własnych zapasów materii — pracował w pustce kosmicznej, gdzie nie potrzeba było włączać pola ochronnego. Drugi — typu zewnętrznego, przepływowego — działał właśnie przy włączonym polu, w atmosferze antymaterialnej.

— Jak to możliwe?

— Owo pole nie tylko odrzucało zjonizowane cząstki antymaterii i w ten sposób chroniło przed zetknięciem się antymaterii z materią, ale mogło odrzucać te cząstki w ściśle wyznaczonym kierunku. Powodowało to, oczywiście, odrzut całego aparatu w kierunku przeciwnym. Można było kierować działaniem pola w ten sposób, aby zmieniając kierunek odrzutu manewrować swobodnie maszyną. Był to niewątpliwie udany wynalazek. Aparat miał tylko dwa poważniejsze braki; grzał się niemiłosiernie i trzeba było stosować bardzo intensywne chłodzenie, a ponadto antymateria w postaci stałej, działając ze znaczną siłą na niedużą powierzchnię, mogła przeniknąć przez płaszcz i spowodować eksplozję. Ale to wówczas nie wydawało się istotne. Kalen wpadł jeszcze na wariacki pomysł skonstruowania chwytacza magnetycznego, umożliwiającego przeniesienie na orbitę satelitarną

antymaterialnego przedmiotu z żelaza, co byłoby nie tylko nie lada wyczynem, lecz otwierałoby również perspektywy zbudowania robota ze stałą antymaterialną osłoną.

— I taki zaopatrzony w pola robot mógł lądować?

— W ścisłym tego słowa znaczeniu — nie. Unosił się tylko nad powierzchnią planety w antymaterialnym powietrzu. Pierwszego robota tego typu prowadził sam Loger. Jednocześnie nadaliśmy ostrzeżenie, aby mieszkańcy planety nie próbowali atakować maszyny. I to chyba był błąd.

— Nie rozumiem.

— Dla Procjonidów stanowiło to potwierdzenie ich obaw, że chcemy zawładnąć planetą. Powitali robota czymś w rodzaju ognia zaporowego. Poziom techniczny — gdzieś koniec XIX — początek XX wieku na Ziemi. Prymitywne pociski o napędzie odrzutowym eksplodowały jak szrapnele w powietrzu nad miastem, które Loger wybrał jako cel pierwszego lotu. Tylko przypadek i szybki refleks Logera sprawiły, że nie doszło do katastrofy. Wzniósł maszynę na wysokość 20 kilometrów i zaczęliśmy się zastanawiać, co robić dalej. Wówczas po raz pierwszy Loger pokazał swe prawdziwe oblicze. Większość załogi uważała, że należy wycofać się i ponowić próby kontaktu optycznego. Loger wysłuchał tych uwag, a potem zarządził coś wręcz przeciwnego, nie dopuszczając do dalszej dyskusji. Wiesz, jakie ma uprawnienia dowódca statku kosmicznego?... Jaką ma władzę poza Strefą Trzech Planet Zamieszkałych przez Ludzi. Tak być musi. Ale tym razem to było po prostu awanturnictwo. A nawet coś gorszego... Nakazał Kalenowi zainstalować na drugim robocie automat szybkostrzelny. Miał on służyć za ochronę pierwszego robota. Tego drugiego robota miałem pilotować ja...

Urwał i nerwowo zgniótł w dłoni kartkę maszynopisu.

— Chyba nie mieliście zamiaru atakować tych istot? — podjąłem po chwili, lecz pytanie widocznie nie dotarło do świadomości mego przyjaciela, bo nawiązał wprost do poprzednich słów.

— Ten rozkaz to była perfidia z jego strony!... Chciał się na mnie odegrać. Należałem do zdecydowanych przeciwników uzbrajania robota.

— A jakie było w tej sprawie stanowisko pełnomocnika Goldena? Przecież prawo kosmiczne przewiduje, że lądować można tylko za zezwoleniem mieszkańców planety. Chyba więc...

— Jesteś bardzo naiwny, „Zielone Oko”! — przerwał z ironią mój przyjaciel. — Decyduje człowiek, nie samo prawo. Prawo zawsze można obejść. Oprócz prawa konieczne jest sumienie... Mówiłem ci już, że Golden łatwo ulegał wpływowi. Rozumiem zresztą trochę Logera: chodziło tu o sprawę zasadniczą, o wyjście w jakiś sposób z impasu. Wszyscy byliśmy wówczas zgodni, że absolutnie nie ma mowy o powrocie, że trzeba jak najszybciej doprowadzić do porozumienia i rozpocząć prace badawcze. Różnice polegały tylko na doborze środków prowadzących do tego celu. I tu właśnie problem nabierał charakteru zasadniczego... Golden poparł Logera, oświadczając, że wysłanie robota nie jest lądowaniem, lecz środkiem nawiązania łączności z mieszkańcami planety. Zresztą Procjonidzi nigdy nie nadali sygnałów,

które można by interpretować jako cofnięcie zaproszenia... Oczywiście to była sofistyka: ostrzelanie robota niewątpliwie należało traktować jako sprzeciw. Loger nie dopuścił jednak, jak mówiłem, do dyskusji.

— I pilotowałeś tego robota?

— Cóż miałem robić? Zgodnie z instrukcją prowadziłem maszynę w odległości 30 km od robota Logera. W razie niebezpieczeństwa miałem zrobić użytek z broni...

— Czy to w ogóle było możliwe? W świecie antimaterii?

— Automat szybkostrzelny to coś w rodzaju dawnego karabinu maszynowego, wyrzucającego pociski o parogramowej masie. Pociski mogą być różnego rodzaju, do jądrowych włącznie. Tu wystarczyła zwykła materia i niewielkie samowzbudzone pole magnetyczne. Mówiłem ci już, że tego rodzaju pocisk o dużej energii kinetycznej może przeniknąć bez trudu przez pole ochronne. Rzecz jasna, natychmiast zderza się z cząstkami gazów atmosfery i zaczyna ulegać anihilacji. Przy zetknięciu z ciałem stałym lub ciekłym następuje eksplozja, którą można porównać z wybuchem maleńkiej bomby anihilacyjnej. Broń ta była więc dość groźna mimo niewielkiej masy pocisków. To także pomysł Logera.

— No i?...

— Wtedy właśnie zaczęło się — powiedział patrząc ponuro przed siebie. — Loger skierował swego robota tym razem ku obszarom pokrytym niską roślinnością, gdzie zabudowań było niewiele i, jak się wydawało, nie mogły kryć machin wojennych. Bez przeszkód dotarł prawie że do powierzchni planety i prowadził maszynę na niewielkiej wysokości w kierunku najbliższego miasta. Mój robot tkwił na wysokości 25 km, skąd obserwowałem teren. Właśnie Loger znalazł się nad miastem, gdy na ekranie radarowym zauważyłem w odległości 80 km jakieś dwie duże maszyny powietrzne, zdążające w kierunku miasta.

— Procjonidzi mieli samoloty?

— Raczej były to maszyny przypominające kształtem sterowce. Długie cygara z otworem pośrodku. Niejako skrzyżowanie koleoptera ze sterowcem. Cygara szły w kierunku miasta z prędkością ponad 100 km/godz i należało przypuszczać, że są to prymitywne maszyny bojowe. Ostrzegłem Logera, ale on zauważył właśnie na dachu najwyższej budowli miasta długi pręt, który wydał mu się z żelaza, i chciał koniecznie sprawdzić, czy nie da się go pochwycić elektromagnesem. Rozkazał, abym zatrzymał te dwa „cygara” możliwie jak najdłużej, oczywiście, unikając starcia. Tymczasem sytuacja przybrała nieprzewidziany, i to niezmiernie groźny obrót. Dostrzeżony przez Logera pręt był umocowany na stałe w dachu budowli. Zawierał on istotnie żelazo, toteż udało się go uchwycić polem pierścieniowym, lecz o uniesieniu w górę nie było, rzecz jasna, mowy. Loger wyłączył chwytacz, mimo to rakieta nie mogła wznieść się w górę.

— Uszkodzenie?!

— Nie. Pręt wystający z dachu stanowił sam pewnego rodzaju elektromagnes, a przepływ jonów w osłonie robota powodował drogą indukcji powstanie siły przyciągania. A przecież do zsunienia pola pierścieniowego z pręta i wzniesienia się w górę potrzeba było właśnie odrzutu jonów w dół...

— Niesamowita historia...

— To był przypadek, ale winę ponosił Kalen, że nie przewidział takiej możliwości. Sytuacja stała się tragiczna; robot nie mógł wystartować, a tymczasem „cygara” dążyły na pomoc miastu. Niestety, o zatrzymaniu ich nie było mowy. Na widok mego robota „cygara” poczęły oddalać się od siebie, przy czym jedno z nich usiłowało okrężną drogą dotrzeć do miasta, drugie szło wprost na spotkanie ze mną. Z odległości mniej więcej trzech kilometrów otworzyli do mnie ogień. Zanim jednak ich pociski raketowe dotarły na wyznaczoną odległość i eksplodowały — zdążyłem „podrzucić” robota 10 km w górę. Powiedziałem sobie, że nie będę niszczył tych maszyn, lecz czułem, że wepchnięty jestem w ślepy zaułek... Robot Logera nie mógł wystartować i na pewno lada chwila będzie zaatakowany. Anihilacja robota oznaczała zaś zagładę miasta. A przecież załoga „cygar” nie mogła zdawać sobie sprawy z sytuacji i dążyła w kierunku miasta właśnie w celu zniszczenia kosmicznego intruza. Było rzeczą zupełnie wykluczoną, abyśmy zdążyli wytłumaczyć mieszkańcom planety, na czym polega niebezpieczeństwo, zanim dojdzie do katastrofalnego ataku. Wydało mi się, że zwariuję. Przeklinałem Logera i Kalena, a zarazem uświadamiałem sobie, że w tej chwili jedynym ratunkiem dla miasta jest zniszczenie obu statków powietrznych. Tymczasem maszyny zbliżały się coraz bardziej do miasta, ostrzeliwując mego robota za każdą próbą zatrzymania ich w drodze do celu...

Nerwowy skurcz przebiegł mu przez twarz. Uczułem, że i mnie coś ścisną za gardło.

— I zniszczyłeś te sterowce? — zapytałem z wysiłkiem.

Skinął wolno głową, nie patrząc mi w oczy. Potem wyciągnął dłoń po szklanę, ale była pusta, więc tylko uniósł ją w górę i postawił z taką siłą na stole, że plastik rozprysł się na kawałki.

— Wiem, że wtedy nie było innego wyjścia... — wyrzekł po chwili cicho. — Nie jestem miękkim człowiekiem, widziałem już wiele, ale nie potrafię zabijać... Nie potrafię nie myśleć... Jeszcze dziś nie mogę wyzbyć się uczucia, że wtedy mogło być inaczej. I dlatego nie chciałem później powtórzyć... jeszcze raz...

— Nie obawialiście się, że uwięziony robot może być zaatakowany przez mieszkańców miasta? — usiłowałem wrócić do tematu.

Znów przez chwilę patrzył na mnie, jakby nie rozumiejąc, o co pytam. Wreszcie odrzekł już nieco spokojniej.

— Była pewna szczęśliwa okoliczność, wykluczająca atak z dołu. Dach tej budowli stanowił rozległy, wklęsły taras, tak iż robot nie był widoczny ani z okolicznych domów, ani z dołu. Mogli go zaatakować tylko z powietrza, ewentualnie dostać się jakimś przejściem na dach. Widocznie nikt się nie odważył na tego rodzaju spotkanie. Pojedynczy Procjonidzi zawsze uciekali przed naszymi maszynami. Nie ma się zresztą co dziwić.

— Nie ponowiły się ataki z powietrza?

Uśmiechnął się gorzko.

— To był dopiero początek... Zniszczone zostały jeszcze 32 maszyny

powietrzne, zanim wreszcie Procjonidzi pojęli, że ataki nie mają sensu. To już, niestety, była wojna. Niepotrzebna, pozbawiona jakiejkolwiek logiki... Najgorsze było to, że nie mogliśmy przerwać działań, dopóki nie przygotowano narzędzi umożliwiających uwolnienie robota. Petersen i Kalen robili, co mogli. Ale dopiero po czterech tygodniach udało im się zakończyć montaż trzeciego robota. To było konieczne, bo drugi robot musiał bronić pierwszego. Trzeciego robota zaopatrzono tym razem w akcelerator wyrzucający wąski strumień protonów o dość znacznej energii. Wywołując tym strumieniem anihilację odcięto wreszcie ów nieszczęsny słup... Ten miesiąc zrobił ze mnie szmatę... Byłem zupełnie załamany psychicznie. Gdy w końcu wszystkie trzy roboty wróciły na „Matterhorna”, rozkleiłem się do reszty. Dosłownie byłem do niczego. Dopiero po dwóch miesiącach Gibson — nasz lekarz pokładowy — postawił mnie na nogi. Wówczas było już jednak za późno... Chociaż?... Czyja wiem?... Może to tylko moja głupota? Może nie trzeba było się patyczkować, tylko palnąć w łeb Logerowi albo...

— O czym mówisz? — zapytałem, czując, że znów zaczyna przeskakiwać wydarzenia i plątać wątki.

— Bo to widzisz — rozpoczął z wyraźnym przymusem — w następnych miesiącach zamiast sprawę rozplątać, zamotano ją do reszty. Loger i jego klika! Klika maniaków i awanturników!... Bo to widzisz — powtórzył — było tak: już zdjęcia sondy Bumerang XII, które dawały tylko bardzo ogólne wyobrażenie o architekturze i urbanistyce Procjonidów, zrobiły silne wrażenie na ludziach. Ale to, co pokazały kamery robotów, to już były istne cuda! U tych istot plastyka i architektura odgrywają jakąś szczególną, dominującą we wszystkim rolę. Nawet owe nieszczęsne maszyny wojenne o kształtach cygar były dziełami niezwykłego kunsztu artystycznego. Nie można z nimi porównać nawet naszych galeonów z okresu odrodzenia i baroku. To były wytwory o jakiejś dziwnie łatwo przemawiającej do człowieka formie plastycznej. Nasi spece od sztuki po prostu potracili głowy. Oglądając z bliska miasta Procjonidów, jakby oszaleli. Udzieliło się to Goldenowi i Logerowi, ba! nawet Kalen i Petersen nie byli obojętni, chociaż sztuka ich nie interesowała. I wówczas, wbrew nie tylko prawu kosmicznemu, wbrew jakimkolwiek sensowi i logice, mimo iż w dalszym ciągu nie było żadnego porozumienia z Procjonidami, rozpoczęto znów wysyłać roboty na powierzchnię planety, do miast i większych osiedli. Zaczęło się filmowanie, mierzenie, katalogowanie, klasyfikacja... Zaczęły się wzdychania i żale, że to antimateria... że nie można tego ujrzeć z bliska, na własne oczy. Choćby tylko przez szybę skafandra...

— A Procjonidzi?

— No cóż... Czyż mogli nas inaczej traktować niż jako wrogów? Czasem dochodziło do starć. Co prawda, nie próbowali już atakować robotów, ale zagrządzali im ogniem drogę do niektórych, obiektów, miast czy wysp.

— A wy?

— Początkowo Loger wydał wyraźny zakaz atakowania Procjonidów i nakazał wycofywanie się w razie ataku z ich strony. Ale później bywało różnie...

— I nie mogliście im wytłumaczyć, że to tylko nieporozumienie, tragiczny zbieg

okoliczności! Przecież chyba łatwiej porozumieć się w drodze bezpośredniego kontaktu niż na odległość, kreśląc obrazy na chmurach.

— Złudzenie... Decydują nie środki łączności, lecz sens informacji. To może wydawać się paradoksem, ale „wspólny język” w przenośni jest ważniejszy niż „wspólny język” w dosłownym tego słowa znaczeniu. Procjonidzi na pewno właściwie pojmowali sens przekazywanych im obrazów. Świadczy o tym to, że wykonywali niektóre polecenia prawidłowo, a zwłaszcza stosowali się do ostrzeżeń. Uważali nas jednak za wrogów, za napastników, a co najmniej za intruzów, których jeśliby tylko mogli, przepędziliby ze swej planety. Ani razu od wybuchu konfliktu nie odpowiedzieli na nasze próby nawiązania łączności.

— Czy nie uważasz, że był to pewnego rodzaju bojkot?

— Chyba tak. Możliwe zresztą, iż wiązał się z jakąś zasadą postępowania obowiązującą ich we własnym świecie.

— Czy jednak učiniliście wszystko, co było w waszej mocy, aby naprawić stosunki?

— Otóż to! — podchwycił gwałtownie. — Gdybym mógł powiedzieć, że učiniliśmy wszystko... Gdyby tak było... Ale któż miał to robić? Czy ci zwariowani historycy sztuki, których nic nie interesowało poza plastyką i architekturą Procjonidów? Może Petersen, dla którego fakt spotkania antyświata oznaczał rewizję wielkiej teorii, nad którą pracował całe życie i chyba... nic więcej? Może Kalen, którego ogarnęła szaleńcza pasja konstruowania coraz nowszych, sprawniejszych urządzeń, umożliwiających nam działanie w świecie antimaterii? A może Golden lub Loger, którym przede wszystkim zależało na wykonaniu planu ekspedycji?!...

— Chyba nawiązanie łączności i stosunków należało do pierwszoplanowych zadań?

— Tak. Lecz nie zapominaj, że dzieliły nas 34 zniszczone statki powietrzne i półtorakilometrowa wyspa, starta z powierzchni morza! Nawiązanie bliższych kontaktów oznaczałoby ograniczenie, a być może, przerwanie bezpośrednich badań. Czy Procjonidzi wyraziliby zgodę na ich kontynuowanie znając prawdę? Nawet okazując maksimum dobrej woli, czy mogli narażać siebie, swe miasta, swe dzieła sztuki na nieustanne niebezpieczeństwo anihilacji?

— Chcesz więc powiedzieć, że nikt z waszej ekspedycji nie był zainteresowany w przerwaniu stanu wojennego? Przecież to podłość, przestępstwo!

— Nikt nikogo za rękę nie złapał. Nikt niczyich myśli nie czytał. Golden potrafiłby ci wszystko uzasadnić zgodnie z kanonami prawa kosmicznego. Przesadą jednak byłoby twierdzenie, że wszyscy myśleli tak samo. Gibson otwarcie domagał się przerwania badań, Harter popadał często w konflikt z Logerem, usiłując przedstawić Procjonidom zbyt otwarcie sytuację.

— To ten lingwista-cybernetyk?

— Tak. Harter przede wszystkim zajmował się łącznością z Procjonidami. Stanowił zupełne przeciwieństwo Logera i Goldeny... Chwilami wydawało się, że trzyma stronę nie nas, ludzi, lecz tych potworków. Że są mu bliższe... Ja na to zdobyć się nie mogłem. Dla mnie były zawsze obcymi istotami. Ale wracając do tematu,

również Kalen, zwłaszcza w późniejszym okresie, był przeciwny metodom stosowanym przez Logera. Nie mógł sobie darować, że zbudowane przez niego narzędzia mogły służyć... grabieży. Bo to była grabież! W naszych czasach! Któż upoważnił ich do zabierania czegokolwiek z powierzchni planety? Tu nie chodziło tylko o żelazo do budowy układów izolujących. Co innego próbki antymaterii czy proste surowce, a co innego wytwory sztuki tych istot...

Coś mi zaświtało w głowie.

— Czy... w tamtej skrzyni... to właśnie...? — nie dokończyłem, wskazując oczyma na drzwi sąsiedniego pokoju.

Zawahał się. Popatrzył przez chwilę w moje oczy, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią.

— W pewnym sensie... tak. To właśnie z tamtego okresu — odpowiedział cicho. — Później Loger z Kaleniem i jeszcze dwóch mechaników zaczęli budować pojazd przestrzenny, umożliwiający wylądowanie na planecie, a nawet coś w rodzaju skafandrów. Antymaterię, głównie żelazo, obrabiano zdalnie w przestrzeni przy pomocy pól. W ten sposób powstały niezbyt grube powłoki antymaterialne, oddzielone polami od powłoki właściwych skafandrów czy rakiet. Aparaty mogły lądować na powierzchni stałej, i to bez chłodzenia, a skafandry indywidualne, przypominające nieco kształtem dzwony, umożliwiały poruszanie się w pewnych granicach w świecie antymaterii. Dla mnie to w ogóle był nonsens. Przesadne ryzykowanie. Bez potrzeby narażano i siebie, i Procjonidów. Przecież wystarczy chwilowe zakłócenie w pracy aparatury... Niech gdzieś pole „puści”, a człowiek czy statek przemieni się w bombę anihilacyjną. Ale oni już nie zwracali uwagi na niebezpieczeństwo. — Zamyślił się chwilę. — Może zresztą niepotrzebnie ci to wszystko opowiadam?... Na pewno czytałeś w moich notatkach?

— Nie, nie. Mów dalej. Jest tam tylko wzmianka o jakimś skarbie w świątyni i ucieczce mieszkańców miasta. Ale właściwie nie wiadomo, o co chodzi.

— O! To już było jakieś trzy miesiące później! Najpierw Loger wmówił sobie, że ma do spełnienia misję dziejową, że trzeba na planecie założyć placówkę cywilizacji ludzkiej, którą pełniłaby rolę ośrodka kierującego przemianami w społeczeństwie Procjonidów. Jak można jednak było mówić o wpływie cywilizacyjnym, kiedy Procjonidzi z reguły uciekali na widok naszych maszyn i chowali się w swych domach... Do wnętrza budowli na ogół nie można było się dostać, gdyż istoty te są znacznie mniejsze od nas. Właściwie nie był to żaden kontakt kulturalny, lecz tylko jednostronne obserwacje i badania.

— Często dochodziło do starć?

— W zasadzie badania ograniczały się do niewielkiej strefy o powierzchni kilkuset kilometrów kwadratowych, a przede wszystkim do większego miasta, położonego w centrum tej strefy. Tu można było poruszać się dość swobodnie, ale w niektórych punktach globu próbowano nie dopuścić do lądowania naszych maszyn. Rosnące zaniepokojenie, a nawet agresywność Procjonidzi przejawiali wówczas, kiedy dla dokonania dokładnych badań i pomiarów zaczęto wydobywać niektóre przedmioty z głębi budowli i innych miejsc trudno dostępnych dla automatów i ludzi

w skafandrach polowych. Do otwartego starcia doszło na przykład w czasie badania struktury długiego elementu plastycznego, zdobiącego wąskie przejście między dwiema budowlami. Gordon próbował element ten oddzielić od ściany i został obrzucony kamiennymi kostkami. Oczywiście nie zrobiły mu żadnej krzywdy, gdyż nieduże pociski odbijały się od pancerza. Gdyby jednak miały większą masę lub prędkość — mogłoby dojść do katastrofy. Na szczęście, zmieniono sposób walki na mniej niebezpieczny.

Tłum Procjonidów próbował spalić Logera we wnętrzu dużej, niskiej budowli. Loger zburzył im tę budowlę z zemsty, wystrzałem z pistoletu... Później tłumaczył się, że go poniosły nerwy, ale fakt pozostał faktem. Harter nie miał właściwie już czego wyjaśniać Procjonidom... Gdzież tu można było mówić o zaufaniu wzajemnym? Odtąd Procjonidzi nie próbowali nam się już czynnie przeciwstawiać. Aż dopiero, gdy doszło do historii ze świecącą kulą. Wiesz, w tej świątyni... w mieście, które nazywaliśmy „Stolicą Żółtego Kontynentu”. Loger uparł się, aby zabrać do Układu Słonecznego tę cudaczną kulę. Ja w tym udziału nie brałem. Ani razu nie poleciałem na planetę.

— Dlaczego?

— Widzisz... — zawahał się. — To nie takie proste. Nie myśl, że chodziło tu tylko o to, iż nie miałem zaufania do skafandrów polowych. Ostatecznie... taka śmierć jest najlepsza. Oczywiście pod warunkiem, że pole puści nagle, a nie będzie powoli słabło, przepuszczając coraz więcej cząstek... Ale widzisz, to wszystko było coraz bardziej bezsensowne. Byłem przeciwny badaniom. Potem, gdy przeniesiono bazę do tej niby stolicy... — i zmieniając nagle temat powiedział: — A z tą kulą była naprawdę dziwna historia. Właściwie prawie wszystkie przedmioty, które oni wytwarzają, wywołują u wielu ludzi jakieś niezrozumiałe, przyjemne uczucia. Może zresztą występuje tu zbiorowa sugestia... Nie wiem. W każdym razie ta kula miała w sobie coś, co działało na ludzi szczególnie silnie. I to chyba na wszystkich... Lang i Gibson przypuszczali, że chodziło tam o pewnego rodzaju oscylacje elektromagnetyczne, wywołujące w drodze indukcji takie zmiany w rytmach prądów czynnościowych ludzkiego układu nerwowego, które odczuwamy jako szczególnie przyjemne.

— Ale chyba Procjonidzi nie wywoływali tych zjawisk celowo?

— To był przypadek. Lang, Harter, Petersen i Kalen badali tę kulę. Chodziło o jakieś drgania kryształów, związane ze zmianami stanu elektrycznego. Procjonidzi znają wiele zjawisk elektrycznych. Potrafią wytwarzać zimne światło. Właśnie świecenie tej kuli miało taki charakter. Nie wiadomo, czy chodziło tylko o wrażenia estetyczne odczuwane przez Procjonidów, czy też kula służyła jeszcze jakiemuś innemu celowi. Istniały podejrzenia, że odbierają oni znacznie szerszy zakres fal elektromagnetycznych niż człowiek... Nasze wyczulenie na te oscylacje miało z pewnością charakter przypadkowy.

— To bardzo ciekawe zjawisko. Przecież odczuwanie piękna jest procesem złożonym — począłem się głośno zastanawiać. — Smak estetyczny nie jest dyspozycją wrodzoną, lecz nabytą. Wrażenie, które byłoby z gruntu, całkowicie

nowe, nie może wywoływać wzruszeń estetycznych. Dopiero kiedy kojarzy się, niekoniecznie zresztą świadomie, z podobnymi wrażeniami utrwalonymi już w pamięci — wówczas zaczyna się „smakowanie piękna”.

— Tak. Z tym uzupełnieniem, że to podobieństwo wrażeń niekoniecznie musi być ścisłe. Może tu chodzić o zupełnie luźne elementy. Gdy słuchamy nowej piosenki, już przy pierwszej zwrotce możemy stwierdzić, że się nam podoba, jeśli zawiera elementy, choćby tylko pojedyncze, które kojarzą się nam z czymś znanym.

— Jak więc wytłumaczyć działanie tej kuli?

— Odczuwanie przyjemności, a więc i wzruszeń estetycznych wiąże się ściśle z charakterystycznymi oscylacjami elektrycznych prądów czynnościowych w korze mózgowej. Niektóre wrażenia zmysłowe są w stanie wywoływać takie oscylacje, przy czym siła ich rośnie prawdopodobnie drogą rezonansu, gdy odbierane wrażenia zbliżone są do utrwalonych już w mózgu innych wrażeń. Nie znaczy to jednak, iż takich przyjemnych oscylacji nie można wywołać w sposób sztuczny, już nie tylko za pośrednictwem zmysłów, ale przez indukcję elektromagnetyczną. To, co ciągnęło ludzi do tej kuli, nie polegało więc, przynajmniej w działaniu pierwotnym, na jakimś „rozsmakowaniu się estetycznym”. Raczej kula pociągała ludzi, jak płomień ciągnie do siebie ćmy...

— I dlatego założono bazę tam, w tej świątyni?

— Nie, nie — zaprzeczył pośpiesznie mój przyjaciel. — Działanie nie było aż tak silne, abyśmy stracili rozsądek. Z bazą była inna sprawa. Najpierw Loger próbował wytłumaczyć Procjonidom, aby przenieśli tę kulę na platformę transportową. Ale oni uciekli. Jednej nocy!... Całe miasto, mające chyba kilka milionów mieszkańców.

— Świetnie musieli być zorganizowani.

— Tak. To są bardzo zdolne potworki. Gdyby dysponowali naszą techniką, sytuacja mogłaby być bardzo nieprzyjemna. Loger, zakładając bazę, wybrał miejsce otoczone szczególną czcią Procjonidów, a zarazem przypominające trochę ukształtowaniem twierdzę. Początkowo wydawało się nieprawdopodobne, aby oni porzucili na zawsze tak wielkie, bogate miasto. Tymczasem minęły dwa tygodnie, a nikt nie wracał. Próby kontaktu, jak wiesz, nie dawały rezultatu. Procjonidzi wyraźnie stosowali bierny opór. W tym czasie na dnie „amfiteatru” Loger z Petersenem zainstalowali pawilon i stamtąd robiono wypadły w głąb miasta. Była tam niezliczona ilość dzieł sztuki. Niektóre lżejsze, przede wszystkim te, które nie były przymocowane do podłoża, udawało się przenieść do bazy przy pomocy rakiety transportowej. W opustoszałym mieście obawiano się prowadzić badania pojedynczo. Mogło dojść do ataku, a wówczas... Jeśli badany przedmiot był bardzo ciężki lub silnie połączony z podłożem, sprawa się komplikowała. Pola skafandrów czy robotów były za słabe, zaś o skonstruowaniu robotów z antymaterii, kierowanych zdalnie drogą radiową, tak jak to planował Loger, nie było mowy bez pomocy Procjonidów. Wreszcie Goldenowi przyszło do głowy, aby niektóre mniejsze, lecz bardziej interesujące przedmioty przetransportować w górę na orbitę „Matterhorna”. Tego było już za wiele, jak na moje nerwy. Oświadczyłem, że nie przyjmę ani jednego transportu i kiedy, mimo mego ostrzeżenia, przesłano kilka

takich przedmiotów, zniszczyłem je, wywołując anihilację.

— Czytałem o tym. Potem zamknął cię w śluzie?

— Niewiele brakowało, zdechłbym w tej dziurze z głodu i pragnienia. Uratował mnie robot-koordynator, otwierając właz awaryjny.

— Jak to było możliwe?

— Sam nie jestem pewny... Myślę, że po prostu coś mu się nie zgadzało wewnątrz statku. Miał on między innymi za zadanie czuwać nad bezpieczeństwem. Konstruktorzy nie wykluczali jakichś niespodziewanych wypadków, awarii, izolacji. Koordynator interweniował wówczas w taki sposób, aby przywrócić stan normalny. Widocznie moja kilkudniowa obecność w śluzie i dobijanie się do drzwi były dla koordynatora stanem nienormalnym.

— Czy jesteś pewny, że Loger zamykając cię w śluzie chciał w ten sposób...

Pokręcił przecząco głową.

— Początkowo tak myślałem. Ale zdaje się, on nie miał zamiaru mnie „wykończyć”. Chciał mnie tylko izolować, uwięzić, abym nie wszedł w kontakt z Kalenem, Gibsonem i Harterem. Bał się buntu. Gdybyśmy mieli za sobą dwie trzecie załogi, Loger musiałby ustąpić. Dlatego trzymał tamtych wszystkich przy sobie w bazie... Mnie się bał najbardziej... Ale chyba nie chciał mnie zabijać. To był przypadek... Nie przewidział, że nie będzie mógł powrócić na statek.

— I wszyscy oni zostali na planecie? Jak to się stało?

— Ach, głupia sprawa. Potwornie głupia... Dali się żywcem pogrzebać! Sami wleźli w pułapkę. Gdy po raz pierwszy spojrzałem przez teleskop — aż mi się zimno zrobiło... Baza stała na dnie „amfiteatru”, tuż obok kuli. I niby wszystko było na miejscu, ale całe wnętrze świątyni, aż do brzegów ściętej piramidy, wypełniała jakaś szklista, przezroczysta masa. W pierwszej chwili myślałem, że to woda, ale to nie była woda... Zakrzepłe szkliwo. A oni byli tam, w głębi... jak owady zatopione w bursztynie. Wszystkie roboty, nawet proste narzędzia skonstruowane w ostatnich dniach przez Petersena były tam na dnie zgromadzone wokół kuli, która przez ten kryształowy blok błyskała nadal swymi wielobarwnymi światłami...

— Co się właściwie stało?

— Loger postanowił oderwać kulę od cokołu. Ściągnięto wszystkie roboty. Lecz kiedy udało się ją poruszyć, z otworu pod nią buchnęły od razu strumienie jakiejś cieczy. Pokryła ona w parę sekund dno „amfiteatru”, krzepnąc bardzo szybko. Ludzie z trudem zdołali schronić się do wnętrza pawilonu i połączonej z nim rakiety. Ale rakieta nie mogła już wystartować. Ta kleista substancja wypływała nie tylko z dołu. Płynęła również z kilku otworów bocznych, których istnienia nikt się nie domyślał. W kilka minut wnętrze świątyni było pełne.

— I tyś na to wszystko patrzył?!

— Nie. Porozumiewaliśmy się później sygnałami świetlnymi, bo radio nie działało. Wtedy dowiedziałem się wszystkiego. Gdyż oni tam, w tej zatopionej bazie... żyli. A ja im pomóc nie mogłem — dodał, jakby się usprawiedliwiając. — Nie mogłem... Nie dysponowałem żadnymi narzędziami, żadnym środkiem transportowym zaopatrzoną w pole ochronne. Loger wszystkie rakiety polowe

ściągnął tam, na planetę. Procjonidzi wybrali właściwy moment! Musieli nas stale obserwować. Bardzo dobrze wiedzieli, jak bezsilni stajemy się otoczeni stałą antymaterią...

— A z wnętrza pawilonu? Nie można było?

— Mówię ci przecież, że wszystkie narzędzia zostały zatopione! Unieruchomione w szklistej masie. W jaki sposób można przebić się przy pomocy pól przez antymaterię? Najwyżej stosując anihilację. A przecież to było niemożliwe. To oznaczałoby śmierć! Przede wszystkim promieniowanie gamma. Próbowali topić to tworzywo poprzez wzmożony nacisk pól, ale nic z tego nie wychodziło! Trzeba bardziej wysokich temperatur, a więc i chłodzenia.

Tymczasem oni nie mogli szastać energią, nawet jeżeli wykorzystano by aparaturę chłodzącą silnika rakiety. Przecież gdyby zabrakło prądu, gdyby tylko na krótki moment nastąpiła przerwa w dostawie energii z reaktora — cała baza zamieniłaby się w jedną superbombę anihilacyjną!

Umilkł, a ja tak byłem wstrząśnięty jego słowami, że nie potrafiłem wydobyć z siebie głosu.

— Nie wiadomo, czy jeszcze żyją — podjął po chwili, patrząc w podłogę. — Nie pamiętam, na jaki okres mogło starczyć energii robotom. Dość przecież, aby u jednego puściło pole. Tylko u jednego!... W ostatnich tygodniach roboty zużywały sporo energii... Jeśli chodzi o bazę i raketę — to myślę, że Petersen mógł dać sobie radę. Mógł nawet stworzyć jakiś reaktor anihilacyjny, łączący naszą materię z antymaterią planety. Lecz ja im pomóc nie mogłem. Nie mogłem pomóc... Nie mogłem zabijać! — wyrzucił z siebie. — Bo Loger chciał, abym zmusił Procjonidów do uwolnienia bazy. A jak mogłem ich zmusić? Tylko niszcząc...

Uniósł głowę i patrzył mi długo, uporczywie prosto w oczy.

— Powiedz! Czy mogłem inaczej?

Nie wiedziałem co mu odpowiedzieć. Relacja jego, choć przekonywająca, była bądź co bądź jednostronnym spojrzeniem na wydarzenia tak niezwykle, że wymykało się ono jakiegokolwiek próbie oceny przez analogię.

— No powiedz! — nacierał mój przyjaciel. — Czy ty... Ty byś postąpił inaczej?

— Nie wiem... Chyba nie... — powiedziałem niepewnie.

Przechylił się gwałtownie przez tapczan i chwycił mnie za rękę, ściskając ją aż do bólu.

— A więc tak... A więc myślisz że trzeba było... że można było inaczej?

— Nic nie myślę! — zaprzeczyłem trochę szorstko, wrywając dłoń z jego uścisku. — Trudno tu wygłaszać jakieś kategoryczne zdanie. Nie znam wszystkich okoliczności, nie znam możliwości technicznych, jakimi dysponowałeś...

— Nie miałem żadnych możliwości... Mogłem tylko zabijać! Mogłem niszczyć... Więc ty sądzisz, że należało zmusić Procjonidów siłą?

— Tego wcale nie powiedziałem. Czy próbowałeś im jednak wytłumaczyć tymi obrazami świetlnymi, że jeśli nie uwolnią twoich towarzyszy doprowadzą prędzej czy później do eksplozji anihilacyjnej, a więc starcia ich stolicy z powierzchnią globu?

— Wiedziałem, że zadasz to pytanie — odrzekł z goryczą. — Wszyscy pytacie

tak samo... Jakby to zmieniało sytuację... A jeśli by ich uwolnili, jaką masz gwarancję, że Loger nie zechciałby się mścić! Nie bój się zresztą: starałem się im wytłumaczyć, jak sprawy stoją. Może ich zresztą uwolnili... Kto wie?... — spojrzał na mnie jakoś dziwnie. — Tak. Na pewno ich uwolnili... Na pewno.

Byłem zaskoczony tą uwagą.

— Co ty mówisz!? Przecież przed chwilą twierdziłeś, że...

— Założmy, że oni nigdy nie byli uwięzieni. Że w ogóle nie było żadnej pułapki!...

Czyżby majaczył? Nie. To nie było nieprzytomne bredzenie. On to mówił zupełnie naturalnym tonem. Wydało mi się, że na wargach jego zaigrał na moment uśmiech, ale mógł to być również nerwowy grymas. Nagła myśl przebiegła mi przez głowę:

— Więc to nieprawda, że baza została zatopiona?

— Może... — znów jakby się uśmiechnął.

— Więc dlatego?... Dlatego nie bierzesz udziału w ekspedycji?

Wyraźnie pobladł. Oczy jego rozszerzyło zdziwienie. Ale obok tego zdziwienia nietrudno było dostrzec inne jeszcze uczucie — lęk.

— Co wiesz o ekspedycji? — wyrzucił z siebie zdławionym głosem.

— Wiem... Wiem, że za pięć dni fotonowiec SF 37 „Mołnia” ma wystartować z bazy specjalnej na Erosie. I wiem, że celem ekspedycji jest... Układ Procjona. Teraz wiem również, że jest to ekspedycja ratunkowa...

Podniósł się z tapczana i stanął przede mną zaciskając pięści. Myślałem, że się na mnie rzuci.

— Ty... ty... — zachrypiał. — Udawałeś... Cały czas udawałeś, że nic nie wiesz... Oszukiwałeś mnie! Więc nawet ty!? Nawet ty... Kanalia!

— Ależ... Nie unoś się — usiłowałem go uspokoić. — Nie mam zamiaru wykorzystać tego, co tu od ciebie usłyszałem. Sądzę, że...

— Wiem, że całe to spotkanie ze mną było komedią — przerwał mi gwałtownie — że to była gra obliczona na wyciągnięcie ze mnie jak najwięcej! A więc cała ta historia z emeryturą to było mydlenie oczu? A ja głupiec myślałem, że... po prostu tak jak wtedy... przed laty...

Czułem, że konieczne są szczere wyjaśnienia.

— Nie okłamywałem cię mówiąc, że jestem na emeryturze. Pół roku temu wycofałem się z dziennikarstwa i nie mam zamiaru wracać. Na starość chcę się zająć wyłącznie pracą pisarską.

— A jednak? — spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Zwrócono się do mnie trzy dni temu... Stary kolega. Nie mogłem odmówić... Wiedział, że byliśmy przyjaciółmi. Zresztą... nie chciałem odmawiać. Chciałem zobaczyć się z tobą. Przypomnieć sobie dawne czasy...

— Jesteś naiwny, jeśli myślisz, że ci uwierzę po tym wszystkim! Ty...

— Jeszcze nie skończyłem! — przerwałem ze spokojem. — Nie przeczę, że koledze memu — naczelnemu redaktorowi pewnego teledziennika — chodziło o zdobycie bliższych informacji o anglo-rosyjskiej ekspedycji do Układu Procjona. Jak dotąd, nie wydano żadnego komunikatu w tej sprawie. Coraz uporczywiej

powtarzały się też plotki o powrocie fotonowca „Matterhorn”. Mój kolega dowiedział się, że z tą zagadkową sprawą wiąże się twoje nazwisko.

— Co to znaczy „wiąże się”?

— Mówiono, że ktoś, na kogo bardzo liczone, odmówił udziału w wyprawie. I padło wtedy twoje nazwisko jako właśnie tej osoby... Kolega mój wiedział, że znałem przed trzydziestu laty astronautę o tym nazwisku. Prosił mnie więc, abym wszedł z tobą w kontakt i dowiedział się, jak rzeczywiście sprawy stoją. Była przy tym informacja, że tę poszukiwaną osobę można ostatnio spotkać dość często w Muzeum Sztuki Nieludzkiej. Okazało się, że informacje były ścisłe, a że istotnie owym astronautą byłeś ty, więc...

— I dlatego myszkowałeś po moim pokoju? I dlatego utrwaliłeś skrupulatnie na mikrofilmie treść wszystkich tych strzępków? — powiedział z ironią, wskazując na maszynopis.

Znów czułem się jak smarkacz schwytyany na gorącym uczynku.

— A więc widziałeś? — zapytałem bez sensu.

— Widziałem — zaśmiał się sztucznie. — Obserwowałem cię przez cały czas. Nie myśl, że jestem taki głupi... naiwny... Od początku cię podejrzywałem.

— Zaraz przy tobie zniszczę filmy.

— Nie trudź się. Jeśli chcesz, możesz przekazać twemu koledze te zdjęcia z pozdrowieniem ode mnie. A może nagrałeś całą naszą rozmowę na taśmę?

— Nie.

— To szkoda. Trzeba było zabrać magnetofon. Miałbyś gotową audycję...

— Ależ... Nie mam zamiaru ogłaszać treści naszej rozmowy.

— Proszę bardzo! Możesz ogłaszać! Jeśli ci tak szalenie na tym zależy...

Czułem wyraźnie ironię w jego głosie. Nie wiedziałem, jak zareagować na tę dziwną zmianę w zachowaniu się mego przyjaciela.

— Dlaczego? Nie bardzo rozumiem, dlaczego się zgadzasz? Przecież jeśli nie ogłoszono dotąd żadnej wiadomości, to chyba informacje te są poufne? Jeśli zależałoby ci na ich ogłoszeniu, miałeś dość okazji...

Przyjaciół mój, stojący dotąd przede mną, usiadł ponownie na tapczanie. Znów przez dłuższą chwilę patrzył mi z uporem w oczy, jakby chciał z nich wyczytać, o czym myślę.

— Pytasz się, dlaczego już nie zabraniam ci publikacji tego, o czym się tu dowiedziałeś? — wycedził wolno. — Wydaje ci się dziwne? Może masz i rację, to wygląda dziwnie. Coś się tu nie zgadza! Ostatecznie, można uwierzyć w to, że jestem jedynym członkiem załogi „Matterhorna”, który powrócił na Ziemię, że ta wyprawa niezbyt piękną zapisała kartę w rozwoju astronautyki. Można uwierzyć, choć z punktu widzenia naszej nauki wydaje się to bardzo mało prawdopodobne, że Układ Procyona zbudowany jest z antymaterii. Można nawet jakoś uzasadnić, dlaczego całą sprawę trzyma się w tajemnicy. Przecież tego rodzaju, najłagodniej mówiąc, skandaliczny konflikt jest nie tylko niezmiernie przykry z punktu widzenia moralnego dla nas samych, ale może pociągnąć za sobą nieobliczalne konsekwencje polityczne. Cóż na to powiedzą mieszkańcy Układu Syriusza, z którymi tak

pomyślnie układała się współpraca? Czy nie będzie to przeszkodą w rozwoju stosunków międzyświatowych? Można więc uznać za rzecz zrozumiałą, że trzeba całą sprawę zlikwidować w zarodku, zanim fama o wyczynach ludzi w Układzie Procjona rozniesie się po układach planetarnych najbliższych gwiazd. Trzeba wysłać drugą ekspedycję, która zbada wszystko dokładnie na miejscu. Wiele punktów może zresztą budzić wątpliwości. Choćby to, czy słusznie postąpił jeden z uczestników owej nieszczęsnej wyprawy, pozostawiając swych towarzyszy w tamtym świecie, może na pewną śmierć. Nawet niezależnie od intencji, którymi się kierował... W to wszystko łatwo było ci uwierzyć. Ale nie możesz pojąć, dlaczego tak chętnie godzę się na opublikowanie... A może nietrudno to zrozumieć?

— Więc?

— A jeśli wszystko jest... kłamstwem?

Poruszyłem się niespokojnie. Co mogły oznaczać jego słowa? Czekałem na dalsze wyjaśnienia, ale on znów milczał.

— Co miałoby być kłamstwem? — odezwałem się wreszcie.

— Powiedzmy... wszystko!

— Ale przecież ekspedycja „Matterhorn” poleciała rzeczywiście do Układu Procjona. A teraz „Mołnia”...

— Nie o tym mówię. Lecz choćby taka drobna sprawa, jaki masz dowód, że brałem udział w ekspedycji „Matterhorn”? — kpił w żywe oczy.

— To można ostatecznie sprawdzić w materiałach archiwalnych...

— A to wszystko, o czym ci opowiadałem... czy masz w ręku jakikolwiek dowód?...

— Przecież mówiłeś, że masz zdjęcia Procjonidów!...

— Owszem, mówiłem. Ale czyś je widział?

— No... a te kartki? — wskazałem na leżące obok fotela maszynopisy.

— Myślisz, że tylko ty jeden chcesz pisać powieści?... — znów zaśmiał się sztucznie.

— Nie wierzę! Teraz kłamiesz! A zresztą w tamtym pokoju...

— Ach! Jeśli o to chodzi... — wstał z tapczana i otworzył drzwi.

Uczułem nieprzyjemny skurcz w gardle: „A jeśli on jest obłąkany?”.

— Chodź tu! I patrz! — podszedł do stojącej na środku pokoju maszyny i odsunął klapę.

We wnętrzu komory, tak jak poprzednio, tkwił nieruchomo w przestrzeni tajemniczy przedmiot.

Przyjaciel mój uniósł dłoń i ujął palcami jeden z kilkudziesięciu przełączników umieszczonych na tablicy sterowniczej.

— Nie! — Chwyciłem go kurczowo za ramię.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie obawiaj się. Nie jestem samobójcą, ani tym bardziej mordercą...

Przekręcił wyłącznik. Okienko kontrolne rozjaśnił ostry błysk. W miejscu, gdzie przed chwilą unosiła się „rzeźbka”, widniał obłoczek niebieskawego dymu, rozplywający się szybko we wnętrzu komory.

— Co to było? — zapytałem zaskoczony.

— Kopia. Wąsko wyspecjalizowany automat odtwarza zapisy.

— Kopia czego?

Na to pytanie nie otrzymałem odpowiedzi. Mój przyjaciel spojrział w okno i rzekł:

— Już świta. Czas zabrać się do roboty.

Zrozumiałem, że chce zostać sam. Postąpiłem parę kroków ku drzwiom i zawahałem się.

Czułem, że nie powinniśmy tak się rozstać.

— Kiedy się zobaczymy? — zapytałem niepewnie.

— Nie wiem. Może znów za dwadzieścia parę lat...

— Wyjeżdżasz?

— Tak. Chyba jeszcze dziś.

— Na Erosa?

— Może... — odparł wymijająco, odprowadzając mnie ku wyjściu.

— Nie będę o tym pisał — powiedziałem już w drzwiach. — Może kiedyś... W dalekiej przyszłości...

Położył mi rękę na ramieniu i uścisnął mocno, tak jak w tamte, dawne lata.

1959

Zanim umrę

Słuchowisko naukowo-fantastyczne

Osoby:

Skazaniec (S)

Ksiądz (K)

Ksiądz II (K II)

Naczelnik więzienia (N)

Akcja toczy się w więzieniu — w celi śmierci i na korytarzach.

Część I

Odgłos kroków dwóch ludzi (strażnika i księdza) idących przez metalowe pomosty i korytarze więzienne, odbijający się echem i górujący nad szumem więziennych odgłosów — kroki, początkowo dalekie, stopniowo zbliżają się i potęgują, wprowadzając atmosferę napięcia. W momencie osiągnięcia maksimum, milkną raptownie. Słysząc brzęk kluczy, szcęk zamka, zgrzyt ciężkich metalowych drzwi — Rozlegają się kroki jednego człowieka wchodzącego do celi. Zgrzyt zamykanych drzwi. Następuje cisza.

Ksiądz: /niepewnie/ Wezwałeś mnie, synu...

skrzyknięcie pryczy — więzień wstaje

Skazaniec: Tak...

K: Chciałeś się wypowiedzieć?

S: /pospiesznie/ Nie... /z wahaniem/ to znaczy... tak.

K: Widzę, że masz jeszcze wątpliwości...

S: /nerwowo/ Czy księdzu... rzeczywiście nie wolno powtórzyć nikomu, niczego z tego co ode mnie usłyszy?

K: Tajemnica spowiedzi jest święta.

S: A jeśli to nie będzie spowiedź? Dawno przestałem wierzyć...

K: Rozumiem cię, synu. Chcesz, po prostu, przed śmiercią, rzucić z siebie ciężar... Nie obawiaj się, twoje wyznanie pozostanie tak czy inaczej tajemnicą.

S: Niech ksiądz nie myśli, że to strach — ja nie wierzę ani w karę ani w nagrodę po śmierci — nawet nie żałuję tego, że zabiłem... Gdyby jeszcze raz przyszła taka chwila... Zrobiłbym to samo. Dla mnie śmierć to... wyzwolenie. Chodzi jednak o to, że to niczego nie kończy... Że to zostawia otwarte pewne sprawy... A właśnie to byłoby zbrodnią... niepomiernie większą zbrodnią niż tamta... Czy... ksiądz może... czy ksiądz zechce zrobić to, o co chcę prosić? Czy może ksiądz przyrzec, że to zrobi?

K: Mogę przyrzec, że uczynię wszystko co w mojej mocy, aby spełnić pańskie życzenie. Zwłaszcza, jeśli... może to zapobiec złu.

S: Niech ksiądz jeszcze nie przyrzeka. A jeśli to czego chcę od księdza nie byłoby w pełni zgodne z prawem?

K: Z prawem?

S: Niech się ksiądz nie obawia. Spełnienie mojej prośby nie przyniesie nikomu szkody, a odwrotnie — korzyść ogromną, wręcz niewymierną dla wszystkich... /nagle zmienia ton i temat/ Czy ksiądz wie na czym polega mechanizm popędów i emocji?

K: /zaskoczony/ Mechanizm czego?

S: Chodzi mi o fizjologiczne podłoże takich zjawisk psychicznych jak odczuwanie przyjemności i przykrości, jak agresywność, strach, ucieczka... Czy ksiądz orientuje się choć trochę, jakie procesy fizyczne i chemiczne towarzyszą tym

zjawiskom?

K: /ogromnie zdziwiony/ Nie rozumiem... Co to ma do rzeczy... Przecież mi pan proponował...

S: /przerywa/ W porządku — to był taki... powiedzmy... test. Chcę sprawdzić co ksiądz wie. Chcę aby wszystko było jasne... Ja też nie mam prawa żądać aby ksiądz zrobił to, o co mi chodzi, nie wiedząc dlaczego. Nie można ufać ślepo — zwłaszcza mordercy.

K: Ależ, nie o to chodzi... Mówił pan o niezgodności z prawem...

S: Ksiądz się boi...

K: Nie powiedziałem, że odmawiam. Aby jednak mógł w swym sumieniu rozważyć, jak mam postąpić, muszę znać fakty...

S: Ksiądz ma prawo wiedzieć... I ksiądz będzie przeklinał tę chwilę... że chciał znać prawdę... Bo potem nie będzie wyboru... Czy się chce czy się nie chce.

K: Wiara pozwala udźwignąć największy ciężar... Nieraz się już zdarzało.

S: /przerywa ściszym głosem/ Czy ksiądz jest pewny, że nikt nas nie podsłuchuje? Zresztą... nie mam już wyboru. /z determinacją/ Niech ksiądz słucha. /szepem/ Jest dom — właściwie — barak, rudera... Półtorej godziny drogi wozem... Gdzie? O tym później. Jeśli ksiądz się zgodzi. Barak jest stary, drewniany. Nikt tam nie mieszka w promieniu trzech kilometrów. Otóż chcę, aby ksiądz ten budynek spalił.

K: Cooo?!

S: Rudera warta jest mniej niż zapłaciłem za wynajęcie. Właściciel nie poniesie straty.

K: Ależ...

S: Wiem, że ksiądz tego nie zrobi, jeśli nie dowie się dlaczego. W tym baraku znajduje się coś, co musi być zniszczone. Inaczej, jeśli dostanie się w ręce ludzkie... /coraz bardziej nerwowo/ stanie się rzecz straszna!

K: /zniecierpliwiony/ Niech pan wreszcie powie o co chodzi!

S: /z wysiłkiem/ O tym, czym grożą te eksperymenty, nikt nie wiedział. Tylko Anna Brock, Martensberg i ja. Oni do tego dążyli świadomie! Nie miałem wyboru...

K: Na miłość boską, o co chodziło?! Jakie eksperymenty?

S: /spokojnie/ Rozumiem: z śledztwa i procesu wynikało, że to klasyczne morderstwo na tle „trójkąta”. Że byłem nie tylko asystentem i sekretarzem Anny Brock ale i jej kochankiem. Że gdy zjawił się Martensberg „zostałem na lodzie” i dlatego wlałem truciznę do kieliszków... Nie zaprzeczałem, gdy sędzia śledczy, a potem prokurator uczepili się tej tezy. To była szansa, że nie dojdą prawdy. Ale trop był całkowicie fałszywy. Chodziło o coś zupełnie innego. Wiedzano tylko: Brock — to uczona światowej sławy, Martensberg — znany potentat przemysłu elektronicznego, prezes „Elbio”. I, że ja, zabójca, zawdzięczałem swym ofiarom wszystko. Wykształcenie, stanowisko, konto w banku, otwartą drogę do kariery naukowej. Anna nie była nigdy moją kochanką.

K: A Martensberg?

S: To inna sprawa. On rzeczywiście robił wszystko aby zawrócić Annie w głowie.

Myślę, że z wyrachowania. W ten sposób łatwiej mogła stać się jego ślepym narzędziem. To przez niego zostałem mordercą. Nie chodziło jednak o zazdrość. Nie mogłem dopuścić aby zrealizował swe plany. /ze wzrastającym napięciem/ To było okropne! Przecież ona nie była dla mnie kimś obojętnym. To był przez lata całe najbliższy przyjaciel, opiekun, niemal matka... Ciągle widzę... uniosła kieliszek i uśmiechnęła się do mnie... Myślałem, że nie wytrzymam... że wytrącę jej z ręki truciznę. Ale powiedziała: „Za nasz wspólny tryumf!” To zdecydowało. Patrzyłem jak pije... musiałem wtedy strasznie wyglądać. To chyba zwróciło uwagę Martensberga. Dlatego tak szybko się zorientował, gdy poczuł bóle. Połączył się z sekretarką... nie zdążyłem mu przeszkodzić. Najgorsza jednak była chwila, gdy Anna zrozumiała... Patrzyła na mnie... To jej pełne zdziwienia, pytające spojrzenie... Czy mogłem zabić tylko jego? Wiedziałem, że jeśli ona pozostanie żywa... też wszystko stracone... Czy ksiądz to rozumie?

K: Próbuję zrozumieć... Ale...

S: /przerywa/ Drogi innej nie było. Szukałem innych rozwiązań i nie znalazłem. Musieli zginąć oboje. Właśnie wtedy gdy już wiedziałem, że nie ma innego wyjścia, wynająłem ten barak. Miała to być kryjówka ażeby po tym, co miało się stać, przeczekać i zorientować się czy policja odkryje to, nad czym pracowałem z Anną. Jeśliby odkryła — przekazałbym wszystko prasie, nadając sprawie jak największy rozgłos. To był drugi wariant. Bez porównania gorszy, ale nie byłoby wyboru. Tak czy inaczej, zgłosiłbym się sam do policji. Nie miałem zamiaru uciekać.

K: Ale pan próbował.

S: Nie. Tam, wtedy, z instytutu to nie była ucieczka. Źle mówię... Chciałem ukryć się na parę dni w tym baraku, przejrzeć materiały i zniszczyć wszystko to, co mogłoby ułatwić budowę podobnych generatorów. A jednocześnie zachować wszystko to, co pozwoliłoby mi udowodnić przed światem, czym groziły te doświadczenia. Obliczenia i notatki wyniosłem w przeddzień przyjazdu Martensberga. Wymontowałem też najważniejsze elementy aparatury.

K: Ale, na Boga! Niech pan wreszcie powie do czego służyła ta maszyna?

S: A jeśli nieprzypadkowo zapytałem czy ksiądz wie coś o fizjologicznym mechanizmie popędów i emocji?

K: Nie bardzo się orientuję...

S: Ale to chyba ksiądz wie, że w mózgowiu, a głównie w pniu mózgu, znajdują się ośrodki kontrolujące stany emocjonalne i popędy? Ośrodki sytości, głodu czy pragnienia... Niektóry z nich są wyraźnie zlokalizowane. Ale to nieważne. Ważne to, że na procesy zachodzące w tych ośrodkach można oddziaływać. Nie słyszał ksiądz o takich eksperymentach? Prowadzono je już w latach pięćdziesiątych /przerywa oczekując odpowiedzi/. Chodzi o reakcję zwierząt na drażnienie elektryczne lub chemiczne układu retikularnego. W pniu mózgu. To były najczęściej koty albo szczury. Kot stawał się agresywny... to znów bał się myszy. Szczur Magouna poprzez wszczepioną w mózgowiu elektrodę mógł sam sobie drażnić ośrodek przyjemności. Stawał się nałogowcem — ginął z głodu, pragnienia, zmęczenia, naciskając łapką pedał stimulatora...

K: Tak. Czytałem o tym kiedyś.

S: Wtedy już byli tacy co ostrzegali... ale to było tylko przeczucie potencjalnych możliwości postępu. Dopiero prace Anny Brock i moje odkrycia... nasze badania tak hojnie finansowane przez Martensberga, one stworzyły realne niebezpieczeństwo. Byłem czymś więcej niż asystentem Anny i jej sekretarzem. To ja odkryłem efekt kumulacji! /rozpaczliwie/ To była rzeczywista zbrodnia. Moja zbrodnia! Za którą być może zapłacimy wszyscy... /odległe kroki na korytarzu więziennym, ściszenie/.

Część II

Narrator: W celi śmierci toczy się dramatyczna rozmowa — Skazaniec, któremu pozostało do życia zaledwie 9 godzin, powierza księdzu tajemnicę — Nie jest to spowiedź — Młody człowiek, skazany za otrucie wybitnej uczonej Anny Brock i jej kochanka, prezesa koncernu elektronicznego Martensberga — uzasadnia swą zbrodnię wyższymi, nieujawnionymi w toku procesu racjami. Nie chciał dopuścić do użycia dla jakichś antyspołecznych celów tajemniczego generatora — rezultatu odkryć profesor Anny Brock związanych z możliwościami sztucznego pobudzania ośrodków emocji w mózgu. Co więcej skazaniec żąda od księdza, aby spalił barak w którym przechowywane są jedyne plany urządzenia.

wejście w część II słuchowiska poprzez powtórzenie ostatnich słów Skazańca w części I

S: Byłem czymś więcej niż asystentem Anny i jej sekretarzem. To ja odkryłem efekt kumulacji! /rozpaczliwie/ To była rzeczywista zbrodnia — Moja zbrodnia, za którą, być może, zapłacimy wszyscy.

K: Kumulacji czego? O czym pan mówi?!

S: /nieco spokojniej/ To nie takie proste... Jeszcze coś muszę wyjaśnić by ksiądz zrozumiał. Procesy sterowania popędami i emocjami mają w istocie nie tylko charakter elektryczny, ale przede wszystkim metaboliczny. Czy ksiądz wie, co to są synapsy? Styki nerwowe, połączenia między neuronami, których stan, że tak powiem, przepustowości, decyduje o przepływie sygnałów w układzie nerwowym. Otóż w tych synapsach zachodzą procesy metaboliczne. Przemiana materii z udziałem określonych katalizatorów. To ona decyduje o owej przepustowości a więc przepływie sygnałów w układzie nerwowym, w mózgu. Decyduje o myślach, o uczuciach...

K: Chyba pan nie twierdzi, że nasza dusza, nasze najintymniejsze przeżycia i myśli, nasza wola, nie są wolne? Że stanowią igraszkę tych reakcji chemicznych, tych prądów płynących w nerwach.

S: Wiem do czego ksiądz zmierza... Ale chociaż materialnym podłożem całego życia psychicznego są właśnie owe procesy fizyczne i chemiczne w układzie nerwowym, na próżno szukać tu prostych zależności deterministycznych. Choć wszystko to procesy elektroniczne, można tu mówić o osobowości, o indywidualność przeżyć, o wolności woli...

K: No... nie wiem...

S: Ta dyskusja za daleko by nas zaprowadziła. Nie o istnieniu czy nieistnieniu duszy wolnej i nieśmiertelnej chcę z księdzem mówić. Usiłuję tylko księdzu wyjaśnić, w jaki sposób to, co zwykliśmy nazywać duszą, jest związane z procesami fizycznymi i chemicznymi przebiegającymi w strukturach neuronowych. Bez tego ksiądz nie

zrozumie co się stało... Otóż... we wszystkich takich reakcjach nie tylko następują zmiany w strukturze chemicznej substancji żywej, ale jednocześnie pojawia się promieniowanie elektromagnetyczne. Emisja fotonów. Taka emisja promieniowania ma postać widma. Jest mieszaniną fal o różnej długości. Dlaczego różnej? To rezultaty złożoności procesów biochemicznych. Ale nie ulega wątpliwości, że określonej reakcji odpowiada określona długość fali. I że może tu zachodzić również zależność odwrotna! Czy ksiądz chwyta sens?

K: Przyznam się... że nie bardzo...

S: No, więc... krótko mówiąc, profesor Anna Brock skonstruowała generator umożliwiający zdalne sterowanie tymi procesami. A ja, głupi, znalazłem sposób aby to działanie kumulować i potęgować aż do występowania określonych reakcji. Ksiądz może zapyta czy nie zdawałem sobie sprawy czym to grozi, do czego to może doprowadzić? Ależ zdawałem sobie sprawę! Rozmawiałem nie raz o tym z Anną. Ale wydało mi się, że ona wie lepiej, że widzi jasno granicę, której nam przekroczyć nie wolno. Ufałem jej! Ufałem jej rozsądkowi, sumieniu, poczuciu odpowiedzialności... Ale jej się zdawało, że tą drogą zbawi świat. Od cierpień, lęku, wojny... a potem zjawił się Martensberg... Jak łatwo dała się opanować... Wykształcony, gładki w obejściu, błyskotliwie inteligentny... a w istocie — fanatyk zaślepiony żądzą władzy. Ona była ślepa! Wydawało jej się, że panuje nad sytuacją, a była tylko narzędziem. I kiedy zorientowałem się, że jestem tu bezsilny, że jeśli nie chcę stracić wszelkiej szansy przeciwdziałania, muszę kryć się ze swymi myślami... Wtedy właśnie... zrozumiałem, że pozostają tylko środki ostateczne.

chwila milczenia, słycać skrzyp pryczy, potem nerwowe kroki po celi

K: niech się pan uspokoi. Chociaż niewiele zrozumiałem z tego co mi pan powiedział, domyślam się, że chodziło o sprawy wielkiej wagi. I wierzę panu. Może nawet rozumiem dlaczego żąda pan ode mnie abym stał się... podpalaczem. Ale czy rzeczywiście nie ma innej drogi? Czy ta druga możliwość, o której pan mówił, nie jest lepsza? Czy nie można ujawnić publicznie prawdy i w ten sposób zapobiec niebezpieczeństwu?

S: /z ironią/ Ujawnić prawdę?! Widzę, że jednak ksiądz nic nie rozumiał. A ksiądz musi zrozumieć! Spróbuję jeszcze raz, prościej... To co dzieje się w układzie nerwowym decyduje o naszym stanie psychicznym, o naszych myślach, uczuciach. To wszystko są zjawiska chemiczne i elektryczne. Zjawiskom biochemicznym, przeobrażeniu się materii żywej towarzyszy promieniowanie elektromagnetyczne. Każdej reakcji odpowiadają określone długości fal. To ksiądz rozumie? /po chwili/ Otóż Brock odkryła, że zachodzi także zależność odwrotna. Obecność promieniowania o określonych długościach sprzyja tym procesom, przyspiesza określone reakcje. Inaczej mówiąc, promieniowaniem odpowiedniej długości, sztucznie emitowanym, można by sterować reakcjami przebiegającymi w żywych komórkach. Rzecz w tym, że nie tylko udało nam się tę hipotezę potwierdzić eksperymentalnie, ale, co więcej, znaleźliśmy sposób sterowania tym co się dzieje w organizmach żywych, a w szczególności w mózgu. Czy ksiądz rozumie co to oznacza?

K: /z lękiem/ To straszne...

S: Tak. Widzę, że ksiądz wreszcie pojął... To nie były tylko wnioski teoretyczne. Robiliśmy doświadczenia. I nie tylko na zwierzętach. Początkowo na sobie... najgorsze jest to, że niekoniecznie musi to być przykre. Najczęściej bywa... przyjemne. Czy rozumie ksiądz? Przyjemne niewolnictwo. Tego nie znały dzieje. I to właśnie była szansa dla Martensberga... Na jego żądanie zrobiliśmy doświadczenie z sugestią masową. Tylko jedno, na ograniczoną skalę. Ale to wystarczyło. Generator przewieźliśmy do centrum „Elbio”. Zainstalowaliśmy nad salą posiedzeń zarządu, o dwa piętra wyżej. Widziałem... członkowie rady nadzorczej podchwytywali z entuzjazmem najbardziej niedorzeczne projekty Martensberga... z jakim uwielbieniem patrzyli na niego... Rozsądni, trzeźwi ludzie... To potworny widok. Śledziliśmy przebieg posiedzenia za pośrednictwem ukrytej kamery telewizyjnej. Anna nic nie rozumiała. Śmiała się jak uczennica z udanej psoty. Wtedy właśnie pomyślałem, że nie ma innego wyjścia...

K: /ze zgrozą/ Straszne...

S: To coś więcej niż niewola... /milknie na dłuższą chwilę/

K: /z lękiem/ Czy... ten generator na wszystkich działa?

S: Są indywidualne różnice. Ale niewielkie. Najsilniejsza reakcja, rzecz jasna, na linii osi, wzdłuż wiązki promieniowania. Jeszcze w odległości 33 metrów stwierdziliśmy zaburzenia psychiczne w postaci podatności na różnego rodzaju sugestie. Urzędnicy i interesanci znajdujący się przypadkowo w polu działania, na różnych piętrach gmachu, zachowywali się jak wariaci. A przecież ten generator to był nieduży, eksperymentalny model. /po chwili/ Martensberg postanowił przystąpić do masowej produkcji. Chciał, po prostu, działać przez zaskoczenie. W ten nieszczęsny czwartek, po przylocie z Kanady, mieliśmy we trójkę opracować dokładny plan. Czym był ten plan, niech ksiądz nie pyta... Nie mogłem czekać.

K: /rozpaczliwie/ Ale czy nie można się oprzeć, zabezpieczyć przed wpływem?

S: Można. To nawet nietrudne... Martensberg w czasie eksperymentu z radą był zabezpieczony. Ale... widzi ksiądz... ludzie mogą nie zechcieć się bronić... Szczur Magouna też nie chciał... /chwila milczenia, słyhać tylko nerwowe kroki po celi/

K: /z wysiłkiem/ Ale czy... pan w to wierzy, że... nawet jeśli spalę te obliczenia i aparaty... to... nie znajdą się inni?

S: Nie wiem. Każde odkrycie jest uwarunkowane poziomem wiedzy i techniki. Ale... im później człowiek zdobędzie to narzędzie panowania nad mózgami, tym lepiej. Może wówczas świat będzie lepszy. Cóż innego mi pozostaje? Muszę wierzyć.

K: /z determinacją/ Gdzie jest ten barak?

S: Pojedzie ksiądz autostradą północno-zachodnią, potem na 57 kilometrze będzie droga na... /wyciszenie/

Dalekie, ciche, potem coraz bliższe i głośniejsze kroki kilku ludzi po metalowych pomostach więziennych. Dźwięk kluczy, trzask zasuw, skrzyp otwieranych drzwi.

Naczelnik więzienia: Czas już...

S: Wiem... /po chwili/ Dlaczego... nie ma księdza?

K II: Jestem, synu.

S: /niespokojnie/ Nie... Ja pytam o księdza kapelana. Był u mnie wczoraj wieczorem...

K II: Ja go zastępuję, synu.

S: Nie! Ja chcę aby on tu był. Chcę go zobaczyć...

K II: To niemożliwe...

S: /rozpaczliwie/ Ja muszę się z nim widzieć! Zanim umrę...

N: Niestety. To niemożliwe. Ksiądz kapelan miał wypadek...

S: /z nadzieją/ Ale żyje?

K II: Niestety. Niezbadane są wyroki Pana Naszego... Ten, który cię gotował w ostatnią drogę, sam odszedł pierwszy.

S: /na wpół do siebie/ To niemożliwe... On nie mógł zginąć... Czy może mi ksiądz powiedzieć: ten wypadek... gdzie i kiedy?!

K II: Chyba sześć godzin temu... Na autostradzie północno-zachodniej. Szczegółów nie znam...

N: Już czas...

odgłosy wędrówki poprzez pomosty i korytarze, potęgujące się napięcie, zatrzymanie się idących.

S: /rozpaczliwie/ Czy katastrofa nastąpiła w czasie powrotu czy wyjazdu z miasta?

nikt nie odpowiada

S: /z panicznym strachem/ Ja nie chcę tak umrzeć! Ja muszę wiedzieć! /rozdzierająco/ Tak nie wolno tego zostawić! Nie wolno! Nie wolno! /wyciszenie/

KONIEC

Nieproszeni goście

Roku Pańskiego 1593 bogobojni mieszkańcy naszego grodu na ciężką próbę wystawieni zostali. Jak jeszcze po wielu latach wspomniano — zima owego roku była nad podziw łagodna, tak że już na Trzech Króli łąki pokryła zieleń świeża, a w Zaślubiny NMP słońce prażyło jakby na Boże Ciało. Pomnę też, że zaraz po Zmartwychwstaniu ptactwo wszelkie hurmem z boru Opatowego, później Czarcim nazywanego, uciekło, i to był pierwszy widomy znak, że jakoweś złe tam się szykuje.

Kiedy więc jasność niezwykła, a czerwona jako płomień pożaru pojawiła się nad lasem, nikt nie ważył się na milę do Onego dostąpić. Jeden tylko znalazł się śmiałek, a był nim medyk i alchemik Mateusz Rylus. On to, już drugiego dnia, gdy ona jasność się pojawiła, do boru pospieszył, aby — jak później wyznał na mękach — pokłon poddańczy piekielnikom złożyć. Ale o mistrzu Mateuszu od dawna szeptano, że w zмовie z czartem był i tylko dzięki wstawiennictwu Jaśnie Wielmożnego Pana Burgrabiego, któremu obiecywał ołów w złoto zamienić, nie szczeł wcześniej na stosie.

Kiedy więc mimo nieustających modłów i bicia w dzwony szatan boru Opałowego opuścić nie chciał, a nawet rozzuchwalony począł spokojnych mieszkańców nocą, a czasem i dniem nawiedzać, postać ogromnego jak łeb wołu pająka przybrawszy, Jaśnie Wielmożny Pan Burgrabia dłużej zwlekać nie mógł i do Jego Ekscelencji Księdza Biskupa Ordynariusza wraz z ojcami duchownymi list o pomoc wystosował. Rychło też przyjechał do nas ojciec Modestus Munch — najmędrszy ponoć z inkwizytorów w całym księstwie, który już niejednego czarta przepędził, a wiele wiedźm, czarowników i kacerzy na stos zaprowadził.

Bez zwłoki też, wysłuchawszy przytomnych świadków diabelskich wizyt, a wieczorem na własne oczy jasność nad Opałowym borem ujrzawszy, ów mąż prawy całą noc na żarliwej modlitwie, krzyżem leżąc przed wielkim ołtarzem kościoła świętego Józefa spędził, a nazajutrz nakazał onego mistrza Mateusza pojmać i przed swe oblicze sprowadzić.

Mistrz Mateusz próbował zrazu wdać się z Ojcem Inkwizytorem w dysputę, zaprzeczając, iżby był z szatanem w zмовie, lubo przyznał, że do boru Opałowego chadzał, ale że tamże jeno wielki i świecący grzyb z ziemi wyrosły ujrzał i zdjęty trwogą uszedł. Diabelskie pająki kręciły się też ponoć obok onego grzyba, przez powietrze jak osy latające, ale żaden na medyka baczenia nie miał, ni krzywdy, ni też protekcji jakowejś mu nie czyniąc. I dlatego ów heretycko dowodził, jakoby nie byli to wysłańcy piekieł, a tylko nieznanne oku ludzkiemu dziwy natury. Ale ojciec Modestus na te wykretne tłumaczenia nie zważał, jeno do prawdy opornego nakłaniał, wskazując jasno, że Mateusz niechybnie z czartami się pokumał, boć inaczej nie wypuściłyby onego z Opałowego boru.

Uznawszy tedy, że dość dowodów przeciw sobie mistrz Mateusz przytoczył — Ojciec Inkwizytor jął raz jeszcze zaklinać go po ojcowsku i prosić, aby do swych konszachtów z diabłem się przyznał, innych współników, jako też współniczki czarta

powołał i Boga o miłosierdzie błagał, a gdyi to nie pomogło — z ciężkim sercem na tortury musiał zezwolić. Mistrz Mateusz swe winy na mękach wyznał, lubo współników ani współpracowników nie powołał. Gdy zasię przed sądem stanął, począł się zapierać, heretyckie myśli głosić i szatanów bronić tak, iż innego wyroku trybunał wydać nie mógł, jeno na spalenie żywcem i rozrzucenie popiołów na rozstajnych drogach skazał.

A kiedy już mistrz Mateusz w rynku na stosie pod słupem stanął i kat ogień podłożył — nadleciały one diabelskie pająki znad lasu i widno chciały swego kumotra ratować, jako że krążyły długo nad rynkiem. Lud zgromadzony, straż miejska, a nawet sam Jaśnie Wielmożny Pan Burgrabia z małżonką w popłochu pierzchli i w kościele świętego Józefa się ukryli, a tylko nieustraszony ojciec Modestus pozostał i Krzyżem Świętym czarta odpędzał tak długo, aż tylko popioły po Mateuszu Rylusie pozostały, a diabelscy kumotrzy na powrót do boru odlecieli.

Wówczas to przez cały wieczór i noc bito w dzwony i we wszystkich kościołach lud modlił się o zwycięstwo nad szatanem, zaś skoro poczęło świtać, ku boru Opałowemu ruszyła procesja. Prowadził ją Ojciec Inkwizytor w asyście przeora, wszystkich ojców i braci zakonnych. Im też głębiej w bór się zapuszczaliśmy, tym większy wszystkich nas lęk ogarniał, atoli wielu wytrzymało aż do skraju polany, o której Rylus sądowi mówił. W rzeczy samej, tak jak czarownik wspominał, stał tam owy diabelski grzyb, z ziemi jakoby wyrosły. Ojciec Modestus rozkazał, aby się zatrzymano, a sam jeno z kropidłem i krzyżem wyszedł śmiało na polanę, znak święty Męki Pańskiej ku onemu czartowskiemu dziwu zwrócił i wołając: *apage* — pędzić czarta rozpoczął.

Strach ogarnął przytomnych, bo oto otwarła się jakoby gęba w owym grzybie i wyleciały z niej dwa diabelskie pająki, ku Ojcu Inkwizytorowi przez powietrze zdążając. Zrazu wszystkich lęk straszny zmroził, że czarty ojca Modestusa rozedrą, alić stał on niewzruszony, a nawet począł postępować krok za krokiem złemu naprzeciw, litanie w głos odmawiając, i diabły nie tylko nie mogły go dosięgnąć, ale poczęły z wolna cofać się ku onej gębie rozdarłej. Ojciec Inkwizytor szedł za nimi dalej i dalej i był już chyba na rzut kamieniem od onego piekielnego dziwa, gdy na tę chwilę spode grzyba wypełznął ogromny bury obłok i ojca Modestusa otoczył.

Kto żyw, salwował się ucieczką. Nikt by też nikogo nie wstrzymał, taka bojaźń ogromna ogarnęła ludzi. Nie dziw zresztą, bo nie upłynęło jednej „zdrowaśki”, a oto potężny wichur uderzył w las. Wraz z nim rozniósł się daleko zrazu gwizd przeraźliwy, a później grzmot nieustający, jakoby sto gromów spadło na polanę diabelską.

Żaden z nas pierzchających w popłochu nie śmiał spojrzeć za siebie, ale ci, którzy pozostali w miasteczku, widzieli, jak w onej chwili nad borem wzniósł się wielki wirujący obłok i znikł w niebiesiech, pozostawiając tylko długą, jasną smugę, widoczną jeszcze w południe, kiedy dzwoniło na Anioł Pański.

Ojciec Modestus nie powrócił. Zrazu mówiono, że sam Lucyfer porwał z zemsty inkwizytora Muncha do piekła, ale rychło jego Eksceleńcja Ksiądz Biskup zapewnił, że widno ten mąż święty został, po przepędzeniu czartów, w nagrodę żywcem do

nieba uniesiony.

Dopiero po wielu latach pierwsi śmiałkowie odważyli się zapuścić w bór Opatowy ku diabelskiej polanie. Jako jedyny ślad czartowskich odwiedzin pozostał tamże płytki, acz rozległy na kilka sążni wądół, porosły bujnie leśnym zieleńcem.

Przekazuję dalsze szczegóły dotyczące nowej broni użytej przez npla na froncie Salonickim i wyników podjętych przez nasze jednostki działań, sygnowanych w poprzednim raporcie jako incydent CXZ-278/33:

Nowa broń to — zdaniem naocznych świadków — miotacz bomb zapalających bądź gazowych, typu aerostatycznego, zewnętrznie przypominających kuliste miny morskie. Skuteczność tej broni, przynajmniej w przypadku omawianego incydentu, okazała się minimalna, jakkolwiek atak może mieć znaczenie psychologiczne. Miotacz transportowany jest z pomocą maszyny powietrznej, prawdopodobnie działającej na tej samej zasadzie, jak zeppelin, chociaż nadano jej odmienny kształt zewnętrzny. Niestety, broni tej nie udało się zdobyć: nie znaleziono również żadnych odłamków bomb na terenie działań bojowych. Można przypuszczać, iż broń została skonstruowana w Anglii lub Francji, na co wskazuje zbieżność w czasie między incydem a lądowaniem francusko-brytyjskiego korpusu w Salonikach.

Miotacz przetransportowany został przez npla, prawdopodobnie pod osłoną nocy z 3 na 4 sierpnia, i umieszczony na zapleczu naszych wojsk w terenie górzystym, w trudno dostępnym wąwozie o zboczach porośniętych gęstym lasem. Zaobserwowaną w nocy z 3 na 4 sierpnia czerwoną łunę potraktowano początkowo jako pożar lasu. Dla pewności wysłano jednak w dniu 5 sierpnia patrol, który przekazał pierwsze meldunki wskazujące na obecność npla w tym rejonie. Zwiadowcy zatrzymali napotkanego w lesie osobnika, lat około sześćdziesięciu, podającego się za profesora nauk przyrodniczych nazwiskiem Mateos Rilos. W czasie przesłuchania przez płk. Muncha próbował on udawać wariata, twierdząc, iż na dnie wąwozu znajduje się gniazdo jakichś ogromnych owadów (sic!), nie zaś nieprzyjacielskie stanowisko bojowe. Niedwuznacznie też sugerował wstrzymanie w tym rejonie wszelkich działań wojskowych, rzekomo aby umożliwić uczonym zbadanie niezwykłego zjawiska, które jakoby może być pochodzenia pozaziemskiego. Nie ulega wątpliwości, że był to szpieg angielski lub francuski (na to wskazywała znajomość przez niego tych języków). Jego nedorzeczne wywody miały podważyć morale naszych żołnierzy i osłabić ich postawę w obliczu nieprzyjaciela. Wyrokiem sądu wojennego szpieg został skazany na śmierć i rozstrzelany. Niemniej zdołał on zasiać niepewność wśród części żołnierzy, a nawet oficerów, o czym świadczy raport kolejnego zwiadu, zawierający bzdurną relację o owadach-monstrach, które rzekomo zaatakowały żołnierzy na stokach wąwozu.

Opracowany przez płk. Muncha plan osaczenia nieprzyjacielskiej placówki i zdobycia — bądź w razie niepowodzenia — zniszczenia jej ogniem artyleryjskim, należy uznać za słuszny. Niemniej ten doświadczony przecież dowódca nie ustrzegł się kilku błędów taktycznych, które zaważyły na powodzeniu operacji. Przede wszystkim nie uwzględnił skutków dywersyjnej propagandy wroga. Kolejnym

błędem było to, iż stwierdziwszy, że pojawienie się bomb latających wywołało panikę, chcąc podnieść żołnierzy na duchu, sam poprowadził atak. Dotarł, co prawda, aż do wjazdu nieprzyjacielskiej maszyny, ale sam jeden i w chwili, gdy npl zastosował osłonę dymną, znalazł się w jej zasięgu, tracąc łączność z oddziałem.

Trzecim błędem było użycie przez pułkownika raketnicy w momencie, gdy otoczył go dym. Dał tym sygnał otwarcia ognia artyleryjskiego na rejon działań bojowych. Ten właśnie ogień spowodował bardzo poważne straty w naszych oddziałach. Maszyny latającej, niestety, nie udało się zniszczyć. Niemniej nieprzyjaciel musiał się wycofać, odlatując w niewiadomym kierunku.

Zwłok pułkownika nie znaleziono. Istnieją podejrzenia, iż został on uprowadzony przez npla.

Ja, Mat Ryl, nędzny zdrajca, kłamca i prowokator, uświadomiwszy sobie swą nicość, pragnę wyznać publicznie jakże ciężkie me winy, aby zbrodnia była sprawiedliwie i surowo ukarana.

Służyłem przez długie lata zajadłym wrogom rybaków Ocardii i ich umiłowanego, najszlachetniejszego Nauczyciela. Za judaszowe srebrniki, zaślepiony nienawiścią do wszystkiego, co dobre, mądre i piękne, prowadziłem krecią robotę, zmierzającą do siania zamętu na naszej wyspie. Z inspiracji też moich ukrytych zleceniodawców wylął się w moim zatęchłym mózgu jakże niedorzeczny, acz perfidny pomysł spreparowania podłej, pseudonaukowej bajeczki o odwiedzinach z kosmosu, jak gdyby gdzieś mogły istnieć istoty wiedzące więcej o wszechświecie niż my, a zwłaszcza nasz genialny Nauczyciel. Próbowałem też nieudolnie maskować bezsens tego kłamstwa przeinaczonymi świętokradczo okruciami wiedzy, za którą przecież powinienem być wdzięczny tym, których oszukiwałem podstępnie.

Chcę tu podkreślić, bynajmniej nie po to, aby się usprawiedliwiać i umniejszać ogrom mojej winy — że działałem od samego początku ręką w rękę z podstępnym szczurem Mod Minhem. Przez długie lata usiłował on wmawiać rzeszom rybackim, że jest najwierniejszym i najbliższym przyjacielem ich wielkiego Nauczyciela, a jednocześnie spiskował z ludźmi takiego pokroju jak Mat Ryl! Nie jest prawdą, jak głosił ten judasz, że prowadząc naszych młodych rybaków do ataku na wytworzone przeze mnie podstępnie, rzekomo dla ochrony przybyszów z kosmosu, pola siłowe (wykorzystałem tu dla złej sprawy młodzieńczy pomysł naszego Nauczyciela) — chodziło mu o to, aby odsłonić pustkę, jaką za tym polem skrywałem przed wnikliwym wzrokiem obywateli naszej wyspy. W rzeczywistości prawdą jest, iż chciał on — wykorzystując zapał i gniew łatwowiernych młodzików — uzasadnić swą obecność w pobliżu pola siłowego, aby w odpowiednim momencie przedostać się do jego wnętrza, gdzie czekał już na niego skradziony grawitolot. Wiedząc bowiem, że jego zdrada została odkryta, postanowił uciec do wrogów Ocardii — co, jak wiadomo, zakończyło się fiaskiem.

Podaje się do wiadomości, iż wobec wyczerpania puli spotkań międzywilizacyjnych na rok 3593, lądowania na Ziemi ekspedycji z planety 13

Beta Draconis nie przewiduje się. Jedynym reprezentantem Układu Słonecznego upoważnionym do udzielania przybyłym niezbędnych informacji jest M-9748321. Jednocześnie zawiadamia się, że za samowolną próbę wysyłania zaproszeń poza planem udziela się R-53721 ostrej nagany z ostrzeżeniem o przewidzianych prawem sankcjach, aż do wymazania pamięci submolekularnej włącznie.

Tryton 703

Droga Matti.

Mój list, być może, otworzysz z mieszanymi uczuciami. Po tylu latach na pewno zapomniałaś o moim istnieniu, a tu masz — znów się odzywam. Ale bez obawy — nie będzie w tym liście żadnych pretensji ani powoływania się na to, co między nami było i minęło, nie chcę też od Ciebie żadnych przysług czy protekcji. Wręcz odwrotnie — to ja mam Ci coś do zaofiarowania. Zawdzięczam to — o ironio losu! — „Pstrągowi” Murphy, ale tak zawsze było, że stał on między nami, więc się nie skarżę.

Mówili mi koledzy o Twoim wywiadzie dla telewizji. Niestety — nie oglądałem. Na pewno niewiele się zmieniłaś. Ja czuję się starcem... Ale to nieważne. Chodzi o to, o czym mówiłaś przed kamerami. Moje uznanie za pomysł nakręcenia filmu o podwodnych wyczynach „Pstrąga”. Sukces murowany, a przy stałym zapotrzebowaniu na herosów i nowoczesną mitologię ekranizacja na pewno spotka się też z uznaniem urzędników Ministerstwa Obrony. To bardzo ważne, jeśli treść filmu nie ma być czystą fikcją. Rzecz w tym, że chociaż od śmierci „Pstrąga” upłynęło już ponad dwadzieścia pięć lat, materiały dotyczące większości akcji, w których brał on udział, spoczywają nadal w teczkach z nadrukiem: „Ściśle tajne”. Wiem coś o tym... Od co najmniej piętnastu lat staram się, aby mi udostępniono niektóre dokumenty z operacji Tryton 703 — ale ostatnio nawet nie raczą odpowiadać na moje listy.

Jeśli więc chcesz stworzyć sfabularyzowaną biografię, a nie tylko legendę „na zamówienie” musisz doprowadzić do „odtajnienia” przynajmniej niektórych dokumentów. Jest to istotne również dla dawnych towarzyszy i podkomendnych „Pstrąga”, jeśli traktujesz poważnie swój apel telewizyjny o nadsyłanie wspomnień, a nie był to tylko chwyt reklamowy. Inaczej możesz tych ludzi narazić na przykrości. Nie każdy jest w sytuacji takiej jak ja — któremu już wszystko jedno... Ale i ja wolę, abyś do mnie przyjechała z magnetofonem, niż miałbym pisać. I nie tylko dlatego, że nigdy nie miałem talentu ani zamiłowań epistolarnych. Otóż z oficjalną korespondencją nieprosta sprawa — jak przyjedziesz, to Ci wyjaśnię. Ten list wysłałam przez zaufanego człowieka — byłego marynarza, lecz nie chcę nadużywać jego życzliwości dla mnie.

Z tych też powodów, najlepiej jeśli nie będziesz odpisywać, ale przyjedziesz — niby w odwiedziny. A myślę, że Ci się to nieźle opłaci. Jeśli rzeczywiście, jak mówiłaś przed kamerami, szperasz po archiwach (rozumiem, że są to archiwa Ministerstwa — bo jakież inne), wiesz z pewnością, że przez ostatnie dwa lata służby na morzu byłem z „Pstrągiem”, w jego „grupie specjalnej”. Co więcej, pełniłem funkcję jego „dublera” (w żargonie podwodniackim mówiło się „manipulatora”) i nawigatora. Również w czasie Trytona 703... To Ci chyba wystarczy.

A swoją drogą to Ty powinnaś pierwsza szukać ze mną kontaktu. Czyżbyś nadal starała się mnie unikać? A może mnie szukałaś, tylko Ci powiedziano, iż nie żyję? O Tobie też mówiono, że nie żyjesz.

Czekam niecierpliwie Twego przyjazdu, „zawsze wierny” J. C. S.

Droga Matti.

Widzę, że nie tracisz czasu. Wczoraj słyszałem przez radio, że głównym konsultantem filmu o „Pstrągu” będzie admirał Stenbock. Bardzo dobrze! To Ci otworzy wiele drzwi i będziesz mogła pokazać sporo, oczywiście w granicach politycznego rozsądku.

Upłynął blisko miesiąc od mego poprzedniego listu i już zacząłem się niepokoić, że nie dotarł do Ciebie. Ale widzę, że kierujesz się moimi wskazaniem, więc wszystko w porządku, tyle że na razie nie możesz mnie odwiedzić. Trudno, będę cierpliwy.

Ostatnio stale myślę o tamtych latach. I chyba zacznę pisać. Sprawa Trytona 703, a zwłaszcza dziwne wydarzenia poprzedzające zaginięcie „Pstrąga”, mogą być niestety bardzo różnie i tendencyjnie interpretowane. Boję się, że możesz dać wiarę oszczercom, którzy robią ze mnie wariata i mordercę. Jeśli ktokolwiek jest odpowiedzialny za śmierć tamtych pięciu chłopców, to z pewnością nie ja.

Musisz sobie zdawać sprawę co oznacza „dubler-manipulator”. Niech Ci się ten termin nie kojarzy z rezerwowym kosmonautą — to nie zastępca mogący w razie jakichś komplikacji zająć miejsce „pierwszego asa”. Raczej „dubler-kaskader” w czasie kręcenia filmu, ale też niezupełnie. Rzecz w tym, że pewnych prac podwodnych nie jest w stanie wykonać zdalnie sterowany manipulator mechaniczny. A przynajmniej tak było przed dwudziestu pięciu laty. Jak jest dziś — nic wiem, ale chyba też nie wszędzie można oprzeć się wyłącznie na maszynie, choćby była najbardziej skomplikowana i doskonała. Z kolei nurek zdany tylko na siebie — na własne zmysły — jest w pewnych warunkach jak ślepiec. A wyposażyc go w przyrządy to nie tylko rozbudować aparaturę skafandra, ale i rozproszyć uwagę, kazać kalkulować, marnować czas w sytuacji, gdy może decydować szybkość i działanie bez namysłu. Stąd technika poszła w kierunku manipulowania człowiekiem jak narzędziem.

Facet nurkuje, a jego dowódca i nawigator siedzą w kabinie DG-nawigacji i obserwują na ekranach, gdzie się znajduje, co się dzieje w jego otoczeniu, jaki jest jego stan fizyczny i psychiczny, czy mu coś nie zagraża, i mają z nim stały kontakt przez hydrofon. W hełmie płetwonurka (lub głębinowca) umieszczona jest aparatura hydrolokacyjna, mierniki ciśnienia, pola magnetycznego, skażenia chemicznego i radioaktywnego, do tego układy przyspieszeniometry — w hełmie i pasie — ale informacje z tych wszystkich przyrządów otrzymuje dowódca i nawigator, a nie płetwonurek. Podobnie — wskazania czujników biomedycznych, z tym, że tu pomaga czasem dowódcy jeszcze lekarz pokładowy. Dane lokacyjne płyną z kilku źródeł — przyrządy znajdują się w hełmie nurka, na statku i sterowanych zdalnie DG-batach (podwodnych stateczkach bezzałogowych wyposażonych w sprzęt hydrolokacyjny i pomiarowy), a komputery przetwarzają te dane w scalony, przestrzenny obraz sytuacji, jeśli trzeba — zapisywany na taśmie magnetycznej jako dokument. Oczywiście system DG stosowany był tylko w warunkach trudnych i

wymagających szczególnej precyzji i sprawności działania, zwłaszcza gdy zadanie traktowano jako „najwyższej wagi”, a tak właśnie było w przypadku operacji Tryton 703.

Może Ci się wydawać, że niepotrzebnie o tym wszystkim piszę, że możesz o tym przeczytać w każdym nowocześniejszym podręczniku prac podwodnych, że wreszcie interesuje Ciebie nie technika (będziesz miała od tego fachowców), lecz człowiek. To prawda. Ale bez tego nie zrozumiesz, jak to było ze mną i „Pstrągiem” Murphy. Otóż dowiedz się, że nie ma taśm z zapisem tej najbardziej zagadkowej i tragicznej fazy operacji. Komuś zależało na tym, aby się nikt nie dowiedział, jak to było naprawdę!

Nic chcę, abyś mnie źle rozumiała. Nie chcę twierdzić, że operacja Tryton 703 rzuca cień na „Pstrąga”, że ukazuje go w jakimś dwuznacznym, negatywnym oświetleniu, choć z pewnością jego ryzykanckie wyczyny mogą budzić kontrowersje. I nie myśl, że dochodzą tu do głosu jakieś moje zadawnione urazy. Przez ostatnie dwa lata jego życia nasze stosunki układały się bardzo dobrze. Zresztą — pogadamy...

Droga Matti.

Szkoda, że nie możesz mnie odwiedzić, ale nikogo w zastępstwie nie przysyłaj, bo z żadnymi obcymi facetami nie będę rozmawiał. Skąd mogę wiedzieć czy to nie prowokacja? Żebym chociaż miał jakąś kartkę od Ciebie...

Za magnetofon dziękuję — nie skorzystam. Już wolę pisać. Na nagrania zgoda — lecz tylko z Tobą. Mały szantaż.

Nieprawda, że byłem szefem „Pstrąga”. Ten facet coś pokręcił. To śmieszne — w chwili śmierci Murphy był w stopniu komandora-porucznika, ja zaś zwykłego porucznika. Po prostu szybciej ode mnie awansował. On był dowódcą „grupy specjalnej”, ja tylko — jak Ci już pisałem — jego dublerem i nawigatorem. To znaczy — gdy on nurkował, pełniłem funkcję jego przewodnika-nawigatora. Stąd chyba nieporozumienie. Ale dowódca — czy to w kabinie DG — nawigacji, czy w wodzie, jako nurek — zawsze jest dowódcą, a przewodnik-nawigator przekazuje mu tylko dane o jego położeniu.

Oczywiście nasze stosunki na co dzień dalekie były od formalizmu. Choćby dlatego, że byliśmy „bliźniakami” w czasie studiów i łączyło nas niemało (choćaby rywalizacja o Twoje względy), trudno wyobrazić sobie inne stosunki. To zresztą w niemałym stopniu ułatwiało zgranie w akcji. Co Ci będę zresztą tłumaczył — znałaś „Pstrąga” — nie miał w sobie nic z waźniaka. Takim pozostał do śmierci. Łatwo też zdobywał nie tylko autorytet, ale i zaufanie podkomendnych, którzy gotowi byli wierzyć mu ślepo. Tak jak tych pięciu...

Musisz mi wierzyć — przez te dwa lata nie było między nami żadnych spięć ani przejawów antagonizmu. Początkowo trochę się bałem o niego i siebie — przecież rozstaliśmy się w nienajlepszych stosunkach. Ale on szybko rozładował atmosferę, opowiadając mi jak to i jego zostawiłaś na lodzie.

W ciągu tych dwóch lat brałem udział pod dowództwem „Pstrąga” w siedmiu dużych operacjach, nie licząc manewrów i zwykłych ćwiczeń. Zwracam Twoją uwagę

co najmniej na trzy, bardzo efektowne, wręcz filmowe: odnalezienie wraku „Atlanty” — okrętu podwodnego o napędzie jądrowym, zdemaskowanie wielkiego blefu terrorystów z osławionego „Atom-Wolf” (rzekoma blokada Sundu), no i rzecz jasna — odkrycie podmorskiego magazynu handlarzy narkotyków (we współpracy z Interpolem), zakończone sześciogodzinną walką u wybrzeży Kornwalii (zginęło wtedy dwóch naszych ludzi i czterech członków gangu). O tym wszystkim można robić film bez przeszkód. Z Trytonem 703 gorzej, bo to i trochę delikatne politycznie, i sprawa „mętna”. Nie wiem, czy Ci się uda pokazać całą prawdę.

W pierwotnym założeniu operacja Tryton 703 miała ograniczyć się do odnalezienia zaginionego samolotu transportowego, który spadł około dwustu mil na zachód od atolu Palmyra. Samolot wiózł jakiś cholernie trefny pojemnik. Mieliśmy go odnaleźć i wydobyć, z zachowaniem jak najdalej idących środków ostrożności. Czasu pozostało niewiele, w pobliżu nie było żadnej większej jednostki zaopatrzonej w odpowiedni sprzęt, przerzucono więc naszą grupę z „Trytonem” (tak się nazywał nasz batyskaf-baza i stąd nazwa operacji) drogą powietrzną na miejsce katastrofy i wyszliśmy natychmiast w morze.

„Pstrąg” odnalazł samolot już po godzinie. Wrak dryfował na głębokości osiemdziesięciu metrów, znoszony prądem w kierunku atolu. Nikt z załogi nie ocalał. Ja miałem pójść na wstępny zwiad, pilotowany przez „Pstrągą”. I wtedy właśnie otrzymaliśmy przez radio pierwszą szyfrowaną wiadomość o niezidentyfikowanym „obiekcie” z instrukcją, jak się zachować, gdyby wodował w naszym rejonie.

Czekam, „zawsze wierny” J. C. S.

Piszę tak, jakbyś znała sprawę „obiekta”, A Ty prawdopodobnie nic o tym nie wiesz, bo to właśnie ta „delikatna sprawa”. Otóż w tym czasie na zachodnim Pacyfiku odbywały się manewry „żółtych”, oczywiście pod naszą czujną obserwacją satelitarną (i nie tylko satelitarną). Jak wynikało z meldunku, mniej więcej w tym samym momencie gdy zerwała się łączność z owym nieszczęsnym transportowcem, cztery tysiące mil na północny zachód, z rejonu manewrów, wyszedł spod wody „niezidentyfikowany obiekt latający”, kierując się na południowy wschód. Nikt, rzecz jasna, nie sądził, aby było to coś z gatunku legendarnych „latających spodków”. Dla naszego dowództwa nie ulegało wątpliwości, że jest to jakaś nowa broń o nieznanym napędzie, wypróbowywana w czasie manewrów, a która być może wymknęła się spod kontroli. Zdawał się wskazywać na to fakt, że obiekt wyszedł poza strefę ogłoszoną oficjalnie jako teren operacji i że „żółci” wysłali za nim w ślad samoloty patrolowe.

Oczywiście nasze dowództwo postanowiło zrobić wszystko, aby przechwycić obiekt, który leciał bardzo szybko na wysokości dwudziestu paru kilometrów, pozostawiając daleko za sobą ścigające go samoloty. Zaalarmowano więc wszystkie nasze jednostki na przewidywanej trasie przelotu z rozkazem przechwyty, gdyby obiekt spadł w ich rejonie. W istocie, jak się później okazało, wszedł on pod wodę właśnie w okolicach atolu Palmyra, zaledwie w odległości czterech mil od „Trytona”.

Jednak w tym czasie, gdyśmy przystępowali do badania wraka samolotu, ani ja, ani „Pstrąg” nie braliśmy poważnie pod uwagę takiej możliwości.

Była noc. Ocean jak smoła. Zapaliłem reflektor hełmowy i poszedłem pod wodę. „Pstrąg” prowadził mnie jak ślepego za rękę. Wyczuwałem wyraźnie każdy jego sygnał mięśniowy (w systemie DG sterowanie odbywa się nie tylko rozkazami słownymi, za pośrednictwem hydrofonu, ale także poprzez sygnały mięśniowe, jak w manipulatorach bionicznych).

Do wraku dotarłem bezbłędnie. Samolot — a właściwie jego kadłub z prawym skrzydłem, lecz bez silników i usterzenia — dryfował, z tendencją do opadania w głębinę. Opłynąłem go wokół wolno, tak aby „Pstrąg” mógł na monitorze przyjrzeć mu się dobrze i określić, gdzie należy szukać tego cholernego pojemnika. Pojedyncze obrazy przekazywane są co pół sekundy, więc już sporo można zobaczyć, chociaż o ciągłym telewizyjnym przekazie nie ma mowy, bo kanał ultradźwiękowy jest za wąski.

W kabinie pilotów nikogo nie było, chociaż wyjątkowo mało ucierpiała. „Pstrąg” polecił mi podpłynąć do odstrzelonych drzwi awaryjnych i zajrzeć do wnętrza. Ale niewiele było można zobaczyć, więc za zezwoleniem „Pstrąga” władowałem się do środka.

Wtedy od razu ich zobaczyłem, a zwłaszcza jednego, który zdawał się stać, zaczepiony kombinezonem o jakiś regał z butlami. Drugi pokazał mi tylko nogi — tułów znajdował się za progiem wjazdu, z którego wydobywała się mętna ciecz, czy może raczej zawiesina. I wtedy właśnie się zaczęło!

Patrzę, a ten stojący czy wiszący truposz szczerzy do mnie zęby, mruga okiem i rusza ręką — jakby mnie zapraszał lub witał. Nie jestem strachliwy, niejednego nieboszczyka już pod wodą widziałem, ale ten był jakiś inny, jakby żywy, choć zdawałem sobie sprawę, że to złudzenie.

„Co ci jest?” — słyszę głos „Pstrąga” w hydrofonie. Widać czujniki „bio” już przekazały, że się zdenerwowałem. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, spojrzałem jeszcze raz na truposza i aż mnie zmroziło. Patrzę, a on ma ni mniej ni więcej, tylko twarz... „Pstrąga”.

„Wracaj natychmiast do statku!” — mówi truposz, ale przecież wiem, że to złudzenie, że to „Pstrąg” wzywa mnie przez hydrofon.

Oczywiście, nie potrzebował tego rozkazu dwa razy powtarzać...

Ale to jeszcze nie był koniec. Kiedy już byłem nad wrakiem, oświetliłem jeszcze raz reflektorem kadłub. Muszę Ci przyznać, że miałem jakieś nieodparte, nieuzasadnione logicznie wrażenie, że ten nieboszczyk idzie za mną. I wtedy zobaczyłem, że pod wrakiem samolotu coś prześwieca przez wodę — jakiś błyszczący, elipsoidalny twór, z długimi ramionami chwytnymi. Przypominał trochę głębinowego kraba, ale był chyba za wielki.

„Co tam widzisz pod wrakiem?” — pytam „Pstrąga”. Ale on nic na to, tylko ponawia rozkaz: „Wracaj na statek!”

Okazało się, że niczego na ekranach nie widział. Rozumiem, że łączność, zwłaszcza wizyjna, gdy byłem we wraku, mogła być utrudniona, ale żeby

hydrolokatory statku, DG-batów i moje własne niczego nie przekazały — to wydało mi się podejrzane.

Visanto — lekarz pokładowy i hydrobiolog — dał mi proszki na uspokojenie i kazał mi się przespać. „Pstrąg” obudził mnie po godzinie, gdyż opuszczał statek z Darleyem i Visanto i miałem ich nawigować. Nie wiem, co się wydarzyło, gdy spałem, ale z tego, co mi mówił, wynikało, że „jakiś cholernie niebezpieczny obiekt” jest tu gdzieś pod nami i że musi go za wszelką cenę „zabezpieczyć”. Było jasne, że chodzi o ten niezidentyfikowany obiekt wodno-powietrzny. Czułem się zupełnie dobrze i gdyby Visanto żył, mógłby to potwierdzić. Na pewno nie ryzykowaliby, abym prowadził „Pstrąga” i sterował „Trytonem”.

W statku pozostali ze mną trzej chłopcy — Alecky, Roberts i Stern — którzy mieli czekać na rozkazy „Pstrąga”.

Początkowo wszystko grało. Widziałem na ekranie wrak i sylwetki trzech ludzi. „Kraba” rzeczywiście ani śladu. Podprowadziłem Murphy’ego pod wrak, potem wskazałem mu otwarty właz awaryjny, przez który dostałem się do wnętrza samolotu. Ale on najpierw wysłał doktora Visanto z przyrządami mierzącymi radioaktywność i toksyczność wody. Ten tylko zajrzał do wnętrza i zaraz się cofnął, tak iż — zanim zdążyłem przełączyć się na jego kamerę — już nie mogłem zobaczyć, co się tam w środku dzieje.

Przekazałem Sternowi i Alecky’emu rozkaz „Pstrąga”, aby dostarczyli mu pięć arkuszy folii uszczelniającej i butle z ciekłym plastikiem, krzepnącym w wodzie „na cement”. Mnie w tym czasie poczęły męczyć torsje, jakbym cierpiał na morską chorobę (nigdy dotąd nie miałem tej dolegliwości), ale Roberts przyniósł mi pastylki i przeszło.

W tym czasie Murphy z chłopakami i doktorem zaczęli uszczelniać kadłub samolotu. Nim jednak zdążyli skończyć, Visanto poczuł się niedobrze. Miał wrócić na statek, lecz widocznie coś mu się, tak jak i mnie, przywidziało, bo zaczął płynąć nie w górę, lecz w dół, na głębię. „Pstrąg” nie mógł, niestety, przerwać roboty, więc polecił Robertsowi, aby zanurkował za nim, a ja miałem go naprowadzić.

Z doktorem było rzeczywiście niedobrze. Gdy tylko przełączyłem się na jego „bio” — aż mnie zmroziło. Co prawda tętno i ciśnienie były w normie, lecz na ekranie elektroencefalograficznym dominowały bardzo wolne fale delta jak podczas głębokiego snu.

Ze mną też zresztą nie było najlepiej. Właśnie miałem przełączyć się na Roberta i sięgam do przycisku, a tam widzę jakąś obcą rękę... Patrzę, a obok mnie w fotelu siedzi ten sam truposz, którego widziałem we wraku i szczyrzy do mnie zęby...

Mówię sobie: to halucynacja, tylko spokojnie Jorge, nie masz się czego bać. Wstaję i idę do niego... Rzeczywiście: nic nie ma — pusty fotel.

Tymczasem na ekranach lokalizacji przestrzennej, obok sylwetek Visanto i Roberta widzę mojego „kraba-olbrzyma”. Wołam więc do Roberta, aby uciekał, lecz on jakby nic nie słyszał — płynie dalej, a „krab” jest tuż tuż nad nim. I w tej samej chwili czuję, że ktoś mnie chwyta za ramię...

Ogarnął mnie wówczas taki strach, jakiego chyba jeszcze nigdy nie odczuwałem.

Zrobiło mi się ciemno przed oczami.

Nie wiem jak długo to trwało, ale wreszcie zdobyłem się na wysiłek i odwracam głowę. To nie „mój” truposz, to „Pstrąg” z chłopakami. Wrócili na statek i wertują mapy. Jest też Visanto i Roberts — wszyscy zdrowi i cali.

Muszę Ci wyznać, że z tamtych chwil (i zresztą do końca operacji) nie wszystko jest dla mnie jasne. Zgadzam się z lekarzami, iż musiałem być nie najgorzej podtruty tym paskudztwem z pojemnika i niektóre sceny przypominam sobie jak przez mgłę. Ale to wcale nie znaczy, abym był nieprzytomny i majaczył. Wyraźnie potrafiłem odróżnić, co jest rzeczywistością, a co halucynacją — jak choćby ten „żywy nieboszczyk”. Pamiętam też bardzo dobrze niektóre słowa „Pstrąga” i nikt mi nie powie, że on tego nie mówił.

Pamiętam na przykład, jak powiedział, że „trzeba zejść „Trytonem” głębiej, bo „obiekt” opada w dół i może być niedobrze”. To znaczy, że może nam umknąć, nim zdołamy go przechwycić. Na ekranie widać go było zresztą dość wyraźnie — świetnie to pamiętam — tyle, że chwilami zdawał się kurczyć, to znów rosnąć. Według „Pstrąga” miało to oznaczać, że „Krab” koziołkuje na skutek uszkodzenia układu stabilizującego. Okazało się jednak, że łatwo odzyskuje stabilność, jeśli tylko zbliżamy się do niego.

Prawdę mówiąc, on chyba bawił się z nami w kotka i myszkę. Wyglądało to tak, jakby ktoś był tam w środku, lecz moim zdaniem to się nie bardzo zgadzało z wymiarami obiektu — dwa—trzy metry to trochę za mało jak na statek wodno-powietrzny, ba — głębinowy!

Zgodnie z rozkazem „Pstrąga” siedziałem za sterami i pamiętam dobrze, jak się „diabeł” zachowywał. Gdy zwiększałem szybkość — przyspieszał, gdy zwalniałem — również zwalniał, gdy zawracałem — szedł za nami. „Pstrąg” kazał mi tak manewrować, aby sprowadzić „obiekt” na płytsze wody, co zresztą udało się bez większego trudu. Pamiętam też, że wypuściłem dalsze trzy DG-baty i że wypłynęliśmy na powierzchnię.

Na ekranie było widać, że obiekt dryfuje ćwierć mili od „Trytona”, na głębokości dwudziestu paru metrów. Potem „Pstrąg” rozmawiał z kimś przez radio, a jak skończył, zarządził alarm bojowy i kazał przygotować sieć. największą jaką mieliśmy w magazynie. Plan akcji był prymitywnie prosty i chyba wykonywany na rozkaz, bez większego przekonania, gdyż „Pstrąg” był zdenerwowany i napięty, co mu się rzadko zdarzało. Do mnie powiedział coś w tym sensie: „Grube ryby życzą sobie, aby pstrąg zmienił się w rybaka”.

Byłem na pokładzie, kiedy schodzili do wody. Widzę ich, jakby to było dziś: Alecky, Darley, Roberts, Stern i Visanto, no i oczywiście Murphy... Ja pozostałem na „Trytonie”.

Sieć rozłożono jeszcze na powierzchni, a potem poszli w głąb na jakieś sześćdziesiąt metrów i w całkowitej ciemności, prowadzeni tylko moimi wskazaniem, podpłynęli pod „obiekt”. Obserwowałem na ekranach każdy ich ruch i pamiętam, że to diabelstwo ani drgnęło, gdy podpływali. Zacząłem nawet wierzyć, że ten wariacki plan się uda i gdy przekazywałem „Pstrągowi” „OK”, martwiłem się

tylko, aby chłopcy w porę odpłynęli i nie pociągnęły ich wiry, w ślad za gwałtownie wnoszącymi się pływakami. Wszystko zresztą grało jak trzeba: sprężone powietrze wypełniło balony-pływaki, szybko poszły w górę i czasza sieci zamknęła się błyskawicznie nad „obiektem”. Uruchomiłem silnik i zacząłem ciągnąć linę. dając wsteczną, gdy odczułem szarpnięcie i w dziobowym iluminatorze pojawiło się na moment żółte światło. „Pstrąg”, który był nie dalej jak sto metrów od obiektu, powiedział mi, że widział oślepiający błysk przypominający zwarcie elektryczne. Okazało się, że „krab” wypalił dziurę w sieci i popłynął w kierunku atolu.

Już to powinno przekonać „Pstrąga”, że nie ma co dalej ryzykować. Ale on się uparł, a może komuś tam u góry przyrzekł, że zrobi wszystko, aby „gość” się nie wymknął; dość, że polecił mi, aby natychmiast ruszyć w pogoń, on zaś z chłopakami uczepią się podartej sieci i będę ich w ten sposób holować. Chodziło o to, aby nie tracić czasu na wyławianie sześciu ludzi.

I znów wszystko grało, jak zwykle z „Pstrągiem”. Dopiero przed samym wejściem do zachodniej laguny zaczęły się kłopoty. „Krab” schował się gdzieś wśród raf i o lokacji z samego „Trytona” nie było już mowy. Rozstawiłem więc DG-baty i „Pstrąg” z chłopakami począł penetrować podwodne przejścia, nisze i komory w skałach. Pamiętam, że łączność była utrudniona, z długimi przerwami, bo sygnały ultradźwiękowe na skutek wielu odbić nie tylko szybko ulegają wyłumieniu, ale również dają wielokrotne, nakładające się echa. Żadnego śladu „kraba” nie udało się odkryć, chociaż „Pstrąg” był wytrwałym, doświadczonym tropicielem-płetwonurkiem.

Wtedy, niestety, znów poczułem się gorzej. Co prawda żaden nieboszczyk już mnie nie nawiedzał, ale nie mogę sobie przypomnieć, czy Murphy wracał jeszcze na statek. Pamiętam tylko moment odebrania sygnału skażenia. Pochodził chyba z hełmu „Pstrąga” — zresztą tylko oficerowie byli zaopatrzeni w mierniki promieniowania. „Pstrąg” nurkował wówczas chyba z Darleyem i Visanto.

Natężenie promieniowania było początkowo bardzo małe i gdy zameldowałem „Pstrągowi” o radiacji, nawet się ucieszył: „Widać to paskudztwo przecieka i po tym śladzie znajdziemy go bez trudu” — powiedział wówczas.

Pamiętam, że mnie to promieniowanie bardzo zaniepokoiło i już wtedy odradzałem mu dalsze nurkowanie. Powinien czekać na odpowiednie wyposażenie. Zresztą C-5 był już w drodze. Jednak Murphy się uparł, a nawet ściągnął Robertsa, Sterna i Alecky’ego. Nie chcę przez to powiedzieć, iż bezmyślnie ryzykował życiem chłopaków. W zasadzie plan był dobry: po zlokalizowaniu, w której komorze podwodnej ukrywa się ten latający „krab” mieli zablokować przejście, wysadzając skałę.

Widziałem na ekranie, że „Pstrąg” płynie skrajem rafy, a chłopaki z ładunkami za nim, w odległości kilkunastu metrów. „Trytona” ustawiłem tak, aby jak najdłużej utrzymać nieprzerwaną łączność. Miejsce, z którego wydostawała się skażona woda odnaleźli dość szybko. Pamiętam, że przypominało ono nisko sklepiony tunel o prześwicie dwóch–czterech metrów. Tylko z trudem można było sobie wyobrazić, jak tam wcisnął się ten szatański „krab”.

Murphy rozkazał założyć ładunki, a sam z Darleyem popłynął w głąb tunelu. Promieniowanie nieznacznie wzrastało, co mu sygnalizowałem stale. Gdy otrzymał dawkę ponad 2 rem powiedziałem, że muszą wracać. Ale on nie chciał mnie słuchać. Do tego łączność była coraz gorsza, aż wreszcie się urwała. Później zjawił się u wylotu tunelu sam Darley i dał znać czekającym, aby popłynęli za nim. Czekałem na nich z coraz bardziej rosnącym niepokojem.

Pojawili się wreszcie, lecz wypłynęli nie z tunelu, tylko dwieście metrów dalej — spod rafy. „Pstrąg” miał na liczniku ponad 900 rem, a inni chyba niewiele mniej. Takich momentów się nie zapomina; gdy mu o tym powiedziałem, gwizdnął tylko przeciągle, a potem oświadczył, że zobowiązuje mnie do tajemnicy wobec reszty, i że tak czy inaczej nic nie mają do stracenia, a więc postarają się zrobić co do nich należy...

I to była nasza ostatnia rozmowa. Wrócili pod skały i łączność się urwała. Liczyłem, że może wypłyną inną jakąś dziurą. Krążyłem wokół atolu jeszcze blisko trzy dni, aż do przyplłynięcia C-5, lecz już żadnych sygnałów nie odebrałem.

A potem zaczęła się cała afera z „dochodzeniem prawdy” i fabrykowaniem oficjalnej wersji operacji Tryton 703. Jeśli szperasz po archiwach, na pewno znasz lepiej tę wersję niż ja.

Liczę na Twój krytycyzm.

Zawsze wierny” J. C. S.

Droga Matti.

Coś mi się zdaje, że ktoś (nawet domyślam się kto) próbuje Ci wmówić, że to wszystko, o czym Ci napisałem, to majaczenie chorego człowieka. Był znów u mnie ten facet, rzekomo od Ciebie i nalegał aby z nim porozmawiać, a ja — wbrew postanowieniu — zgodziłem się na to nieopatrnie. Może zresztą dobrze się stało, bo przynajmniej orientuję się, w jakim kierunku idzie ich kontrakcja. Ten facet wygląda mi bardziej na lekarza niż filmowca. Obawiam się, że o moich listach powiedziałaś komuś, kto przekazał wiadomość gdzie nie trzeba. Czuję, że znów zaczynają się jakoś dziwnie mną interesować. Proszę Cię o zachowanie dyskrecji, bo nie chciałbym, aby zostało ujawnione nazwisko mego zaufanego człowieka.

Wracając do zasadniczego tematu, muszę stwierdzić, że w istocie ten rzekomy Twój wysłannik odsłonił karty. Próbował wysondować, co myślę o oficjalnej wersji przebiegu operacji Tryton 703. Licząc się z tym, że ta wersja może być lansowana przez pewnych wpływowych ludzi jako podstawa scenariusza, przedstawię Ci pokrótce moje kontrargumenty:

1. Twierdzenie, że cała operacja Tryton 703 ograniczała się do odnalezienia i zabezpieczenia pojemnika z jakimś bardzo groźnym środkiem bojowym o działaniu psychotropowym i halucynogennym, jest przeinaczaniem faktów w celu ukrycia nieszczęsnej, kompromitującej sprawy nieudanego przechwyту „niezidentyfikowanego obiektu”. Możesz sprawdzić — w tym czasie rzeczywiście odbywały się manewry na północno-zachodnim Pacyfiku i była wysłana tajna instrukcja dotycząca przechwytu. Nie ulega wątpliwości, że „Pstrąg” Murphy

otrzymał tę instrukcję i działał zgodnie z jej wskazaniem.

2. Można się zgodzić z tezą, że ja i doktor Visanto ulegliśmy zatruciu tym, co znajdowało się w pękniętym pojemniku (być może nawet pękł on w czasie lotu i zatruciu załogi było przyczyną katastrofy), ale nie znaczy to, że nie potrafiłem odróżnić halucynacji od realnych spostrzeżeń. Przecież świadomie, wręcz na zimno, potrafiłem ocenić sytuację i odrzucić to, co było tworem mojej wyobraźni. Jestem pewny, że Murphy, Visanto, Alecky, Darley, Roberts i Stern wrócili do batyskafu, gonili ze mną razem „kraba” i zaginęli nie w pobliżu miejsca katastrofy transportowca powietrznego, lecz gdzieś w pobliżu atolu Palmyra. Przecież odnaleziono (i mogą stanowić dowód rzeczowy) resztki sieci, które ciągnął „Tryton” aż w pobliże raf. Chyba, że ktoś już zniszczył ten dowód. Ale muszą być dokumenty. A może i to zostało wymazane, jak zapisy na taśmach magnetycznych DG?

3. Odrzucam kategorycznie wszelkie próby „bronienia” mnie, w rodzaju twierdzenia, że nie mogę odpowiadać za swoje czyny, gdyż znajdowałem się w stanie zatrucia, powodującego zaburzenia świadomości, że nie zdawałem sobie sprawy, iż zostawiłem towarzyszy zajętych uszczelnianiem wraka, odpływając w kierunku atolu, że wreszcie — nie jest pewne, czy „Pstrąg” lub ktokolwiek z jego podkomendnych był w stanie wrócić o własnych siłach na „Trytona”, zanim nadeszła pomoc, gdyż z pewnością również ulegli zatruciu. Jest to bardzo perfidna forma „przekonywania” mnie, abym przyjął za prawdę „wersję oficjalną”.

Nie dam sobie wmówić, że skażenie radioaktywne, „krab”, a nawet w ogóle „niezidentyfikowany obiekt” to tylko wytwory mojej chorej wyobraźni. Co więcej, jeśli mnie odwiedzisz, pokażę Ci wycinek prasowy (dobrze go ukryłem) zawierający relacje marynarzy z trampa przepływającego w pobliżu atolu Palmyra w osiem dni po zakończeniu operacji Tryton 703. Otóż w odległości około dwustu metrów od ich statku wyszedł spod wody i odleciał na północ „niezidentyfikowany obiekt”, którego kształt odpowiada ściśle temu, co widziałem w głębinach. Nie ulega wątpliwości, że był to ten sam „latający krab”.

Mógłbym jeszcze mnożyć argumenty — ale po co? Chyba, że będziesz miała konkretne pytania.

Pisać więcej nie będę. Teraz na Ciebie kolej — musisz przyjechać!

J. C. S.

Droga Matti.

A jednak musiałem napisać jeszcze raz. Jestem bardzo niespokojny. Nie ulega wątpliwości, że człowiek, przez którego do Ciebie wysyłałem listy — ogrodnik z naszego sanatorium — szukał mnie i dawał te listy do czytania doktorowi Millerowi — naczelnemu lekarzowi. Powiedział mi o tym w zaufaniu jeden z pacjentów, który słyszał, jak o tym rozmawiali lekarze z naszego oddziału. Mogę mu wierzyć, gdyż zauważyłem, iż w ostatnim czasie znów zaczynają dawać mi takie małe niebieskie pastylki, po których mąci mi się w głowie. Miałem też długą rozmowę z psychoterapeutą, który nawracał parę razy — co prawda bardzo ostrożnie — do sprawy Trytona i to w „wersji oficjalnej”, a także próbował mi

wmówić, że Ty nie żyjesz od dziesięciu lat, zaś film o „Pstrągu” kręci Twój syn. Co gorsza ten mój informator-pacjent twierdzi, że ogrodnik w ogóle nie wysłał moich listów i leżą one w teczce z historią mojej choroby... Ten list wysyłam inną drogą. Na wypadek gdyby się okazało, że jest to pierwszy list, jaki ode mnie otrzymałaś, wyjaśniam, że chciałem Ci przekazać prawdziwą wersję wydarzeń związanych ze śmiercią „Pstrąga” Murphy. Koniecznie musisz mnie odwiedzić. To dla mnie może oznaczać wiele, a może wszystko... Nie wierz wersji oficjalnej. To oszczerstwo. Ja ich nie zabiłem! To nie może być prawda!

Czekam Twego przyjazdu Jorge

Potwierdzam zgodność odpisu z oryginałem przechowywanym w archiwum Sanatorium im. gen. L. S. Martinsona w Balata

dr F. G. Miller

naczelnny lekarz

1977

Fabryka szczęścia

I

Zaraz po starcie, gdy tylko rakieta wyszła z gęstszych warstw atmosfery, Tin opuściła kabinę nadkontroli i wstąpiła do baru na szklanekę soku pomarańczowego. Przy bufecie dosiadł się do niej ten sam gadatliwy młody człowiek, który hałaśliwym zachowaniem zwracał na siebie powszechną uwagę już w hallu TCR portu Werona.

— Kapitanie! My się chyba skądś znamy? — usiłował obcesowo zagaić rozmowę.

— To bardzo mało prawdopodobne — odparła Tin chłodno, wyjmując szklanekę z podajnika.

Nie miała ochoty nawiązywać tego rodzaju znajomości. A zresztą cóż mogła innego odpowiedzieć?

Gadatliwy pasażer nie dał się jednak zniechęcić.

— Jestem pewny, że gdzieś panią spotkałem, i to niedawno. Czy była pani w lutym na Timen? No, wie pani, na tej pływającej wyspie.

— Nie.

— A może miesiąc temu w czasie wiosennych igrzysk w Betelgong? Zatrzymałem się w...

— Nie było mnie w tym czasie na Ziemi — przerwała łagodnie, lecz stanowczo.

Młody człowiek należał, niestety, do ludzi upartych.

— Wobec tego może po prostu gdzieś w czasie przelotu. Czy stale prowadzi pani maszyny na tej linii?

— Od tygodnia.

— A przedtem?

— Pół roku w ogóle nie latałam.

— Można wiedzieć dlaczego?

— Nie można.

Tupet młodzieńca począł działać Tin na nerwy. Wobec pasażerów obowiązywała uprzejmość i cierpliwość — ale tym razem pytania dotyczyły jej spraw osobistych i dlatego postanowiła dać natrętowi do zrozumienia, że nie ma ochoty na rozmowę.

Niewiele to pomogło.

— Przepraszam najmocniej — podjął niezrażony. — Jak sobie coś wbiję w głowę, to ani rusz... A przed sześcioma miesiącami, gdzie pani latała, kapitanie? Może na linii San Francisco-Władystok?

Tin zamyśliła się.

— Może... Nie wiem. Nie pamiętam — odparła machinalnie i niemal natychmiast odczuła niepokój, czy nie powiedziała za wiele. A jeśli istotnie ten

człowiek widział ją gdzieś przed rokiem czy dwoma?

„To jednak niemożliwe” — uświadomiła sobie natychmiast niedorzeczność takiego przypuszczenia; — „Jeśli nawet widział — jakże by mógł poznać teraz? Przecież profesor zapewniał, że taka sytuacja nie może się nigdy zdarzyć. To na pewno pomyłka!”

Nieznajomy umilkł również. Może zastanawiał się nad trochę dziwną odpowiedzią Tin? A może tylko błądził dalej po zakamarkach swej pamięci?

Tin wrzuciła pustą szklankę do śmietniczki i odeszła od automatu bufetowego. Miała zamiar zadzwonić do Jorego, by przyleciał po nią do portu, ale zanim zdążyła wyjść z kabiny, gadatliwy pasażer zeskoczył z taboretu i zatrzymał ją w połowie drogi.

— Już wiem, gdzie panią spotkałem! — zawołał tak głośno, że kilka par oczu zwróciło się ku Tin. Odczuła nieprzyjemny dreszcz.

— To niemożliwe — powiedziała niepewnie, i dopiero potem zapytała: — Gdzie?

— Na Żółtym Jakubie, u Alla — odrzekł z wyraźną satysfakcją.

Nie była w stanie zdobyć się na coś więcej niż gołosłowne zaprzeczenie.

— To niemożliwe — powtórzyła.

— Byłem tam dwa tygodnie temu. Na pewno panią widziałem. Pamiętam jeszcze...

— Zupełnie wykluczone — przerwała, siląc się na spokojny, obojętny ton.

— Wiec pani mnie nie zna?

— Nie.

— Jestem Gan, Feri Gan z TV-raportu.

— Pańskie nazwisko nic mi nie mówi.

Twarz młodego człowieka przybrała wyraz zawodu i zdziwienia, ale tylko na chwilę, bo oto rozjaśnił ją uśmiech pełen tryumfu.

— Ach, oczywiście. To zupełnie możliwe. U Alla jednak pani była?

Tin nie lubiła kłamać. Wydawało jej się, że w kłamstwie jest coś poniżającego, coś z wymuszenia, z gwałtu zadanego sobie. Mówiła kiedyś o tym Joremu, a on wysunął wówczas przypuszczenie, że w jej poprzednim życiu jakieś szczególne cierpienie musiało zespolić się z kłamstwem. Czy tak było naprawdę — tego nigdy się nie dowie i nie zechce dowiedzieć. Pojedyncze, martwe obrazy z tamtego świata pozostaną dla niej na zawsze nieczytelne. I tak być powinno.

Cóż jednak w tej chwili miała odrzec na pytanie natrętnego pasażera? Wiedziała, że kłamać nie będzie, a prawdy powiedzieć nie chciała.

— To jakieś nieporozumienie — odparła pośpiesznie, usiłując zamaskować zmieszanie nieszczerym uśmiechem. I nie czekając na nowe pytanie wyszła z baru.

— Ach, to pan jest tym słynnym Feri Ganem? — usłyszała za sobą młody głos kobiety. — Inaczej sobie pana wyobrażałam...

Drzwi zasunęły się bezszelestnie, tłumiąc wszystkie dźwięki dochodzące z baru. Niepokój Tin wzrastał. Może ów młody człowiek wie o niej coś więcej niż tylko to, że widział ją na Żółtym Jakubie? Może dzieli się tymi wiadomościami ze

współtowarzyszami podróży?

Zapagnęła sprawdzić szybko, jak najszybciej, o czym rozmawiają pasażerowie. Usiłowała stłumić w sobie ten odruch, ale nogi zdawały się nieść ją same. U progu kabiny kapitańskiej zawahała się jeszcze, lecz już tylko na krótko.

Po chwili na małym ekraniku ukazało się wnętrze baru. Kilku pasażerów skupiło się przy automacie bufetowym. Tin poczęła teraz operować gałką stereo dźwięku i do uszu jej dobiegł głos natrętnego młodego człowieka:

— Wówczas postanowiłem polecieć na Żółtego Jakuba. Z Allem jednak niełatwa sprawa. Rozgryzł mnie po kilku minutach, mimo że — nie chwaląc się — wszystkich jego zawodowych cerberów wyprowadziłem w pole. Nie dziwię się zresztą. To jest człowiek naprawdę niezwykły. Jeśli chodzi o psychologię i neurofizjologię — nie ma genialniejszego specja. I chyba nie było! Mówię państwu. Kto go nie zna osobiście, ten nie potrafi sobie wyobrazić, co to za człowiek!... Więc chociaż moja wyprawa na Żółtego Jakuba zakończyła się niepowodzeniem — nie żałuję. To było przeżycie!

— A ja myślałem, że byliście u Alla na kuracji? — rzekł nieco zawiedzionym tonem starszy, postawny Brazylijczyk o czarnej, świetnie zakonserwowanej czuprynie.

— Jeszcze by tego brakowało! — roześmiał się Gan. — Chyba niczym nie przypominam kandydata na samobójcę? Grałem tylko rolę pacjenta, aby dotrzeć jak najdalej w głąb sanatorium. Już od trzech lat chciałem złapać ten temat. Inni próbowali — bez skutku. Dlaczego nie miałbym i ja spróbować? Gdyby się poszczęściło, byłby to nie lada sukces. Mój największy wyczyn — odnalezienie łodzi Petersa na głębokości dziesięciu tysięcy metrów — to drobiazg w porównaniu z Żółtym Jakubem. Niestety, nie udało się. Nie zanotowałem na taśmie nawet metra. Zaraz na początku zabrano mi kamerę. Oczywiście w depozyt. Zresztą i tak byłem nieustannie pod obserwacją. Zaledwie zdążyłem przekraść się na oddział rehabilitacyjny, już ściągnięto mnie z powrotem do centrali. Nie zamieniłem z żadnym pacjentem nawet jednego zdania!

— A przecież twierdził pan przed chwilą, że rozmawiał z naszym kapitanem — wtrąciła śpiewnym słowiańskim akcentem opalona na brąz młoda blondynka.

— Wcale nie mówiłem, że rozmawiałem. Po prostu widziałem ją na oddziale rehabilitacyjnym na Żółtym Jakubie. Spacerowała po parku w towarzystwie bardzo przystojnego, choć nieco podtatusiałego jegomościa.

— Ona też mogłaby być pańską matką — Zaśmiała się dziewczyna.

— No i cóż z tego? — oburzył się Brazylijczyk. — Za to jaka oryginalna! Powiem — niezwykła uroda.

— Podobno chirurdzy Alla to prawdziwi artyści — zauważyła trochę z przekąsem Lega, starzejąca się Angielka.

— Słyszałam, że kuracje Alla mają powodzenie właśnie dzięki tym chirurgicznym zabiegom — dorzuciła blondynka.

— Plotka. Podwójna plotka — zaperzył się Gan. — Po pierwsze All zajmuje się tylko tymi, którzy rzeczywiście potrzebują jego pomocy. A o tym, czy ktoś potrzebuje tej pomocy — on wie najlepiej. Ani pieniądze, ani protekcja nie odgrywają na Żółtym

Jakubie żadnej roli. Po drugie — kandydatów na pacjentów nie ma wielu. I to nie tylko dlatego, że na Żółtego Jakuba trudno się dostać; przede wszystkim bardzo mało ludzi wie, na czym naprawdę polegają eksperymenty przeprowadzane w instytucie Alla. Bo przecież to są właściwie jeszcze eksperymenty! Wokół Żółtego Jakuba krąży wiele plotek i ludzie nie bardzo orientują się, co jest prawdą, a co bajką. I po prostu boją się...

— Czego mają się bać? Pan przesadza, panie Gan — powiedziała blondynka z niedowierzaniem. — Zabiegi Alla nie są jeszcze modne i to wszystko! Gdy staną się modne, kandydaci ustawią się w kolejki.

— Wątpię, aby kiedykolwiek mogło dojść do tego.

— Czy naprawdę chodzi tu o coś w rodzaju samobójstwa? — zapytała Angielka.

— Niewątpliwie, w istocie jest to samobójstwo.

— I na samobójstwa może przyjść moda — przerwała dziewczyna. — Zwłaszcza na tego rodzaju samobójstwa.

— Może... — skinął głową Gan. — Ale nie należy upraszczać problemu. Po pierwsze, kandydatów na samobójców nigdy nie będzie wielu, po drugie, moda musi opierać się o przykłady konkretne. Wszak polega na naśladownictwie. Tu trudno o naśladownictwo, nikt bowiem się nie chwali, że był na kuracji u Alla. Macie państwo przykład — nasz kapitan.

— Ona zdaje się co najmniej wstydzić tego, jak wstydzono się chorób wenerycznych — zaśmiała się blondynka.

— Raczej jak pobytu w zakładzie psychiatrycznym — poprawił Gan. — Ale nie tylko tu należy szukać przyczyny. Tacy ludzie mogą w swym życiu odczuwać lęk przed światem, jak zagubione wśród tłumu, bezbronne dzieci...

Tin przebiegło przez głowę, że chyba jednak niesprawiedliwie oceniła intencję gadatliwego młodego człowieka. Czyżby to, co wzięła za bezczelność i tupet, było tylko przejawem nieprzezwykłej ciekawości?

— Dlaczego All otacza swe prace taką tajemnicą? — odezwał się po dłuższym milczeniu Brazylijczyk. — Różne na ten temat krążą plotki.

— To dość skomplikowana sprawa. Przyczyną jest, moim zdaniem, przede wszystkim chęć zachowania jak najdalej posuniętej dyskrecji wobec pacjentów. Mogą to być, jak głosi plotka, osoby znane, cieszące się dużą popularnością. Które za wszelką cenę chcą uniknąć rozgłoszenia faktu, że leczyli się u Alla. Poza tym nie każdy może sobie pozwolić na podróże kosmiczne. Helikopterem na Żółtego Jakuba nie zalecisz!

Żółta lampka sygnalizacyjna zapłonęła na pulpicie centrali radiowej. Jednocześnie przytłumiony dźwięk dzwonka rozległ się w kabinie. Tin zmuszona była wyłączyć telewizor i przejść na łączność z Ziemią.

Rakieta przebyła już ponad połowę drogi i osiągnąwszy nad Oceanem Indyjskim wysokość 1900 kilometrów schodziła teraz z prędkością większą od 5 km/sek. łagodnym łukiem w dół ku niewidocznemu jeszcze kontynentowi Australii. Port w Sydney sygnalizował znaczny wzrost nasilenia deszczu meteorów na południowej półkuli między godz. 4.20 a 4.37 czasu uniwersalnego. Chodziło tu o Aquarydy,

których rój spotkał się z Ziemią właśnie w maju, i Tin nie była zdziwiona meldunkiem — przyjęto jednak od czasu katastrofy Leoparda zasadę, że stacje docelowe sygnalizowały każdy, choćby nieznaczący wzrost niebezpieczeństwa na szlaku. Zderzenie z meteorytem było oczywiście bardzo mało prawdopodobne, niemniej wzmożona czujność obowiązywała.

Podziękowawszy stacji meteorologicznej za prognozę, Tin włączyła ponownie telewizor. Pasażerowie w barze jeszcze w dalszym ciągu rozmawiali o Żółtym Jakubie.

— Rzecz w tym — perorował Gan z zapałem — że dawniej umiano powodować utratę pamięci tylko przez fizyczne uszkodzenie mózgu lub co najmniej przez wywołanie gwałtownego zaburzenia w jego funkcjach fizjologicznych środkami fizycznymi lub chemicznymi. Przypuszczano nawet, że nie uda się nigdy zniszczyć engramów pamięciowych. Sprawa identyfikacji i usuwania dowolnie wybranych, pojedynczych engramów, czyli śladów pamięciowych w mózgu, wydawała się zupełnie beznadziejna.

— Rozumiem — podchwycił Brazylijczyk. — Jeśli w „zapisie” uczestniczy większość komórek...

— A jednak obawy były przedwczesne — ciągnął Gan. — Niektóre części kory mózgowej są bardziej czułe na działanie „bodźców pamięciowych” niż inne jej pola. Zespół Alla wpadł na pomysł, aby wywołując sztucznie odpowiednie drgania elektryczne...

Znów zapłonęła żółta lampka i trzeba było połączyć się z Ziemią. Tym razem nie była to jednak stacja meteorologiczna. To Jore wywoływał Tin przez TCR-port Sydney.

Gdy ujrzała na ekranie jego uśmiechniętą twarz, zapomniała, że jeszcze przed chwilą z niechęcią naciskała guzik przełącznika. Zapomniała o wszystkim — o Żółtym Jakubie, o profesorze Allu i jego eksperymentach, o dziwnym młodym człowieku, którego nazwisko znał cały świat, a dla niej było ono obce... Pozostał tylko Jore, jego oczy i głos o ciepłym, niskim brzmieniu. Gdy słuchała słów pełnych subtelnej czułości, pierzchało dręczące uczucie osamotnienia. Nie czuła się już tak obca, zagubiona wśród wielkiego, nieznanego świata, przytłaczającego swym ogromem, niepokojącego co krok dziesiątkami zagadek i tajemnic, które dla miliardów ludzi nie były zagadkami i tajemnicami.

Sześć dni temu Tin objęła służbę na międzykontynentalnej linii Sydney-Werona. Niemal codziennie — najczęściej w połowie drogi, gdy było więcej wolnego czasu — łączyła się z Jorem, aby zamienić choć parę słów. Nigdy nie umawiali się specjalnie, a jednak dziś, kiedy splot okoliczności sprawił, że zapomniała połączyć się z domem — sam zadzwonił. Szkoda tylko, że łączył się przez TCR-port, a nie przez publiczną radiorozmównicę. Nie czuła się swobodnie wiedząc, że automaty w porcie rejestrują każde słowo. Dlatego również postanowiła nie wspominać na razie o Feri Ganie.

Jore zawsze był bardzo serdeczny i pełen życia. Tym razem jednak Tin spostrzegła, że jest czymś wyjątkowo podniecony. Okazało się, że myśli o nowej koncepcji „Słońca południa” i cały ranek przesiedział na plaży ze szkicownikiem.

Mówił z takim ożywieniem o swych planach, że nie zwrócił nawet uwagi na nowe uczesanie Tin. Trochę ją to gniewało, bo w czasie jednogodzinnej przerwy między pierwszym a drugim kursem poleciała specjalnie do Paryża, aby zrobić mu niespodziankę. Ale czyż mogła mieć pretensję, iż przede wszystkim chciał się podzielić tym, co w tej chwili wypełniało bez reszty jego umysł?

Na zakończenie rozmowy obiecał, że będzie czekał w porcie i wpadną razem na obiad do Pałacu Marzeń. Była tak uradowana, że zapomniała zupełnie o Ganie. Nieprzyjemne wrażenie niepokoju rozwiało się bez śladu. Cóż ją obchodził natrętny pasażer i jego indagacje, co ją obchodził cały świat?

Pozostało jeszcze dwanaście minut do lądowania. Sztuczneciążenie potęgowała teraz praca silników odrzutowych.

Rakieta z każdą sekundą zmniejszała szybkość. Automatyczny pilot prowadził maszynę do celu, nieustannie kontrolując i korygując jej ruch. Wykres drogi pokrywał się niemal idealnie z instrukcją.

Tin włączyła znów telewizor i naciskając coraz to inne guziki, „wędrowała” przez wnętrze statku, kontrolując kabinę za kabiną. Większość pasażerów siedziała w swych fotelach, drzemiąc lub oglądając audycje telewizyjne. Dwie czy trzy osoby patrzyły przez okna na rosnący w oczach kontynent Australii.

W barze zobaczyła tylko Gana i płowowłosą dziewczynę. Młodzi ludzie rozprawiali nadal z ożywieniem, stojąc przy bufecie.

Na ich widok Tin znów uczuła jakiś nieokreślony niepokój. Niemal odruchowo włączyła stereodźwięk.

— Któż by nie uległ pańskiej elokwencji? — usłyszała śmiech dziewczyny.

Gan nie ukrywał zadowolenia z komplementu.

— Mam trochę praktyki — powiedział ze sztuczną skromnością. — Ta kobieta była jednak niezmiernie zdyscyplinowana osobką. Jak zresztą wszyscy współpracownicy Alla. Nie chciała mi w niczym pomóc, ani nawet udzielić najprostszych informacji. Nie pomogła nawet próba zagrania na ambicji. O własnej pracy nie powiedziała ani słowa.

— Może nie miała czym się chwalić?

— Wątpię. Na Żółtym Jakubie nie spotka pani wśród pracowników naukowych byle kogo. To jest niezmiernie skrupulatnie dobrany zespół. Ta młoda dziewczyna była wybitnym specjalistą w dziedzinie neurofizjologii.

— Ale w końcu udało się panu coś z niej wydobyć?

— Niewiele, ale i to coś znaczy. Rozwiązał jej się język dopiero wówczas, gdy zacząłem w sposób prowokacyjny kwestionować sens eksperymentów Alla.

— To ciekawe.

— Było to strzelanie kulą w płot. Powiedziałem ogólnikowo, że All swymi eksperymentami unieszczęśliwia ludzi. Moja rozmówczyni zapalała wówczas świętym oburzeniem i oświadczyła, że przeciwnie — Żółty Jakub jest pierwszą pod słońcem „fabryką szczęścia”. Odrzekłem więc, że to gołosłowna przechwałka, że nie ma żadnych dowodów na to, by ludzie opuszczający żółtego Jakuba byli szczęśliwsi niż przed przybyciem na ten sztuczny księżyc. Wówczas po raz pierwszy i ostatni

puściła trochę pary z ust.

— I co pan od niej usłyszał?

— Interesującą historię.

— Może mi ją pan opowiedzieć? Umiem zachować dyskrecję.

Gan spojrział na zegarek.

— Jeszcze mamy sześć minut. Historia jest krótka. Nie znam żadnych nazwisk ani bliższych szczegółów. Otóż jeden ze współpracowników Alla poznał kiedyś przypadkowo pewną kobietę, która znajdowała się w stanie głębokiego załamania psychicznego. Okazało się, że przyczyną był dość typowy, nie tylko dla naszych czasów, konflikt małżeński. Początkowo małżeństwo było szczęśliwe, lecz później coś zaczęło się psuć. Coraz częściej dochodziło do niesnasek na tle zazdrości z jej strony i zdaje się jego trybu życia. Zazdrość była raczej uzasadniona, bo okazało się w końcu, że „ta trzecia” istnieje rzeczywiście. Oboje należeli jednak do ludzi subtelnych, jak to się mówi „ze skrupułami”. Kobieta cierpiała bardzo, że mąż już jej nie kocha, on zdawał sobie sprawę z tego, że ona bardzo ciężko przeżyje rozstanie i nie mógł zdecydować się na odejście. Z kolei ona odczuwała wyrzuty sumienia, że on cierpi nie decydując się na odejście do tej, którą naprawdę kocha. I tak dalej, i dalej w kółko. Melodramatyczny dylemat...

— Śmieszni ludzie.

— Możliwe, ale dowodzi to zarazem dużej subtelności uczuć. w każdym razie ona była już bliska decyzji popełnienia samobójstwa, co w naszych czasach zdarza się rzadko. Wstrzymywało ją od tego kroku jedno — bała się, że jej śmierć zatruje mu szczęście, że on może odczuwać wyrzuty sumienia. Widzi pani, co znaczy prawdziwa miłość! I wówczas zjawił się ten współpracownik Alla jak wybawienie. Nie wiem, skąd dowiedział się o tej historii. Czy ona mu się zwierzyła? — Chyba nie. Może przez jakiegoś znajomego? To zresztą nieważne. Dość, że przypadek odpowiadał eksperymentalnym potrzebom Alla. Rzecz w tym, że nie chodziło tu o zwykłą zmianę uczuć, o jakąś kurację zobojętniającą. Ta kobieta chciała naprawdę zapomnieć o swym niewiernym małżonku. Na szczęście nie mieli dzieci, więc sprawa była dość prosta. w instytucie Alla usunięto z jej pamięci nie tylko to, co wiązało się z osobą jej męża i ich pożyciem małżeńskim, ale również — aby zapobiec możliwości ponownego spotkania i przypadkowych konfliktów — wszelkie skonkretyzowane wspomnienia osobiste z całego życia. Pozostawiono tylko fragmenty niezbędne do zachowania tak zwanego minimum doświadczenia życiowego. Jednocześnie przy pomocy chirurgii plastycznej zmieniono rysy jej twarzy tak, iż po zmianie nazwiska kobieta ta nie mogła być rozpoznana przez nikogo ze swoich dawnych znajomych. Ostatnim etapem kuracji była przyspieszona, miesięczna reedukacja dla przygotowania pacjentki do nowego życia. Ta kobieta stała się zupełnie nowym człowiekiem, popełniwszy niejako „psychiczne samobójstwo”.

— Więc jednak wiele jest prawdy w plotkach? Pan przypuszcza, że nasz kapitan przeżyła też podobną operację?

— Tak. Wszystko na to wskazuje. Ale to jeszcze nie koniec historii, którą opowiedziała mi młoda współpracowniczka Alla.

— Nie koniec? — zdziwiła się dziewczyna.

— To właściwie dopiero pierwszy rozdział tragifarsy — podjął Gan. — Niech pani sobie wyobrazi, że ów niewierny małżonek po niedługim czasie również przyleciał na Żółtego Jakuba! Chłop nie miał szczęścia. Nowa żona rzuciła go po paru tygodniach pożycia. Zdecydował się pójść w ślady swej pierwszej małżonki. Nie wiem, czy tak rozpaczał po utracie tej drugiej, czy też po prostu znudzony dotychczasowym życiem — dość, że postanowił również popełnić „psychiczne samobójstwo”. All wiedział, kim on jest, i nasunął mu się pomysł iście szatańskiego eksperymentu. Otóż po dokonaniu zabiegów skierowano pechowego małżonka na ten sam oddział rehabilitacyjny, na którym była jego dawna żona. Oczywiście jedno o drugim nic nie wiedziało. Byli dla siebie zupełnie obcymi ludźmi. Nie wiem, w jakim stopniu All zaaranżował dalszy rozwój sytuacji — fakt pozostał faktem, że oboje zbliżyli się szybko do siebie, stali się nieodłącznymi przyjaciółmi, a po opuszczeniu Żółtego Jakuba zamieszkali podobano jako nowe małżeństwo.

— Ale czy oni o tym wiedzą, że...

— Oczywiście, że nie wiedzą. Skąd? Nikt im tego nie może powiedzieć. Chyba tylko sam All lub jego współpracownicy. W tym czasie na Żółtym Jakubie skojarzono kilka par...

— I oni są szczęśliwi?

— Podobno bardzo. Tak przynajmniej twierdziła współpracowniczka Alla.

— A nie dowiedział się pan chociaż, kim oni byli przedtem? Jaki był jego lub jej zawód?

Przeciągłe burczenie przerwało rozmowę. Automatyczny pilot sygnalizował lądowanie.

— Proszę zająć miejsca w fotelach! — padł z megafonów rozkaz. Jednocześnie na pulpicie przed Tin zapłonęła zielona lampka sygnalizatora.

— Stacja TCR 322! Pasma — AC-3. Bezawaryjna?

— Bezawaryjna! — potwierdziła Tin.

— Zejdźcie z linii!

— Wyłączam!

Rakieta zakołysała się w powietrzu i usiadła miękko na wysuniętych z kadłuba amortyzatorach.

Tin nacisnęła guzik automatu otwierającego właz główny i wstała z fotela. Chwilę patrzyła w zamyśleniu na martwą tablicę superkontroli, potem wstrząsnęła nerwowo głową, jakby chciała w ten sposób odpędzić złe myśli. Machinalnie wyjęła z szufladki automatu puszkę z raportem i ruszyła wolno ku drzwiom.

II

Biała willa tonęła w soczystej zieleni. Już z daleka Tin dostrzegła przez gałęzie drzew srebrzysty kadłub jonetera zaparkowanego na niewielkim placyku przed domem.

Wbiegła pospiesznie na schodki.

Natychmiast po otwarciu drzwi uderzyły w jej uszy zgiełkliwe tony jakiejś starej jazzowej symfonii.

W pracowni na pięterku wśród rozrzuconych na podłodze wielkich arkuszy klęczał Jore. Był tylko w spodniach, a jego opalone plecy wydawały się jeszcze ciemniejsze wśród barwnych plam kompozycji.

— Jore! — okrzyk Tin utonął wśród ogłuszających dźwięków muzyki.

Podeszła do ściany i wyłączyła głośnik.

Jore uniósł głowę i spojrzał na Tin współprzyciennie. Potem zerwał się szybko z klęczek i podbiegł do niej.

— Już jesteś? — zawołał radośnie.

— Jestem.

— Wylądowałaś wcześniej? Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

— Wylądowałam zgodnie z rozkładem lotów.

— Jak to? — zdziwił się i pospiesznie spojrzał na zegarek. — To już 15.16?

— Myślałam, że przylecisz po mnie.

— Och, gdzie ja mam głowę? — powiedział szczerze zmartwiony — I tyś czekała na mnie?...

— Czekałam...

— A ja się tak zająłem robotą, że zupełnie zapomniałem o całym świecie... Patrz! Widzisz? — wskazał ręką barwne szkice. — Nowa koncepcja! Zupełnie nowa koncepcja!

— Widzę. Bardzo ciekawy pomysł — odrzekła trochę oschle i natychmiast usiłowała to naprawić. — Naprawdę świetny pomysł!

Jore wyczuł jednak sztuczność w jej głosie.

— Nie podoba ci się? — zapytał z żalem.

— Ależ nie... — zaprzeczyła skwapliwie. — Heb miał rację, że tamta kompozycja była słaba. To, co tu widzę, podoba mi się bardzo. Oczywiście musisz jeszcze nad tym popracować. Ale tu już coś jest. Zwłaszcza ten fragment...

— To będzie „Poranek”.

— Oryginalnie wkomponowałaś twarz tej kobiety... Nieprzeciętny profil. Może nieco za daleko posunięta deformacja...

— To dopiero szkic... Wydało mi się jednak — podjął na nowo — że początkowo miałaś jakieś wątpliwości?...

— Nieee. Nie. Byłam tylko zawiedziona, że nie przyleciałeś po mnie.

— Co za głupiec ze mnie! Ale już chyba nie masz do mnie żalu?

Objął ją przedramieniem, aby nie pobrudzić dłońmi sukienki i pocałował w szyję. Przytuliła głowę do jego piersi i powiedziała cicho:

— Czyż mogłabym mieć żal?... Tak nam dobrze razem... Prawda, że nigdy się nie rozstaniemy... Powiedz?

Spojrzał na nią trochę zdziwiony.

— Co ci chodzi po głowie?

— Nic. Nic... To jednak bardzo wiele znaczy — mieć na świecie kogoś bliskiego, bardzo bliskiego, kogoś, kogo się kocha i przez kogo jest się kochanym...

— To jest właśnie szczęście — powiedział całując ją w usta.

— Powiedz mi, jak wpadłeś na tę nową koncepcję? — podjęła po chwili przerwana rozmowę na temat pracy Jorego. — Mówiłeś, że na plaży...

— A tak. Rano dzwonił Heb, że komisja odrzuciła projekt. Był to dla mnie ciężki cios. Aby uspokoić nerwy, poszedłem się wykąpać. I naraz, nie wiem skąd, przyszedł mi do głowy pomysł przesunięcia głównego akcentu w lewy dolny róg północnej ściany. Potem już rodziła się jedna myśl za drugą...

— A ta twarz?

— Właśnie ta twarz... Spotkałem na plaży dziewczynę. Niezwykły profil. Obejrzyj szkicownik, a ja umyję ręce. Leży na stoliku.

Poszedł do umywalni. Tin usiadła w fotelu, przeglądając rysunki.

Z dwudziestu paru szkiców wykonanych tego ranka na plaży, ponad dwie trzecie wyobrażało tę samą młodą kobietę. Były to przeważnie głowy, choć nie brakowało też całych postaci. Dziewczyna była bardzo zgrabna, ale szczególną uwagę zwracała przede wszystkim jej twarz promieniejąca radością. Nie było w niej nic z klasycznej urody, lecz wyglądała jak symbol nieokiełznanej, zwycięskiej młodości.

— Sfilmowałem ją także — rzucił Jore, stając za plecami żony. — Możesz się przekonać, jak wygląda w rzeczywistości.

— Nawet sfilmowałaś?

— Dziwisz się?

— Nie. To, zdaje się, istotnie niezwykły model. Jeśli, oczywiście, nasze subiektywne wrażenia mogą mieć jakąkolwiek wartość.

Jore zasępił się.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Patrzyła w zamyśleniu na szkice.

— Cóż my wiemy o świecie, który nas otacza?... Czy w ogóle nasze odczuwanie piękna, nasza ocena wartości estetycznych nie uległa jakiemuś wypaczeniu, a co najmniej, czy nie jest w rzeczywistości płytką, powierzchowną i tylko sztucznie wyolbrzymioną w subiektywnym spojrzeniu? Tak jak czasami, we śnie lub w półśnie zdaje nam się, iż wpadł nam do głowy wielki genialny pomysł albo że ktoś wywiera na nas szczególnie potężne wrażenie, gdy w rzeczywistości pomysł nasz jest najgłupszym pomysłem pod słońcem, a człowiek wywierający „niezwykłe” wrażenie nie różni się niczym od tysięcy mijanych obojętnie w życiu codziennym...

— I janieraz o tym myślałem... Jednak dotychczasowe doświadczenie mówi

nam, że nasze odczuwalnie wrażenia estetycznych jest na ogół prawidłowe. Dlaczego pomyślałaś o tym w tej chwili?

— W porcie Werona i tu w Sydney koledzy i zwierzchnicy uważają mnie za doświadczonego kapitana — podjęła, nie odpowiadając na pytanie. — To śmieszne. Moje prawdziwe doświadczenia życiowe, doświadczenia takie, które mogą związać z konkretnym, zlokalizowanym wspomnieniem, sięgają zaledwie pięciu miesięcy. w tym blisko cztery i pół miesiąca pobytu na Żółtym Jakubie. Prawda, jakie to śmieszne, Jore?...

Jore usiadł obok Tin i ujął delikatnie jej dłoń.

— Gorycz przemawia przez ciebie. Nie widziałem cię jeszcze nigdy w takim stanie. Powiedz, co cię gnębi?

— Nie wiem... Tak jakoś napadły mnie myśli, że jednak... źle jest nie wiedzieć o sobie... wszystkiego.

— Co znów ci przyszło do głowy? — przeraził się. — Czy nie wiesz, że to nie ma sensu?

— Tak. Zawsze się bałam, że może przyjść dzień, w którym pocznę żałować...

— Czego? Co ty pleciesz?

— All twierdził, że nigdy nie będziemy pragnęli poznać tamtego życia... Jego maszyny wmówiły to w nas... A jednak All nie przewidział wszystkiego...

— To dziecinada, naiwna ciekawość...

— Nie. To coś więcej... To niepewność...

Spojrzał w jej oczy z lękiem.

— Jakaż znów niepewność?

Już miała odpowiedzieć, gdy na dole rozległ się dzwonek wizofonu.

— To pewno Heb, do mnie... — powiedział Jore wstając.

Tin podniosła się również.

— Pójdę przygotować obiad.

Przeszła do jadalni i wyjąwszy ze spiżarni kilka puszek, wsunęła je do automatu kuchennego. Gdy wyjmowała z podajnika napełnione talerze, w drzwiach stanął Jore. Oczy płonęły mu radością i podnieceniem.

— Będziemy mieli wieczorem gościa — powiedział tajemniczo.

— Heb?

— Nie zgadłaś. I chyba nie zgadniesz kto?

Uczuła nieprzyjemny skurcz w krtani.

— Czyżby ktoś od Alla?

— Nie. Czy wiesz, kto to jest Feri Gan?

Zdawało się jej przez moment, że upuści talerz na podłogę.

— Gan?

— Słynny telereporter. Nazywają go Kischem^[2] naszych czasów. Na pewno zainteresował się moim „Słońcem Południa”. To człowiek, który może zrobić ze mnie sławę malarską, jeśli tylko zechce napisać czy nagrać coś o moich pracach.

— Myślisz, że on zapragnął odwiedzić nas dlatego, iż zobaczył twoje obrazy w Wiosennej Galerii?

— A jakże by inaczej?

— Ten człowiek był na Żółtym Jakubie.

Jore nie zrozumiał sensu słów Tin.

— Cóż z tego? Jeśli All zwrócił jego uwagę na mnie — tym lepiej. Będziemy mieli jeszcze jeden powód wdzięczności dla profesora.

Byłoby okrucieństwem rozpraszać złudzenie Jorego.

„Czy zresztą jest sens mówić mu o podsłuchanej rozmowie?” — pomyślała z rezygnacją. — „Może dobrze się stało”...

III

Feri Gan przyleciał punktualnie o 20. Był jak zwykle niezmiernie elokwentny. Obejrzał barwne szkice do nowego i starego projektu „Słońca Południa”. Wyrażał swe uwagi z dużym znanstwem i, jakikolwiek był umiarkowany w pochwałach, zjednął sobie bez reszty Jorego. Zwrócił też od razu uwagę na niezwykłą twarz dziewczyny z plaży.

O Żółtym Jakubie ani o celu swej wizyty nie wspomniał w pracowni nawet jednym słowem i Tin czekała z niepokojem chwili, gdy zasiąda do kolacji.

Nie pomyliła się. Gan chciał pozyskać zaufanie Jorego, aby tym łatwiej skłonić go do zwierzeń. Nie spodziewała się jednak, iż postawi sprawę zupełnie otwarcie, a zarazem tak zręcznie, że Jore sam ułatwi mu grę.

— Nie wiem, czy domyślacie się państwo, dlaczego złożyłem wam wizytę — rzekł, gdy zasiedli do stołu. — zrzędzeniem przypadku leciałem tą rakieta, którą pani prowadziła, i przypomniało mi się, iż widziałem panią na Żółtym Jakubie. Niech pani nie próbuje przeczyć, gdyż widziałem tam również męża pani i nie mam żadnych wątpliwości. Wszystko, co związane jest z pracami Alla, interesuje mnie ogromnie — w biurze portowym dowiedziałem się, gdzie pani mieszka oraz kim jest pani mąż. Powiem szczerze, nie gniewajcie się państwo, ale chodziło mi przede wszystkim o rozmowę z wami o Żółtym Jakubie. Sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy zobaczyłem pańskie prace.

— A więc? — Jore spojrzał niepewnie na gościa.

— Przygotowuję cykl telereportaży pod roboczym tytułem: „Portrety ludzi naszego czasu” i jeśli pan pozwoli, pokażę tam ewolucję pańskiego „Słońca Południa”. Nie uważam bynajmniej, że pierwotny projekt kompozycji ściennych dla Tęczowego Pałacu jest zły czy słaby, jak pan sam to twierdzi. Brakowało w nim tylko tego, co łączy wszystkie elementy w doskonałą całość. To właśnie osiągnął pan w nowym ujęciu. Chciałbym pokazać widzom narodziny i przeobrażanie się koncepcji twórczej w życiu artysty, na gorąco. Sprawę Żółtego Jakuba pozostawiam zupełnie na uboczu. Wiem, że nikt z wracających z sanatorium Alla nie lubi o tym mówić. Nie będę więc wyciągał od państwa żadnych zwierzeń, gdyż naprawdę byłaby to nieuczciwość z mej strony. Zgodzicie się państwo, że będę przylatywał co pewien czas i obserwował z kamerą pańską robotę?

— Oczywiście, bardzo się cieszę — odrzekł z nieukrywanym zadowoleniem Jore. — A jeśli chodzi o Żółtego Jakuba, istotnie przybyliśmy stamtąd trzy tygodnie temu. Tam właśnie narodziła się moja pierwsza koncepcja „Słońca Południa”. To zamówienie zdobył dla mnie All. Nie mamy zresztą nic przeciwko temu, aby pan nas pytał o sprawy związane z naszym pobytem na Żółtym Jakubie. Co będziemy mogli, to panu powiemy. Prawda Tin?

Skinęła głową, myśląc jednocześnie: „Jaki Jore jest naiwny”.

— Czy jednak profesor nie zobowiązał państwa do dyskrecji? — zapytał Gan.

— Nie, oczywiście, samo przez się jest zrozumiałe, że pewne fakty nie mogą przeniknąć do publicznej wiadomości...

— A więc państwo godzą się na ogłoszenie niektórych swych wypowiedzi?

Jore zmieszał się.

— Zależy co i w jakiej formie?

— O tych sprawach w ogóle niełatwo mówić. Zwłaszcza nam — odezwała się Tin. — Tu problem nie leży na płaszczyźnie „publikować — nie publikować”. Tego chyba nie zrozumie ten, kto sam nie przeżył kuracji u Alla.

— Powiedziałem już, że nie mam zamiaru państwa indagować.

— Ależ proszę, niech pan mnie pyta — zachęcał Jore. — Słucham.

— Nie będę dziś państwa męczył. Może innym razem, przy okazji, gdy przylecę nagrywać. Chodziło mi tylko o niektóre wasze wrażenia. Na przykład, czy w pamięci nie pozostało naprawdę nic z dawnych wspomnień? Choćby z dzieciństwa?

— To zależy. Nie mamy wspomnień ściśle umiejscowionych, uporządkowanych w czasie i przestrzeni, które pochodziłyby sprzed sześciu miesięcy. Nie znaczy to jednak, iż nie mamy żadnych wspomnień. Pamiętam na przykład wiersz albo jakiś wzór chemiczny... I wiem, że wiersz ten deklamowałem w jakiejś dużej, jasnej sali pełnej młodzieży, a wzór rzucał ktoś na białą tablicę wielkimi czarnymi literami. Ale jest to tylko strzęp, urywek, jedna scena widziana jak przez mgłę. Pamiętam również rodziców, lecz tylko ich zachowanie, czułość, czasem widzę zarysy postaci. Twarzy nie pamiętam. Gdybym ujrzał ich fotografię, nie wiem, czy wiedziałbym, kim oni są?... Nieraz jakieś twarze wydają się znajome, ale nie potrafię ich nigdzie umiejscowić.

— To bardzo przypomina zwykłe zjawisko zapominania — zauważył Gan. — Ja również wiele wydarzeń pamiętam jak przez mgłę. Nie widzę twarzy, czy ich nawet nie rozpoznaję na fotografii. A przecież nie przechodziłem kuracji u Alla i mam dopiero dwadzieścia sześć lat.

— Ma pan jednak obok tych urywkowych, częściowo zatartych wspomnień również wspomnienia konkretne, uporządkowane, wyraźne. A my ich nie mamy zupełnie. Moja żona na przykład zna świetnie konstrukcję statków kosmicznych, orientuje się w astronomii, fizyce, chemii, matematyce, ale nie potrafi odtworzyć w pamięci, gdzie, w jakich okolicznościach zdobyła tę wiedzę. Zna dobrze geografie, więcej — wie, że była w tych i tych miastach, ale kiedy, z kim, to już zostało zatarte w jej zwojach mózgowych.

— W jaki sposób przebiegała ta operacja? Czy państwo sobie coś przypominają?

— Prawie nic. Wiem tylko — powiedział mi o tym jeden ze współpracowników Alla — że w chwili przeprowadzania zabiegów byłem nawet przytomny. Człowiek znajduje się w stanie jakby hipnozy. Lekarz nakazuje mu, aby myślał o tym lub owym i w chwili gdy myśl ta pojawia się — aparatura zacierająca pamięć wytwarza w sposób automatyczny coś w rodzaju kontroscylacji wygaszających informację. Jednocześnie następuje zanik ukształtowanej w mózgu kombinacji połączeń nerwowych. Otrzymuję polecenie, abym myślał na przykład o swym krewnym, którego znałem bardzo dobrze. Przypominam więc sobie na przykład jego twarz i pod

działaniem kontroscylacji zacięra mi się ona w pamięci. Znów lekarz każe mi myśleć o tym kuzynie.

Przypominam sobie poszczególne sceny z mego życia, w których uczestniczyłem razem z nim, i natychmiast rozplývają mi się w pamięci tak jak jego twarz. Wiem o nim coraz mniej, aż wreszcie zupełnie nic nie wiem. Nazwisko wypowiedziane przez lekarza nie budzi żadnych skojarzeń, co najwyżej przypadkowe, fonetyczne. W pamięci jest w tym miejscu pustka.

— Mimo to jednak coś pozostaje, choćby samo nazwisko nieznaney już osoby, wymieniane w czasie zabiegu.

— Nie. Później usunięte zostaje również wspomnienie samego zabiegu.

— Podobno jednocześnie zaszczepiana bywa niechęć do szukania śladów przeszłego życia, a nawet rozmów na ten temat?...

— To bardzo możliwe. Moja żona odczuwa jeszcze w dalszym ciągu uraz na tym punkcie. Ten uraz gdzieś tkwi w podświadomości i gdy człowiek stara się go wydobyć na zewnątrz sam, drogą introspekcji — ogarnia go rosnący niepokój. Ja również początkowo odczuwałem to bardzo silnie, ale już w znacznym stopniu zdołałem opanować. Tylko czasami, bardzo rzadko, zdarza się, że przeżywam coś w rodzaju szoku...

— Technicznie taki stan jest chyba dość łatwy do osiągnięcia — zauważył Gan. — Gdy w sieci neuronowej zaczyna dominować na przykład oscylacja o częstości sześciu cykli na sekundę — człowiek przeżywa przykre uczucia, takie, jakie występują w niebezpiecznych sytuacjach życiowych. Spokojnej atmosferze skupionej pracy odpowiadają oscylacje o częstości dwudziestu czterech cykli na sekundę.

Tin spojrzała na Gana niechętnie. Chciała ostudzić jego zapędy krasomówcze, choćby ze względu na Jorego.

— To wszystko jest zupełnie zrozumiałe — powiedziała obojętnym tonem. — Istnieje ścisły związek między uczuciami i wahaniami potencjału elektrycznego w sieci neuronowej. Wystarczy w ten sposób ukształtować strukturę elektryczną pamięci, aby określone myśli wywoływały drogą rezonansu takie przykre oscylacje.

— Widzę, że pani zna się nie tylko na raketach — zauważył reporter.

— Trochę mnie to interesowało, ale nie zmienia faktu, że każda próba powrotu do przeszłości wywołuje u mnie właśnie owe przykre oscylacje...

Gan zdawał się jednak nie dostrzegać aluzji.

— Jeśli można, jeszcze o coś państwa zapytam. Pani doświadczenie, kapitanie, wskazuje, że musiała pani latać również w przeszłym życiu. To chyba nie ulega wątpliwości. Pan też już kiedyś był malarzem? A jeżeli tak — czy obrazy, które malował pan przed utratą pamięci, noszą to same piętno pańskiej indywidualności jak i obecnie malowane?

— Nie wiem. Chyba tak być powinno.

— Czy możliwe, by talent pański rozwinął się dopiero teraz, w ciągu tych kilku miesięcy po operacji?

Jore patrzył w zamyśleniu w filiżankę.

— Chodzi panu o to — powiedział po chwili głosem nieco drżącym — czy można znaleźć w jakiejś galerii lub zbiorach prywatnych moje obrazy z... tamtych czasów?

Gan wpatrywał się w skupieniu w twarz malarza.

— Tak.

— Tego nie wiem. Nie szukałem i chyba nie będę szukał. Sławą na pewno nie byłem. Może malowałem tylko dla przyjemności, z amatorstwa...

— I nie pamięta pan żadnego ze swych dzieł?

Jore siedział z głową podpartą dłońmi. Wydawało się, że patrzy w blat stołu, ale w rzeczywistości miał oczy zamknięte. Mięśnie zaciśniętych szczęk drgały nerwowo.

Tin uniosła się z fotela. Nie panowała już nad sobą.

— Proszę, niech pan o to nie pyta! — zawołała z rozdrażnieniem.

Gan wstał zmieszany.

— Przepraszam państwa najmocniej. Nie wiedziałem, że — urwał niepewnie. — Chyba już pójdę.

Jore podniósł się również. Twarz miał bladą.

— To ja przepraszam — wyjąkał zmienionym głosem.

— Nie powinienem był wszczynać rozmowy... — zaczął reporter i znów nie dokończył. — Do widzenia państwu.

— Do widzenia — powiedział cicho Jore. — Niech pan jeszcze do nas przyjdzie... Za parę dni...

Tin odprowadziła gościa do drzwi.

— Bardzo mi przykro — rzekł jeszcze raz Gan.

— Proszę nam wybaczyć — odpowiedziała Tin i naraz chwyciła Gana kurczowo za rękę. — Teraz ja chcę zadać panu jedno pytanie. Ale niech pan odpowie z całą szczerością.

— Przyrzekam.

— Słyszał pan o małżeństwie, które się rozpadło, a potem połączył je All?

— Słyszałem.

— Czy to my jesteśmy?

Reporter poruszył się niespokojnie.

— Nie. Chyba nie... — odrzekł zdziwiony i po raz drugi tego wieczoru uświadomił sobie nagle, że znów musiał popełnić bezwiednie jakąś straszną gafę...

IV

Następnego dnia na próżno Tin czekała w czasie powrotnej drogi z Werony do Sydney na wizofon od Jorego. Uparła się, że sama nie będzie dzwonić. Chociaż w miarę zbliżania się do powierzchni Ziemi rosło w niej zdenerwowanie, wytrwała do końca w postanowieniu. Ku jej radosnemu zdziwieniu srebrzysty joneter SM 37 218 czekał jednak na dachu stacji autolokacyjnej.

Jore był tego dnia serdeczniejszy niż zwykle. Zaraz przy powitaniu począł tłumaczyć, dlaczego nie zadzwonił przez centralę TCR-port, tak jakby to było jego obowiązkiem.

— Malowałem całe przedpołudnie. Potem musiałem polecieć na budowę

Tęczowego Pałacu i mogłem urwać się dopiero przed samym przylotem twojej rakiety — mówił, patrząc w jej oczy, jakby chciał wyczytać z nich, czy nie jest na niego zagniewana. — w czasie przechodzenia do lądowania dzwonić nie wolno, więc...

W pracowni zastała Tin jeszcze większy bałagan niż zwykle. Szkiców przybyło na podłodze chyba w dwójnasób. Coraz śmielsze, coraz niezwyklejsze w rysunku i zestawieniu kolorów uderzały w oczy jakimś szalonym, urzekającym rytmem tanecznym.

Nie brakło również nowych główek dziewczyny z plaży, i to zarówno włączonych już w szkice kompozycyjne, jak i rysunków odręcznych. Wśród nich uwagę Tin przykuły dwa akty.

— Widzę, że dziś znów rysowałeś tę dziewczynę — rzuciła z pozorną obojętnością.

— Owszem, zaprosiłem ją do pracowni.

— A więc tu była?

— Przecież nie mogłem wymagać od niej, by mi pozowała nago na plaży, w publicznym miejscu — odrzekł ze śmiechem.

— Ach tak — skinęła głową w zamyśleniu.

Nie wracała do tego tematu więcej, aż dopiero rano, już przed samym odlotem, gdy całował ją na pożegnanie, powiedziała z lekkim wyrzutem:

— Nie przyprawdzaj tej dziewczyny do naszego domu.

Był zaskoczony.

— Dlaczego?

— Proszę cię o to — odparła krótko i zbiegła po schodach do tunelu startowego.

Dzień ten chyba był najcięższy w jej sześciomiesięcznym nowym życiu. Tak jak poprzedniego dnia — Jore nie zadzwonił, a chociaż czekał z joneterem w porcie, tym razem nie wspomniał ani słowem, co robił przed południem.

Mimo zwykłej serdeczności i silenia się na pogodny ton rozmowy Tin wyczuwała jakiś niepokój w jego głosie.

W domu pokazał jej kilka nowych, barwnych projektów, będących rozwinięciem wczorajszych tematów.

— Malowałeś tę dziewczynę? — nie mogła się powstrzymać od pytania.

Zmieszał się jak chłopak schwytyany na gorącym uczynku.

— Malowałem — wyjąkał po chwili.

— Była tu?

— Nie. Tylko na plaży.

— Gdzie są te arkusze?

Podszedł do szafy i wyjął z teczki kilka barwnych rysunków.

Przeglądała machinalnie. Widziała, że spogląda na nią z niepokojem.

— Dlaczego schowałeś przede mną te rysunki? — zapytała z chłodnym wyrzutem.

Patrzył chmurnie przez szklaną ścianę na błyszczący wśród zieleni kadłub jonetera.

— Bałem się, że... że znów będziesz niezadowolona — odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

— Dobrze i to — rzuciła z ironią.

Spojrzał na nią i roześmiał się sztucznie.

— Czyżbyś była zazdrosna?

— Mam do tego prawo.

— Co ty pleciesz? Przecież to tylko model!...

— Chciałabym ci wierzyć.

— Twoje obawy są śmieszne! Przecież mógłbym być ojcem tej dziewczyny!...

— To jeszcze nic nie znaczy! Może właśnie tak się tamto zaczęło...

Był zupełnie zdezorientowany.

— Co się miało zacząć?!

Nie mogła dłużej ukrywać tego, co od kilku dni napełniało ją rosnącym niepokojem. Opowiedziała pokrótce o podsłuchanej rozmowie Gana z pasażerką rakiety i o tym, co usłyszała od reportera w hallu.

— Gan nie zaprzeczył kategorycznie — powiedziała na zakończenie. — A to znaczy, że tylko nie chciał psuć dzieła Alla. Nie chciał burzyć naszego szczęścia! Jest jednak za uczciwy, by nas okłamywać...

Jore przyjął tę wiadomość nad podziw spokojnie.

— To wszystko nie uzasadnia twych podejrzeń. Raczej ja powinienem czuć żal, że ukrywałaś przede mną swoje zmartwienie. Jak można było tak łatwo poddać się sugestii? Mam cię teraz zdradzić dlatego tylko, że kiedyś rzekomo zrobiłem to samo?

— Istnieją skłonności wrodzone, nieświadome, silniejsze niż pamięć osób czy zdarzeń...

— Nie przeczę, że tak bywa. Ale czyż musi to koniecznie nas dotyczyć? Przede wszystkim nie przypuszczam, aby istniały jakieś poszlaki, że tamta para — to my. Przecież na Żółtym Jakubie poznali się również Zoja i Tol, Fis i Hedo... To, co mówił Gan, o niczym jeszcze nie świadczy.

— Już sama niepewność wystarczy, by zatruć szczęście — westchnęła Tin. — Niestety, są i fakty świadczące o tym, że musieliśmy znać się od lat. Skąd na przykład wiedziałam, że nie znosisz ostryg?

— Też mi dowód — ostrygi! Wielu ludzi nie lubi ostryg. Ktoś bliski z twego dawnego życia również brzydził się ostrygami. Przeniosłaś podświadomie to wspomnienie na mnie.

— A jak wytłumaczysz, że często przeczuwam z góry, co powiesz, jak postąpisz?

— I to też nic nie znaczy! Twoje dowody są naciągnięte.

— Nie potrafisz jednak wytłumaczyć mi, dlaczego umiem rozmawiać o sztuce i znam się na malarstwie?...

Jore zamyślił się.

— To istotnie jest zastanawiające! — rzekł po dłuższym milczeniu. — Czy jednak nie może wchodzić w rachubę przypadek?

— Bardzo rzadki przypadek... Byłam w mym przeszłym życiu inżynierem-konstrukтором, a może tylko tak jak dziś kapitanem rakiety międzykontynentalnej?

Nie wykazuję żadnych zdolności do rysunków, nie lubię nawet rysować. A jednak umiem odróżnić dobry obraz od kiczu. Wiem, gdzie leży błąd kompozycyjny, na czym polega słabość gry barw i akcentów.

— Rozwinięta zdolność odczuwania piękna!...

— Właśnie! Rozwinięta! Gdzie? Kiedy? Przez kogo? Dlaczego? Skąd tak wiele wiadomości z techniki malarskiej? Skąd biorą się w mej pamięci mgliste wspomnienia jakichś dużych płócien, zmieniających z każdym dniem wygląd, przeobrażanych ręką malarza? Dlaczego znam się znacznie mniej na muzyce, teatrze, literaturze?

Jore milczał.

— Powiesz, że może miałam ojca malarza — ciągnęła Tin — że odwiedzałam przyjaciół malarzy?... Że można znać się na sztuce nic samemu nie tworząc? Tak, to możliwe. Ale wszystkie te możliwości są mniej prawdopodobne od tej, że byłam... żoną malarza. Ta zbieżność faktów i przypuszczeń jest zastanawiająca. Bardzo zastanawiająca!...

Podniósł wzrok na Tin.

— Załóżmy, że nawet nasze podejrzenia się sprawdzą, że naprawdę jesteśmy owym niefortunnym małżeństwem, które All połączył dla eksperymentu — czy ta świadomość koniecznie, nieuniknienie musi zniszczyć nasze szczęście?

— Musi! Ja nie potrafię tak żyć! Nie potrafię żyć w nieustannym lęku, że jutro może powtórzyć się znów to, co było kiedyś... Nawet jeśli byś starał się nie dawać mi powodów do obaw — życie nasunie ich — nawet wbrew twojej woli — tysiące... To wystarczy, abym sama zniszczyła całe piękno naszego wspólnego życia. Nie chcę, abys cierpiał przeze mnie. Jeśli podejrzenia nasze nie są bezpodstawne, wtedy lepiej, abyśmy zapomnieli o sobie.

— Więc jakie widzisz wyjście?

— Musimy się dowiedzieć prawdy.

— A więc?

— Za trzy dni z permskiego kosmoportu wylatuje towarowa rakieta na Żółtego Jakuba... Polecę do Alla.

V

Żółty Jakub nie utrzymywał z Ziemią regularnej komunikacji pasażerskiej. Rzadko tylko wysyłano na ten sztuczny księżyc nieduże rakiety towarowe lub któryś z sateloidów należących do instytutu Alla przewoził pracowników naukowych i pacjentów. Dostać się więc do instytutu nie było łatwo, ale Tin pracowała w Zjednoczonych Liniach Transkosmicznych, a jako była pacjentka Alla bez trudu otrzymała zezwolenie profesora.

All przyjął ją w swym prywatnym gabinecie jeszcze tego samego dnia, w którym przybyła na Żółtego Jakuba.

— No cóż, żąda pani ode mnie prawdy? — rzekł uczony, wysłuchawszy opowiadania Tin. — Stare przysłowie mówi, że „każdy jest kowalem własnego szczęścia”. Ale kowalstwa też trzeba się uczyć... Mówi pani, że woli zapomnieć o mężu niż żyć w niepewności. A więc nowa ucieczka? Jeszcze jedna... A może potem

jeszcze jedna?...

— Nie wiem — odpowiedziała Tin cicho.

— Czego pani ode mnie naprawdę chce? Słów pociechy? To banalne, żeby nie powiedzieć naiwne. Chce pani złudzenia? Może, ale czy to wystarczy? Chciałaby pani, abyśmy tu stworzyli niezniszczalne podstawy szczęścia? To utopia. Trwałe podstawy szczęścia buduje się tylko samemu! Nikt tego za nas nie robi.

— Żółtego Jakuba nazywają jednak „fabryką szczęścia”?...

— Może więc pani chce, abyśmy usunęli z jej umysłu uczucie zazdrości o męża? Chyba nie. Albo raczej wytworzyli w jego podświadomości jakiś uraz do innych kobiet, z wyjątkiem pani?

Tin spojrzała niepewnie w oczy profesora.

— Widzę, że takie rozwiązanie odpowiadałaby pani. Nie dajemy jednak żadnej gwarancji, czy ten uraz nie odbije się ujemnie na jego twórczości. Czy pani się na to zgodzi?

— Nie. Nie chcę tego! — zaprzeczyła gwałtownie. — To cena zbyt wielka!

All ujął serdecznym ruchem dłoń Tin.

— Niech pani wraca na Ziemię.

— A więc?...

— Pilnujcie dobrze swego szczęścia... Pilnujcie oboje.

Spojrzała błagalnie na uczonego.

— Chciałabym jednak wiedzieć...

Przez twarz Alla przebiegł cień.

— Może pani pocieszyć swego męża, że bynajmniej nie o was doktor Ried mówiła Feri Ganowi.

— Czy... czy może mi pan... — rozpoczęła Tin i urwała niepewnie.

— Ach, tak! — skinął głową profesor. — Chce pani dowodów? Dobrze. On był ekonomistą. Wykładał na jednej z europejskich wyższych uczelni, ona również była naukowcem... Czy żąda pani jakichś bliższych danych?

— Nie. Wierzę panu. Tylko... — zawahała się.

— A więc coś tam jeszcze pozostało?...

— Nie wiem... Może to, co powiem za chwilę, nie ma sensu — podjęła z wysiłkiem. — Może to tylko przewrażliwienie... Ale... zaczynam żałować tamtego życia. Tak jakbym coś straciła niezmiernie cennego... Jeszcze niedawno nie zdawałam sobie z tego sprawy, lecz teraz wiem, czuję... Za mną jest jakby pustka. Próżnia, której nie potrafię niczym wypełnić. Boję się, że moje obecne szczęście to złudzenie szczęścia. Albo raczej odwrotnie — szczęście nie może być pełne i trwałe, bo wciąga je i pochłania... tamta próżnia...

All patrzył z powagą w twarz Tin.

— Próżnia? — powtórzył na wpół do siebie. — A Jore?

Tin spuściła oczy.

— Jeszcze kilka dni temu... było inaczej... — odrzekła cicho i naraz zmieniając temat, zapytała — Czy możecie przywrócić mi pamięć, tamtego życia?...

— Niestety... Trudno odtworzyć spaloną księgę, zwłaszcza gdy wiatr rozniósł po

świecie popiół... Trzeba ją od nowa napisać...

— Nie utrwalacie, nie zapisujecie nigdzie wygaszonych oscylacji?...

— To nie są pojedyncze impulsy, lecz niezliczone ich kombinacje, realizowane przez współdziałanie nieraz większości komórek kory mózgowej. Mówi pani o pustce? Wypełnić ją może tylko nowe doświadczenie. Ale nie sądzę, aby ona sama była przyczyną konfliktu, który pani teraz przeżywa. Jego źródła skłonny jestem szukać raczej w niepewności, w niepokoju wzbudzonym słowami Gana. Pustkę poczyna pani odczuwać dopiero wówczas, gdy... traci zaufanie do męża. Pustka i strach przed niewiadomym, nawet przed sobą, zespalają się tu jakby w jedno.

— Możliwe. Lecz jakie ma pan na to lekarstwo?

Uczony wstał z fotela i począł wolno mierzyć krokami gabinet.

— Moglibyśmy wykreślić z pani pamięci wszystko, co wiąże się z ową opowiedzianą przez Gana historią. Ale to nie ma sensu — rzekł zatrzymując się przed Tin. — Prędzej czy później ktoś pani o tym powie. Zresztą, czy to wystarczy?... Wszak pustka w pamięci istnieje i w nowym splocie przypadków znów da o sobie znać. Zostaje jeden sposób. Nie możemy przywrócić wymazanych z pamięci pani wspomnień — możemy jednak dać ich namiastkę. Po prostu powiedziec pani...

— Kim byłam? Co robiłam?

— Nawet może pani zobaczyć siebie na ekranie, usłyszeć swój głos...

— Macie mnie na taśmie? — poruszyła się Tin niespokojnie. — Z pierwszych dni pobytu na Żółtym Jakubie?

All w milczeniu skinął głową.

— A więc będę wiedziała...

— I nie boi się pani? — spytał.

— Boję się. Ale nie mogę już dłużej. Choćby prawda była najgorsza! Jeśli zresztą będzie mi z nią ciężko, to chyba pomożecie... znów zapomnieć?

— Oczywiście. Musi się pani jednak zdecydować w ciągu jednego czy dwóch dni, by nie nagromadziło się zbyt wiele powiązanych wspomnień... Dawne nazwisko pani zachowamy w tajemnicy. Pozwoli pani również, że w czasie seansu zmniejszymy nieco ostrość odbieranych wrażeń. Tak będzie lepiej. Dla pani...

— Jeśli tylko zapamięni to próżnię...

— Na pewno.

Uczony usiadł znów przy biurku i począł przeglądać płytki kartoteki. Wreszcie znalazł tę, której szukał, i naciśnięciem guzika włączył wizofon.

— S-312 — wypowiedział sygnał połączeniowy.

Na ekranie pojawiła się twarz Japończyka.

— Państwo się nie znają. To nasz nowy kolega, doktor Si — zwrócił się All do Tin i przedstawivszy ją Japończykowi, powiedział: — w archiwum znajdzie pan kasetę z obecnym nazwiskiem pani Tin. Numer 211. Którą komorę ma pan wolną?

— Szósta. Za pół godziny możemy rozpocząć seans.

All wyłączył wizofon i odprowadził Tin do drzwi.

— A więc spotkamy się za pół godziny w szóstej kabinie psychoprojekcyjnej. Teraz radzę pani przejść się po parku i myśleć tylko o sprawach przyjemnych.

— Spróbuję — odrzekła Tin niezbyt pewnie.

Gdy zamknął za nią drzwi, połączył się jeszcze raz z doktorem Si.

— Słyszał pan całą rozmowę?

— Słyszałem — skinął głową Japończyk. — To trudny przypadek. Do tego jeszcze brak taśmy w kasecie...

— Wiem. Taśmę mam tu, w biurku. Właśnie w tej sprawie dzwonię. Do kasety 211 włoży pan taśmę z kasety 37 s. Niewykluczone, że będzie chciała ją obejrzeć. Po założeniu hełmu włączy pan S/4d.

— Czy to jest konieczne, profesorze?

— Sądzę, że tak. Ma pan jakieś wątpliwości?

— Czy często zmuszony jest pan sięgać do takich środków?

— Na szczęście — nie. To dopiero trzeci przypadek tego rodzaju.

— Ta kobieta przyleciała jednak po to, aby...

— Czy myśli pan, że ona chce prawdy? — przerwał All pośpiesznie. — Ona tylko pragnie pozbyć się niepewności...

— I pan, profesorze, sądzi, że oni będą szczęśliwi?

— Nie wiem. Jeśli uwierzą...

— Lecz jak jest naprawdę? Czy oni byli już kiedyś małżeństwem?

All patrzył na ekran w zamyśleniu.

— A czy to nie jest wszystko jedno?... — powiedział po chwili.

Spadkobiercy

Spośród dwustu trzydziestu czterech ludzi biorących udział w wyprawie naukowej do gromady kulistej M 55 — na Ziemię powróciło tylko troje.

Stu czterdziestu sześciu uczonych pochłonęły na zawsze niebieskie dżungle planety Kloto w układzie DH 53. W czterdziestym trzecim dniu pobytu na tym globie, gdy już wydawało się, że nic ludziom nie grozi ze strony klotońskich mikroorganizmów, zmarli w ciągu niewielu godzin wszyscy uczestnicy ekspedycji badawczej. Zginęli w straszliwych męczarniach, wśród objawów obłędu i szybko postępującego porażenia obwodowego układu nerwowego. Zarówno nauka ludzka jak i prymitywna medycyna Klotończyków okazały się bezsilne.

W dwadzieścia dwa dni później epidemia wybuchła wśród pozostałych przy życiu członków załogi międzygwiazdowego statku. Krążył on wokół Kloto jako jej sztuczny satelita, przy czym od czasu katastrofy ekspedycji badawczej zerwano całkowicie raketową łączność z planetą. Wirusy paraliżu klotońskiego musiały więc dostać się na statek już wcześniej, a inkubacja choroby trwała kilka tygodni.

Epidemia nie oszczędziła nikogo, lecz tym razem trzy przypadki nie były śmiertelne. Choroba pozostawiła jednak trwałe ślady w organizmach dwojga ocalałych uczestników nieszczęsnej wyprawy.

Najwyższą cenę za życie zapłaciła Pia. Mimo stosowania różnych leków i zabiegów nie odzyskała władzy ani w rękach, ani w nogach. Rost był w nieco lepszej sytuacji — mógł poruszać normalnie rękami. Lecz już przejście z kabiny do kabiny wymagało od niego ogromnego wysiłku. Gdyby Helia nie wyszła z choroby nieomal bez szwanku, sytuacja stałaby się tragiczna.

W tych warunkach kontynuowanie wyprawy nie było możliwe. Po uzupełnieniu zapasów materii z wód wszechoceanu planety Mitra, obiegającej — podobnie jak Kloto — gwiazdę DH 53, wyruszono w drogę powrotną, aby po dwudziestu siedmiu miesiącach podróży znaleźć się w okolicach Układu Słonecznego. Tych troje ludzi gnała nie tylko tęsknota za rodzinnym globem, ale także niezachwiane przekonanie, że powrót na Ziemię uwolni ich od cierpień, których pokonać nie potrafili na swym opustoszałym statku.

Ileż musiało zmienić się na Ziemi od dnia odlotu w daleką wyprawę ku granicom Galaktyki. Gdy zegary międzygwiazdowego statku wskazywały tygodnie — na Ziemi płynęły wieki.

Światło gwiazd gromady kulistej M 55 biegnie do Słońca dziewiętnaście tysięcy lat. Fotonowy statek międzygwiazdny przebył niemal całą tę drogę z chyżością tylko o nieznaczny ułamek procentu mniejszą od prędkości światła. Einstein w swej szczególnej teorii względności wykazał, że im bardziej prędkość jakiegoś ciała zbliża się do prędkości światła, tym jednostki czasu, jaki tam biegnie, ulegają większemu podłużeniu z punktu widzenia nieruchomego obserwatora. Już w XX stuleciu znano fakty przemawiające za słusznością tego twierdzenia, jak na przykład wydłużanie lub skracanie się okresu „życia” nietrwałych cząstek promieniowania kosmicznego

zależnie od prędkości tych cząstek. Lecz dopiero loty kosmiczne statków fotonowych, zdolnych do rozwijania prędkości porównywalnej z prędkością światła, potwierdziły teoretyczne wnioski astronautyczną praktyką.

Dla Rosta, Pii i Helii wyprawa do gromady kulistej M 55 trwała pięć lat. Dla ludzi zamieszkujących Ziemię minęło w tym czasie ponad trzysta osiemdziesiąt wieków! Świadczyły o tym zarówno obliczenia teoretyczne jak i zmiany we wzajemnych położeniach gwiazd.

W miarę jak statek tracąc prędkość zbliżał się do Układu Słonecznego, Rost coraz częściej przesiadywał w centrali radiokomunikacyjnej usiłując łowić sygnały dalekiego, a tak bliskiego im świata. Gdy przed wiekami opuszczali Układ Słoneczny — ludzkość wkraczała zwycięsko w drugą fazę automatyzacji. Wspaniałe zdobycze cybernetyki otwierały wówczas nowe, trudne do odgadnięcia perspektywy organizacji życia opartej na zasadach z gruntu odmiennych od tych, jakimi rządziła się społeczność ludzka od swego zarania. Żywo jeszcze stały w pamięci podróżników kosmicznych spory i dyskusje nad wyborem dróg, którymi powinna ludzkość wkroczyć w tę nową epokę. Żegnali świat zbliżający się do zakrętu historii, świat pełen sprzeczności i problemów, których rozwiązanie przerastało, zda się, zdolności ludzkie. Żegnali świat, którego przyszłość dla największych umysłów owej epoki była wielką niewiadomą. Teraz, po trzydziestu ośmiu tysiącletniach, mieli poznać owoce tego, co wówczas dopiero poczynano się rodzić.

Już obserwacje astronomiczne wskazywały, że ludzkość dokonała ogromnego skoku cywilizacyjnego. W samej fizycznej strukturze Układu Słonecznego nastąpiły zmiany, które można było wytłumaczyć tylko świadomym działaniem istot myślących. Wenus i Merkury przestały być pojedynczymi planetami krążącymi po własnych orbitach i przeobraziły się w planetę podwójną, wirującą wokół wspólnego środka masy jak Ziemia i Księżyc. Mars zyskał cztery nowe księżyce, i to świecące własnym, sztucznym światłem. Za to w pobliżu Ziemi nie dostrzeżono żadnego z wielkich sztucznych satelitów, które w końcu XX stulecia stanowiły największą dumę ludzkości. Widocznie obecny poziom techniki nie wymagał budowy wielkich baz dla lotów kosmicznych. Gdy już stały się możliwe obserwacje teleskopowe szczegółów powierzchni ziemskiego globu, stwierdzono znaczne zmiany w układzie lądów.

Trudno przypuścić, aby działały tu siły geologiczne. Znikł Bałtyk, Morze Śródziemne i Czarne, a w miejscu ich można było przy znacznym powiększeniu dostrzec subtelną siatkę kanałów łączonych często węzłami sztucznych jezior. Na próżno szukano białych czap biegunowych i żółtych pustyń Afryki Północnej.

A jednak... W owym obrazie rodzinnej planety było coś niepokojącego... Zwróciła na to uwagę Pia. Leżąc nieruchomo w swej koi patrzyła godzinami w sufitowy ekran, na którym świecił niebieskawym blaskiem sierp Ziemi. Kiedy już rozmiary owego sierpa przestały mieścić się w ramach ekranu, na oświetlonej stronie planety można było bez trudu dostrzec ciemne punkciki wielkich miast. Miast tych przybyło chyba stokrotnie. A jednak...

Z chwilą gdy pograżyły się w cieniu — na próżno szukano odblasku ich światła nocnych... Nieprzenikniona czerń okrywała kontynenty.

Pierwsze sygnały radiowe z Układu Słonecznego złapano w odległości jedenastu miliardów kilometrów od Słońca. Przypominały telemetryczne meldunki, ale treści ich nie potrafił rozszyfrować elektronowy analizator. Nasilenie tych sygnałów na różnych zakresach fal rosło nieustannie w miarę zbliżania się do Ziemi. Pierwszą audycję foniczną, a następnie telewizyjną odebrano dopiero pod sam koniec podróży — na dwa dni przed lądowaniem w odległości dwustu milionów kilometrów od Ziemi. Z głośnika nie popłynęły jednak słowa oczekiwanego powitania. Była to sucha instrukcja dotycząca ostatniej fazy lotu, między innymi rozkaz przestawienia automatycznego pilota na sterowanie zdalne. Zdania wypowiedziane jakimś matowym, bezbarwnym głosem w języku esperanto miały dziwną i bardzo skondensowaną, jakkolwiek poprawną budowę.

— To na pewno mówi nie człowiek, lecz automat — zauważyła wówczas Helia.

Wtedy też po raz pierwszy w głowie Rosta zrodziło się straszne przypuszczenie...

Na ekranie telewizyjnym nie ujrzeli również żadnego człowieka. Audycja wizyjna, powtórzona parokrotnie, przedstawiała przebieg przyszłego ich lądowania. W ostatniej fazie lotu statek miał być sprowadzony na Ziemię w „ eskorcie ” sześciu maszyn przypominających płaskie krążki. Jakkolwiek rozmiary tych krążków były ogromne, wobec całkowitego braku jakichkolwiek śladów okien czy kopuł obserwacyjnych — wątpliwe, aby znajdowali się w nich ludzie. Oczywiście, nadając audycję pokazującą przyszły rozwój wydarzeń musiano operować makietami i trikami, niemniej sprawiały one wrażenie rzeczywistości chwytanej okiem kamery na gorąco.

Na zakończenie audycji padło z głośnika lakoniczne pytanie:

— Gdzie lądować?

Po krótkiej naradzie z towarzyszami Helia wyjaśniła, że chociaż miejsce lądowania jest im obojętne — najchętniej najpierw odwiedziliby Europę.

— Gdzie reszta? — odezwał się znów tajemniczy głos.

W pierwszej chwili nie zrozumieli, o co chodzi. Wówczas na ekranie ukazał się stary film ze startu statku. Ujrzeli raz jeszcze twarze swych zmarłych towarzyszy.

— Gdzie oni? — rozległo się wyjaśniające pytanie.

Helia przedstawiła pokrótce tragiczne dzieje ekspedycji. Gdy wreszcie wspomniała o ciężkim stanie Pii i Rosta oraz konieczności dalszych zabiegów leczniczych, z głośnika wybiegło tylko — jedno słowo:

— Przyjęte!

Tego dnia nie odebrali już żadnej audycji z Ziemi. Gubili się w domysłach. Istniało jedno, najprostsze rozwiązanie zagadki — ale odrzucali je z lękiem, szukając z uporem innego, choćby w oparciu o jak najbardziej sztuczne, nierealne hipotezy: Byle tylko nie to!

Rost tej nocy nie mógł długo zasnąć. Przed oczyma stawały mu męczące, koszmarnie obrazy Ziemi, na której nie ma już człowieka... Ziemi obcej, dalekiej i strasznej.

Nad ranem nie wytrzymał nerwowo. Powłócząc sparaliżowanymi nogami

dobrnął do centrali radiowej i wezwał Ziemię.

Nie powiedział, dokąd idzie, ani Pii, ani Helii. Bał się, że będą usiłowały go przekonać, aby jeszcze poczekał, że będą starały się odwlec jak najdłużej tę chwilę, która może przynieść wyjaśnienie i... pogrzebać ostatnie nadzieje. Chyba wiedziały one, że odpowiedź będzie tylko jedna niwecząca to wszystko, co wymarzyli w długich rozmowach w czasie drogi powrotnej... A jednak chciał wiedzieć, wiedzieć na pewno! Może gdzieś w głębi mózgu tliła się jeszcze iskierka wiary w człowieka...

Po długim oczekiwaniu odezwał się sygnał kontrolny.

— Czego chcecie?

Dwa słowa zimne, nieprzystępne.

Rost stłumił nerwowe drżenie warg i zapytał wprost, niedomówień:

— Czy rozmawiam z człowiekiem?

— Nie!

Wiedział, że taka będzie odpowiedź, a jednak opadł ciężko na fotel. Czuł tępy ból w skroniach.

— Jak wyglądacie? Pokażcie się! — usłyszał poza sobą głos Helii. Stała w drzwiach, patrząc na ekran centrali telekomunikacyjnej. Minęła długa, nabrzmiała oczekiwaniem chwila.

— Wycinkowo! — padł z głośnika pojedynczy wyraz.

W tej samej chwili pojawiły się na ekranie jakieś budowle, sploty przewodów, gruszkowate twory z błyszczącego tworzywa, wreszcie siatki i pręty spełniające role anten i reflektorów fal radiowych. Niektóre z tych urządzeń były jakby zawieszane w powietrzu, czasami wspierały się na wyrastających z ziemi długich, cienkich prętach.

— A ludzie? — wyrwało się Rostowi rozpaczliwe pytanie.

Ekran zamigotał. Z mlecznej mgły wyłonił się żółty pas plaży. Fale miękko kładły się na piasku, potem zieloność palmowego gaju wypełniła obraz.

Wśród tej przyrody skąpanej w słonecznym blasku spoczywała na sztucznym, miękkim wzniesieniu para młodych ludzi. Z kulistych zbiorników umieszczonych w pobliżu wzniesienia biegły cienkie rurki w dół, do ust leżących. Leniwie prężąc opalone ciała, poruszali wolno wargami jak niemowlęta ssące pokarm matki. Tylko z rzadka spod powiek wybiegało na chwilę senne spojrzenie i przesuwano się bezmyślnie po jaśniejących na niebie obłokach.

— A miasta? — rzuciła Helia niepewnie.

Obraz zmętniał i znikł. Miejsce palmowego gaju zajęły szerokie, geometrycznie proste ulice. Czy to zresztą były ulice?... Trudno dociec. Chodników ani ludzi nigdzie nie mogli dostrzec.

Panowały tu niepodzielnie maszyny. Pośród wysokich, podobnych do iglic gmachów o prostej, surowej architekturze przebiegały setki pojazdów we wszystkich kierunkach. Często mijały się w powietrzu, „przeskakując” niejako przez siebie: Niektóre zbaczały i znikały w głębi ciemnych pochylni biegnących gdzieś w głąb ziemi. Pojazdy i domy nie miały drzwi ani okien, ściany ich były mlecznobiałe — nieprzeniknione w swej tajemniczości...

Rost pochylał głowę coraz niżej i niżej, ukrywając twarz w dłoniach.

— Nie! Nie! Dość tego!!!

Naraz uczył na włosach miękkie dotknięcie rąk Helii.

— Uspokój się... Jeszcze nic nie wiadomo.

— Co nie wiadomo? Czy ci to nie wystarczy? — wskazał na martwy już ekran. — Co oni z ludźmi zrobili? A raczej co ludzie zrobili z ludzkością?

— Więc ty przypuszczasz?...

— Nic nie przypuszczam! Nie ma co przypuszczać! To jest jasne. Czy można tu mieć jakieś złudzenia?

— Ale przecież tamtych dwoje, na plaży, to byli ludzie!

— Ludzie? Czy można nazwać ludźmi bezmyślne bydlęta wegetujące w rezerwach czy ogrodach zoologicznych? Czy nie widzisz, że panami Ziemi, a z pewnością i całego Układu Słonecznego są istoty sztuczne, jakieś obdarzone inteligencją homeostaty? Że te istoty przewyższyły i podporządkowały sobie ludzi? Czy nie rozumiesz, że te miasta nie są wytworem ludzkiej cywilizacji, ludzkiej kultury? Że to cywilizacja i kultura robotów?

— Ależ...

— Jak możesz jeszcze wątpić? — nie pozwolił jej dojść do słowa. — Czy nie przypominasz sobie, co mówiono w naszych czasach? „Nadmierna organizacja życia społeczeństwa w warunkach pełnej automatyzacji gospodarowania musi doprowadzić do podporządkowania człowieka maszynie”. To były prorocze słowa!... Ci uczeni, filozofowie widzieli niebezpieczeństwo! Automaty nie tylko produkowały dla ludzi! Automaty zaczęły myśleć za ludzi! Nie człowiekowi one służyły, lecz takiej strukturze państwowej, w której ludzie i automaty stapały się w jeden organizm społeczny coraz bardziej!

— To niemożliwe.

— Możliwe. Zupełnie możliwe! Zarówno jednostki jak i całe społeczeństwa uzależniały się od robotów coraz bardziej, a one przeobrażały świat tak, aby stał się światem, w którym najlepiej mogłyby spełniać swe funkcje. Tworzyły świat dla siebie, nie dla człowieka! I dlatego stały się jego władcami!... Stały się spadkobiercami ludzkości! I oto widzimy wynik!

— Jesteś szalony! Przecież jeszcze nic pewnego nie wiemy!

— Ja jestem szalony?! To ci, którzy pchali ludzkość ku zagładzie, byli obłąkami! Umilkł na chwilę.

— Nie wiem — powiedział wreszcie z jakąś ponurą rezygnacją. — Może zresztą to było nieuniknione? Może nie było innej drogi? Może tak być powinno i właśnie owe sztuczne twory człowieka są jego prawowitymi spadkobiercami?

— Nie! Nie! — zaprzeczyła gwałtownie Helia. — Trudno uwierzyć w to, co mówisz. Przecież automatyzacja w czasach, gdyśmy opuszczali Ziemię, otwierała przed człowiekiem, przed jednostką nieograniczone perspektywy wolności. Przerzucała na barki automatów codzienną troskę o bezpieczeństwo i zaspokojenie potrzeb życiowych człowieka.

— To był dopiero początek...

— Tak. Początek, ale niekoniecznie katastrofy! Mechaniczne zdyscyplinowanie

automatów nie musi oznaczać mechanicznego zdyscyplinowania społeczeństwa. Człowiek uwolniony od tysięcy drobnych kłopotów i zajęć może w większym stopniu rozwijać swe siły twórcze, może eksperymentować, toczyć dyskusje, pogłębiać swą wiedzę i walczyć w obronie słuszności swych przekonań. Słowem, uczestniczyć w tworzeniu takiego świata, jaki najlepiej służyć będzie nie tylko materialnym, ale intelektualnym jego potrzebom. W ten sposób na pewno można by zapobiec wkroczeniu w ślepy zaułek. Czy zresztą robot może przewyższyć człowieka? Czy nie pozostanie zawsze tylko jego sługą i narzędziem? Nie mogę uwierzyć w to, co mówisz!

— A jednak tak się stało. To już koniec!

Zacisnął kurczowo dłonie na poręczy fotela. Krew pulsowała mu w skroniach, a czaszkę zdawał się rozsadzać mącający myśli ból. Przed oczyma poczęły wirować jakieś jaskrawe, kłujące wzrok światła.

Zamknął kurczowo powieki. Ale to nie pomogło. Ból wzmagał się.

Znów poczuł dotknięcie chłodnej dłoni na czole. Gdzieś z daleka dobiegł go głos Helii:

— Masz gorączkę...

— Nic mi nie jest! Nic... — Usiłował wstać, lecz siły go opuściły. Opadł z powrotem na fotel.

Czarna, nieprzenikniona noc bez światła gwiazd i dalekich mgławic... Wielkie ponure budowle piętrzą się jedno na drugich, coraz to wyżej i wyżej, a wśród nich — podobne do mrówek i komarów — tysiące poruszających się szybko pojazdów. Dążą one nie wiadomo dokąd, to pojedynczo, to grupami, w jedną, w drugą stronę. Ich drogi krzyżują się w przestrzeni tworząc dziwaczne zygzaki, spirale, sinusoidy... A wszystko to dzieje się w ciemności, bez isierki blasku, w całkowitej ciszy...

Ten obraz powracał nieustannie, przyćmiewając wszystkie wrażenia. Nie ustępował, chociaż Rost zaciskał nerwowo powieki. Zdawał wtłaczać się gdzieś wprost do mózgu, uparcie, wbrew woli.

Tylko czasem, jak przez grubą warstwę waty lub hełm kosmiczny, docierały do jego uszu jakieś głosy. Wiedział, że są to głosy Helii, Pii, a jednak nie mógł zrozumieć ani słowa i nie starał się zrozumieć. Nie czuł świdrującego bólu w skroniach, tylko ogromną słabość i bezwład wszystkich mięśni, a pustkę w głowie wypełniało oczekiwanie na coś, nie wiadomo na co...

Były jednak minuty, gdy owa apatia i zniechęcenie ustępowały. Wydawało mu się wówczas, że mózg poczyną pracować z niespotykaną jasnością. Czuł w takich chwilach, że powinien myśleć, podejmować zasadnicze decyzje. Waga tych decyzji była ogromna, rozstrzygająca. I to nie tylko dla niego samego, Helii i Pii, ale dla całej ludzkości, której czuł się jedynym i rzeczywistym spadkobiercą.

Jedna myśl goniła wtedy drugą, tworząc wartką rzekę raz po raz zasilaną nowymi strumykami spostrzeżeń i pomysłów. Rzeka ta rozlewała się coraz szerzej, coraz wyżej wzbierały jej wody, by wreszcie rozpląnąć się w bezdrożnym oceanie... nicości.

Czasami w toku owej dyskusji z samym sobą zjawiał się przed nim jakiś pękaty,

bezszałtany twór, przysiadł w głowach na koi i raz po raz dorzucał własne zdanie, które jak pocisk rozbijało kunsztowne konstrukcje rodzące się w mózgu Rosta.

Najczęściej ów dziwny dialog obracał się wokół perspektyw przyszłości.

— Czy to, co się stało na Ziemi, oznacza kres ludzkości? Kiedyś, przed milionami lat panami świata były gady i mogłoby się wydawać, że nic ich potęgi nie złamie. A przecież minęła epoka wielkich gadów. Wyginęły diplodoki i allozaury, skończyło się panowanie pteranodona, triceratopsa i plezjozaura. Ich miejsce zajęły ssaki, a potem najwyższy ich wykwit — człowiek! Czy nie śmieszną była wiara, że będzie on panował wiecznie, że nigdy nie będzie kresu ludzkości?

— Nic nie jest wieczne — odpowiadał sam sobie. — Czy można mówić o szczycie rozwoju i doskonałości? Rozwój i doskonalenie trwać będą w nieskończoność, a człowiek jest tylko jednym ze szczebli tego rozwoju.

Nie! Nie masz racji! Wszak jak uczy cybernetyka — istnieje stopień maksymalnej komplikacji sieci. Po przekroczeniu tego progu dalsze komplikowanie nie prowadzi już do udoskonalenia, gdyż powoduje taki wzrost zakłóceń, że zamiast postępu następuje regres. Sieć neuronowi mózgu ludzkiego swą komplikacją zbliżyła się już znacznie do owego maksimum. Nawet najdoskonalsze sztuczne sieci, zdolne do samodzielnego myślenia, odtwarzające się i rozmnażające na wzór istot żywych, będą więc mogły osiągnąć tylko niewiele większą doskonałość niż mózg ludzki.

— Ale czy udoskonalanie musi polegać tylko na komplikacji? Przecież bywają różne jakościowo komplikacje. Można na przykład komplikować przez przypadkowy zestaw elementów. Jedna sieć lepiej, druga gorzej, przy tym samym stopniu złożoności, będzie wykonywała swe funkcje zależnie od doskonałości swej struktury. Trudno przypuszczać, że komplikacja mózgu ludzkiego jest komplikacją najdoskonalszą. Wszak już w XX wieku odkrycia neurofizjologii zdawały się wskazywać, że mózg ludzki jest niejako tworem na wyrost, że tylko w niewielkim stopniu jego możliwości są wykorzystywane. Jeszcze długa może być droga prowadząca do osiągnięcia pełnej mocy i wydajności sieci nerwowej człowieka.

— A więc dlaczego panowanie człowieka się skończyło? Czyżby osiągnął szczyt swego rozwoju w owych trzydziestu ośmiu tysiącletniach i teraz droga prowadzi tylko w dół?

— Nie! To niemożliwe! Na to potrzeba chyba milionów lat! To tylko jedna z fałszywych ścieżek rozwoju, ślepy zaułek, z którego można się wycofać zawczasu, nim człowiek stanie się żywą skamieniałością. Może właśnie nam, którzy możemy w pełni pojąć ogrom klęski, przypadło zadanie dokonania dzieła odrodzenia ludzkości? Na pewno jeszcze nie wszystko stracone. Te istoty ludzkie wegetujące w cieplarnianych warunkach nie mogą być już reliktem. Za mało jeszcze upłynęło czasu, by skamieniały w beztróskim bytowaniu! Trzeba je tylko obudzić! Z setek i tysięcy — powstaną miliony! Jeśli tu, na naszej Ziemi, nie będzie można zbudować nowego życia, to zbudujemy je gdzie indziej. Choćby poza Układem Słonecznym! Wokół innych gwiazd! Ludzkość ma jeszcze przed sobą wielką drogę, a straszne doświadczenie przeszłości pomoże jej uniknąć błędów. Trzeba tylko obudzić drzemiących! Na pewno pojmą, zrozumieją, że nie wszystko jeszcze pogrzebane. I

zechcą wraz z nami budować nowy, ludzki świat!

Naraz do jego świadomości doszły słowa wypowiedziane przez Helię:

— Lądujemy! Rost, lądujemy!

Rozwarła się przezroczysta czasza kopuły wyjściowej. Po raz pierwszy od wielu tysięcy wtargnęło w głąb statku przepelnione zapachem lasu powietrze ziemskie. Wraz z nim wpłynęło do wnętrza osiem błyszczących kul. Nie dotykając podłóg, jak balony pchane lekkim powiewem wiatru podążały ku kabinom mieszkalnym.

Helia doprowadziła je aż do koi Rosta i Pii. Potem stanęła przy włączniku oparta plecami o ścianę i trwała ze wzrokiem utkwionym w owych niezwykłych przybyszach.

Tymczasem kule podzieliły się na dwie grupy i popłynęły nad koje. Chwilę krążyły w powietrzu, wreszcie zatrzymały się nieruchomo nad ciałami spoczywających bezwładnie ludzi.

Pia nie spała. Rozszerzonymi z podziwu oczyma wodziła po kulach, gdy naraz jej ciało uniosło się wolno w górę.

Dreszcz niepokoju wstrząsnął nią całą.

— A więc już... Helio! Zostań ze mną!

Na ten okrzyk, a może również pod wpływem ruchu własnego ciała, które także uniosły w górę niezwykle kule, ocknął się z odrętwienia Rost. Przez chwilę błędził półprzytomnym wzrokiem wokoło, naraz jego twarz wykrzywił nienaturalny grymas.

— Nie... Nie chcę... — wyszeptał z przerażeniem.

Helia opanowała skurcz dławiący jej gardło.

— Uspokój się... To nic. Wszystko będzie dobrze. Będziecie zdrowi.

— Zdrowi? — spojrzał na nią nieprzytomnie. — Ale ty mnie nie opuścisz!? Nie opuścisz! Zaczniemy nowe życie!... Utworzymy nowy świat!...

— Tak. Tak. Nie lękaj się niczego. To są ludzie... Prawdziwi ludzie! — mówiła łagodnie, podążając za towarzyszami unoszonymi w powietrzu niewidzialną siłą wytworzoną przez kule.

Rost zdawał się jej nie słyszeć. Patrzył z napięciem przed siebie, jakby czegoś oczekując.

Tymczasem kule przeniosły już jego bezwładne ciało przez otwarty właz do kopuły, potem dalej na otwartą przestrzeń.

W zapadającym mroku ujrzał szeroki, owalny plac otoczony czarnym, postrzępionym pierścieniem lasu.

— Gdzie oni? Gdzie ludzie? — zawołał ochryple. Ale nikt mu, nie odpowiedział.

Wokół niego poczęły wyrastać spod ziemi czarne dziwaczne twory o długich, cienkich ramionach. Uczuł, że opada jakby na miękkie, puszyste łożo.

Jak ciemno, skonstatował niemal bez zdziwienia. Ciemność, tylko ciemność... Była to ostatnia myśl, myśl pozostała w jego pamięci z tamtej chwili.

Ocknął się jakby z krzepiącego, głębokiego snu.

Spoczywał na wygodnym ni to fotelu, ni to tapczanie w przestronnej, jasnej sali. Na ścianach i suficie przeobrażały się bez ustanku barwną mozaiką, jakby w

kalejdoskopie proste, pełne niezwyklej harmonii wzory.

A jednak mimo niezwykłości tych ścian biło z nich pogodą i ciepłem... rodzinnego domu. Chociaż był pewny, że jeszcze nigdy nie widział takiego wnętrza — nie odczuwał zupełnie wrażenia obcości i niepokoju. Jakaś dziwna, jakby niedostrzegalnie sączona w atmosferę pogoda i spokój wypełniły jego myśli. Nie było już w nim nic z owego lęku i niepewności minionych dwóch dni. Teraz odczuwał już nie nadzieję, a raczej pewność, że to, co przeżył, pozostanie na zawsze koszmarnym snem.

Skądś, z przeciwległej ściany, jakby przez zasłonę z mgły, wyszły dwie postacie kobiece. Poznał je od razu i uśmiechnął się radośnie do nich. Helia i Pia również uśmiechnęły się do niego.

Wstał z fotela i postąpił kilka kroków ku przybyłym. Czuł się lekko, żaden mięsień nie wykazywał śladów porażenia, które od lat zmieniało najmniejszy ruch w torturę.

Nie czuł jednak zdziwienia. Nie dziwiło go nawet to, że ciała kobiet ubranych w lekkie, delikatne szaty jaśnieją jakimś niezwykle blaskiem. Spojrzał na swoje ręce. One również promieniowały. Ale to nie ręce świeciły. To tylko siatkówki jego oczu zostały uczulone na promieniowanie podczerwone.

I nagle uświadomił sobie, że wszystko dla niego jest zrozumiałe, jasne, że wystarczy tylko zadać sobie samemu pytanie, aby natychmiast pojawiła się w mózgu nie wiadomo skąd odpowiedź.

— Chodź z nami — powiedziała Helia. Ujął ich dłonie i uścisnął mocno.

— Chodźmy. Chciałbym znaleźć się w wolnej przestrzeni.

Podeszli do ściany, która niemal niedostrzegalnie rozstąpiła się przed nimi. Gdzieś w dole ujrzeli skąpaną w blasku podczerwieni ulicę miasta. Zamiast dziesiątków dążących we wszystkich kierunkach pojazdów wypełniał je teraz wielobarwny tłum ludzi. Gwar głosów, śpiew i muzyka płynęły w górę, tworząc przedziwnie kojącą symfonię dźwięków.

Ponad wieżami budowli wstawał z wolna seledynowy brzask.

Przypisy:

[\[1\]](#)

Czaszka ze Steinheim — znalezisko pochodzące prawdopodobnie z drugiego okresu międzylodowcowego, sprzed 300 000 lat. Jest to czaszka istoty ludzkiej na pośrednim stopniu rozwoju między pitekantropem (pracłowikiem-małopoludem) a neandertalczykiem. [przypis autorski]

[\[2\]](#)

Egon Erwin Kisch — 1885–1948, pisarz czeski, jeden z najwybitniejszych reporterów świata. [przypis autorski]

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Człowiek z mgły](#)

[List](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[Koszmar](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[Antyświat](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[Zanim umrę](#)

[Część I](#)

[Część II](#)

[Nieproszeni goście](#)

[Tryton 703](#)

[Fabryka szczęścia](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[Spadkobiercy](#)

[Przypisy](#)